

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 51/558 18–26 GRUDNIA 2023
CENA 11,90 zł (w tym 8% VAT)

DO RZECZY

- Komuda o XVII-wiecznych odpowiednikach Tuska i Kaczyńskiego
- PiS trzeba zdecentralizować – ogłasza Józef Orzeł
- Jak nie negocjować z Rosją – polska lekcja z 1831 r.
- Izrael pozbywa się chrześcijan – w jaki sposób to robi?

Esej Pawła Lisickiego

ŚWIĘTY PIOTR – PIERWSZY PAPIEŻ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 52 000 egzemplarzy

PISZA: ZIEMKIEWICZ • CEJROWSKI • SEMKA • WARZECHA • JUREK • MASŁOŃ • ROSZKOWSKI • GOCIEK
SIEDLECKA • GMYZ • BOJAŃCZYK • KARWELIS • POSPIESZAŁSKI • WIEROMIEJCZYK • GABRYEL

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

Z RADOMIA NA WYSPĘ SŁOŃCA

KOMFORT NA STARCIE

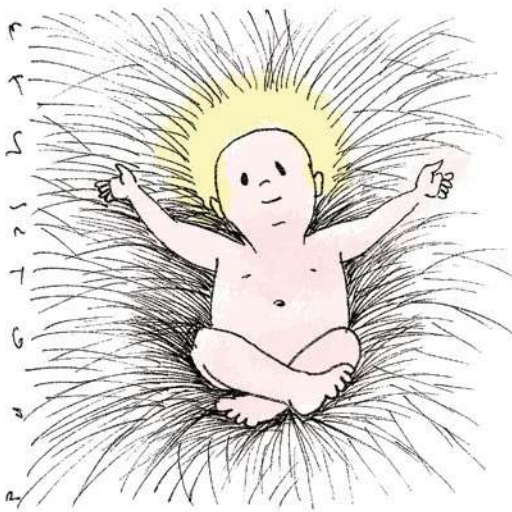
CYPR JUŻ OD 13 GRUDNIA

SPRAWDŹ NA NEKERA.PL



NEKERA





Bożo Stawieństwa
Bożego Dzieciątka
i wielu radosnych, świątecznych
spotkań, pełnych miłości
i nadziei

zyczy Redakcja „Do Rzeczy”

W RZECZY SAMEJ

Manifest brukselskiego hipokryty



PAWEŁ LISICKI

Różnych rzeczy spodziewałem się po wystąpieniu Donalda Tuska, ale tego, że w swoim exposé odwoła się do listu Piotra Szczęsnego, który to podpalił się w 2017 r., protestując przeciw rządowi Prawa i Sprawiedliwości, nie, tego się nie spodziewałem. Zapomniałem, widać, jak zręcznie i cynicznie potrafi działać nowy-stary premier z Brukseli. Tak, Tusk mnie zaskoczył. Cytowanie in extenso tekstu człowieka, który, przykro to powiedzieć, nie radził sobie z rzeczywistością, było doprawdy perfidne. A okraszanie tego opowieścią o potrzebie pojednania i zgody między Polakami obłudne ponad wszelką miarę.

Co chciał nam powiedzieć Tusk, odwołując się do szalonego gestu Piotra Szczęsnego? Co chciał nam powiedzieć, czyniąc z niego, jak można podejrzewać, wzorzec i model postawy obywatelskiej? „Protestuję przeciwko ograniczaniu przez władzę wolności obywatelskich.

Protestuję przeciwko łamaniu przez rządzących zasad demokracji, w szczególności przeciwko zniszczeniu (w praktyce) Trybu-

nału Konstytucyjnego i niszczeniu systemu niezależnych sądów.

Protestuję przeciwko łamaniu przez władzę prawa, w szczególności Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej” – te słowa i towarzyszący im czyn, samospalenie, świadczyć mogły jedynie o stanie ducha autora. O tym, że nie był sobie w stanie poradzić z tym, że do władzy doszła znienawidzona przez niego partia.

Nie chodzi tu o stan psychiczny nieszczęsnej ofiary. Problemem jest to, że nowy polski premier zrobił z tego swego rodzaju manifest swych rządów. Że człowiek, który wygrywając wybory i tworząc gabinet, czym zadał kłam podstawie, na której oparł swój protest samobójca, nie tylko uznaje, najwyraźniej, że treść listu jest prawdziwa, lecz także, można dopowiedzieć, pochwała formę protestu. Zamiast bronić zasady demokratycznej, zgodnie z którą miejscem rozstrzygania sporów są Sejm i system parlamentarny, Tusk sugeruje, że właściwą i heroiczną formą działania było samobójstwo. Ze sporu politycznego robi wojnę moralną, a ze swoich rządów krucjatę.

Gdyby to było jedynie żałosne. Słuchając w całości exposé nowego premiera, doszedłem do przekonania, że wykorzystanie listu z 2017 r. było formą ukrycia własnej słabości. Premier Tusk nie tylko dlatego odwołał się do opisu rzekomych zbrodni na demokracji, żeby w ten sposób podnieść poziom emocji, lecz także dlatego, że najzwyczajniej w świecie nie miał nic istotnego do zaproponowania. Zemsta, zemsta i jeszcze raz zemsta – to jedyne, co potrafił przekazać, owijając jej zapowiedź w strzeliste akty miłości.

Zemsta, żeby nosić pozory sprawiedliwości, potrzebuje uzasadnienia, racjonalizacji. Ten, kto chce się odwołać do zemsty, nie może tego robić ot tak sobie, potrzebuje znaleźć dla niej – w końcu żyjemy w świecie demokracji – uzasadnienie. Potrzebuje ofiar i dowodów prześladowania. W takiej roli wystąpił zmarły tragicznie Piotr Szczęśny: stał się poręcznym instrumentem uzasadniającym dążenie do odegrania się i skrywającym pustkę programową nowego rządu. ©©

NASTĘPNE WYDANIE TYGODNIKA „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ W ŚRODĘ 27 GRUDNIA 2023 R.



TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI

ŚWIĘTY PIOTR – PIERWSZY PAPIEŻ
Wikariusz Jezusa

24 KRYSZTOF KRATUŁ

IZRAEL POZBYWA SIĘ CHRZEŚCIJAN

KRAJ

28 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM

PIS TRZEBA ZDECENTRALIZOWAĆ
Zbyt twardy kierunek

32 PIOTR SEMKA

TVP ZNÓW W STARYCH KOLEINACH

35 ŁUKASZ WARZECHA

POLITYKA ANTYROSYJSKA

38 ZUZANNA DĄBROWSKA

HOŁOWNIA SHOW

41 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

OSOBIŚTY RANKING IDOLI

44 ŁUKASZ ZBORALSKI

OFIARY ZDALNEGO NAUCZANIA

KULTURA

46 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**JACEK MALCZEWSKI,
MALARZ PRZEPOTĘŻNY**
Artysta sprawy polskiej

52 MARIUSZ CIEŚLIK

AMERICAN DREAM MIECZYŚŁAWA FOGGA

55 PIOTR GOCIEK

**DZIESIĘĆ NOWYCH KSIĄŻEK,
KTÓRE TRZEBA ZNAĆ, BY ZROZUMIEĆ,
CO SIĘ DZIEJE ZE ŚWIATEM**

NIE PRZEGAP

58 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 MAREK JUREK

**WIEK WIESŁAWA
CHRYZANOWSKIEGO**
Stulecie urodzin marszałka Sejmu

67 LECH MAŻEWSKI

JAK NIE NEGOCJOWAĆ Z ROSJĄ?

70 ADAM HLEBOWICZ

**MIEDZY „KAJSIEM”
A „ODRZANIĄ”**

HISTORIA

74 ROZMOWA Z PATRYKIEM PLESKOTEM

UCIEKINIERZY DYPLMATYCZNI
Kariery Romualda Spasowskiego
i Zdzisława Rurara

78 JACEK KOMUDA

**WOJNA REGALISTÓW
Z MALKONTENTAMI**
Rzecz o XVII-wiecznych odpowiednikach
Tuska i Kaczyńskiego

82 ROZMOWA Z ADAMEM HOCHSCHILDDEM

**RZĘKA CIEMNOŚCI, CZYLI ZBRODNIE
BELGÓW NA TERENIE KONGA**

ŚWIAT

86 ROZMOWA Z PROF. HIERONIMEM GRALĄ

**LUDZIE KREMLA SĄ DO BÓLU
PRAGMATYCZNI**
Jakie są kremłowskie elity

90 OLIVIER BAULT

IMIGRANCI WYNIOSĄ LE PEN DO WŁADZY

93 TERESA STYLIŃSKA

**W ŚWIECIE DIAMENTÓW
STARYCH I NOWYCH**

EKONOMIA

96 JACEK PRZYBYLSKI

CYFROWE ZŁOTO NA ROLLERCOASTERZE
Kryptowaluty: przyszłość czy „trutka na
szczury”

100 JOANNA BOJAŃCZYK

DYNASTIA '23

PODRÓŻE



104 JACEK PAŁKIEWICZ

ŁOPOCZĄC NA WODZIE
Era żaglowców wciąż żywa



DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabriel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sierkowski, Łukasz Zygańdo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Taniś (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoreportaż: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmppg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. W dzisiejszym wydaniu zdecydowaliśmy się opublikować fragment apelu, który otrzymaliśmy na naszą skrzynkę redakcyjną. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl

Apel psychologa

W dniu dzisiejszym w polskim Sejmie podczas uroczystego exposé Pan Premier Donald Tusk w całości przeczytał tzw. pożegnalny list samobójczy śp. Pana Piotra Szczęsnego, mający formę swego rodzaju manifestu politycznego.

Jako psycholog pracujący m.in. w szkole i przedszkolu oraz z osobami doświadczającymi kryzysu samobójczego (jak i ich rodzinami, bliskimi, znajomymi) stanowczo protestuję przeciwko tego typu sytuacjom. Żaden zabieg retoryczny nie może usprawiedliwiać tego typu zachowań.

Pan Marszałek Szymon Hołownia podczas ww. sytuacji przerwał Panu Premierowi, tylko aby zdyscyplinować niektórych posłów, aby okazać „szacunek wobec majestatu śmierci”. Stanowczo protestuję przeciwko okazywaniu szacunku wobec śmierci samobójczej! Zapewniam, że nie ma w niej nic z majestatu. Wzywam w takiej sytuacji do milczenia jest w mojej ocenie nieodpowiednie. Należy wręcz krzyczeć na wszystkie strony (czego wyrazem jest mój apel) o tym, że nie można gloryfikować śmierci samobójczej.

Pan Marszałek Szymon Hołownia podkreślił dzisiaj, że w Internecie transmisje Sejmu oglądało ponad 4 mln obywateli. Poprosił o owację dla obywateli patrzących politykom na ręce. Pan Marszałek jako człowiek znający specyfikę mediów zapewne zdaje sobie sprawę z tego, do ilu setek tysięcy ludzi mogło trafić dzisiejsze przemówienie Pana Premiera. Na jednym bardzo popularnym serwisie streamingowym, który umożliwia użytkownikom oglądanie filmów czy seriali, każdy film czy serial w lewym górnym rogu ma informację, że to, co teraz będzie

oglądane i słyszane, może zawierać np. przemoc, motyw samobójstwa, wykorzystania seksualne itp. Jest również w ww. sytuacji sugerowana kategoria wiekowa odbiorców, natomiast przed zakończeniem filmu czy serialu i po nich pojawia się zazwyczaj informacja, że jeżeli ktoś znajduje się w kryzysie psychicznym czy emocjonalnym, to powinien skontaktować się ze specjalistą.

Ośmielony słowami Pana Marszałka Szymona Hołowni pozwalam sobie patrzeć politykom na ręce i zadaję pytanie, ile z tysięcy osób słuchających exposé Pana Premiera Donalda Tuska, którzy być może są w kryzysie psychicznym, dostało podobną jak w ww. serwisie informację?

Wobec ogromnego kryzysu zdrowia psychicznego w Polsce, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, wzywam działające w obszarze zdrowia psychicznego wszelkie towarzystwa naukowe, stowarzyszenia, fundacje, uczelnie, psychologów, psycholożki, psychotherapeutów, psychotherapeutki o zabranie głosu wobec dzisiejszej sytuacji. Wzywam do psychoedukacji i profilaktyki zdrowia psychicznego w społeczeństwie poprzez zabranie głosu!

W obecnym czasie kryzysu samobójczego nie należy zachowywać milczenia wobec jej rzekomego majestatu, a zabrać jasny i zdecydowany głos ponad podziałami, bo kryzys psychiczny może dotyczyć biednych i bogatych (depresja nie boli „mniej” bogatych), wyborców wszystkich partii politycznych, wszystkich wyznań itp.

Uważam, że zadaniem psychologów i psycholożek oraz wszystkich zaangażowanych w szeroko rozumiany obszar zdrowia psychicznego jest również formacja społeczeństwa odnośnie do tego, tego czym i jak groźny może być szeroko rozumiany kryzys psychiczny. Ta formacja musi budować na porządnej informacji, której – ufam – ten apel będzie chociaż jakąś częścią!

Wobec potężnego problemu zdrowia psychicznego w Polsce, a zwłaszcza kryzysu samobójczego zwracam się z apelem i jednocześnie napominam wszystkich polityków w naszym kraju: Decorum!

Patryk Hałajczak, psycholog



NA PIERWSZY OGIEŃ

Krótkie spodenki konfederatów



PIOTR SEMKA

Sejmowa szarża posła Grzegorza Brauna, który z gaśnicą w ręku ruszył na chanukowy świecznik, przypomniła, jak nieprzewidywalną partią jest Konfederacja. Stałym przekleństwem konfederatów staje się niezdolność do odklejenia się od prawicowego oszołomstwa. Najpierw w wykonaniu Janusza Korwin-Mikkego, a teraz Grzegorza Brauna. Ci nieprzewidywalni politycy przynoszą konfederatom rozpoznawalność, ale potem stają się w polityce kulą u nogi.

Trzeba było trafu, że dzień przed wybrykiem Brauna Krzysztof Bosak pisał z dumą na X: „Na nowej opozycji rysują się dwa style: spokojnej, merytorycznej opozycji Konfederacji, stojącej na gruncie wyrazistych idei prawicowo-wolnościowych, narodowych i konserwatywnych [...]”. Na tym tle Bosak piętnował „agresywną opozycję PiS zaczynającą się od pomówień o agenturalność, ciągłego obrażania się, mieszającą lewicowe pomysły gospodarcze i próbującą udawać progresywizm, aby zatrzeć wrażenie

partii odchodzącej w przeszłość”. I puenta Bosaka: „Te dwa kierunki pokazują punkt startowy dalszej rywalizacji o serca i umysły prawicowych wyborców”.

Kilkanaście godzin później niewiele z tej pewności siebie widać było w działaniach Konfederacji. Jej liderzy długo nie wiedzieli, jak odnieść się do wyczynów swego kolegi. Krzysztof Bosak, jako prowadzący obrady Sejmu 12 grudnia, najpierw pozwolił Braunowi na wygłaszanie z trybuny Sejmu tyrad o satanistycznym charakterze Chanuki, a potem rejterował przed dziennikarzami. Rzeczniczka Konfederacji potępiła w imieniu klubu zachowanie Brauna, ale jednocześnie ogłosiła, że heca z gaśnicą była happenin-giem artysty. A Klub Konfederacji zawiesił Brauna, ale nie spieszy się z decyzją, co ze swoim „happenerskim kolegą” zrobić.

Szybko okazało się, że wymarzony przez Bosaka status Konfederacji jako „spokojnej, merytorycznej opozycji” jest bardzo kruchy. Tusk nagroził Bosaka funkcją wicemarszałka,

aby wyizolować PiS, ale lewica co rusz wraca z czysto ideologicznym żądaniem usunięcia go z prezydium Sejmu.

W opinii nowej koalicji samo zawieszenie Brauna w prawach członka klubu jest „zbyt łagodną formą kary”. Szymon Hołownia postawił konfederatów przed wyborem. Albo usunięcie Brauna z klubu, albo wykluczenie Bosaka z prezydium Sejmu. Bez Brauna i grupy jego posłów Konfederacja utraciłaby status klubu i stałaby się jedynie poselskim kołem. Na ultimatum marszałka Sejmu zdecydowanie odpowiedział Krzysztof Bosak, który wskazał, że to właśnie groźby Hołowni pod adresem partii uchroniły Brauna przed wyrzuceniem z klubu.

Dawno pisałem, że bez silnego PiS Konfederacja nie utrzyma się zbyt długo wobec ideologicznej wrogości lewicy. Krzysztof Bosak ufał, że ze swoim pryncypialnym antypisizmem wpisał się do sejmowego klubu dżentelmenów. Ale łaska Tuska i Hołowni szybko minęła. Przychodzi brutalne otrzeźwienie. ©©

KORWIN-MIKKE TWORZY NOWĄ PARTIĘ

Były poseł Konfederacji Janusz Korwin-Mikke zakłada nową partię. Poinformował o tym na zwołanej w ubiegłym tygodniu konferencji prasowej. Polityk, który był wcześniej związany z różnymi partiami, przedstawił jednocześnie dwóch członków swojej nowej partii: publicystę Stanisława Michalkiewicza i byłego europarlamentarzystę Roberta Iwaszkiewicza. (jap) ©©



FOT. PAVEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

Rusza budowa tunelu dalekobieżnego CPK w Łodzi.

Umowa na roboty budowlane podpisana

CPK i Budimex zawarły umowę na roboty budowlane przy tunelu KDP w Łodzi. To najbardziej zaawansowany projekt kolejowy spółki odpowiedzialnej za budowę lotniska i nowych linii kolejowych i drugi z trzech kontraktów dla ponad 4-kilometrowego tunelu – kluczowego elementu „igrekę”, czyli trasy, która połączy Warszawę z Łodzią, Poznaniem i Wrocławiem. Oddanie do użytku tunelu KDP zbiegnie się z uruchomieniem pierwszego etapu lotniska CPK.

Budowa tunelu dalekobieżnego CPK została podzielona na trzy części. W ramach pierwszej od września tego roku trwają prace przy wzmocnieniu fundamentów Łódzkiego Domu Kultury (ŁDK). Bezpośrednio pod ŁDK – po zachodniej stronie dworca Łódź Fabryczna – będzie rozpoczynał się tunel KDP. Tę inwestycję realizuje firma Keller Polska. Teraz spółka CPK zawarła umowę na etap drugi, czyli budowę komór dla tarczy zmechanizowanej TBM. Komora startowa powstanie na Retkini, a odbiorcza w sąsiedztwie ŁDK. Kontrakt został zawarty z firmą Budimex, a jego wartość to prawie 147 mln zł. Spółka CPK jest w trakcie przygotowań do przetargu na trzeci etap inwestycji, którym będzie samo drążenie tunelu kolejowego.

Budowany tunel, nad którym prace zarzucono w 2011 r., połączy systemem szybkich kolei Warszawę, lotnisko CPK i Łódź, a dalej Wrocław i Poznań. Pozwoli na diametralne skrócenie czasów przejazdu na całej trasie. Podróż z Łodzi do Warszawy zajmie jedynie 45 minut (dziś to 1,5 godziny). Z Wrocławia do Łodzi dojedziemy pociągiem w godzinę, a do stolicy w niecałe dwie godziny. Poprawie ulegną również szybkość i dostępność połączeń do Poznania. Ze stolicy Wielkopolski do Warszawy podróż KDP zajmie ok. 2 godziny, a do Łodzi ok. 1 godziny i 10 minut (dziś to ok. 3 godzin).

– CPK to nie tylko projektowane lotnisko, ale też bardzo potrzebne w Polsce



nowe linie kolejowe. W zaawansowanym projektowaniu jest już ok. 450 km linii, w tym kolejowe odcinki między Warszawą i Łodzią oraz Łodzią i Wrocławiem. Teraz idziemy o krok dalej i podpisujemy umowę na roboty budowlane. Tunel dalekobieżny w Łodzi to nasza najbardziej zaawansowana pod względem przygotowań inwestycja kolejowa – mówi Radosław Kantak, członek zarządu CPK ds. inwestycji kolejowych.

Projektowana na południowo-zachodnim końcu tunelu komora Retkinia będzie pełniła funkcję szybu startowego dla maszyny drążącej tunel TBM. Docelowo będzie obiektem, który pomieści m.in. pomieszczenia techniczne i klatki schodo-

we. Natomiast Fabryczna stanie się szybem demontażowym dla tarczy TBM i komorą rozjazdową dla pociągów.

Budimex opracuje szczegółową dokumentację projektową oraz wykona obie komory. W zakres umowy wchodzi także m.in. zapewnienie odpowiedniej organizacji ruchu i prace odtworzeniowe. Wykonawca na wybudowanie komory Retkinia będzie miał 10 miesięcy, a komory Fabryczna 13 miesięcy od momentu ukończenia robót przy wzmocnieniu fundamentów ŁDK.

Tunel CPK w Łodzi będzie przeznaczony dla pociągów dalekobieżnych, w tym przede wszystkim KDP. Na terenie miasta szybkie pociągi będą zatrzymywać się na dworcu Łódź Fabryczna. Wyjście tunelu na powierzchnię zaprojektowane jest na południowy zachód od Łodzi Kaliskiej, w okolicach osiedla Retkinia i istniejącej linii kolejowej nr 14. Dalej trasa poprowadzi na zachód – w stronę Sieradza, za którym będzie rozwidlenie w kierunku Poznania i Wrocławia. Inwestycja CPK w Łodzi jest częścią transeuropejskiego szlaku komunikacyjnego Morze Północne – Bałtyk w ramach sieci bazowej TEN-T.



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dylemat Tuska

Wierność postanowieniom konstytucji to będzie znak firmowy tego rządu – zapowiedział Donald Tusk. Dzień po tym, jak zapowiadając skok na TVP, w rozmowie z dziennikarzami oznajmił publicznie: „To będzie zgodne z prawem, tak jak my je rozumiemy”.

Jak ci, których Tusk nazywa „my”, rozumieją prawo i konstytucję, wzorcem z najwyższej chyba półki służy prof. Marek Safjan. Były przewodniczący TK, przedstawiciel Polski (jeszcze ze wskazania PO) w TSUE, wielki środowiskowy autorytet, zamieścił w „Gazecie Wyborczej” apel, by „wyrwać się z pułapki prawniczego formalizmu”. To znaczy, w tłumaczeniu na potoczną polszczyznę: by pójść na rympał

i np. wprowadzać w życie ustawy bez wymaganego przez konstytucję podpisu prezydenta.

Zachęcam do lektury tego tekstu, napisanego w iście orwellowskim duchu, w którym „rządy prawa” oznaczają „rządy naszych”, a najwyższym wyrazem praworządności jest ignorowanie litery prawa i kierowanie się jego duchem, intencją, które, jakie są, to wiedzą właśnie „nasi”. Po ośmiu latach, kiedy kasta w togach ze sklerotycznym uporem domagała się trzymania co do joty najbardziej nawet sprzecznych ze sobą zapisów, a PiS szermował argumentem przełamywania „imposybilizmu prawnego”, karuzela się odwraca. Nie artykuły i paragrafy się liczą, ale kadry – jeśli kadry są właściwe, nasze, to i decyzje będą właściwe.

Nie wiem, czy Tusk czytał tekst Safjana – sądzę, że nie musiał, żeby w swym exposé zawrzeć passus o Adamie Bodnarze. Po ośmiu latach tupania i siania skarg do Europy i różnych „weneckich” komisji, że łączenie w jednym ręku urzędów ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego to faszyzm i złamanie podstawowej zasady niezależności, oznajmia Tusk jakby nigdy nic, że w jego rządzie nadal te urzędy będą połączone, ale bez obaw, bo teraz to będzie Bodnar, a on gwarantuje niezależność.

Tusk ledwie objął władzę, a już poszedł w swych zapowiedziach tak daleko, że normalny w polityce wybór „dotrzyma obietnic czy nie?” w jego wypadku znaczy: okaże się kłamcą czy gangsterem? ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wcielenie i polityka

Mówi się często, że przyjęcie Boga-Człowieka uświęciło cały widzialny świat, że obaliło wszelkie obrazoburstwo i manichejską niechęć do widzialnego świata, że stało się źródłem opiewania Boga i Jego świętych w sztuce chrześcijańskiej. Wszystko to prawda. Ale Wcielenie nie tylko uświęciło ludzki świat, lecz także zupełnie zmieniło jego obraz. W ten właśnie sposób dało początek cywilizacji chrześcijańskiej. To nie jakaś „konserwatywna opinia”, ale najzupełniej oficjalne stwierdzenie Piusa XI, umieszczone na początku „Divini Redemptoris”. Święty Pius X twierdził wręcz, że cywilizacji nie trzeba wymyślać,

trzeba ją odbudować na jej przyrodzonych i (!) nadprzyrodzonych podstawach. Jest, a trzeba ją odbudować, bo jest – ciągle nowa.

Zaczęła się w skromnym domu w Galilei, w sercu dziewczyny, która Bogu powiedziała tak. Wybitny XX-wieczny liturgista, Pius Parsch CRSA, napisał był, że wcześniej „zbudował Ojciec dla Syna swego świątynię z drogocennych kamieni: to ciało i dusza Matki Bożej”. Przekonanie o tym, że najważniejsze wydarzenie historii rozegrało się w sumieniu nieznanego żydowskiej dziewczyny, dojrzewało w skromnym życiu rodzinnym, rozegrało się na peryferiach świata, nie wywraca społeczeństwa, wywraca jedynie jego obraz.

W centrum państwa i jego spraw nie znajdują się już twardzi geopolityczni gracze, rozwrzeszczani politycy, koryfeusze kultury. Państwo, kultura, talenty, którymi Bóg niektórych obdarza – wszystko to pozostaje ważne, nabiera nawet większej wagi. Ale staje się jedynie szafcem i uwzniośleniem dobrego życia ludzi, toczącego się w sumieniach, w rodzinach, w ich pracy. W rodzinach, które przyjmują dzieci, które Bóg im dał, albo przyjmują to, że im ich nie dał. Właśnie te wielkie małe rzeczy chronić mają autorytet i siła państwa, rozum polityków, emocje opinii publicznej. Z wytrwałością i pokorą – bo tam właśnie żyje naród, tam rozgrywają się rzeczy najważniejsze. ©©



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Cyrk w operze

Inauguracja sezonu w La Scali jest wydarzeniem muzyczno-towarzystwiskim skali światowej. W tym roku ubogacili je prominenci włoskich sił postępu. Wystąpili w roli kłauunów. Jedy-nym hasłem wyborczym lewicy w ubiegłym roku było: „Meloni, Salvini i La Russa to faszysti”. Re-zultat? Klęska wyborcza. Meloni jest premierem, Salvini wicepre-mierem, a La Russa przewodni-czącym senatu. Wnioski? Zero. Sze-fowie związkowców lewicy i związku partyzantów ogłosili bojkot imprezy w La Scali, bo ich zdaniem La Russa niezbyt zdecydowanie potępia faszyzm. Dodajmy, że obaj panowie nie zdobyli się nigdy na potępienie komunizmu czy wymordowania przez włoską partyzantkę komu-nistyczną 20–30 tys. „wrogów

klasowych”. Przeciwnie. Na orga-nizowanych przez nich wieczach dumnie powiewają czerwone flagi z sierpem i młotem. Ostatnio również palestyńskie, czemu naturalnie towarzyszy rytuał palenia flag Izraela.

Z kolei lewicowy burmistrz Mediolanu Beppe Sala oświad-czył, że z powodów politycznych zasiądzie na widowni obok senator Liliany Segre (wywiezio-na z Rzymu przeżyła Auschwitz), a nie w łożu honorowej, bo mu towarzysztwo faszystów nie od-powiada. La Russa odpowiedział ruchem symetrycznym: „Też usiądę na parterze. Z drugiej strony pani Segre”. Pani Segre, kobieta po prostu znakomita, powiedziała, że bardzo jej schle-bia tak ogromne powodzenie, zwłaszcza że ma już swoje lata

[93 – dop. P.K.]. W końcu cała trójka zasiadła razem w łożu, tuż koło rzekomych faszystów z Salvinim na czele. Beppe Sala się zbłądził aż miło.

Gdy wybrzmiał grany za-wsze na początku hymn włoski, z jaskółki facet ryknął: „Niech żyje antyfaszystowska Italia!”. Natychmiast stał się herosem i ozdobą włoskich studiów telewizyjnych. Zdaniem „Corriere della Sera”, „La Stampa” i „La Repubblica” incydent był godnym ogromnych tytułów na pierwszej stronie najważniejszym wyda-rzeniem spektaklu („Don Carlos” Verdiego, Francesco Meli, Anna Netrebko, dyrygował Riccardo Chailly). A naród się śmieje. Sondaż: centroprawica 47 proc., postępowcy 25 proc. ©©

Autorem jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

LITOŚCI NIE BĘDZIE

Zmiany, zmiany, zmiany. A może raczej – rewolucja. W TVP. O rady dotyczące nowego kształtu stacji poproszono Macieja Orłosa. Były prowadzący „Teleexpressu”, który wielokrotnie krytykował Telewizję Polską za rządów PiS, proponuje rozwiązania zdecydowane. Widzi potrzebę pozbycia się nie tylko dziennikarzy prowadzących serwisy informacyjne i programy publicystyczne. – To jest temat omawiany od dawna – czy jak ktoś prowadzi program lifestyle’owy w reżimowej stacji, to jest twarzą reżimu czy nie jest? Przerabialiśmy to dobrych kilka razy przy okazji festiwali w Opolu: czy jak artysta śpiewa w Opolu na antenie rządowej, propagandowej telewizji, to staje się częścią tego propagandowego przekazu stacji czy nie? W moim przekonaniu jak najbardziej tak, bo swoją obecnością na antenie tejże reżimowej stacji tę właśnie stację i jej reżimowy kształt autoryzuje, legitymizuje – stwierdził Orłoś w wywiadzie dla portalu Plotek. Prezentor nie szczędził gorzkich słów



FOT. JAKUB KAMIŃSKI / DDTV / EAST NEWS

tym wszystkim, którzy mieli czelność pojawiać się w TVP, gdy rządziła partia Jarosława Kaczyńskiego. – Występujesz na antenie tej samej telewizji, która codziennie kłamie, manipuluje widzami, sieje nienawiść, szczuje etc. Więc jak to jest? Udajesz, że tego szczucia nie ma? Bagatelizujesz? Albo zamykasz oczy, na

zasadzie „mnie to nie dotyczy”? Albo naprawdę wiesz, że to wszystko to zło, ale po prostu brakuje ci odwagi, żeby coś z tym zrobić? A może to głupota – nie potrafisz łączyć kropek i tyle? – pytał Maciej Orłoś, nie kryjąc pogardy. Być może to faktycznie płynąca z głębi serca troska o stan mediów publicznych. A być może, kto wie, pan Orłoś liczy na jakąś dobrą posadę. Pożyjemy, zobaczymy.

CIOS PROSTO
W SERCE

Ciężkie jest życie celebryty. Cios, w każdej chwili, może nadejść z najmniej spodziewanej strony. Aktor, raper, zawodnik gal MMA, słowem – człowiek wielu talentów Sebastian Fabijański nawiązał współpracę z niejakim Mateuszem ps. Blu3aby. Panowie wyprodukowali wspólnie teledysk do utworu Fabijańskiego pt. „SZATAP”. W czym haczyk? Ano w tym, że zarówno Seba, jak i Mati to byli partnerzy influencerkoszafiarki „Maffashion”, czyli Julii Kuczyńskiej. Z tym pierwszym Julia ma nawet syna. Nic dziwnego, że „Maff” skomentowała to zaskakujące wydarzenie. Ujawniła, że „rozpada się na kawałki”. „I chciałabym, abyście wiedzieli... źle to znoszę psychicznie. Portale – proszę, nie mieszajcie do tych rewelacji mojego synka. Nie wspominajcie o nim! Nie łączcie nas z życiem i zabawami tamtych dwóch. Chcecie to przeczytać? OK! Nie daję sobie z tym rady. Może samodzielnie byłabym odporniejsza. Ale nie jako matka” – apeluje Kuczyńska, w czym trzeba przyznać jej rację. Influencerka udostępniła na Instagramie wpis stylistki gwiazd Karoliny Domaradzkiej, która odniosła się do artykułu dotyczącego współpracy Fabijańskiego i „Blu3aby”. „Bardzo mi przykro, Julia. Narcyz i jego latająca małpa próbują cię uciszyć, chociaż nic nie mówisz...” – napisała stylistka. To z kolei nie umknęło uwadze „Blu3aby”, który postanowił zaatakować koleżankę swojej byłej. Mateusz stwierdził, że „Pani Karolina Domaradzka (kimkolwiek jest) jest, jak widać, świetnym przykładem szerzenia hejtu pod szyldem »po-

wstrzymywania hejtu«”, radząc jej przy tym, że „może lepiej się jednak zająć »krytykowaniem mody«”. Niby dorosli, ale zupełnie jak dzieci.

POCHWAŁA
TRWAŁYCH
ZWIĄZKÓW

Aktor Piotr Stramowski rozwiódł się z żoną, Katarzyną Warnke (mają razem dziecko), a teraz układa życie z nową ukochaną. W szczerym wywiadzie przyznał, że „opieka naprzemienna” wcale nie jest taka fajna. – Tak się teraz mówi, że mu łatwiej, bo ma pół na pół wychowywanie, to ty masz połowę czasu wolnego, a ja muszę siedzieć z dzieckiem non stop. Ja mówię: „Okej, masz rację, ale z drugiej strony nie musisz się mierzyć z tym, że Twoje dziecko przychodzi z innego domu i trochę inaczej się zachowuje”. Potrzebujesz dwóch dni na to, żeby je nawigować i przestawić na tryb wychowywania w tym domu. Dla dziecka też nie jest łatwe – stwierdził aktor. Choć Stramowski przyznaje, że dzielenie opieki nie jest optymalnym rozwiązaniem – dla nikogo – to brnie w promowaną przez lewicowo-liberalne media narrację o rzekomych zaletach płynących z „patchworkowego” modelu rodziny. – Ja nie mówię, że coś jest lepsze, gorsze, ale w jednym domu ma inaczej, w drugim ma inaczej i ono musi się przestawiać – tłumaczy. – A jak masz dwójkę dzieci z dwóch domów i ten inaczej się zachowuje, ten inaczej i musimy ich zgrać, żeby zachowywali się tutaj wspólnie. I mamy tak, że jak są z nami ostatnie dwa dni, to mamy takie uff, ale zaraz znowu muszą wyjść i znowu się przestawiają. To jest ciągła praca. Ty masz ten tydzień czy cztery dni „odpoczynku”, bez dzieci, i, oczywiście, tęsknisz za nimi, ale później znowu wracają i masz wrażenie, że znowu musisz odbębnić tę samą robotę – żali się Stramowski. Skoro porzekadła są mądrością narodu, to może przytoczymy takie: jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**POTĘGA
POLSKIEGO RYCERSTWA
– ZAWISZA CZARNY
I INNI LEGENDARNI
RYCERZE**

Ostatni sprawiedliwy jesieni średniowiecza – Jacek Komuda o słynnym Sulimczyku z Garbowa

Czaszki w niemieckich magazynach – Na początku XX w., zanim ktokolwiek pomyślał o Hitlerze, Niemcy dokonali w Afryce dwóch ludobójstw i zbudowali tam obozy koncentracyjne

Bezczelny „ateński lew” – Ateński arystokrata Alkibiades zdominował swoją osobowością drugą połowę wojny peloponeskiej

Niemiecki pociąg Lenina – Pomysł Aleksandra Parvusa przekuty został w jedną z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu

Apokalipsa Jerozolimy – Ostatnia rozpaczliwa walka z Rzymianami miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości dwóch religii...

Ekzekucja rosyjskiego „Białego Domu” – Zachód poparł wówczas brutalną akcję Jelcyna, co dziś odbija się czkawką całemu NATO

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH ŹRÓDŁÓW

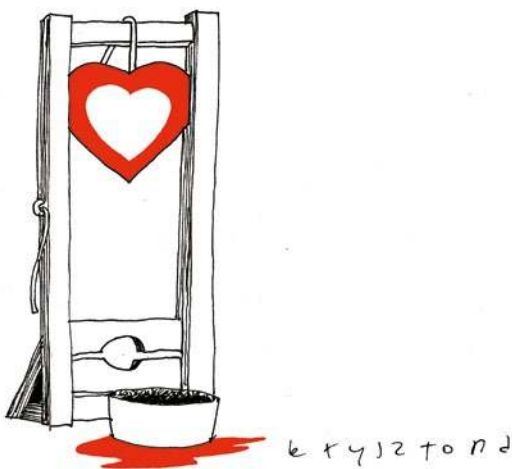
Kochani, iż kończy się rok, to mamy schyłkowe myśli, które jednak są pozytywne. Bo jak niby mielibyśmy się obrażać na rok, który kończy się w taki sposób? Nie dość, że nareszcie odsunęliśmy pis od władzy, to jeszcze obrady Sejmu bez obciachu można oglądać jako stream na YouTube, Braun dostał jakieś wielkie kary, Kaczafi traci nad sobą kontrolę, pan Tusk znów został premierem. Nic, tylko się cieszyć.

A kwestią czasu jest już tylko, jak odsuniemy pis od władzy w samorządach i skończy się kadencja Dudy. Przecież wtedy runą ostatnie mury oddzielające nas od Europy i w związku z tym wreszcie wrócimy na unijne mapy. Nic, tylko się cieszyć, nie?

A do tego jeszcze nadchodzą Winter Holidays. Mamy nadzieję, iż niedługo je odzyskamy dla ogółu społeczeństwa spod chrześcijańskiej dominacji. Trudno powiedzieć, jak to się stało, pewnie trzeba byłoby zapytać jakiegoś antropologa, dlaczego akurat religia chrześcijańska wpełnęła się ze swoim tematem narodzenia Jezusa na czas Winter Holidays, kiedy od zarażania ludzkości, tak zupełnie bez okazji, świeckowano możliwość odpoczynku, spotkania z rodziną (albo i nie – jak kto woli), dawania sobie prezentów, ubierania choinki, pieczenia pierniczków i robienia wegesałki jarzynowej.

Liczymy więc na to, iż nowa świecka szkoła pod kierunkiem ministrzyni (to

nasz neologizm, lepszy niż ministra, iż zawiera pierwiastek osobomistrzowski) Nowackiej sprawi, iż uczniowie zostaną uwrażliwieni na potrzeby innych osób niż te zorientowane na tzw. tradycyjne przeżywanie świąt i że zaprzestanie takich tradycji jak święty mikołaj w szkołach, dzielenie się opłatkiem



i inne takie. W zamian za to do dzieci może przyjść antropomorficzna personifikacja świeckiej siły przynoszącej prezenty 24 grudnia wieczorem, a dzielić się można wsparciem, uśmiechem i pomocą przy realizacji projektów finansowanych ze środków unijnych.

I też będzie fajnie, wszyscy będą zaangażowani i nie będzie w postępowych domach trudnych pytań: „Dlaczego inni w święta chodzą do kościoła, a my nie?”.

Natomiast of kors nie jest tak, iż w ramach walki o świeckie państwo należy rezygnować ze wszystkich tradycji okółowinterholidayowych – wręcz przeciwnie, im więcej ich zaanektujemy na potrzeby postępu, tym łatwiej nam będzie wdrożyć tenże postęp w kolejnych latach i zmieniać mentalność podkarpackich januszy.

Na przykład takie podkładanie sianka pod obrus – przecież to jest piękne. Co prawda, nie mamy pojęcia, po co się to robi, jaka jest tego geneza i czemu to ma służyć, ale każda czynność, która sprawia, iż na podkarpackim stole będzie cokolwiek więcej niż wódka, śledzie i makowiec, jest godna pochwały i kultywowania. Może nawet niebawem któryś z kulinarnych influencerów, któremu nie zabraknie odwagi, pokaże dziewięć pomysłów na zastosowanie sianka w wigilijnych potrawach. Czekamy xD!

Albo takie ubieranie choinki. Przecież zamiast tych wszystkich patriarchalnych łańcuchów i bombek można wybrać ozdoby, które choince nadadzą więcej charakteru feminododatniego, co pozwoli odzyskać kolejny kawałek dyskursu dla wagi-noosób. A jeszcze jakby zabronić ojcu rodziny wieszania lampek na choince, to oznaczałoby, iż feminizm dokonał wejścia w kolejny etap rozwoju. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

To co będziemy robić?

Dobra, Władek, to teraz ustalamy taktykę na co najmniej dwa lata: dużo gadamy, nic nie robimy.

No ale zaraz, Donek, przecież to się tak nie da.

Jak się nie da, jak się da? Jechałem na tym półtorze kadencji.

No ale przecież mamy tę waszą listę, sto konkretów...

Myślisz, że ktoś to pamięta? No dobra, że dwie rzeczy może zrobimy, i tyle.

A jak będzie ktoś pytał, dlaczego innych nie robimy?

Zwali się na Włodka. Albo na ekspertów. Że mówią, że za drogo.

Jakich ekspertów?

Powiemy, że nie możemy powiedzieć, bo się boją politycznej zemsty w przyszłości.

I to zadziała?

Zawsze działa!

To co będziemy robić?

Jak to co? Haratać w gałę! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Braun jest artystą”.

EWA ZAJĄCZKOWSKA-HERNIK,
w rozmowie z PAP o tym, że zgłoszenie świec chanukowych w Sejmie przez posła Grzegorza Brauna było happeningiem artystycznym

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

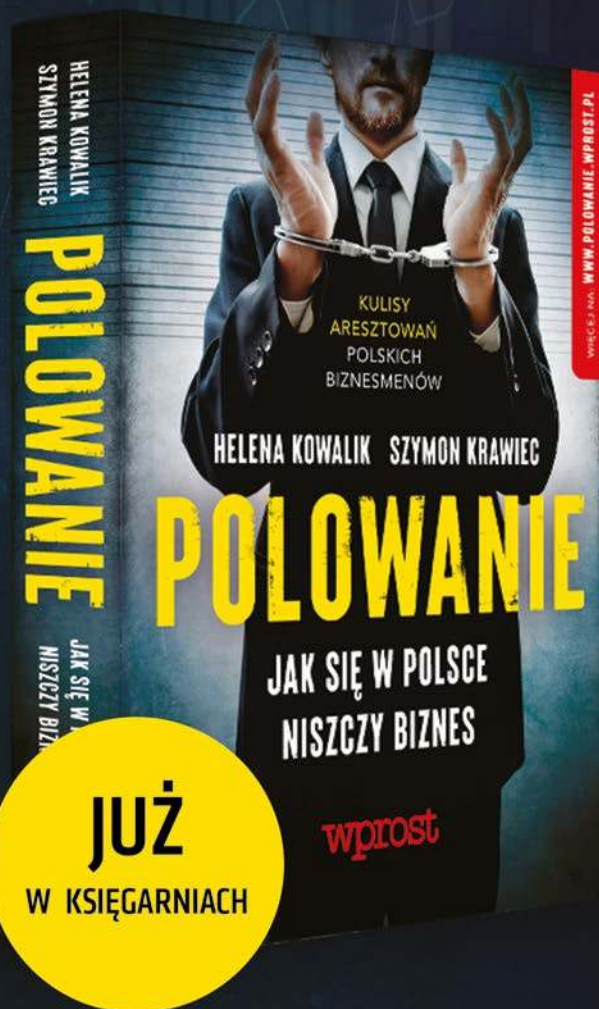
ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI
Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE ŚLED CZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL



Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664

PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Pracodawców
Pracodawców



WEI
Wielki Entreprenerski
Instytut



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF



Na początek chcieliśmy oświadczyć, że żadne różgi od nas nie zostały przewidziane w tym roku, gdyż wszyscy byli wyjątkowo grzeczni: wszyscy wygrali wybory i tak dalej. No bo jedni wygrali arytmetycznie, a drudzy koalicyjnie, więc wszystkich wypada nagrodzić. Tak przynajmniej słyszeliśmy od gwiazdora. Tak, nie przesłyszeliście się, od gwiazdora. Naprawdę nie wypada, by politykom prezenty wręczał jakiś święty, choćby i z czerwonym nosem.

DLA PREZYDENTA ANDRZEJA SEBASTIANA

– wygodna poduszka pod nadgarstek. Chodzi o to, by nie nadwyrężył sobie nie, podpisując weta, a przecież będzie miał do tego okazję co chwila.

DLA NADPREMIERA JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO, zwanego też Naczelnikiem – nowy sztab wyborczy. Bo poprzedni sprawdził się umiarkowanie, a tu kolejne wybory za pasem: samorządowe i europejskie.

DLA WSZYSTKICH CZŁONKÓW SZTABU WYBORCZEGO – jasnowidz przewidujący przyszłość. Taki, który mógłby przewidzieć, czy będzie mobilizacja wyborców w celu zwiększenia frekwencji czy nie. No bo skoro socjolodzy nie potrafią...

DLA MATEUSZA MORAWIECKIEGO – czwarty rząd. Zwłaszcza że trzecim nie zdążył się długo nacieszyć, a on naprawdę lubi tę robotę.

DLA PROF. PIOTRA GLIŃSKIEGO – mikrofon, na wypadek gdyby Szymon Hołownia znowu mu wyłączył ten sejmowy.

DLA PRZEMYSŁAWA CZARNKA – osobny mikrofon, żeby nie zabierał Glińskiemu.

DLA PROF. ZBIGNIEWA RAUA – wymarzony fotel w Parlamencie Europejskim.

DLA MARIUSZA BŁASZCZAKA – pięknie oprawiona mapa wszystkich jednostek wojskowych, które, niestety, zlikwiduje PeŁo.

DLA JACKA SASINA – jaskinia ze skarbami, może być coś na kształt tej z opowieści o Ali Babie. Nie może już zarządzać spółkami Skarbu Państwa, więc może

dwaj panowie g

choć pozarządza samymi skarbami. Tylko trzeba uważać, żeby – tak jak spółek – nie zabrało mu ich 40 rozbójników. Zwłaszcza że aktualnie jest ich dużo więcej niż 40.

DLA ZBIGNIEWA ZIOBRY – talon na paliwo bez limitów. Pamiętamy bowiem, jak za poprzedniego reżimu PeŁo ciągnano go przez kilka lat po prokuraturach całego kraju, żeby zeznawał w sprawie rzekomych zbrodni PiS. No i strasznie się chłop wtedy najeździł, a benzyna nie jest tania. (A będzie, pomnijcie nasze słowa, droższa).

DLA DANIELA OBAJTKA – stacja benzynowa w Pcimiu. Wzięta oczywiście w agencję od konkurentów Orlenu. Wierzmy bowiem także w umiejętności mikrozarządzania prezesa Daniela.

DLA MICHAŁA DWORCZYKA – zestaw startowy telefonii komórkowej: nowa karta SIM i nowy numer. Oraz nowy adres e-mail. Stare zamiary wszyscy znają od czasu afery e-mailowej, a człowiek zasługuje na odrobinę prywatności.

DLA RYSZARDA CZARNECKIEGO – wakacje w gospodarstwie agroturystycznym na pięknej polskiej prowincji. Człowiek, który w roku odwiedza 100 krajów, powinien mieć czas na odpoczynek od tych wszystkich Bhutanów, Nigrów czy Czadów. A na polskich wakacjach znajdzie czas, by skosztować wina gruszkowego i pajdy polskiego chleba.

DLA MATEUSZA MATYSZKOWICZA – nowa telewizja. To się rozumie samo przez się.

DLA GRZEGORZA BRAUNA – wóz strażacki. To obciach, by polityk o takim doświadcze-

niu musiał się zadowolić zabawami z gaśnicą, a piękny czerwony wóz strażacki, z klaksonem, drabiną i całą cysterną piany – to dopiero będzie coś!

DLA JANUSZA KORWIN-MIKKEGO – nowa partia. Nie ta, którą teraz zakłada, tylko jeszcze nowsza. Bo wiecie przecież, co się stanie z tą, którą teraz zakłada: wkrótce pojawią się w niej kontestatorzy Krula, którzy zechcą go wysłać na emeryturę, potem mu partię zabiorą albo rozwalą i będzie musiał zaczynać od początku. A tak dostanie w prezencie gotowca na zapas.

DLA KRZYSZTOFA BOSAKA – komplet esejów politycznych Dmowskiego, bo wydaje się, że albo nie czytał, albo zapomniał, czego się z nich trzeba nauczyć.

DLA SŁAWOMIRA MENTZENA – to samo co dla Bosaka, tylko w wersji z TikToka. Jak dobrze pójdzie, to cały rok zajmie mu oglądanie dorobku Dmowskiego w postaci krótkich filmików i będzie święty spokój.





DLA DONALDA TUSKA – tysiąc konkretów. Bo te obiecanie sto gdzieś się zapodziało i w sumie już nikt nie pamięta, co w nich było. A jak tu żyć bez konkretów?

DLA WŁADYSŁAWA KOSINIAKA-KAMYSZA

– droga. Jakakolwiek, byle taka, po której da się iść w jakąkolwiek stronę. Tylko nie wiemy, czy robi jakiś użytek z tego prezentu. „Iść” oznacza bowiem ruszyć z miejsca. A Władowi bardzo wygod-

„Nie wolno większych spraw dla mniejszych poświęcać”.

DLA TOMASZA SIEMONIAKA – jakieś ministerstwo. Bo człowiekowi o jego ambicjach i doświadczeniu nie wypada jednak być ministrem bez teki, choćby i w rządzie Donalda.

DLA JANA GRABCA – bezpieczny adres e-mail z kilkustopniowym logowaniem.

Teraz będzie tak jak kiedyś, to znaczy CBA zamiast pilnować ministrów, posłów i senatorów, będzie bohatersko walczyć z korupcją, ale jedynie poniżej pewnego progu rozpoznawalności

nie tam, gdzie stoi, to znaczy w cieniu Donalda. Aha, i drugi prezent. Oczywiście pięknie oprawiona mapa wszystkich jednostek wojskowych, które zlikwiduje PeŁo.

DLA KRZYSZTOFA GAWKOWSKIEGO – biografia Steve’a Jobsa. Powinien nosić ją pod pachą – na widok tej lektury ludzie wreszcie przestaną zadawać głupie pytanie: „Dlaczego akurat on został ministrem cyfryzacji?”.

DLA SZYMONA HOŁOWNI – złoty przycisk. Jeszcze nie wiemy do czego, ale wiemy, że musi być złoty, bo do takiego się Szymon przyzwyczaił.

DLA MAŁGORZATY KIDAWY-BŁOŃSKIEJ – wypełniony wniosek o uchylenie immunitetu niejakiemu Tomaszowi Grodzkiemu. Bo jednak tysiąc dni czekania na to wydarzenie to jednak obciach nawet dla takiego Senatu, jaki dziś jest.

DLA RADKA SKNERUSA SIKORSKIEGO – chyba nic, bo przecież ma wszystko, o czym może marzyć: pieniądze, żonę i powszechny szacunek wszystkich, którzy wymieniają jego nazwisko.

DLA BARTŁOMIEJA SIENKIEWICZA – komplet dzieł Henryka Sienkiewicza. Podobno jest tam podkreślony cytat w „Potopie”:

Bo w życiu szefów kancelarii premiera różnie bywa.

DLA ADAMA SZŁAPKI – igła, nitka i napaśtek. Został bowiem ministrem od Unii Europejskiej, a ten twór wymagał będzie w najbliższym czasie wielkiego cerowania.

DLA BORYSA BUDKI – ustawa wiatrakowa. Ale taka lepsza od poprzedniej. Żeby nie wszyscy dostrzegli od razu, co jest z nią nie w porządku. Tylko dopiero jak wejdzie w życie i ci, którzy mieli być zadowoleni, będą zadowoleni.

DLA IZABELI LESZCZYNY – zestaw startowy telefonii komórkowej: nowa karta SIM i nowy numer. Ale nie po to, żeby zastąpić stary numer, jak u Dworczyka, tylko żeby miała osobny, którego nikt z nią nie kojarzy. Wtedy będzie mogła dzwonić anonimowo do poprzednich ministrów zdrowia i pytać, co właściwie się robi w tym resorcie. Bez tego może być ciężko.

DLA WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO – asystent do wybierania sweterków. Do tej pory dostawał głównie sweterki, więc jest ich już tak dużo, że ktoś powinien je posortować i pomóc Czarzastemu w zarządzaniu garderobą.

DLA MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI ADAMA BODNARA – broszura „Krótki przewod-

nik po Ministerstwie Sprawiedliwości”. Bo z tego, co słyszeliśmy od personelu na temat nowego ministra, średnio się w czymkolwiek orientuje. Słyszeliśmy też, że w „Krótkim przewodniku...” przypomniano na jednej ze stron, że nie ma sprawiedliwości bez prawa.

DLA MARCINA KIERWIŃSKIEGO – własny poręczny zestaw Pegasusa. Będzie mógł wreszcie posłuchać, co mówią różne frakcje w PeŁo. Bo w to, że użyłby zestawu do jakiegoś innego celu, zwyczajnie nie wierzymy.

DLA WSZYSTKICH WÓJTÓW W POLSCE – bilety zagraniczne w jedną stronę. Bo, widząc, teraz będzie tak jak kiedyś, to znaczy CBA zamiast pilnować ministrów, posłów i senatorów, będzie bohatersko walczyć z korupcją, ale jedynie poniżej pewnego progu rozpoznawalności. Zatem jeśli ktoś kupił szarlotkę i goździki na Dzień Kobiet, ale zapodział gdzieś fakturę – ten jest już zgubiony.

DLA WSZYSTKICH WŁAŚCICIELI KARUZEL VAT-OWSKICH – kieliszki do szampana z Krosna. Szampana kupią sobie sami. Stać ich. A teraz będzie ich stać tym bardziej.

DLA WSZYSTKICH RODZICÓW – konta oszczędnościowe. Zapełniajcie je jak najszybciej, pieniądze na prywatne kształcenie dzieci w takich szkołach, o których programie sami zdecydujecie. Bo nie sądzimy, byście

Nie ma w tym roku prezentów dla nowych ministrów edukacji i nauk. Są granice, gdzie kończą się żarty

chcieli pozostawić je w publicznych. Tak, to jest powód, dla którego nie ma w tym roku prezentów dla nowych ministrów (minister?) resortów edukacji, równości i rodziny. Bo są granice, gdzie kończą się żarty, a zaczyna horror.

Ale mimo wszystko: błogosławionych świąt Bożego Narodzenia. Dla wszystkich. ©



FOT. ADRIAN STOK

Święty Piotr – pierwszy papież



Paweł Lisicki

Trudno wyobrazić sobie gorsze czasy dla katolika. Rzym, który powinien być dla wiernych źródłem spokoju i pewności, ostoją i punktem oparcia, drży w posadach. Coraz częściej można odnieść wrażenie, że papierstwo miota się bezsilnie, ulegając kolejnym światowym modom i prądom, że zamiast głosić prawdę „w porę i nie w porę”, poddaje się dyktatowi potężnych ideologii

Coraz bardziej palące staje się pytanie, jak rozumieć słowa Jezusa, który obiecał przecież, że „bramy piekielne nie przemogą Kościoła”. Jak to nie przemogą, kiedy zdają się właśnie to czynić? Co zrobić z wezwaniem skierowanym do Szymona i – jak zawsze wierzone – do jego kolejnych następców: „Ty ze swej strony utwierdź twoich braci”. Te słowa brzmią dziś jak wyrzut. Jak obce zdają się bowiem i odległe od tego, co można zaobserwować? Ta chwila chaosu i zamieszania, ten czas zawieruchy i niepewności sprawiają, że tym silniejsza jest tęsknota za oparciem się na tej pierwszej opoce, na skale, którą wskazał Jezus. Tym bardziej chciałoby się odkryć i dotknąć tego kogoś, na kim, jak przyrzekał Galilejczyk, wzniesie On swój Kościół. Paradoksalnie nigdy nie było to w sensie historycznym równie łatwe jak

obecnie. Mimo owej atmosfery niejasności i rozproszenia, osłabienia i zagubienia właśnie dzisiaj można zdobyć pewność, że owa Skala, rybak Piotr, Szymon z Betsaidy, Kefa, naprawdę był w Rzymie, naprawdę tu poniósł męczeńską śmierć, naprawdę zaniósł wiarę do stolicy Imperium i zbudował tam wspólnotę, która mimo zawieruch, wyzwań i niebezpieczeństw przetrwała do naszych czasów. Im dokładniej bada się starożytne teksty i im więcej wie się o tamtych czasach, im głębiej zanurza się w historię, mówiąc językiem kard. Newmana, tym dokładniej można dostrzec, że późniejsi papieże są Piotra następcami i że pradawne roszczenie papierstwa ma mocne, historycznie niewzruszone podstawy. Dlatego przez wieki podkreślali, że to w Rzymie zginął męczeńską śmiercią Piotr; i przez wieki opierali na tym swój autorytet.



Wiadomo, że Apostołowi jako przestępcy, skazańcowi, człowiekowi straconemu z powodu podejrzeń o podpalenie i przywództwo w złowroziej, antypaństwowej sekcie nie należał się godny czi pogrzeb. Ci, którzy zatem ostatecznie ułożyli jego ciało w ziemi, albo musieli je wykraść, albo przekupić strażników, albo, ostatecznie, błagać o wydanie zwłok i pilnować, by pochówek nie miał żadnych znamion chwały. Pospiesznie wykopali dziurę w ziemi, owinęli zwłoki w lniany zapewne całun, nakryli je płytkami dachówki i przysypali ziemią. Tak czy inaczej ponosili ryzyko: jeśli zwłoki wykradli, to groziło im przytąpanie i stosowna kara, jeśli o nie prosili, to władze zyskiwały wiedzę, kim byli, co pociągało za sobą niebezpieczeństwo na przyszłość. Pokazuje to, że od samego początku dla najwcześniejszej wspólnoty chrześcijan w Rzymie Piotr był postacią kluczową, a zachowanie pamięci o nim uznawane było za obowiązek wiary. Tę jego rolę i znaczenie pokazują najwcześniejsze przekazy, zarówno cztery Ewangelie, jak i Dzieje.

RYBAK URODZONY W BETSAIDZIE

Według Jana (por. J 1,44) Szymon, przyszedł Piotr, miał się urodzić w Betsaidzie, miejscowości nad Jeziorem Tyberiadzkim, która wchodziła w skład tetrarchii Filipa. Filip był trzecim z synów Heroda Wielkiego. Jego braćmi byli Antypas (ten, do którego przyprowadzono Jezusa w czasie procesu) oraz Archelaos. W tamtych czasach Betsaida była granicznym miastem wielu kultur. Miejscowość ta została podniesiona do rangi miasta przez Filipa między 4 a 2 r. przed Chr. Tetrarcha nadał jej nazwę Julia, pod którą nie wspomina jej żadna Ewangelia. Sama miejscowość znajduje się zapewne na wzgórzu „et-Tel”, na wschód od połączenia się wód Jordanu i Jeziora Galilejskiego. Musiała mieć istotne znaczenie, inaczej Filip nie nadałby jej praw miejskich. Betsaida to dosłownie „dom ryb”.

O tym, że w okolicy Betsaidy czynił cuda Jezus, zaświadcza ewangelista: według Marka uzdrowił tu ślepego (por. Mk 8,22–26), według Łukasza rozmnożył tu chleb i ryby (por. Łk 9,10). Święty Mateusz (por. Mt 11,20–21) w ogóle pisze, że w Betsaidzie Jezus dokonał większości swoich cudów, mimo

to mieszkańcy się nie nawrócili. Również wyznanie wiary w mesjańskość Jezusa dokonało się w Cezarei Filipowej, trzydzieści kilometrów na północ od Betsaidy.

Oprócz bliskiej via Maris przed bramami miasta przebiegała łącząca Wschód z Zachodem droga do Akki (Ptolemaidy) i do syrofenickiego Tyru.

„Kto się tu urodził, wchodził w kontakt z Rzymianami i Grekami, Arabami i Syryjczykami, karawanami przybyszymi z krainy żyznego dwurzecza i z kupcami z Egiptu, kupował od nich kosztowne dobra i zaopatrywał ich w wino i ryby, słuchając, jak opowiadają o dalekich krainach i miastach. Piotr, najbardziej znaczący syn Betsaidy, nie był żadnym zaściankowcem, żadnym niewykształconym rybakim” – pisał niemiecki badacz Michael Hesemann. Historyk uważa, iż „można być niemal pewnym, że pochodzący z Betsaidy uczniowie mówili trzema językami, oprócz potocznego aramejskiego i potrzebnego dla sprawowania kultu hebrajskiego musieli przynajmniej trochę mówić po grecku, który był lingua franca świata hellenistycznego”.

Nic nie wskazuje na to, że młody Szymon pochodził z biednego środowiska. W oparciu o przekazy ewangeliczne można wywnioskować, że zarówno w jego przypadku, jak i braci Jana i Jakuba, synów Zebedeusza, chodziło o członków ówczesnej klasy średniej, o przedsiębiorców, których stać było na wynajęcie i opłacanie pracowników najemnych. Rybołówstwo było w czasach Jezusa intratnym przedsięwzięciem, a ryby z Jeziora Galilejskiego ceniono nie tylko w całej Galilei i Judei, lecz także w odległym Rzymie. To, że północna brama Jerozolimy nosiła nazwę „bramy rybnej”, świadczy o regularnych, może nawet codziennych, dostawach ryb do świętego miasta. Nawet rzymski geograf Strabon, zauważa Hesemann, wspomina o tym rozwiniętym przemyśle. W jeziorze łowiono dwadzieścia pięć gatunków ryb – jedną z nich, tilapia galilea, dziś nazywaną „rybą św. Piotra”, polecano w rzymskich książkach kucharskich. Bogactwo ryb łowionych w okolicach Betsaidy należało do przysłowiowych: „Zdarzyło się pewnego razu, że przyszedłem do (Beth)Saidy i podano mi ponad 300 ryb podczas jednego posiłku” –

cytowano jeszcze wieki później znanego rabina Symeona ben Gamaliela.

MORZE I JEZIORO

Jezioro Galilejskie, główne źródło utrzymania rybaków z Kafarnaum i Betsaidy, miało w historii różne nazwy. W Starym Testamencie występuje jako morze Kinneret, a nazwa ta pochodzi zapewne od cytry, którą przypomina swoim kształtem. Ewangelista Mateusz i Marek piszą o Morzu Galilejskim (por. Mt 4,18; 15,29; Mk 1,16; 7,31) lub po prostu morzu (Mk 2, 13). Jan mówi o Jeziorze (Morzu) Tyberiadzkim (J 6,1; 21,1). Łukasz konsekwentnie używa nazw „jezioro” (Łk 8,22) lub „jezioro Genezaret” (Łk 5,1). Te różnice doskonale pokazują inność perspektywy: tylko dla mieszkańców Galilei jezioro mogło być morzem; dla Łukasza, który po pierwsze starał się podchodzić do kwestii historycznych i geograficznych naukowo, a po drugie miał doświadczenie w podróżowaniu po prawdziwym morzu, po Morzu Śródziemnym, duży zbiornik słodkiej wody w Galilei był po prostu jeziorem. Okolice nad jeziorem, gdzie wychowali się zarówno Jezus, jak i Szymon oraz pozostali uczniowie, miały zdaniem starożytnych niezwykle właściwości naturalne.

„[Równina rozciągająca się wzdłuż jeziora – przyp. P.L.] jest tak żyzna, że nie ma rośliny, która by tu nie krzewiła się, a jej mieszkańcy uprawiają wszelkie gatunki. Umiarkowany klimat jest odpowiedni dla różnych rodzajów. Drzewa orzechowe, które wymagają w porównaniu z innymi roślinami większego chłodu, rosną tam w ogromnej ilości, a dalej palmy, które potrzebują gorącego klimatu, oraz drzewa figowe i oliwne, bliższe tym, dla których wskazana jest łagodniejsza aura. Można by rzec, że natura przejawia jakąś szczególną ambicję, żeby na siłę ściągnąć na jedno miejsce przeciwne sobie gatunki albo że jest to jakieś szlachetne współzawodnictwo pór roku, z których każda jakby ubiegała się o tę okolicę” („Wojna żydowska” t. 3, s. 516–518).

Jezioro ma dwadzieścia jeden kilometrów długości, w najszerszym miejscu rozciąga się na dwanaście kilometrów i jest głębokie na czterdzieści osiem metrów.



■ Jak wyglądała łódź, na której pływał Apostoł? W 1986 r. doszło do sensacyjnego odkrycia. Jezioro Genezaret z powodu suszy osiągnęło wówczas rekordowo niski poziom wód. Kilkaset metrów na południe od terenów Kibucu w kierunku na Magdagę nagle z błota wyłonił się fragment łodzi. Już pierwsze badanie pokazało, że musi ona pochodzić z czasów rzymskich, na co wskazywały charakterystyczne elementy budowy. Dodatkowo znaleziono na niej lampę oliwną z czasów Heroda i łupiny naczyń typowego dla I w. po Chr. Później przeprowadzone badanie węglem C14 potwierdziło pierwsze ustalenia. „Odkryto łódź z czasów Jezusa!” – podawały media. Wrak miał 8,2 metra długości i w najszerszym miejscu mierzył 2,3 metra. Znajdował się w doskonałym stanie, bo rolę środka konserwującego odegrał zbity szlam. Prawdopodobnie na takiej właśnie łodzi pływał najpierw z ojcem Joną, a następnie już sam Szymon. Imię Jona podają Ewangelie synoptyczne. Pojawia się ono tylko rzadko w źródłach z Galilei. Czwarty ewangelista mówi o tym, że Szymon był synem Jana. Najprawdopodobniej chodzi o to samo imię aramejskie pisane w inny sposób.

Zapewne w wieku około dwudziestu lat Szymon się ożenił. Jego narzeczoną pochodziła z bliskiego Kafarnaum w Galilei. Nie wiadomo, kim była żona Szymona z Kafarnaum i jakie były jej dalsze losy – na pewno żyła jeszcze w czasie, kiedy prowadził działalność apostolską, wspomina bowiem o niej św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian (por. 1 Kor 9,5). Ani Ewangelie, ani Tradycja nie przekazały nam jej imienia. W trzeciej księdze „Kobierców” św. Klemens z Aleksandrii stwierdza, że Piotr miał dzieci, chociaż nie podaje ich imion. W siódmej księdze Klemens opowiada, że gdy żonę Piotra prowadzono na stracenie, Apostoł szedł za nią, pocieszał ją i dodawał otuchy, mówiąc: „Pamiętaj o Panu”. Według innej tradycji męczennica św. Petronilla, która miała umrzeć w I w. po Chr., była córką Piotra. Odwołując się do tej tradycji, około 757 r. papież Paweł I (757–767) przeniósł relikwie Petronilli z katakumb Domitylli na via Ardeantina, spoza murów Rzymu do starej bazyliki św. Piotra. Spoczywają one obecnie w bazylice pod ołtarzem św. Petronilli. Nie sposób ustalić, ile w tych przekazach jest prawdy, wiele wskazuje na to, że Petronilla była raczej

chrześcijanką z rodziny Flawiuszy, jedną z tych, którzy zginęli na rozkaz Domicjana, a nie córką Szymona.

W OCZEKIWANIU NA WŁADCĘ

W Kafarnaum, podobnie jak wcześniej w Betsaidzie, Szymon razem z bratem Andrzejem trudnili się połowem i zapewne później sprzedają ryb. Wszyscy oni mieszkali nad Jeziorem Galilejskim i gdyby nie powołanie przez Jezusa, które ostatecznie doprowadziło rybaka z Betsaidy do Rzymu, Szymon, tak jak wielu jego współczesnych, umarłby i zostałby pochowany w pobliżu jego brzegów. Opatrzność zdecydowała inaczej. To w Kafarnaum musiały do braci dotrzeć wieści o głoszącym pokutę nowym proroku – Janie Chrzcicielu.

Tak jak wielu innych Żydów przyszli apostołowie, Piotr, Andrzej, Jakub, Jan, Filip, liczyli na nadejście Wyzwolicieła, następcy króla Dawida, który odbuduje Izrael i wyrzuci z Ziemi Świętej pogan. Józef Flawiusz wspomina o niejasnym proroctwie, które pobudziło w roku 66 Żydów do powstania przeciw Rzymowi. Pisał, że to właśnie „dwuznaczne proroctwo” znaleziono w pismach świętych; głosiło ono, że z ziemi żydowskiej wyjdzie władca świata.

O jakie proroctwo mogło chodzić? Kwestią tą dokładnie zajmował się niemiecki historyk Martin Hengel. Analizując tekst Flawiusza, zwracał uwagę na to, że wyrocznia ta miała charakter polityczny i że znajdowała się w Starym Testamencie. Co więcej, chodziło w niej o władcę świata u kresu dziejów. Ponieważ nie była jasna, do jej zrozumienia potrzeba było mędrców. Wielu badaczy sądzi, że chodzi tu o fragment Księgi Daniela (Dn 7,13), gdzie mowa o Synu Człowieczy, który obejmie panowanie po pokonaniu pogańskich potęg. Hengel z kolei wskazuje na tekst z Księgi Liczb (Lb 24,17), odgrywający później kluczową rolę przy namaszczeniu na Mesjasza Szymona ben Kosiby przez rabina Akibę. Nie da się tej kwestii jednoznacznie rozstrzygnąć.

Wszystko to pozwala sądzić, że również w Betsaidzie i Kafarnaum krążył z Piotra, Andrzeja, Jana, Jakuba i Filipa żył nadzieją na przyjście Zbawiciela świata, władcy, tego, kogo przepowiedzieli prorocy. Nie sposób dowiedzieć się, jakie dokładnie były oczekiwania Piotra,

ale kilka wskazówek przekazanych przez Ewangelię, a szczególnie słynny dialog w okolicach Cezarei Filipowej wskazują, że być może również pierwsi uczniowie czekali na Mesjasza, wybawiciela spod pogańskiej władzy i dominacji. Radośnie i bez zastrzeżeń podążyli za Jezusem, bo dostrzegli jego moc i władzę. Wierzyli, że Jezus odbuduje królestwo Izraela. „A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela” (Łk 24,21) – mówi jeden z idących do Emaus uczniów. Wyraźnie była to nadzieja, jaką wielu żywiło aż do końca. Dlatego nie rozumieli słów Jezusa o konieczności cierpienia i krzyża. Słyszeli je, ale albo wypierali, albo nadawali im niejasny, bliżej nieokreślony metaforyczny sens.

NIIEWIERNE KAFARNAUM

Kafarnaum było ważnym centrum Galilei położonym na brzegu jeziora i przy via Maris, drodze handlowej łączącej Egipt z Syrią i Mezopotamią. Blisko domu Piotra znajdowała się synagoga, gdzie później nauczał Jezus. W Kafarnaum Piotr mieszkał z bratem Andrzejem, żoną i teściową (por. Mk 1,29–30).

Miasto w tych czasach miało duże znaczenie handlowe – przybywali tam karawany z Syrii, stacjonował niewielki garnizon wojskowy, znajdował się też urząd pobierający opłaty celne (por. Mt 9,9). W tym czasie osada, pisze O'Connor, rozciągała się na około 500 metrów wzdłuż jeziora. Mimo dokonanych w mieście cudów i mimo tego, że stało się ono centrum działalności Jezusa, Kafarnaum odpowiadało niewdzięcznością. „A ty, Kafarnaum, czy aż do nieba masz być wyniesione? Aż do otchłani zejdziesz. Bo gdyby w Sodomie działy się cuda, które się w tobie dokonały, zostałyby aż do dnia dzisiejszego” (Mt 11,23). Mimo tej niewdzięczności ogółu wiele wskazuje na to, że od chwili, kiedy głosił tam nauki Jezus, w mieście stale przebywali chrześcijanie. Pośrednio świadczy o tym przekaz Epifaniasza, który w 374 r. pisał, że było to jedno z tych miast, w których Żydzi zabronili mieszkać chrześcijanom i Samarytanom.

Pewne jest, że najwcześniejsze źródła chrześcijańskie wspominają dom Piotra jako najważniejsze miejsce zgromadzeń chrześcijańskich.

„W Kafarnaum dom Księcia Apostołów przekształcono w kościół, którego



oryginalne mury jeszcze stoją [...]. Jest tu także synagoga, w której Pan uzdrowił mężczyznę opętanego przez Szatana. Wiodą do niej liczne stopnie, a zbudowana jest z obrobionych kamieni” – opowiadała Egeria, chrześcijańska pątniczka, która odwiedziła miasto między 381 a 384 r. Z kolei pielgrzym z Piacenzy donosił: „Dom św. Piotra jest teraz bazyliką”.

Na obszarze starożytnego Kafarnaum od I w. przed Chr. do IV w. po Chr. znajdowały się małe domy zgrupowane wokół nieregularnych dziedzińców. „Mury z układanych na sucho bazaltowych kamieni podtrzymywały lekki dach, który można było odkryć; tak właśnie uczynili mężczyźni, którzy nieśli paralytyka do Jezusa (Mk 2,4)”. Jeden z tych domów należał do św. Piotra, który najprawdopodobniej zamieszkał u rodziny swojej żony. Jak ustalili archeolodzy, ściany jednego z pomieszczeń tego kompleksu mieszkального zostały otynkowane w połowie I w. po Chr., co wiązało się z jego nową funkcją. Wcześniej było to zwyczajne mieszkanie, na co wskazują odnalezione resztki skorup ceramicznych. „Z czasów późniejszych pochodzą liczne napisy pokrywające otynkowane ściany. Niektóre z nich wzmiankują Jezusa jako Pana i Chrystusa”. Cześć, jaką miejsce to było otoczone w czasach przed Konstantynem, jest znakiem, że był to właśnie dom św. Piotra. Zgrupowane wokół małego dziedzińca domy służyły spokrewnionym ze sobą rodzinom. W takim kompleksie mieszkalnym mogło żyć nawet kilkadziesiąt, może ponad sto osób. Ten należący do późniejszego Apostoła dom powstał pod koniec II w. przed Chr., później był wiele razy rozbudowywany, tak że ostatecznie jego powierzchnia wynosiła prawie 380 metrów kwadratowych. Znajdował się pomiędzy synagogą a Jeziorem Tyberiadzkim.

Wszystko to potwierdza, że Szymon w Kafarnaum był postacią znaczącą, kimś, z kim się liczone i czyje zdanie brano pod uwagę.

NADANIE NOWEGO IMIENIA

Nadanie Szymonowi nowego imienia Kefas, imienia aramejskiego, które miało to samo znaczenie, co greckie Petra – skała, opoka, stąd Petros, Piotr, było momentem w życiu rybaka z Kafarnaum kluczowym. Ewangelie podkreślają, że chociaż do Jezusa przyprowadził Piotra

jego brat Andrzej, to Jezus sam powołał Szymona i że On sam nadał mu nowe imię. O tym, że Jezus sam powołuje Dwunastu, piszą ewangelisci: por. Mk 3,16–17, Łk 6,13–16, J 1,42. Nowe imię, jak pokazuje cała tradycja biblijna, wiązało się ze szczególną misją, którą poznać od początku mógł jedynie wybrany przez Boga na proroka człowiek, mimo swoich słabości i grzechów.

Imię Szymon lub Symeon, które pierwotnie nosił przyszły Książe Apostołów, wróciło do łask w epoce machabejskiej. Było ono już wtedy zapewne symbolem nadziei na wyzwolenie Izraela. Dzieje Apostolskie używają wymiennie formy greckiej Szymon (por. Dz 11,13) i hebrajskiej Symeon (por. Dz 15,14). Ewangelie konsekwentnie używają greckich określeń, Szymon i Piotr, a Paweł niemal zawsze mówi o Kefasie, czyli posługuje się imieniem aramejskim (z wyjątkiem Ga 2,7–9). Określenie Kefas zostaje zatem wykorzystane przez Jezusa jako imię własne, które nadaje Piotrowi. Jednocześnie jest to tytuł i nazwa misji, którą mu powierza. Wskazuje na to praktyka mówiących po aramejsku kościołów Palestyny: Piotr znany był tam jako Kefas, co było też jego tytułem honorowym. Tłumaczyłoby to, dlaczego Ewangelie po prostu nazywają Szymona Piotrem, a Paweł używa wobec niego określenia Kefas. Ewangelie skupiają się na pokazaniu historycznej roli Piotra podczas życia Jezusa, Paweł pisze o nim jako o Kefasie, o tym, który wykonuje powierzoną mu przez Jezusa misję.

Trzy spisy uczniów (Mk 3,13–19; Mt 10,1–4 i Łk 6,12–16) wymieniają Piotra na pierwszym miejscu. To niezwykle ważne. Spisy imion i ich kolejność ani nie są przypadkowe, ani nie wynikają z chronologii, nie jest to przekaz pokazujący, w jakiej kolejności ktoś stawał się uczniem Jezusa. Oznacza to, że trzy Ewangelie synoptyczne widzą w Piotrze przewodnika grupy Dwunastu, podobnie jak wskazują na odrzucenie i potępienie Judasza z powodu jego zdrady. Wszystkie razem opisy ewangeliczne wskazują na Piotra jako na przywódcę, reprezentanta i rzecznika grupy uczniów, powołanego przez samego Jezusa. Wspomina się go w Nowym Testamencie 181 razy, znacznie częściej niż wszystkich pozostałych jedenastu apostołów razem wziętych.

Piotr jest jedynym uczniem, do którego Jezus zwraca się po imieniu we wszystkich czterech Ewangeliach. Według Łukasza (por. Łk 22,32) jest on też jedynym, o którym mówiło się, że Jezus się za niego modlił, chociaż w siedemnastym rozdziale Jana Jezus modlił się za wszystkich uczniów. Piotr występuje w roli ich rzecznika, także on w ich imieniu pyta i odpowiada Jezusowi. Ucieleśnia wiarę i wątpliwości, jak pokazuje to przekazana przez Mateusza scena, kiedy kroczy po wodzie ku Jezusowi (por. Mt 14,22–33).

„Na najwcześniejszym zachowanym obrazie Piotra w syryjskim kościele domowym w Dura Europos nad Eufratem apostoł pojawia się właśnie w scenie albo uciszenia burzy, albo (bardziej prawdopodobne) kroczenia po wodzie” – zauważa brytyjski egzegeta Markus Bockmuehl.

ŚWIADEK NAJWAŻNIEJSZYCH TAJEMNIC

Piotr należy do najściślejszego kręgu uczniów Jezusa i jest świadkiem najważniejszych tajemnic. Jest obecny podczas przemienienia na górze Tabor, które było autentyczną teofanią – Jezus objawił się swym uczniom w Boskiej chwale. Opowieść Marka, w której należy widzieć wspomnienia Piotra, pokazuje, jak niezwykle było to doświadczenie. „W żadnym tekście prorockim lub apokaliptycznym Starego Testamentu te dwie postacie [Mojżesz i Eliasz – przyp. P.L.] nie pojawiają się razem” – zauważa jeden z historyków. Tym, co łączy Mojżesza i Eliasza, jest to, że obaj doświadczyli osobiście kontaktu z Bogiem. „Dobrze, że tu jesteśmy” – dodaje Piotr we wszystkich trzech przekazach. „Pojmuje on nadzwyczajność doświadczenia i chce je przedłużyć, przede wszystkim dlatego, że nie jest jeszcze pewien, czy je pojął”. Marek podkreśla, że nie tylko Piotr, lecz także wszyscy trzej uczniowie odczuwali strach. Był to specjalny rodzaj strachu, bojaźń Boża.

Jest on zatem wybranym świadkiem największej Bożej tajemnicy, jako jeden z trzech uczniów widzi chwałę Chrystusa, jako jedyny odzywa się i proponuje wzniesienie przybytków.

Także właśnie Piotrowi i Janowi Jezus powierzył zorganizowanie ostatniej wieczerzy (por. Łk 22,8). Jego nakaz brzmiał tajemniczo:



„I posłał dwóch spośród swoich uczniów z tym poleceniem: »Idźcie do miasta, a spotka was człowiek niosący dzban wody. Idźcie za nim i tam, gdzie wejdzie, powiecie gospodarzowi: Nauczyciel pyta: gdzie jest dla Mnie izba, w której mógłbym spożyć Paschę z moimi uczniami?»” (Mk 14,13–14).

Najbardziej niezwykły jest tu „człowiek niosący dzban wody”, co miało być znakiem wyróżniającym. W zasadzie wodę nosiły na Wschodzie kobiety. W tym przypadku Piotr i Jan wiedzą, że mają podejść do niosącego wodę mężczyzny. „Kim był ten tajemniczy nosiciel wody?” – pyta Hesemann. I odpowiada: „Znacząca grupa egzegetów jest obecnie przekonana: może chodzić jedynie o członka wspólnoty eseneńskiej, którzy, tak jak później mnisi, żyli w celibacie i dlatego wykonywali też prace przeznaczone dla kobiet”. Niezależnie od tego, czy przyjmujemy to twierdzenie, pewne jest jedno: Jezus wybrał Piotra i Jana jako swoich najbardziej zaufanych uczniów, aby przygotowali mu wieczerzę, która stała się kluczem do zrozumienia Jego śmierci i ofiary na krzyżu.

Piotr wreszcie zadaje Mistrzowi trudne pytania: ile razy należy przebachać bratu (por. Mt 18,21–22). Jest on też tym, który mówi, że uczniowie porzucili wszystko i poszli za Jezusem, i to jemu przepowiada Jezus przyszłe prześladowania. Również Piotr jako jedyny odważył się fizycznie bronić Jezusa i uciął Malchusowi, słudze arcykapłana, ucho.

PIERWSZY, KTÓRY WIDZIAŁ

Piotr jest też pierwszym gwarantem prawdziwości zmartwychwstania. Tak jak pozostali uczniowie może ręczyć, że Jezus, którego spotyka, który się im ukazuje, jest tym samym Jezusem, z którym wędrowali po Galilei. Przede wszystkim był on też pierwszym uczniem, który wszedł do pustego grobu i zrozumiał, że Jezus zmartwychwstał, jeszcze zanim Go spotkał.

Bardzo przenikliwie pokazał to wybitny włoski teolog Francesco Spadafora. Tym, co najbardziej uderza w opisie zmartwychwstania Jezusa przekazanym w czwartej Ewangelii, pisał, jest uwaga poświęcona szatom znalezionym w grobowcu.

„A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu

i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: »Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono«. Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwoj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwinietą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył” (J 20,1–8).

Dwa proste pytania nasuwają się po lekturze tego tekstu. Po pierwsze, dla czego autor poświęca tyle uwagi chustom i płótnom? Po drugie, co takiego zobaczył Piotr i Jan, że uwierzyli? Nie spotkali przecież wtedy aniola lub aniołów, nie napotkali jeszcze nikogo, kto wytłuma czyłby im ów dziwny fakt zniknięcia ciała Jezusa, odwołując się do pism i prorocत्व. Co zatem zobaczyli? Najprawdopodobniej, pokazuje włoski badacz, Piotr tak jak Jan zobaczyli, że płótna, które pozostały w grobie, były ułożone w taki sposób, jakby ciało Jezusa wyparowało. Nie ukradziono ich, nie leżały w nieładzie. Piotr i Jan byli pierwszymi, którzy widzieli, że ciało Jezusa fizycznie wyszło z grobu, a dowodem były właśnie leżące płótna.

Ewangelie nie opisują tego, jak wyglądało pierwsze spotkanie Jezusa z Piotrem po Zmartwychwstaniu. Jest to milczenie tak drażniące, tak trudne do przyjęcia, jest też najlepszym dowodem prawdziwości tradycji ewangelicznej. Ileż było możliwości wymyślenia i opowiedzenia o tym spotkaniu, gdyby faktycznie ewangelisci mogli swobodnie tworzyć, gdyby to, co przekazane, powstawało jako odpowiedź na oczekiwania wspólnoty? Tymczasem zamiast poznać barwne szczegóły i fantastyczne okoliczności, pozostajemy z ciszą.

WEZYR WIELKIEGO KRÓLA

Wielu badaczy analizowało na wszelkie możliwe sposoby rolę Piotra w Ewangelii. Wszyscy zgadzają się co do tego, jak bardzo była ona wyjątkowa. Częste

wspominanie imienia, umieszczanie go na pierwszym miejscu, pokazywanie, że Piotr w imieniu uczniów zadaje pytania, że Jezus zwraca się do niego po imieniu i modli się osobno za niego, wreszcie, że dopuszcza go do tajemnicy nadprzyrodzonej, do przemienienia na górze Tabor oraz że powierza mu przygotowanie miejsca ostatniej wieczerzy – wszystko to nie budzi sporów. Kim zatem był ostatecznie Piotr? Wzorowym uczniem? Pierwszym spośród Dwunastu? Wszystko to również. Jednak najważniejsze jest co innego: Piotr był przede wszystkim Opoką, Skałą. Dlatego dla zrozumienia jego pozycji konieczne jest zbadanie słynnego fragmentu z Ewangelii Mateusza. Być może zresztą jest to jeden z najczęściej w ogóle komentowanych fragmentów całego Nowego Testamentu.

Wszystkie próby wykazania, że opis z Ewangelii Mateusza, w którym to Jezus powierza Piotrowi klucze do królestwa (por. Mt 16,13–20), stanowi późniejszą interpolację i dodatek, upadły. Nie ma śladów jakiegokolwiek ingerencji w tekst z zewnątrz. Wypowiedziane tam słowa Jezusa muszą mieć zatem ogromne znaczenie, tym bardziej że jest to jeden z dwóch przypadków we wszystkich Ewangeliach, kiedy Jezus mówi o „Kościele”. Jezus i Jego Ojciec współdziałają przy przekazaniu Piotrowi poznania, pisał amerykański komentator Stephen K. Ray, gdyż – jak pokazuje św. Mateusz – to Ojciec z Nieba faktycznie odegrał rolę sprawczą, przekazując objawienie Piotrowi. To Ojciec Niebieski wybrał Piotra, objawiając mu prawdę o tożsamości Jezusa.

„Słowa Ojca zostały objawione – nawet »przekazane« – przez osobę Piotra, a Jezus uznaje je i potwierdza ich Boskie źródło [...]. Niektóre obietnice zostały dane wyłącznie Piotrowi, gdyż tylko Piotr otrzymał to objawienie [...]. Odpowiedź rybaka nie wynika z jego intelektualnej przenikliwości lub erudycji [...]. W tej chwili i w tym miejscu interweniował Bóg Ojciec i to On dał objawienie Piotrowi. Jezus uznaje to nadprzyrodzone zdarzenie, mówiąc: »Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie«” (Mt 16, 17).

Raz jeszcze podkreśla Ray, że ze względu na otrzymane od Boga objawienie Piotr jest odłączony od całej grupy



uczniów i niektóre przyrzeczenia są skierowane wyłącznie do niego przez usta samego Jezusa. Warto to podkreślić: ponieważ tylko Piotr dostał objawienia od Ojca, tylko on został przez Niego wybrany, więc ma do odegrania osobną, wyjątkową, niedającą się zamienić rolę.

Kluczowe z tego punktu widzenia jest podkreślenie przez Mateusza, że to, co Piotr mówi o Jezusie, nie pochodzi z „ciała i krwi”, ale jest objawione z Nieba, przez Ojca. Dla racjonalistów i krytyków liberalnych nic nie może być oczywiście w ścisłym tego słowa znaczeniu „objawione”. Wszelkie poznanie nadprzyrodzone da się według nich sprowadzić do „ciała i krwi”, do zwykłych, historycznych przyczyn. Co jest zatem nadprzyrodzonego i niewytłumaczalnego w deklaracji Piotra? Dlaczego jego wyznanie: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” nie mogło być wynikiem refleksji, wyobraźni, wiedzy, wnioskowania? Na pewno czymś nadprzyrodzonym nie mogło być samo uznanie Jezusa za Mesjasza.

Dlatego tak ważne musi być całe zdanie, całe wyznanie, w którym to faktycznie pierwszy raz publicznie człowiek wypowiada głośno, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Boga żywego. To właśnie jest tym ściśle nadprzyrodzonym, nie-ludzkim, niepochoǳącym od „ciała i krwi”, niewymyślonym i niewyobrażonym wnioskiem. To jest ta prawda, do której żaden człowiek, nawet cała ludzkość ze wszystkimi swoimi mędrcami, filozofami, myślicielami i mistrzami dojść nie mogła: Mesjasz jest Synem Boga żywego, jest nie tylko wysłańcem, przekazicielem, lecz także Synem, a więc ma tę samą naturę co Bóg. W tym sensie słowa Piotra są objawieniem, są słowem, które przyszło do niego z góry, z Nieba, z zewnątrz. I to, łatwo zrozumieć, tak boli współczesnych krytyków, którzy prędzej uznają, że Piotra nie było, niż zgodzą się, że to wyznanie faktycznie pochodziło z Nieba.

Wypowiedziawszy te słowa, Piotr słyszy odpowiedź Jezusa:

„Otóż i ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie” (Mt 16,18-19).

Jest to, jak trafnie zauważa Ray, akt inwestytury.

„We wschodnich królestwach król-suweren zwykle deleguje swą władzę i administrowanie nad królestwem, przekazując je słudze, który zarządza królestwem – faktycznie dla króla – szczególnie w czasie jego nieobecności. To przyrzeczenie jest skierowane jedynie do Piotra”.

Żeby zrozumieć, jaką dokładnie rolę powierzył Piotrowi Jezus, zauważa Ray, należy dokładnie pojąć, co w tym kontekście znaczyła funkcja „sługi nad domem”, wezyra czy majordoma. Pojęcia te były powszechnie używane w czasach biblijnych, znane też były doskonale w graniczących z Palestyną wschodnich królestwach. „Sługa nad domem” to termin techniczny, chodzi o urzędnika państwa faktycznie najwyższego rangą (por. Iz 36,3; 37,2), niekiedy urząd ten sprawował następca tronu (por. 2 Krn 26,21). Osoba taka zajmowała

Jezus pokazuje, że Piotr stał się Jego **wyłącznym zastępcą i sługą w nowym królestwie**

się całością spraw swego pana, była najbliższej niego i w jego imieniu sprawowała władzę. Cieszyła się pełnią zaufania i od jej decyzji nie można się było odwoływać. W takiej roli występował chociażby w stosunku do faraona biblijny Józef: był zarządcą, administratorem, sędzią. Tak jak do Jezusa należały klucze do królestwa Dawida, tak jak jest On prawdziwym suwerenem i królem, tak też może przekazać władzę nad sprawami „swego domu” słudze. Klucze, które przekazuje Piotrowi, są znakiem władzy i należą wyłącznie do Niego. Jezus po tym, jak zasiadł na tronie Dawida, przez swą śmierć i zmartwychwstanie rozszerzył dawne przymierze z Bogiem, tak że objęło ono wszystkich ludzi, nie tylko Żydów. Otóż ten Jezus, który jest Królem świata, tak jak starożytni królowie, jak sam Dawid i jego następcy, przekazał klucze Piotrowi.

Opis przekazania kluczy oraz władzy wiązania i rozwiązywania Piotrowi przypomina opowieści Starego Testamentu o Eliakimie. Fizyczne królestwo Izraela zostało zastąpione duchowym

królestwem Boga. Dawny urząd sługi nad sprawami królestwa został zastąpiony przez urząd Piotra. Tak jak Izajasz przepowiadał w imieniu Boga, że władza kluczy zostanie odebrana Szebnie, a przekazana Eliakimowi, tak Jezus ogłasza, że otrzyma ją Piotr. „Położę klucz domu Dawidowego na jego [Eliakima] ramieniu; gdy on otworzy, nikt nie zamknie, gdy on zamknie, nikt nie otworzy” (Iz 22, 22). W obu przypadkach chodzi o królestwa, w obu mowa jest o delegowaniu władzy, w obu wspomina się o mianowaniu królewskiego sługi. W obu przypadkach też mianowanie sługi ma decydujący wpływ na każde z królestw. A jednak klucze ofiarowane Piotrowi oznaczają znacznie większą władzę niż ta, którą mógł się cieszyć sługa Dawida, Ezechiasza lub pozostałych królów Izraela. „Klucz» Dawida stał się teraz »kluczami« królestwa, uniwersalnego, katolickiego, powszechnego królestwa”. Tak jak Jezus jest większy od Dawida, tak Piotr jest większy od Eliakima. Klucze wskazują na wyłączną władzę. Klucze do czyjegoś domu dają temu komuś wyłączną władzę nad domem. Posiadanie kluczy z konieczności wyłącza innych od władzy i kontroli. Piotr zostaje zaopatrzony w klucze i w ten sposób zostaje mu przekazana wyłączna władza nad królestwem niebieskim i autorytet.

Odwołując się do języka Izajasza, Jezus pokazuje, że Piotr stał się Jego wyłącznym zastępcą i sługą w nowym królestwie.

PIERWSZY Z PAPIEŻY

Jeśli prawdą jest, że powierzenie Piotrowi kluczy do królestwa należy rozumieć w odniesieniu do urzędu sługi króla ze Starego Testamentu, to pozwala to od razu odpowiedzieć na pytanie o sukcesję. To, że urząd królewskiego sługi był dziedziczny, że był stały, ma ogromne znaczenie, jeśli chce się zrozumieć urząd Piotra. Ponieważ Jezus odwrócił tron Dawida, odbudował On również urząd królewskiego sługi. Jezus nastąpił po Dawidzie, Piotr nastąpił po Eliakimie. Obecnie papież jest następcą nie tylko Piotra, lecz także w pewnym sensie pierwszego królewskiego sługi z czasów królestwa Dawida. Skoro tak, to jak można sobie wyobrazić, że po śmierci Piotra nagle znika jego urząd? Jeśli imię



■ Kefa oznaczało też nadanie urzędu i misję, to czy Skafa mogła rozpaść się i zniknąć wraz z końcem życia Piotra? Co się stało wówczas z kluczami? Jeśli Jezus odwołał się do kluczy, o których Pismo wspominało w związku z kolejnymi sługami królów Judy, to jaki sens miałyby dawać je jedynie Piotrowi? Jak można sobie w ogóle wyobrazić, że królestwo istnieje tylko jedno pokolenie? W czym królestwo niebieskie, które głosił Jezus, byłoby lepsze od królestwa Izraela, które jednak przetrwało trzy wieki, lub królestwa Judy, które nieprzerwanie istniało pięć wieków?

Myśl, że Jezus głosi królestwo, które znika wraz z Jego śmiercią, i powierza władzę kluczy słudze, wikariuszowi tylko na czas jego życia, jest w kontekście historycznym niedorzeczna. Im większe, im bardziej rozległe królestwo, tym większa potrzeba wikariusza, zastępcy, sługi. I im trwalsze królestwo, tym bardziej potrzebny był w nim zawsze urząd wikariusza.

Nawet jeśli w samych Ewangeliach nie mówi się nic na temat następców Piotra i sposobu, w jaki się ich powoływało, nie znaczy to przecież, że dla Piotra nie była to ważna kwestia. Dzieje Apostolskie dokładnie pokazują, w jaki sposób przywódców wspólnot ustanawiał Paweł. Myśl, że Piotr, który żył w świecie, w którym istniały z jednej strony szkoły filozoficzne z wyraźnie określonymi przywódcami, z drugiej szkoły zgrupowane wokół rabinów, nie zajmował się kwestią sukcesji i przekazania władzy, wydaje się niedorzeczna.

Faktycznie tym, co tak bardzo utrudnia współczesnym dostrzec i zrozumieć rolę Piotra, jest brak zrozumienia tego, czym było królestwo w tradycji wschodniej, jaka była pozycja króla względem poddanych i jaką funkcję u jego boku pełnił wikariusz, wezyr. Dodatkowo trudno to uchwycić nam, którzy podświadomie niemal patrzymy na wszelkie relacje władzy, tak jak przyzwyczailiśmy nas systemy demokratyczne. Współczesnym wydaje się, że władza pochodzi zawsze z dołu, od ludzi, przekazywana jest tymczasowo i w określonych granicach, jest efektem umowy i porozumienia. Jednak Kościół założony na Opoce, na Piotrze, miał zupełnie inny charakter. Był odnowionym królestwem Dawida. Chociaż duchowym

i nadprzyrodzonym, to jednak królestwem, w którym głową był Chrystus, a jego wikariuszem ziemskim Piotr.

STRASZLIWA WŁADZA

Od samego początku, po tym, jak zmartwychwstały Jezus potwierdził władzę Piotra, ten zachowuje się jak jego ziemski wikariusz. Apostoł ma w swoich rękach, tak jak wezyr reprezentujący króla, pełnię władzy.

Dzieje Apostolskie podkreślają to jego przywództwo od samego początku. To on choćby doprowadza do wyboru przez losowanie nowego apostoła, Macieja, w miejsce Judasza, jednego z Dwunastu. W swoim pierwszym przemówieniu wygłoszonym w Jerozolimie Piotr zwraca się nie tylko do Żydów z Jerozolimy i z diaspory, lecz także do pogan. Ma pełną świadomość doniosłości nowych czasów. Dlatego zastępuje zwrot z tekstu proroka Joela „po tym” parafrazą: „w tych dniach ostatnich” (por. Dz 2,17).

Od samego początku św. Łukasz podkreśla też nadprzyrodzoną moc Piotra. O ile wcześniej uczniowie Jezusa wykazują się słabością i nie potrafią uleczyć chorych, o tyle wraz ze zstąpieniem Ducha zyskują nadzwyczajne moce. I tak Piotr od razu leczy chorego, co pokazuje jego nadprzyrodzoną moc, a także odważnie głosi słowo na dziedzińcu świątyni, gdzie zostaje aresztowany przez Sanhedryn. Piotr stwierdza też, że jedyną nadzieją dla tych, którzy go słuchają, jest uznanie, że ofiarą przybitą do krzyża był naprawdę cierpiący Mesjasz przepowiedziany przez proroków. Ci, którzy też prawdę odrzucali, nie mieli już jednak żadnej wymówki: zostali osądzeni jako niegodziwcy świadomi własnych czynów. Jakaż to niezwykła przemiana! Ten sam Piotr, który w okolicach Cezarei Filipowej nie chciał pogodzić się z zapowiedzią cierpienia Jezusa, teraz jest tym, który właśnie cierpiącego Mesjasza głosi.

UNIWERSALIZM OPOKI

W pierwszym okresie po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Piotr sądził, że nową drogę uda się pogodzić z tradycyjnym judaizmem: Łukasz podkreślał, że apostołowie „codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali posiłek z radością i prostotą serca” (Dz 2,46). Z jednej

strony „trwali jednomyślnie w świątyni”, z drugiej „łamali chleb po domach”. Jednak ten stan dojrzewania i kiełkowania chrześcijaństwa w obrębie judaizmu nie mógł trwać w nieskończoność. Nie tylko dlatego, że „łamanie chleba po domach” czyniło ofiary w świątyni zbędnymi, lecz także dlatego, że samo głoszenie Ukrzyżowanego musiało wywoływać coraz większą niechęć i irytację władz żydowskich. Tłący się konflikt wybuchł ze zdwojoną mocą, kiedy jeden z mówiących po grecku Żydów z diaspory, Szczepan, zaczął publicznie wyciągać logiczne wnioski z nowego przymierza i ze śmierci na krzyżu Jezusa. Jego słowa wywołały wściekłość saduceuszy i doprowadziły do jego ukamienowania (por. Dz 7,56–59). Prędzej czy później konflikt musiał wybuchnąć.

Do jakiego stopnia Piotr wolny był od różnych przesądów i uprzedzeń, tak typowych dla tamtych czasów, pokazuje prosty fakt: przebywając w Jaffie, gdzie uzdrowiał i nauczał, mieszkał u niejakiego Szymona garbarza, czyli u człowieka wykonującego zawód uchodzący w oczach współczesnych mu za nieczysty. Zetknięcie Piotra z Korneliuszem prowadzi do prawdziwej rewolucji. Sam Apostoł wspomina o tym, kiedy mówi, że spotkanie się z poganinem i odwiedzanie go jest złamaniem prawa, ale Bóg wyjaśnił mu, że nie wolno nazywać żadnego człowieka nieczystym (por. Dz 10,28). Wprawdzie spotkanie się z poganami czyniło człowieka nieczystym jedynie w sensie formalnym (tak jak zawód Szymona, garbarstwo, był formalnie nieczysty) i nieczystość ta pod pewnymi warunkami mogła zostać usunięta, prawdziwie prawowitny Żyd unikał jednak za wszelką cenę wejścia do domu poganina (por. J 18,28). W wystąpieniu wobec Korneliusza pojawia się ten sam rewolucyjny uniwersalizm:

„Przekonuję się, że Bóg naprawdę nie ma względu na osoby. Ale w każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje sprawiedliwie [...]. On nam rozkazał ogłosić ludowi i dać świadectwo, że Bóg ustanowił Go sędzią żywych i umarłych. Wszyscy prorocy świadczą o tym, że każdy, kto w Niego wierzy, przez Jego imię otrzymuje odpuszczenie grzechów” (Dz 10,34–35.42–43).

Te słowa oznaczały całkowite zerwanie z wcześniejszym żydowskim



ekskluzywizmem. Od tej pory to Jezus jest Sędzią żywych i umarłych, a władzę odpuszczania grzechów otrzymują ci, „którzy w Niego wierzą”. Co charakterystyczne i co stanowi całkowitą nowość, w swym wystąpieniu Piotr nadał nowe znaczenie słowu „laos”, do tej pory zawsze odnoszemu się do ludu Izraela. „Laos” nie jest już słowem wskazującym jedynie na lud żydowski, lecz wskazuje na całą wspólnotę potencjalnych zwolenników Chrystusa, bez zwracania uwagi na ich narodowość. Kiedy Piotr wspomina nakaz Jezusa, by „ogłosić ludowi”, słowo to traci podtekst narodowy czy rasowy. Ta sama myśl wyrażona jest przez Piotra w czasie wystąpienia na soborze w Jerozolimie (Dz 15,7–11), gdzie stwierdza, że dla Boga nie ma różnicy między poganami a Żydami oraz przez Jakuba, który w tym samym duchu mówi, że od początku Bóg chciał wybrać sobie spośród pogan lud dla swego imienia.

To samo rozumienie Piotr potwierdza w swoim pierwszym liście: wszyscy wierzący w Chrystusa są ludem („laos”) Bożym (por. 1 P 2,9–10). To jest teraz prawdziwy Izrael – tak jak kiedyś słowo „laos” odnosiło się tylko do Izraela, tak teraz odnosi się tylko do nowego Izraela zgromadzonego przez wiarę ze wszystkich narodów.

Faktycznie dziś owa rewolucyjność i oryginalność Piotra umykają z różnych powodów. Czy to dlatego, że uniwersalizm chrześcijaństwa zdaje się tak oczywisty, czy też dlatego, że bardziej do świadomości przebiły się sformułowania Pawła, pozostaje faktem, że niewielu zdaje sobie sprawę, jak wielkiego przewrotu dokonał w domu Korneliusza Piotr. Nie tylko rozszerzył pojęcie „laos”, pojęcie Izraela, lecz także oparł je na całkiem nowej zasadzie. Już nie krew, nie pochodzenie, nie biologia, nie rasa czy etniczność, ale wiara w Chrystusa sprawiała, że ktoś należał do ludu, do „laos”. I odwrotnie: naturalne przywileje już się nie liczyły, kto nie błagał o przebaczenie, kto nie pokutował, kto nie pokajał się za śmierć Jezusa, przestawał być członkiem tego ludu, tego „laos”. Nie krew, ale wiara były tym, co najważniejsze.

Tak wielkiego przewrotu mógł dokonać tylko ten, kto dysponował nieograniczoną niemal władzą. Nawet Jezus za swego ziemskiego życia, mimo że stykał

się z poganami, mówił, że został posłany tylko do domu Izraela. Kilka lat po jego śmierci Piotr idzie do domu pogańskiego setnika i przyjmuje go w obręb Izraela bez obrzezania. Ba, kilka lat po śmierci Jezusa Piotr ogłasza, że prawdziwym „laos” nie jest już dawny Izrael, oparty na wspólnocie krwi, obrzezania, posłuszeństwa prawu, ale Izrael nowy, który opiera się na wierze w Chrystusa jako cierpiącego Mesjasza. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie autorytet i władza, jaką dysponował Piotr. Tylko jeśli w oczach ówczesnych chrześcijan był on prawdziwym wikariuszem niewidzialnego Chrystusa, to mógł oczekiwać posłuszeństwa dla swej decyzji tak bardzo wykraczającej poza całą tradycję żydowską.

SPÓR Z PAWŁEM

Czy temu obrazowi Piotra jako wikariusza i wezyra przeczy spór z Pawłem w Antiochii, opisany przez tego drugiego w Liście do Galatów? Paweł pisze, że Piotr najpierw jadł razem z chrześcijanami pochodzącymi z pogaństwa, jednak po przybyciu do miasta ludzi, powołujących się na Jakuba, porzucił z nimi wspólnotę stołu i ucztował jedynie z Żydami. Paweł zarzuca Piotrowi, że „bał się tych, którzy pochodzili z obrzezania”. Twierdzi, że było to postępowanie „nieszczere”, „udawanie”. Na pewno tak odczytywali zachowanie Piotra poganie, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego ten, który do tej pory traktował ich jako współtowarzyszy stołu i pełnoprawnych członków wspólnoty kościelnej, nagle zaczął się wycofywać. Opisując postępowanie Piotra, Paweł przyjmuje perspektywę pogan: poculi się oni odrzuceni i zlekceważeni.

Jednak i Piotr miał swoje racje. Koniec lat czterdziestych i początek pięćdziesiątych po Chrystusie to wzrost nastrojów mesjanistycznych i narodowych wśród Żydów. Gorliwość o prawo pociąga za sobą coraz większą wrogość wobec pogan. W naturalny sposób nastroje te wywołują też reakcję żydowskich chrześcijan: oskarża się ich o zdradę, o wyprzedawanie narodowych świętości, o kolaborację z obcymi. Dlatego gdy żydowscy chrześcijanie, przywiązani do wiernego przestrzegania reguł Prawa przybywają do Antiochii, Piotr nie chce doprowadzać do podziałów. Szuka jakiegoś modus vivendi. Można uznać, że

jego działanie miało charakter polityczny, pragmatyczny. Dla Pawła względy pragmatyczne nie miały znaczenia, bo sposób zachowania Piotra można było uznać za zakwestionowanie sensu ofiary Chrystusa.

Paweł nie podważa jednak ani tym bardziej nie odrzuca władzy Piotra. Pokazuje tylko jej istotne i nieprzekraczalne ograniczenia. Wikariusz musi reprezentować króla i może działać jedynie w wyznaczonych przez niego granicach. Ostatecznie najwyższą miarą, jak pokazuje Paweł, jest to, co zostało przekazane, powszechna Tradycja apostołska, aprobowana przecież przez Piotra. To ona jest miarą, przy pomocy której można oceniać konkretne posunięcia apostoła. To, co wydarzyło się w Antiochii, było czymś wyjątkowym. Chociaż wielu wcześniejszych protestanckich badaczy próbowało dowiedzieć, że spór w Antiochii oznaczał całkowite rozejście się Piotra i Pawła oraz początek nieustannego, ostrego, niedającego się przezwyciężyć konfliktu, to o takim zerwaniu nie może być mowy. Dowodem jest późniejszy od Listu do Galatów Pierwszy List do Koryntian. Paweł pisze tam (por. 1 Kor 1,12) o partii Kefasa w Koryncie, ale nie traktuje ani tej partii, ani tej Apollosa jak rywalizujących z nim stronnictw, które należy pokonać. Przeciwnie, Paweł chce doprowadzić do ich jedności. Mówi o Piotrze i Apollosie w pozytywny sposób, jako o swoich towarzyszach, „sługach Chrystusa i szafarzach tajemnic Bożych” (por. 1 Kor 4,1–2).

OBOWIĄZEK CHRZEŚCIJANINA

Chrześcijanie od początku rozumieli, że Kościół bez Piotra nie może istnieć. Nie był on tylko jednym z wielu uczniów, ale tym, bez którego wspólnota musiałaby się rozpaść. Tak zdecydował Jezus, który powierzył mu władzę wiązania i rozwiązywania, władzę kluczy; który jako król świata zrobił go swoim wikariuszem na ziemi. Zapomnieć o Piotrze oznaczałoby zdradzić swoją wiarę i zaprzeć się Chrystusa. Pamięć o nim była obowiązkiem chrześcijanina.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W tekście wykorzystałem fragmenty mojej książki „Grób Rybaka. Śledztwo w sprawie największej tajemnicy watykańskich podziemi”.

Wyrzuceni poza miasto



Współczesnemu człowiekowi, nawet jeśli nigdy nie był w Izraelu, gdy myśli o dzisiejszej Jeruzolimie, wśród pierwszych skojarzeń na myśl przychodzi widzialna na wielu kadrach telewizyjnych panorama Starego Miasta pokazywana z perspektywy Góry Oliwnej. W oczy rzuca się przede wszystkim mieniąca się złotem Kopuła na Skale, część meczetu Al-Aksa. Widać też kilka wież zwieńczonych krzyżami. Później na myśl przychodzą nam obrazy spod ściany płaczu – kto zna je nie tylko z telewizji, z pewnością został w tym miejscu zagadnięty przez sędziwego żydowskiego ortodoksa o to, czy czasem nie posiada żydowskich korzeni, a jeśli zaprzeczył, to ów starzec próbował doszukać się ich w czwartym czy piątym pokoleniu. Chrześcijanom, gdy mówimy „Ziemia Święta”, na myśl przychodzą też zatłoczone uliczki najstarszej części



Krystian Kratiuk

Zaraza i wojna to niejedyne plagi, które w ostatnich latach spadły na chrześcijan mieszkających w Izraelu. Coraz częściej okazuje się bowiem, że kolejną plagą, która może ostatecznie zakończyć trwające nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat chrześcijaństwo w Ziemi Świętej, może być samo... państwo Izrael

miasta z osławionymi sklepikami z dewocjonaliami rozlokowanymi wzdłuż Via Dolorosa, z podążającymi tamtędy tradycyjnymi procesjami drogi krzyżowej, wreszcie z bazyliką Grobu Pańskiego. Z wiecznie zatłoczonym kościołem, w którym ludzie czynią znak krzyża lewymi i prawymi rękami, stojąc w niekończących się kolejkach.

Wielu z nas wydaje się więc, że w Izraelu – o którym żywimy słuszne przekonanie, że stanowi dynamiczny tygiel kulturowy – wyznawców wszystkich trzech monoteistycznych religii jest mniej więcej po tyle samo, no może z przewagą żydów. A jak jest w rzeczywistości? Otóż pielgrzymkowy i turystyczny charakter Jeruzolimy radykalnie zaburza nasze spoj-



Żydzi blokują prawosławnym chrześcijanom wejście do bazyliki Grobu Pańskiego, 15 kwietnia 2023 r.

FOT. ANADOLU AGENCY/ABACA/EAST NEWS

o Ziemi Świętej, o chrześcijanach żyjących tam od wieków nie mówi niemal nikt.

KURCZĄCA SIĘ WSPÓLNOTA

Jeszcze 10 lat temu wszelkie źródła podawały, że chrześcijanie w Izraelu stanowią 4 proc. ludności. Ale sto lat temu, a więc dwie dekady przed zainstalowaniem tam nowego państwa żydowskiego, w Chrystusa wierzył co aż czwarty mieszkaniec Ziemi Świętej. Dziś co 50. – i tylko co 100. w stolicy.

Czyżby mieszkający nad Jordanem żydzi i muzułmanie rozmnażali się chętniej, a chrześcijanie zapomnieli, skąd się biorą dzieci? Nic bardziej mylnego. Chrześcijanie systematycznie opuszczają Izrael – zaciska się bowiem pętla na ich szyjach. Większość z nich to bowiem z pochodzenia Arabowie, ale wśród tej społeczności – jako odrzucający Mahometa – nie mają czego szukać. Wznaga się za to już nawet nie niechęć, ale wrogość względem nich ze strony ortodoksyjnych Żydów.

Miałem okazję doświadczyć tego osobiście. W październiku ubiegłego roku wraz z ekipą PCh24.pl kręciliśmy serial o krzyżowej śmierci Chrystusa – w role przewodników po tamtej ziemi wcielili się ksiądz profesor Waldemar Chrostowski oraz Paweł Lisicki. Pewnego wieczoru, już po zdjęciach, wracaliśmy do miejsca naszego noclegu – klasztoru s. Elżbietanek w dzielnicy Me'a Sze'arim. Akurat przypadało święto Tory, cała ulica, na której położony jest ów ośrodek, zajęta była przez żydowskich ortodoksów – głównie mężczyzn i chłopców. Gdy spostrzegli, dokąd zmierzamy, starsi zaczęli wskazywać nas palcami chłopcom. Ci zaś, a mowa dosłownie o brzdąkach w wieku ośmiu–dziesięciu lat, zaczęli machać w naszym kierunku rękami i agresywnie krzyżeć. Ktoś znający język przetłumaczył nam, że w naszą stronę padały po prostu wyzwiska. Kilka minut później zaś poleciały już... butelki. Wyobrażają sobie państwo, co by się stało, gdyby polscy katolicy potraktowali w ten sposób gości z Izraela? Gdyby np. podczas Święta Bożego Ciała wyzywano Żydów i rzucano w nich rozmaitymi przedmiotami?

Kilka miesięcy później ze zdumieniem rozpoznałem front klasztoru Elżbietanek na jednym z youtube'owych filmików. Wybite okna, zniszczone drzwi, połamane drzewka, potłuczone doniczki, mnóstwo kamieni odbitych od ścian i futryn – to

właśnie spotkało spokojne, niewchodzące nikomu w drogę polskie zakonnice. I to w kraju, który lubi podkreślać, że stanowi „jedyną demokrację na Bliskim Wschodzie”. Siostry elżbietanki zostały zaatakowane wyłącznie dlatego, że wyznają Chrystusa.

CORAZ DUSZNIEJ

Nie stanowiło więc dla mnie zaskoczenia inne, znacznie głośniejsze medialne wydarzenie z 2023 r. Oto w czerwcu Yossi Eli, jeden z bardziej wrażliwych na losy mniejszości religijnych izraelski dziennikarz, przebrał się za katolickiego zakonnika, aby zbadać, ile prawdy jest w doniesieniach o narastającej fali przestępstw nienawiści skierowanych przeciwko chrześcijanom w Jerozolimie. Podczas swojego śledztwa został wyśmiany i opluty przez dziecko oraz żołnierza po pięciu minutach od wyjścia z redakcji...

Eksperyment ów dowiódł międzynarodowej społeczności, że coraz częstsze doniesienia o radykalizujących się postawach ortodoksyjnych Żydów względem chrześcijan są prawdziwe. A uzbierało się tego niemało.

Oto w styczniu ormiański właściciel baru na Starym Mieście w Jerozolimie został fizycznie zaatakowany przez tłum izraelskich młodzian w swoim lokalu. Tłum wznosił okrzyki: „Śmierć Arabom! Śmierć chrześcijanom!”. Duchowni wszystkich chrześcijańskich wyznań pytani przez dziennikarzy, czy to się już zdarzało, potwierdzili, że owszem... każdemu.

Na początku roku zbezczeszczono 30 chrześcijańskich grobów na protestanckim cmentarzu na górze Syjon.

W lutym w Kościele Biczowania żyd rozbił młotkiem ogromną, 10-metrową figurę Chrystusa. Wydawał się niezwykle zacięty – uderzał bowiem w twarz Jezusa kilkanaście razy, krzycząc: „Żadnych bożków w świętym mieście Jeruzalem!”.

W marcu obywatel Izraela został aresztowany po tym, jak zaatakował księży żelaznym prętem przy kościele Grobu Najświętszej Marii Panny.

Jeszcze wiosną na ścianach ormiańskiego klasztoru znaleziono nienawistne graffiti, wśród których napis „Śmierć chrześcijanom” był najbardziej cenzuralny.

Latem dwóch religijnych żydowskich młodzieńców opluło niepełnosprawnego duchownego prawosławnego

zenie – wszak prawie trzy czwarte wśród religijnych mieszkańców Izraela to wyznawcy judaizmu. Ponad 20 proc. stanowią muzułmanie. Zaledwie ok. 2 proc. to wyznawcy Chrystusa.

W europejskich mediach sprawom Izraela poświęca się stosunkowo sporo miejsca – szczególnie gdy wybuchają w nim konflikty zbrojne. Tak jest i teraz, gdy powstańcy z Hamasu walczą z Izraelczykami. Zachodnia opinia publiczna bywa podzielona w ocenie sytuacji (UWAGA! W Polsce jakiegokolwiek niuansowanie lub nieprzyjęcie bezkrytycznie racji państwa Izrael podpada za miejsca pod paragraf antysemityzmu), więc jedni mówią o „palestyńskich bojownikach”, inni o „muzułmańskich terrorystach”, jedni mówią o uzasadnionej obronie państwa przez Żydów, inni zaś o przerażającej eskalacji konfliktu przez naród, któremu wydaje się, że może więcej niż inni. I w ten oto sposób rozmawiając



■ wychodzącego z klasztoru. Gdy jeden ze współbraci stanął w obronie zaatakowanego, napastnicy zagrozili mu użyciem gazu pieprzowego, który dumnie zdemonstrowali.

Według informacji Jerozolimskiego Centrum Międzykulturowego co najmniej połowa z piątkowych procesji drogi krzyżowej organizowanych przez Ormian przerwana jest przez plucie, przekleństwa lub złośliwe wtargnięcia w tłum pątników.

PRZYKŁAD IDZIE Z GÓRY

Takie przykłady można by mnożyć naprawdę długo. Ale by dobrze zrozumieć, skąd biorą się te ataki, należy wsłuchać się w głos przedstawicieli izraelskich wspólnot chrześcijańskich w naturalny sposób konsolidujących współpracę w dobie narastającego niebezpieczeństwa. Otóż chrześcijańscy przywódcy w Jerozolimie twierdzą, że izraelscy napastnicy nigdy nie czuli się tak ośmieleni do aktów nienawiści jak pod rządami szowinistycznej koalicji z premierem Netanjahu na czele.

A działania państwowe rzeczywiście sprzyjają dyskryminacji. Otóż w Izraelu obowiązuje np. prawo nieuznające małżeństw między chrześcijanami i Żydami. A na początku 2023 r. posłowie koalicyjnej partii Zjednoczony Judaizm Tory próbowali przeforsować projekt ustawy, wedle którego próba nawrócenia Żyda na chrześcijaństwo kończyłaby się karą roku więzienia! W przypadku nawracania niepełnoletniego skazany mógłby wyjść na wolność dopiero po dwóch latach. Autor projektu to nie byle kto – Moshe Gafni stoi wszak na czele parlamentarnej Komisji Finansów. Projekt ostatecznie zablokował jednak premier Netanjahu.

Władze izraelskie nieustannie zabraniają chrześcijanom ze Strefy Gazy odwiedzania świętych miast, takich jak Betlejem i Jerozolima, szczególnie w okresie Bożego Narodzenia. Od 2019 r. tylko ok. 100 z nich otrzymywało rocznie pozwolenia na podróżowanie za granicę, ale żadnemu nie pozwolono na wyjazd do Izraela lub na Zachodni Brzeg, gdzie znajduje się wiele miejsc świętych dla chrześcijan.

Od kilkunastu lat uroczystości wielkanocne kojarzą się tamtejszym chrześcijanom z barykadami wojskowymi i ograniczaniem dostępu do bazyliki Grobu Pańskiego. W ostatnią Wielką Sobotę do świątyni dopuszczono zaledwie 1,8 tys.

osób, a jeszcze kilka lat wcześniej było to 11 tys. ludzi.

Wszyscy w Polsce doskonale wiemy, że Żydzi jak mało który naród dbają o swoje „dobre imię”. Dlatego też nikogo zapewne nie zdziwi, że gdy we wspólnym oświadczeniu z 2021 r. biskupi, patriarchowie i liderzy wspólnot chrześcijańskich w Jerozolimie ostrzegli, że radykalne grupy żydowskie pracują nad wypędzeniem chrześcijan z miasta, spotkało się to z natychmiastową, gniewną reakcją Ministerstwa Spraw Zagranicznych kierowanego przez Ja'ira Lapida. Wraz z prezydentem Isaakiem Herzogiem stwierdził on, że takie oświadczenia są „bezpodstawne i zniekształcają rzeczywistość społeczności chrześcijańskiej w Izraelu”.

ODZYSKAĆ CAŁĄ ZIEMIĘ DLA ŻYDÓW

Grecki patriarcha prawosławny Teofil III wypowiedział się niedawno na temat młodych Żydów coraz częściej atakujących chrześcijan. Według duchownego „mają oni obsesję na punkcie »syndromu mesjańskiego«. Chcą przejąć całą ziemię. Kiedy widział młodych ludzi w wieku 15 lub 16 lat, którzy robią różne rzeczy i nie boją się, to wiesz, że stoi za nimi ktoś potężniejszy”.

Przypuszczenia Teofila i innych wyznawców Chrystusa należy odczytywać w kontekście jeszcze jednego procesu prowadzonego w Izraelu. Wzrost liczby antychrześcijańskich incydentów ma miejsce, gdy izraelski Ruch Osadniczy, ożywiony obecnością swoich sojuszników w rządzie, wydaje się wykorzystywać ten moment by rozszerzyć swoją działalność w stolicy.

Głównym celem Ruchu Osadniczego, istniejącego od lat 40., jest umacnianie żydowskiej obecności na ziemiach biblijnych, włączając w to obszary na Zachodnim Brzegu Jordanu, Wzgórza Golan i Wschodnią Jerozolimę. Mówiąc krótko, według Ruchu tereny te powinny być żydowskie i niczyje inne. A problemem nie są wyłącznie zamieszkujący te tereny muzułmanie – sporą część z tych terytoriów, szczególnie w Jerozolimie, zajmują albo chrześcijańskie hotele czy restauracje, albo świątynie. Rządzący Izraelem nie mówią jednak wprost o wysiedlaniu – przyjęli retorykę dotyczącą konieczności ochrony przeszłości, zabytków i... natury.

Nieprzypadkowo rząd Netanjahu dąży do przekształcenia należących do chrześcijan terenów na Górze Oliwnej w... park narodowy.

Jedną z najbardziej radykalnych grup w Ruchu Osadniczym jest ugrupowanie o nazwie Ateret Cohanim. Przedstawiciele tej grupy wprost mówią o konieczności stopniowego wysiedlania z miasta zarówno muzułmanów, jak i chrześcijan.

Ateret Cohanim działa często na granicy legalności, używając podstawowych osób, łapówek i szantażu w procesie zakupu nieruchomości. Organizacja posiada niemałe finanse, częściowo dzięki wsparciu bogatych Amerykanów, którzy wspierają grupy izraelskich osadników.

JAK ŚWIĘTY SZCZEPAN

Przez wieki Ziemią Świętą władały różne imperia, w tym rzymskie, bizantyjskie, arabskie, trwała pod panowaniem krzyżowców, co wpłynęło na historię i rozwój chrześcijaństwa w tym regionie. Wspólnoty chrześcijańskie odgrywały ogromną rolę w kształtowaniu tożsamości kulturowej i społecznej w Ziemi Świętej. A trwały w niej od zawsze – od dni śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. W VII w. islamskie podboje doprowadziły do muzułmańskiej dominacji w Ziemi Świętej, co wpłynęło na pozycję chrześcijan w regionie – z przerwami – praktycznie aż do zakończenia drugiej wojny światowej. Mimo to na ziemiach tych przez wieki istniały wspólnoty chrześcijańskie, chociaż ich wielkość i status zmieniały się w zależności od czasu i okoliczności.

I to właśnie dziś, w XXI w., najbardziej ponoć tolerancyjnym, demokratycznym, inkluzywnym i szanującym mniejszości stuleciu w dziejach świata, chrześcijanie mogą zniknąć z Jerozolimy, Nazaretu i Betlejem. Przy milczeniu albo i nawet pokłasku postchrześcijańskiego świata zachodniego. I to wcale nie z winy muzułmanów.

Warto o tym pamiętać, szczególnie gdy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wspominać będziemy św. Szczepana. To wszak pierwszy chrześcijanin, którego siłą „wyrzucili poza miasto i kamienowali” (Dz 7,58). Tym miastem była właśnie Jerozolima.

A historia, jak wiemy, lubi się powtarzać.

© 2024 Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

NIE DAJ SIĘ RZĄDOWEJ PROPAGANDZIE!

Poznaj odpowiedź na szalone pomysły
ekonomistki, którą zachwyca się nasz premier.



ZESKANUJ KOD QR
I ZAMÓW KSIĄŻKĘ

Seria *Bliźnięta Tuttle* pomaga dzieciom
w wieku 5 – 11 lat poznać świat,
ekonomię i idee wolnościowe.



Zeskanuj kod i zamów
książki z serii „Bliźnięta Tuttle”



Więcej znajdziesz na stronie:
sklep.mises.pl

Fundacja Instytut Edukacji Ekonomicznej im. Ludwiga von Misesa
Szerzymy wiedzę ekonomiczną w społeczeństwie i kształcimy elitę polskich ekonomistów.



KAROL GAC: Wybory parlamentarne za nami. PiS zdobył ponad 7,5 mln głosów, co dało mu pierwsze miejsce. Jednocześnie obóz Jarosława Kaczyńskiego oddaje władzę. Jak pan patrzy na to, co się wydarzyło?

JÓZEF ORZEŁ: Ostrzegałem, że to może się tak skończyć. Jednak i mnie zaskoczyło, że tak dużo młodych ludzi pójdzie zagłosować, i to przeciw PiS, oraz, że 20 proc. starszych wyborców zostanie w domach, bo uzna, iż opozycja utrzyma politykę społeczną PiS. Sam wynik Prawa i Sprawiedliwości nie jest niespodzianką, bo według badań moich kolegów, które PiS znał, ale nie przyjmował ich do wiadomości, maksimum tej partii w sondażach to było 37,5 proc., choć w badaniach zdarzało się i ponad 40 proc.

Rekordowa frekwencja chyba też była sporym zaskoczeniem?

Bez wątpienia. To trzecia niespodzianka. Badania pokazywały wzrost frekwencji, ale nie aż tak duży. Widać było dużą mobilizację opozycji i demobilizację elektoratu PiS. A ta partia po to uruchomiła referendum, aby podnieść frekwencję, bo sądziła, że to jej służy. Okazało się, że jest odwrotnie. W przeszłości wyższa frekwencja działała na rzecz PiS.

PiS wygrał wybory, ale przegrał władzę, bo nie miał koalicjanta. Co do tego doprowadziło?

Brak zdolności koalicyjnych cechował PiS od zawsze, ponieważ to partia ideologiczna, która uważa, że reprezentuje całość prawdy, a wówczas nie ma miejsca dla partnera. Skoro prawda powinna przyciągać, to powinniśmy automatycznie mieć samodzielną większość. PiS nigdy nie szanował koalicjantów. Wchłoniął ich wszystkich, ostatnio Gowina i Ziobrę, a wcześniej LPR i Samoobronę, ale niewiele mu z tego przyszło, bo w 2007 r. przegrał wybory. Najwyraźniej zatruł się przystawkami. Jeśli myśli się, że ma się całą prawdę i w dodatku wygrywa się wybory, to zaczyna rosnąć pewność siebie, którą najlepiej oddaje fałszywe przekonanie, że „nie mamy z kim przegrać”.

Czyli arogancja władzy.

Absolutnie tak. I pycha. A jak wiemy, pycha kroczy przed upadkiem.

Pamiętam jednak Jarosława Kaczyńskiego, który kilka miesięcy przed wyborami mobilizował



**Z Józefem Orłem,
filozofem i ekonomistą,
założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac**

PiS trzeba zdecentralizować



struktury PiS i mówił, że nic nie jest rozstrzygnięte. To chyba pokazuje, że świadomość sytuacji w kierownictwie była?

Jarosław Kaczyński miał tę świadomość, a i kilka osób mu na to zwracało uwagę. Tyle tylko, że takie wyznanie świadczy również o bezsilności. Będąc liderem partii, nie wystarczy powiedzieć aparatowi, co ma robić. Trzeba mieć narzędzia i bodźce, które to umożliwiają.

Nie wystarczy więc powiedzieć, ale trzeba to też wyegzekwować?

Owszem, ale żeby to zrobić, trzeba mieć „jak” i „czym”, a z tym był problem. Mówi pan, że Jarosław Kaczyński zdawał sobie z tego sprawę, co potwierdzam, ale to on był liderem nieszczęśliwego pomysłu „piątki dla zwierząt”.

Od niego zaczęły się wszystkie późniejsze problemy PiS.

Ta propozycja zaczęła przynosić powolny rozkład poparcia dla PiS na wsi i w małych miasteczkach. Pamiętam pęknięcie w samym PiS, odejście Jana Krzysztofa Ardanowskiego i zawieszenie grupy młodych konserwatystów. To nie jest tak, jak się PiS wydawało, że możemy trochę stracić ludzi na wsi i to co najwyżej przedsiębiorców – hodowców futrzaków. Nie. Ludzie odczytali to właściwie – PiS uderza w tożsamość, w przedsiębiorczość Polaków. Dlatego to się odłożyło na później i dało o sobie znać w ostatnich wyborach.

PiS ten problem próbował ugasić wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.

O, właśnie. To był drugi nieszczęśliwy krok. Wszystko było zgodne z prawem i konstytucją, bo taka jest linia orzecznicza, co potwierdzały zresztą wcześniejsze TK, ale nie w tym rzecz. Politycznie to był błąd, to była klęska. To było pokazanie milionom Polaków, że w życiowych dylematach, które młodzi Polacy miewają, PiS staje tylko po jednej stronie – zgodnej z nauką Kościoła i postawą religijną, ale to tych dylematów nie rozwiąże. A jeśli Polak i Polka zdecydowali się na aborcję, to PiS czynił ich winnymi, odbierał im prawo do decyzji oraz sam za nich rozstrzygał ich problemy. Do ruchu antyaborcyjnego nie dociera, że nie wystarczy mieć racji i prawa za sobą. Trzeba jeszcze zorganizować



FOTO: MICHAŁ WIDZIMAK / EAST NEWS



■ taką kompleksową i przyjazną politykę wsparcia kobiet, która pokaże im zamiast aborcji inne drogi wyjścia z ich dylematów. W efekcie mieliśmy więc ogromne protesty. Ta reakcja również się odłożyła w czasie i zobaczyliśmy jej efekty podczas wyborów. PiS więc walczy z potworami, które sam stwarza.

Zalóżmy, że tak było. To jednak i tak praprzyczyny problemów. Co z samą kampanią? PiS był w niej różny – najpierw prezentował nowe pomysły i program, a później skupił się na Donaldzie Tusku. W ostatniej rozmowie z „Do Rzeczy” mówił pan, że twardy kurs jest złym pomysłem. Tymczasem PiS utrzymał go do samego końca, uderzając na końcu w Konfederację.

Cały PiS był za tym programem pozytywnym, więc nie tu leży przyczyna. Problemem był stosunek do przeciwnika. Trudno walczyć się ze wszystkimi, więc ze wszystkich ulepiono najgorszego wroga – Donalda Tuska. Problem w tym, że wówczas przestaje się widzieć resztę problemów, a to ostatecznie zdecydowało o wyniku wyborów. Za twardym, zero-jedynkowym kursem szli wszyscy, którzy zawsze szli za Jarosławem Kaczyńskim. Opór był w małej części aparatu i doradców.

Może tych głosów przeciwnych nie było dlatego, że o kursie zdecydował sam Jarosław Kaczyński?

Tak. Problem z autorytarnym kreatorem jest taki, że najpierw tworzy on coś z niczego. Tak Jarosław i Lech Kaczyńscy stworzyli PiS. A potem trzeba mieć całą władzę, by ktoś nie poprowadził PiS w złym kierunku, jak przedtem PC. Co innego jednak być wszechwładnym szefem partii opozycyjnej, w której pole władzy państwowej jest małe, a co innego, gdy partia staje się monopolistą władzy nad państwem. W pojedynkę rządzić dużym krajem się nie da. Jarosław Kaczyński nie zbudował realnych szczebli pośrednich. Mieliśmy rząd, ale był on w pełni dyspozycyjny wobec woli prezesa PiS. To musiało się tak skończyć. Dwie kadencje to i tak długo. Trzy to byłby cud.

Czyli niezależnie od tego, co by PiS pokazał, to i tak oddałby władzę?

Nie. Jeśli poszedłby drogą obsługiwaną swojego twardego i miękkiego elektoratu, to wygrałby te wybory.

Ale dlaczego nie poszedł?

Bo nie chciał. Pycha poprowadziła go wyłącznie w twardym kierunku. Spójrzmy na grupy społeczne, które PiS pominął. Nie miał specjalnego programu dla wsi i małych miasteczek, który by odbudował pozytywny stosunek do małej przedsiębiorczości. Nie zobaczył w rolnikach przedsiębiorców, którzy ryzykują zdrowie i majątek, by zbudować coś dla swojej rodziny. W PiS w ogóle nie funkcjonuje pojęcie „przedsiębiorczości rodzinnej”, co przecież dla partii chadeckiej powinno być clou programu. Jeśli się tego nie widzi, to nie widzi się klasy średniej – fundamentu demokracji rynkowej, milionów miniprzedsiębiorców, czyli ludzi pracujących na siebie, niebędących ciężarem dla państwa, a więc niezależnych. W ogóle PiS się do nich nie odezwał. W dodatku to system państwowy zmusił część tych ludzi do pracy w trybie jednoosobowej działalności gospodarczej. To sól ziemi polskiej i to na nich powinna się opierać prawicowa partia. Za chwilę idą wybory samorządowe, więc jeśli PiS zostawi odłogiem, jak zawsze, samorządność i samorządowców, to przegra i te wybory.

Idźmy krok dalej. Prezydent powierzył misję tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu. Można wskazać, po co PiS potrzebny był ten czas, ale mam też wrażenie, że ten spektakl momentami wyglądał groteskowo. PiS długofalowo zyska? Straci? A może to w ogóle bez znaczenia?

Sądzę, że PiS to się opłaciło, bo potrzebny był czas na oswojenie się z szokiem porażki. Jednak nie ma to żadnego znaczenia politycznego. Za chwilę się o tym zapomni. To nie jest tak, że naród czekał na ustawy od nowego rządu, które mu coś dadzą. Niczego takiego nie będzie. Wbrew atmosferze i krzykom to nie ma znaczenia.

Rola prezydenta niewątpliwie wzrosła, a jego pozycja jeszcze urośnie. Nie bez znaczenia jest też to, że Marcin Mastalerek został szefem gabinetu. Andrzej Duda odegra w przyszłości jakąś rolę na prawicy?

Marcin Mastalerek przyszedł po to, by otworzyć drogę do dalszej kariery politycznej Andrzeja Dudy w kraju. Tyle tylko, że prezydent nie jest na to jeszcze gotów. Być może da sobie na to czas, bo to nie jest łatwe, by z najwyższego stanowiska w państwie zostać jakimś

wicekrólem. Niedługo zobaczymy, czy ta droga prowadzi do PiS. Pokażą to decyzje prezydenta w sprawie ustaw nowego rządu. Jeśli będzie grał twardo, jeśli będzie je wetował, to w PiS się to spodoba, a Andrzej Duda zostanie jedną z ważnych figur na szachownicy tej partii.

Jarosław Kaczyński stwierdził, że w przyszłym roku PiS będzie już miał nowego prezesa. Niezależnie od tego, co nastąpi, otwiera to pole do spekulacji. Jakie wnioski wyciągnie PiS z wyborów? Dokona się jego wewnętrzna przemiana i zobaczy my inną partię?

Wybór jest dramatyczny. To nie chodzi o to, jak zmienić kierowanie PiS, ale jak zmienić sam PiS, bo trzeba zmienić jego program, jego stosunek do rzeczywistości. Jeśli się nie widzi swojej większości – przedsiębiorców, młodych kobiet, mieszkańców wsi i małych miast – to nie da się wygrać wyborów. PiS teraz ma program tylko dla mniejszości, co naród pokazał w wyborach.

Jednak 7,5 mln głosów to spory potencjał polityczny, a w tle mamy jeszcze ponad 10 mln oddanych głosów w referendum. Do tego kondycja PiS jest inna niż PO, gdy oddawała władzę po dwóch kadencjach. Może ten obraz nie jest więc aż tak dramatyczny?

Jest, bo na PiS zagłosowało 35 proc. Polaków. Jeżeli nie ma się koalicjantów, to się przegra każde kolejne wybory. Trzeba mieć program dla zdecydowanej większości. Trzeba zobaczyć klasę średnią, dylematy młodych kobiet, i to nawet jeśli się ich nie podziela. Jeśli odrzuca się młode kobiety, to skreśla się też młodych mężczyzn, którzy z nimi żyją. Do tego często dochodzą rodzice młodych kobiet, ich przyjaciele itd. To wiele milionów ludzi, którzy teraz chcą głosować. A do tego, jeśli się opowiada, że to rząd państwa tworzy pomyślność narodu, a nie ludzie przedsiębiorczy, którzy ponoszą ryzyko swojej działalności, to jak ma się zdobyć większość? Nie mówiąc o tym, że miękki elektorat PiS zmęczył się arogancją nacji w TVP.

PiS zapomniał też chyba o swoim ideowym elektoracie. Wystarczy wspomnieć o wyborcach mieszkających przy granicy z Ukrainą. Tam PiS stracił.

Tej części elektoratu nie podobało się, że PiS jest za bardzo i za długo proukraiński, nie zważając na konflikty i konkuren-



cyjność ze strony naszych gości. Z jednej strony jest to korzystne dla gospodarki, ale z drugiej rodzi napięcia. Rośnie też irytacja młodych kobiet, które czują konkurencję matrymonialną ze strony młodych Ukrainek.

W ostatnich tygodniach kampanii PiS zrobił zwrot w sprawie polityki ukraińskiej i postawił na twardy kurs. Teraz obserwujemy strajk polskich przewoźników i jego konsekwencje.

Zwrot był spóźniony. W dodatku Polska w słusznej idei wspólnej obrony przed Rosją widziała Ukrainę jako kraj, któremu świadczyć się pomoc, a niczego się od niego nie wymaga. Zamiast transakcyjnej mieliśmy zero-jedynkową politykę, która nie zdarza się nigdzie. Władze Ukrainy szybko się do tego przyzwyczaiły i stały się wobec nas roszczeniowe.

Widzę u pana na półce „Polskę na wojnie” Zbigniewa Parafianowicza, który pokazał kulisy relacji polsko-ukraińskich. W pewnym momencie Ukraińcy uznali nas po prostu za miękkich.

To prawda. Zapomnieliśmy, że w każdej polityce, świadcząc komuś jakieś korzyści, trzeba zadbać o swoje. To był błąd i w tym upatruję spadek poparcia dla PiS w południowo-wschodniej części kraju – tradycyjnym mateczniku PiS.

Wróćmy do pytania o przyszłość PiS. Jakie wnioski wyciągnie Jarosław Kaczyński? Czy partia jest zdolna do zmiany kursu i wewnętrznej ewolucji?

To wymaga głębokiej zmiany, ponieważ PiS był i jest partią mocno hierarchiczną, a trzeba go zdecentralizować, uznać – na tym polega mój stary spór z kierownictwem PiS – że samorząd to podstawa państwa, jego pierwsze piętro. To oznacza zmianę tożsamości partii. Nie sądzę, żeby to się udało zrobić w ciągu paru miesięcy, które nas dzielą od wyborów samorządowych. Nie widzę w PiS ochoty do wielkiej zmiany.

Równocześnie PiS chce tworzyć ruch ochrony suwerenności Polski w obronie przed przekształcaniem się UE w superpaństwo. Problem w tym, że PiS w swojej historii i tożsamości nigdy nie popierał ruchów społecznych, ale raczej je marginalizował i uzależniał. Przykładem są tu Kluby „Gazety Polskiej”, Ruch Kontroli Wyborów, Akademicki Komitet Obywatelski. Pytanie więc, jak PiS da sobie z tym radę. Chyba że uzna, iż wystarczy marketingo-

Jeżeli nie ma się koalicjantów, to się przegra każde kolejne wybory

wy lifting, co byłoby zabójcze dla Polski, dla PiS i jego kierownictwa. W dodatku krajowy ruch społeczny nie wystarczy, PiS musi budować jeszcze dwa europejskie: ruch przeciw centralizacji UE w obronie państw narodowych i blok polityczno-militarny dla obrony przed Rosją (wewnątrz UE i NATO, ale z Ukrainą).

W historii autorytarni władcy kończyli różnie. Raczej ich obalano.

Otóż to. Przypomnijmy, jakie marzenie miał Jarosław Kaczyński. Chciał zostać emerytowanym zbawcą ojczyzny. A teraz zarówno jej suwerenność, jak i innych krajów UE, szczególnie sąsiadów Rosji, jest zagrożona, a PiS jest w opozycji, nie rządzi. Żeby spełnić marzenie, Jarosław Kaczyński musi przebudować PiS, by znów mógł wygrywać wybory.

Tylko co z PiS po Jarosławie Kaczyńskim? Model namaszczenia czy raczej rozbić dzielnicowe i powrót prawicy do stanu z lat 90.?

Sądzę, że odpada wariant namaszczenia, bo ta partia nie jest na to gotowa. Namaszczonego sprowadzono by od razu na ziemię, zostałby co najwyżej jednym z liderów partii podzielonej na księstwa. Jedynym realnym wariantem jest to, by Jarosław Kaczyński, wraz ze swoim otoczeniem, tę partię zmienił na taką, która odpowiada interesom większości Polaków. To oznacza także zmianę jakościową jej wewnętrznej hierarchii, decentralizację i demokratyzację. Dopiero wtedy realne jest skuteczne przekazanie komuś władzy w partii. I mam nadzieję, że w państwie.

Spójrzmy na drugą stronę barykady. Mamy nową koalicję i rząd Donalda Tuska. Za nami pierwsze decyzje w parlamencie. Czego się pan spodziewa po nowym rządzie, ale i po PiS w opozycji?

Rysuje się bardzo ciekawy okres dla analityków i trudny dla Polaków. Mamy wojnę na Ukrainie, którą Kijów zacznie wolno przegrywać. Zachód powinien

znów zwiększyć pomoc dla Ukrainy. Zakończy się to zapewne jakimś niepisanym i niedotrzymywanym rozejmem, zmniejszeniem sankcji na Rosję, a to przyspieszy centralizację UE i zwiększenie w niej roli Brukseli oraz Berlina, przy jednoczesnym zmniejszeniu wagi mniejszych państw narodowych. Zwłaszcza że Polska pod rządami Donalda Tuska nie będzie tego procesu blokować. Prawica zapewne wzmocni się w wyborach do PE, ale nie na tyle, by mieć w nim większość, więc wojna o władzę w UE jeszcze bardziej się zaostrzy. Mamy dwa procesy, które są niekorzystne dla Polski, i rząd, który nie reprezentuje w tych sprawach twardego podejścia PiS.

PiS może więc ulec pokusie, by się w ogóle nie zmieniać i iść wyłącznie w kierunku narracji o obronie suwerenności kraju. W nadziei, że Polacy prędzej czy później zobaczą, z jakimi kosztami się to wiąże, i wrócą do PiS. Tak się jednak nie stanie, bo koalicja rządząca zrobi wszystko, by PiS do władzy nie wrócił. Będzie udawać, że kontynuuje prospołeczną politykę PiS i będzie opowiadać bajki o korzyściach płynących z centralizacji UE i o wzroście naszego bezpieczeństwa. W sytuacji, gdy UE wróci częściowo do resetu z Rosją.

Opozycja szła do władzy z hasłem obalenia i rozliczenia PiS. Do tej pory w polityce z takich zapowiedzi niewiele wynikało. Jednak teraz Donald Tusk postara się, aby PiS już nie wrócił do władzy. Jak pan na to patrzy? Czekają nas igryzaski polityczne?

Zadaniem Donalda Tuska faktycznie jest to, by PiS nigdy do władzy nie wrócił, by go marginalizować. Jedną z metod będzie tworzenie przez komisje śledcze negatywnego obrazu marketingowego tego, co się działo za rządów PiS. Przed Trybunałem Stanu będziemy mieli jednak komedię. Większość zarzutów, które podnosi wobec PiS nowa większość, to nie są zarzuty karne, a tylko polityczne. One się nie ostoja przed TS, a od tego jest – i była – decyzja wyborców przy urnie. Ponieważ jednak komisje śledcze stworzą potężny show polityczny, PiS powinien do komisji wysłać fighterów, którzy pokażą, że racje polityczne są rozłożone po obu stronach, a rządzącym chodzi wyłącznie o zniszczenie przeciwnika.



TVP znów w starych koleinach



Piotr Semka

Media liberalne zbudowały w latach 1989–2023 tak wiele własnych instytucji, za którymi stały solidne podstawy finansowe, że w stosunkowo dobrym stanie przetrwały osiem lat rządów dobrej zmiany. Nic dziwnego, że teraz koalicja Platforma-Trzecia Droga-Lewica zadba o odpowiednie umeblowanie mediów publicznych. I mało kto będzie się oburzał na ich upolitycznienie

Wszelkie wątpliwości znikają. O żadnej spokojnej, apolitycznej przebudowie TVP raczej nie ma mowy. Zmiany na stanowiskach kierowniczych koordynowane są przez polityków, a TVP pod władzą ministra Bartłomieja Sienkiewi-

cza będzie meblowana twardą ręką. Na Woronicza i na plac Powstańców wracają ludzie telewizji z epoki Jana Dworaka i Juliusza Brauna, których dodatkowo wspierać będzie zaciąg z TVN i częściowo z Polsatu. A kwestii pluralizacji mediów, którą niedawno poruszył Jacek Żakowski

jako warunek realnego pojednania, nie podjął nikt w obozie liberalnym. Intelktualną prowokację Żakowskiego potraktowano wręcz jako groźną myślozbrodnię. W tle tej debaty powraca pytanie, w jakim stopniu PiS wykorzystał osiem lat swych rządów do wzmocnienia pluralizmu medialnego w Polsce.

SŁODKIE SŁÓWKA I BRUTALNE REALIA

„Nie ma solidarności bez miłości”. „Nigdy jeden przeciwko drugiemu”. „Żyjemy w świecie niebezpiecznym, co wymaga odbudowy wspólnoty”. „Jeśli będziemy podzieleni nadal, tak jak to jest teraz, to tak, jakby nas było dwa razy mniej”. „Będziemy was szanować nawet wtedy, kiedy zrobicie wszystko, aby was nie szanować”. Te zdania z exposé premiera Donalda Tuska mogłyby na kimś, kto nie



zna realiów polskiej polityki, sprawić wrażenie szczerej oferty powyborczej rekonsyliacji. Jednocześnie media podają coraz bardziej szczegółowe informacje o przygotowanych przez Tuska zmianach w TVP. Z jednej strony cytowane są „dobrze poinformowane osoby” na temat listy gwiazd TVP, które zakwalifikowane są do natychmiastowego zwolnienia. Z drugiej – znów na zasadzie cytowania bliżej nieokreślonych kręgów decyzyjnych – dowiadujemy się o kandydatach koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica do obsady czołowych stanowisk w TVP. „Do końca tego tygodnia nowa koalicja wybierze kandydata na prezesa Telewizji Polskiej – informuje portal Wirtualnemedia.pl. – Wiadomo [...], że »Wiadomościami« ma pokierować Paweł Płuska, dziennikarz z TVN, a Telewizyjną Agencją Informacyjną Grzegorz Sajór, który z TVP związany był przez 26 lat”.

W licznych przekazach medialnych na nowego prezesa TVP typuje się Tomasza Syguta, który w telewizji pracował poprzednio od lutego 2011 r. do końca 2015 r. Ostatnio Sygut pracował w Miejskich Zakładach Autobusowych w Warszawie jako szef marketingu. Każdy, kto zna realia polityczne w warszawskim ratuszu, wie, że stanowiska w spółkach obsadzane są według klucza partyjnego Platformy Obywatelskiej. A jednak żadne z mediów, które podaje informacje o domniemanej nominacji dla Tomasza Syguta, nie zwraca uwagi, że szefem telewizji zostałby obecny podwładny prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. W świetle prezydenckich ambicji gospodarza Warszawy wsadzenie „swojego człowieka” na dziewięć piętrowego gmachu na Woronicza byłoby sporym atutem dla Trzaskowskiego.

Charakterystyczne jest też milczenie mediów – zarówno branżowych, jak i politycznych – na temat podawanego bez najmniejszego zdziwienia faktu, że obsadę stanowisk TVP ustala nowa koalicja. Bez jakichkolwiek komentarzy informujemy się, że PSL ma ochotę na Polskie Radio, a Lewica ponoć na Polską Agencję Prasową. Oczywiście przy nielicznych dyskusjach na ten temat pojawia się argument, że PiS w dokładnie podobny sposób meblował media publiczne. Tyle że argument depolitycznienia mediów powtarzany był przez ostatnie osiem lat przez

W czasach PiS widz mógł wybierać między stacją z Wiertniczej i nadawcą z Woronicza. Teraz „nowy zaciąg walterowski” skłoni TVN-owskie wzorce do TVP

opozycję niemal jak mantra. Co więcej, tak błyskawiczne plany odwojowania mediów przy absolutnym lekceważeniu jakichkolwiek zasad prawnych nie wywołują żadnych obiekcji mediów liberalnych.

W pośredni sposób legitymizuje to ex post sposób, w jaki PiS zdobywał kontrolę nad mediami publicznymi w latach 2016–2023. Tyle że różnica jest jednak podstawowa. Bardzo wielu krytyków telewizji Jacka Kurskiego, a potem Mateusza Matyszkowicza przyznawało jednocześnie, że za rządów PiS doszło do pewnej równowagi medialnej. Kto chciał, oglądał TVP, a kto chciał, wybierał TVN lub Polsat. Teraz ta równowaga będzie zlikwidowana.

NARUSZENIE TABU

Doprawdy Jacek Żakowski, publicysta, który wielokrotnie pochwalał spychanie prawicy na margines życia politycznego, zapisze się w historii sporów o kształt polskich mediów. Jako jeden z niewielu publicystów zadał swoim kolegom podstawowe pytanie: „Czy nie macie żadnych wątpliwości, wprowadzając totalną uwarunkowaną ideową w mediach publicznych?”. Słowa Żakowskiego: „Nie mam ochoty na rolę okupanta w mediach publicznych” zdemaskowały de facto totalistyczne zapędy polityków z obozu Tuska, Kosiniaka-Kamysza, Hołowni i Czarzastego.

Zresztą bardzo charakterystyczny jest sam pomysł przeniesienia z TVN do TVP przyszłego szefa „Wiadomości”. O ile w czasach PiS widz mógł wybierać między stacją z Wiertniczej i nadawcą z Woronicza, o tyle teraz „nowy zaciąg walterowski” skłoni TVN-owskie wzorce do telewizji publicznej. Być może Żakowski zakładał, że zostawienie PiS jednego z wielu kanałów mogłoby się okazać opłacalnym interesem dla nowej

władzy. Może zakładał, że „PiS-owski” kanał będzie nadawał w tonacji „obłązionej twierdzy”, że na jej tle protusko-wa „Jedynka” błyszczeć będzie jeszcze jaśniejszym blaskiem.

O wiele istotniejsza jest furia, z jaką Żakowskiego odsądzono od czci i wiary, ubierając go w kostium „kryptopisowca”. Jednym z najbardziej perfidnych zarzutów wobec Żakowskiego było świętoszkowate oburzenie, że nieprawomyślny publicysta wspiera „upartyjnienie” jednego z kanałów. Działo się to równolegle z pierwszymi sygnałami wskazującymi, że rozdział podstawowych stanowisk w TVP jest elementem ustaleń koalicji Platforma-Trzecia Droga-Lewica.

Polemikę z Żakowskim podjął Bartosz Wieliński, który wyrasta obecnie na czołowego kreatora linii „Gazety Wyborczej”. Odrzucił on tezę Żakowskiego, że 7,5 mln wyborców PiS nie może być ot tak, z dnia na dzień, pozbawionych reprezentacji swoich poglądów w mediach publicznych. Wieliński ripostował: „Z tego, co pisze Żakowski, wynika, że w Polsce funkcjonują równolegle dwa społeczeństwa. To, które poparło opozycję demokratyczną, i to, które głosowało na PiS. Nie rozumiem, dlaczego Żakowski traktuje je równorzędnie. Wynik wyborczy PiS jest przecież efektem nieuczciwej kampanii wyborczej, przed którą PiS manipulował przepisami i do której zaprzął cały aparat państwa, każdą spółkę Skarbu Państwa i każde publiczne i podporządkowane medium [...]. Sorry, ale nie mamy więc w Polsce pisowskiego społeczeństwa. Mamy rzeszę ludzi, których PiS nie był w stanie oszukać za pomocą zalewającej państwo propagandy [...]. A zatrucia trzeba leczyć, zaczynając najpierw od odcięcia źródła skażenia”.

Wieliński, kreując wizję 7,5 mln Polaków przykutych jakimś niewidzialnym łańcuchem do telewizorów z programem TVP, tworzy tezę, która jest bałamutna i nieuczciwa. Wyborcy partii Jarosława Kaczyńskiego byli wolnymi ludźmi, żyjącymi w wolnym kraju, w którym do wyboru mieli dziesiątki mediów wspierających opozycję i stacje telewizyjne, które przedstawiały rzeczywistość w najróżniejszy sposób. W wywiadzie z dwoma socjologami – Przemysławem Sadurą i Sławomirem Sierakowskim – których przepytowała niedawno „Gazeta



Wyborcza”, padły bardzo realistyczne słowa: „Większość naszych rozmówców głosujących na PiS ogląda i TVP, i TVN. Czyli nie to, że są oszukani, oni sobie po prostu wybierają, w co uwierzą”. Teza Wielińskiego o wielomilionowej rzeszy głupców, którzy zostali omamieni, przypomina tezy propagandy stanu wojennego, która widziała w 10 mln członków NSZZ „Solidarność” sprzed 13 grudnia 1981 r. ludzi, których omamiły Wolna Europa i elementy antysocjalistyczne.

STARE MELODIE

Na naszych oczach powraca styl dominacji obozu liberalno-lewicowego w mediach publicznych, który trwał przez większość epoki 1989–2015. Dziennikarze wspierają władzę partii „obozu okrągłostołowego”, czyli od lewicy poprzez ludowców do kolejnych mutacji Unia Demokratyczna – Unia Wolności – Platforma, szczerze, ale bez zbytniej ostentacji. To metoda kreująca dziennikarzy o bardzo wyrazistych sympatiach politycznych na fachowców telewizyjnych, którzy po prostu wybierają rzeczy ważne, a rzeczy nieistotne pomijają. I tak się zazwyczaj dziwnie składa, że te rzeczy ważne są korzystne dla rządów liberalno-lewicowych, a te nieważne to fakty, które mogą danej ekipie zaszkodzić.

Na tej właśnie taktyce robiły karierę postacie, które teraz, jak wynika z doniesień prasowych, szykują się do objęcia stanowisk na Woronicza i na placu Powstańców. Wirtualna Polska podaje, że nowym szefem „Panoramy” zostać ma Jarosław Kulczycki, który opuścił TVP w styczniu 2016 r. Wirtualna Polska wymienia też nazwiska Marka Czyża, Beaty Tadli, Macieja Czajkowskiego czy Leszka Krawczyka. Jak podaje portal, wrócić mogą też byli dziennikarze TVP, którzy po 2016 r. znaleźli schronienie w Polsacie Zygmunta Solorza, tacy jak Marek Czunkiewicz, Michał Cholewiński, Jacek Gasiński czy Igor Sokołowski.

Nie zdziwię się, jeśli wszystkie te nazwiska czytelnikom „Do Rzeczy” nie kojarzą się specjalnie. Nic dziwnego. Telewizja Kurskiego, a potem Matyszkowicza uczyniła ze swej wyrazistości i ofensywności swoisty znak firmowy, który wykreował takie gwiazdy jak Michał Rachoń, Danuta Holecka, Marek Adamczyk czy Samuel Pereira, ale naznaczył je bardzo wyrazistym

piętnem politycznego zaangażowania. Na tym tle wcześniejsi „wieczni” administratorzy przekazu proplatformerskiego w TVP woleli unikać fleszy i świateł kamer. Faktycznie zaś bardzo zaangażowani w lansowanie Platformy i PSL tacy prezenterzy jak Michał Czyż, Beata Tadla czy wspomniany już Jarosław Kulczycki byli wykreowani po prostu na „dobrych i dociekliwych telewizyjnych fachowców”, a nie żadnych politycznych zagończyków. Temu służył strumień nagród Grand Press, który wywindował dziennikarzy zaangażowanych we wspieranie obozu liberalno-lewicowego do poziomu laureatów nagród, które przyznawały kolegia złożone w dużej mierze z równie zaangażowanych politycznie autorytetów medialnych.

Przykład kandydata na prezesa TVP, który przetrwał złe czasy na całkiem intratnej posadzie w spółce podległej ratuszowi warszawskiemu, jest dobrym unaocznieniem tego, jak Platforma dbała o swoich ludzi

PiS lekcewał ten konwenans i szedł na skróty. Teraz zderzy się z odbudowaną telewizją w stylu epoki Jana Dworaka, który był prezesem w latach 2004–2006, a potem epoki Juliusza Brauna, prezesa TVP w latach 2011–2015. W TVP np. za rządów Dworaka tolerowane były programy listki figowe, jak np. „Warto rozmawiać” Jana Pospieszalskiego. Pozwalano sobie nawet na zapraszanie niekiedy niektórych przedstawicieli mediów prawicowych, ale w ściśle limitowanej liczbie i zawsze w programach prowadzących, którzy pilnowali, by taki zaproszony gość nie miał zbyt wiele pola do manewru.

DZIENNIKARZE WYKLĘCI

To bardzo charakterystyczne, że wszyscy dziennikarze wymieniani teraz jako kandydaci na odwojowanie Woronicza i placu Powstańców po opuszczeniu TVP w latach 2015–2016 poznajdowali

sobie ciepłe miejsca na przeczekanie niekorzystnej koniunktury. Przykład kandydata na prezesa TVP, który przetrwał złe czasy na całkiem intratnej posadzie w spółce podległej ratuszowi warszawskiemu, jest dobrym unaocznieniem tego, jak Platforma dbała o swoich ludzi. To samo można powiedzieć o przypadkach Beaty Tadli, Marka Czyża czy Pawła Płuski.

Ulubiony slogan kpiarzy z „Gazety Wyborczej”, że prawnicy dziennikarzy niech zakładają sobie nowe media i wykażą się sprawnością na wolnym rynku, jest efektywnym, ale bardzo nieuczciwym chwytem. W wypadku mediów podległych koncernowi Springera czy amerykańskim właścicielom TVN mowa jest o firmach, które dysponują budżetami nieosiągalnymi dla przykładowo TV Republiki. Wypominane prawniczym mediom ogłoszenia ze spółek Skarbu Państwa to nie są sumy, które mogą budować byt biznesowy na długie lata. Owszem, po prawej stronie długa jeszcze trwać będą dyskusje, czy PiS mógł zrobić coś, aby zbudować silne niezależne media o charakterze konserwatywnym. Partia Jarosława Kaczyńskiego poszła na skróty, wybierając skupienie się na mediach publicznych, jednocześnie pilnowanie, by jak najdokładniej współbrzmiały one z przekazem rządzącej partii. Ale błędem jest przekonanie, że dałoby się zbudować w ciągu nawet ośmiu lat giganty równające się z Polsatem, koncernem Ringier Axel Springer czy amerykańskie konsorcja stojące za TVN.

Media liberalne zbudowały w latach 1989–2023 tak wiele własnych instytucji, za którymi stały solidne podstawy finansowe, że w stosunkowo dobrym stanie przetrwały osiem lat rządów dobrej zmiany. Nic dziwnego, że teraz koalicja Platforma-Trzecia Droga-Lewica zadba o odpowiednie umebłowanie mediów publicznych. I mało kto będzie się oburzał na ich upolitycznienie. Szansą prawicy będzie więc Internet, choć i tu zapewne z czasem tworzone będzie ustawodawstwo, które służyć będzie eliminowaniu nieprawomyślnych z sieci. Ale życie nie znosi próżni. Jeśli nawet jakaś część 7,5-milionowego elektoratu PiS ulegnie reedukacji, to ludzka ciekawość i inwencja zawsze wygrywają z tendencjami do ujednolicenia debaty publicznej. I to musi budzić nadzieję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wodniesieniu do byłego premiera Donalda Tuska oraz ministrów Jacka Cichockiego, Bogdana Klicha, Tomasza Siemoniaka i Bartłomieja Sienkiewicza Komisja rekomenduje niepowierzenie im zadań, stanowisk i funkcji publicznych związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo państwa – to najważniejsze zdanie, które znalazło się w opublikowanym 29 listopada raporcie Komisji do spraw Badania Wpływów Rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne RP w latach 2007–2022. Raport został ujawniony półtora miesiąca po wyborach, a dwa tygodnie przed niemal już pewnym zaprzysiężeniem Donalda Tuska na premiera. Podpisała go cała komisja – bez Józefa Brynkusa, który wcześniej złożył rezygnację.

Wszystkich pozostałych ośmiu członków komisji odwołano tego samego dnia i nastąpiłoby to zapewne i tak, nawet gdyby raport się nie ukazał. Przewodniczący komisji, prof. Sławomir Cenckiewicz, wyjaśniał tego dnia, że publikacja raportu była konsekwencją złożenia wniosków o odwołanie członków komisji, a nie odwrotnie. Zaznaczał, że raport opiera się na jawnych materiałach, które odtajniono niedługo wcześniej. Co tu naprawdę było przyczyną, a co skutkiem – trudno jednak stwierdzić. Raportu, liczącego sobie (wraz z przypisami i bibliografią) 104 strony, z pewnością nie pisze się w dzień czy dwa.

Skoro w raporcie znalazły się tak jednoznaczne i stanowcze rekomendacje, to trzeba sobie zadać pytanie, jaką ma on rangę. Otóż niewielką. Nie jest to bowiem pełny raport roczny, którego stworzenie zakłada ustawa o komisji. Nie jest to również przewidziana przez art. 14 ustawy decyzja administracyjna. Przede wszystkim zaś raport nie jest owocem postępowania przed komisją, opisanego w artykułach 20–40. To ważne, ponieważ w toku postępowania komisja jest uprawniona do przeprowadzenia „rozprawy”. Słowo „rozprawa” trzeba tu pisać w cudzysłowie, gdyż ta procedura, tak jak została opisana w ustawie, nie miałaby nic wspólnego z rozprawą przed sądem, jako że byłaby prowadzona z pogwałceniem powszechnie obowiązujących w wymiarze sprawiedliwości reguł, takich jak in dubio pro reo. Mimo

to dopiero ona pozwalałaby na sformułowanie bardziej kompleksowych wniosków dotyczących konkretnych osób.

Gdy komisję tworzone, a następnie w sierpniu powoływano jej członków, zastanawiano się, czy zostanie przed jej oblicze wezwany Donald Tusk, a jeśli tak, to czy się stawi. Oczekiwano teatru, w wyniku którego w ostateczności byłego przewodniczącego Rady Europejskiej mogłaby nawet przed oblicze komisji doprowadzić policja (po dwukrotnym niestawieniu). Dopiero w następstwie „rozprawy” komisja mogłaby wydać decyzję administracyjną

dostępu do informacji niejawnych na okres do 10 lat oraz zakaz zajmowania stanowisk związanych z dysponowaniem środkami publicznymi na ten sam czas. Zatem jedynie po „rozprawie”, i to jedynie w pierwszej wersji ustawy, komisja mogłaby formalnie i skutecznie utrudnić komukolwiek zajmowanie stanowiska premiera czy ministra.

Skąd tak stanowczo brzmiąca rekomendacja personalna w raporcie niemającym żadnej mocy prawnej? W podsumowaniu raportu czytamy o tym, że Służba Kontrwywiadu Wojskowego za czasów rządów Platformy Obywatelskiej,

Polityka antyrosyjska



Łukasz Warzecha

Komisja do spraw Badania Wpływów Rosyjskich zaczęła licytację na antyrosyjskość, która dla polskiej polityki zagranicznej jest skrajnie szkodliwa. To m.in. ona wpełnęła nas w absurdalnie proukraiński kurs

stwierdzając, że postępowanie osoby stojącej przed komisją pozostawało pod wpływem rosyjskim i było skierowane przeciw interesowi Rzeczypospolitej. Ta decyzja, po nowelizacji ustawy zgłoszonej przez pana prezydenta, nie pociągałaby za sobą jednak skutków, takich jak przewidziano w pierwotnej wersji ustawy. W jej pierwszej postaci – przypomnijmy – komisja miała prawo do zastosowania „środków zaradczych”, będących w istocie środkami karnymi. Wśród nich było cofnięcie poświadczenia o prawie

pod kierownictwem generałów Janusza Noska i Piotra Pytla, nawiązała i utrzymywała zbyt szerokie oraz bezzasadne kontakty z Federalną Służbą Bezpieczeństwa Rosji, a osoby nadzorujące, czyli Tomasz Siemoniak jako szef MON oraz Donald Tusk jako prezes Rady Ministrów, sprawowały nad tą sytuacją niedostateczny nadzór.

Istotne jest również następujące zdanie z podsumowania raportu: „Świadomą dezinformacją są liczne, publiczne wypowiedzi byłych szefów



■ SKW – gen. bryg. Janusza Noska i gen. bryg. Piotra Pytla – przypisujące rządowi RP w latach 2015–2023 daleko posuniętą uległość wobec wpływów rosyjskich, a nawet agenturalność na rzecz FR, przy jednoczesnym pomniejszaniu znaczenia kontaktów i współpracy SKW–FSB z lat 2010–2014, tj. z okresu, kiedy obaj kierowali SKW”. To ważne, ponieważ pokazuje, że komisja postanowiła swoim raportem dać odpór zdeklarowanym przeciwnikom PiS, lansującym faktycznie całkowicie absurdalne tezy o bliskości tej partii wobec Rosji. Szczególnie warto tu przypomnieć groteskowy wręcz, słynny wywiad gen. Pytla dla „Gazety Wyborczej”, w którym były wiceszef SKW tworzył konstrukcje myślowe niewiele odbiegające od szaleńczych wizji Tomasza Piątka, byle dowieść, że partia Jarosława Kaczyńskiego działała na korzyść Rosji.

Pytanie brzmi, czy faktycznie zadaniem komisji powinno być wdawanie się we w gruncie rzeczy publicystyczne spory z krytykami partii do niedawna rządzącej. Przywoływane bowiem przez autorów raportu wypowiedzi szefów SKW za czasów PO, choć nazywane dla nadania im pozorów powagi „dezinformacją”, są tylko opiniami i interpretacjami – powiedzieć, że naciągany, to powiedzieć zbyt mało, ale jednak niczym więcej niż opiniami. Nie powinny zatem być materiałem na oficjalną polemikę komisji. Inna sprawa, że udział jej prze-



współpraca miała sens i była uzasadniona? Tego nie sposób stwierdzić, patrząc z zewnątrz. Problem z debatą na temat tego typu przedsięwzięć, który doskonale ilustruje właśnie raport komisji, polega na przedstawianiu różnic koncepcji politycznych jako zdrady państwa. Temu służył cząstkowy raport komisji. I to jest bardzo groźne podejście.

Rząd PO po przejęciu władzy w 2007 r. zaprezentował odmienną strategię relacji z Rosją niż ta realizowa-

Porozumienie zawarte między SKW a FSB wpisywało się w tę strategię.

Można było powiedzieć wtedy i można powtórzyć dzisiaj, że była to strategia błędna i zarazem bardzo naiwna. Lecz czy można uznać, że opierała się na zdradzie polskiego interesu? A tak prezentuje ją komisja, choć nie wprost, bo raport dotyczy tylko jednego jej elementu. Gdyby przyjąć taki sposób patrzenia, trzeba by uznać, że jeżeli dany obóz polityczny postanawia realizować inną politykę zagraniczną niż jego poprzednicy, to ci poprzednicy mają prawo grzmieć o zdradzie polskiego interesu. A może też powołać komisję i starać się zorganizować ją tak, żeby w formalny sposób mogła utrudnić politycznym oponentom powrót do władzy. To absurd. Na tej zasadzie – czysto teoretycznie – ktoś mógłby uznać, że rzecznicy skrajnie proukraińskiej polityki, tacy jak Jakub Kumoch czy Paweł Kowal, dokonali zdrady, działali pod wpływem ukraińskim i w związku z tym należy w formalny sposób zakazać im obejmowania w przyszłości jakichkolwiek urzędów. Owszem, można uznać diagnozy i działania obu tych polityków za skrajnie dla Polski niekorzystne, ale to jeszcze nie znaczy, że jakieś politycznie przyporządkowane gremium miałyby ich formalnie odsuwać od funkcji.

Trzeba także zadać sobie pytanie, czy raport powinien w ogóle ujawniać to, co

Czy raport w ogóle powinien ujawniać takie dokumenty zebrane w jednym miejscu? Wygląda na to, że chęć uderzenia w politycznego przeciwnika była silniejsza niż ostrożność

wodniczącego, prof. Cenckiewicza, w realizacji serialu „Reset” i tak podważył już wcześniej tezę o zachowaniu przez niego, a tym samym przez całą komisję, jakiegokolwiek bezstronności w analizowaniu dokumentów i faktów.

WSPÓŁPRACA SŁUŻB?

Jednym z głównych zarzutów, które pojawiają się w raporcie i są tam obszernie uzasadniane, jest współpraca pomiędzy FSB a SKW, prowadzona na podstawie formalnie zawartej umowy. Czy taka

na wcześniej przez PiS. Teza była taka, że PiS nie umiał z Rosją rozmawiać i się z nią dogadać, podczas gdy rząd Donalda Tuska będzie to potrafił. Temu miał służyć – by sięgnąć po termin z serialu Rachonia i Cenckiewicza – reset, którego praktycznym wykonawcą był Radosław Sikorski jako minister spraw zagranicznych. W jego ramach próbowano nawiązać z Rosją względnie partnerskie stosunki, a minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Siergiej Ławrow był częstym gościem w Warszawie.



zbiera w jednym miejscu. Dokumenty tego typu są bez wątpienia bardzo uważnie czytane przez służby zainteresowane poznaniem naszych metod i błędów. Wygląda jednak na to, że chęć uderzenia w politycznego przeciwnika była silniejsza niż ostrożność.

WPADKI I BŁĘDY

Inna sprawa, że wiarygodność raportu sama w sobie pozostawia wiele do życzenia. Okazało się bowiem, że skompilowana przez jego autorów i umieszczona w nim lista rzekomych oficerów FSB, którzy mieli odwiedzać siedzibę SKW, jest pełna błędów. Kilka spośród wymienionych osób okazało się nie Rosjanami, ale Ukraińcami, Słowakami, Chorwatami. Powstało wrażenie, jakby autorzy albo nie wiedzieli, o czym piszą, albo na siłę dosztukowali do listy osoby niezwiązane z FSB tylko po to, żeby lista była wystarczająco długa i robiła odpowiednie wrażenie. Nie wiadomo, które wyjaśnienie jest gorsze.

O tym, dlaczego komisja łamie normy państwa prawa, pisałem już jakiś czas temu w „Do Rzeczy”. Jej ofiarą mógł paść praktycznie każdy, kto w jakikolwiek sposób miał do czynienia ze sferą publiczną – nie tylko osoba decyzyjna. Opozycja nazywała ustawę powołującą komisję „lex Tusk”, ponieważ zależało jej na podkreśleniu, że jest to atak skiero-

wany specjalnie na przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Czy faktycznie tak było? Rekomendacje personalne zawarte w raporcie mogłyby to potwierdzać, aczkolwiek sceny, które w Sejmie towarzyszyły odwoływaniu członków gremium, ukazują szerszy kontekst.

Pomiędzy przedstawicielami nowej koalicji i wkrótce opozycji doszło do groteskowej licytacji na zdjęcia. Przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy i Koalicji Obywatelskiej obchodzili salę sejmową, pokazując zdjęcia Władimira Putina z Donaldem Tuskiem i Lechem Kaczyńskim z Siergiejem Ławrowem. Ten spektakl nie miał żadnej wartości merytorycznej, był za to przykładem patologicznej wojenki na argumenty „ad Putinum” i licytacji na to, kto jest bardziej antyrosyjski. Ta licytacja jest dla polskiej polityki zagranicznej skrajnie szkodliwa. To m.in. ona wepchnęła nas w absurdalnie proukraiński kurs, wskutek czego Polska nie była w stanie dopilnować w relacjach z Kijowem własnego interesu. Skutki tego widzimy teraz na polsko-ukraińskiej granicy. Wydaje się zatem, że jednak nie tylko o Donalda Tuska tutaj chodziło, lecz także właśnie o uczynienie ze stosunku do Rosji kryterium decydującego. Tyle że komisji zabrakło czasu, żeby tę strategię w pełni wdrożyć. Ostatecznie uderzyła jedynie w kilka najważniejszych osób z obozu nowej koalicji.

Rekomendacja personalna wymienia, oprócz Tuska, Tomasza Siemoniaka, Bartłomieja Sienkiewicza, Jacka Cichockiego i Bogdana Klicha. Siemoniak i Klich byli ministrami obrony, Sienkiewicz – szefem MSWiA, Cichocki natomiast przez jakiś czas także ministrem spraw wewnętrznych, a później szefem kancelarii premiera.

Pytanie brzmi: Na co liczyli autorzy raportu, umieszczając w nim zalecenie, aby nie powierzać wskazanym osobom „zadań, stanowisk i funkcji publicznych związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo państwa”? W praktyce oznaczałoby to przede wszystkim, że przewodniczący PO nie mógłby objąć funkcji premiera, a żadna z wymienionych osób nie mogłaby prawdopodobnie zostać powołana na funkcję rządową. Jacek Cichocki jest już dzisiaj nowym szefem Kancelarii Sejmu. Niewykluczone, że musiałby tę funkcję stracić. Czy autorzy raportu serio liczyli, że spowoduje on, iż koalicja, która wygrała wybory, naprawdę nie będzie mogła stworzyć rządu pod takim kierownictwem, które uznaje za stosowne? Trudno sobie wyobrazić, że którykolwiek z członków komisji mógłby wierzyć w tak fantastyczny scenariusz.

Chodziło więc najpewniej o to, żeby dać przyszłej opozycji do ręki argument „ad Putinum” i dalej eskalować ten właśnie – wyjątkowo szkodliwy – sposób walki z politycznym przeciwnikiem. Przedstawiciele PiS będą mogli mówić: „Dowiedliśmy, że ci ludzie nie powinni sprawować funkcji publicznych, a mimo to je objęli. Będą działać na korzyść Rosji”.

Pamiętajmy jednak, że Komisja do spraw Badania Wpływów Rosyjskich nadal istnieje. Wystarczy, że nowa większość zechce ją obsadzić osobami z przeciwnego rozdania niż dotychczasowe, żeby wektory się odwróciły. Bardzo łatwo można sobie wyobrazić w jej składzie nie tylko Tomasza Piątka, specjalistę od rysunkowych schematów mających dowodzić rzekomego sprzyjania Moskwie przez polityków PiS, lecz także wymienionych w raporcie komisji byłych oficerów SKW: Piotra Pytla czy Janusza Noska. Wtedy groteska wejdzie na nowy poziom. Tylko Polski szkoda.



Zuzanna Dąbrowska

Nowa, lepsza twarz polskiego parlamentaryzmu czy PR-owska wydmuszka? Szymon Hołownia w roli marszałka Sejmu stał się bezsprzecznie gwiazdą pierwszych tygodni tej kadencji, wywołując skrajne opinie. Jedno jest pewne – przygotowywał się do tego od dawna

Kocham go, kocham go, naprawdę! Jest niesamowity, nie spodziewałam się. Profesjonalny, przygotowany. Wszyscy o tym wiemy, ale to trzeba podkreślić. I ten showman jeszcze w nim – to jest takie połączenie, którego ja się nie spodziewałam – w ten sposób marszałka Hołownię wychwalała pogodynka stacji TVN Dorota Gardias. Z wypowiedzi celebrytki przebijają być może nadmierne, ale raczej szczerze ekscytacja i zachwyt. Opinia Gardias stanowi jednocześnie dobre podsumowanie pierwszych tygodni Sejmu X kadencji, którym rządzi były prowadzący „Mam talent!”. Obrady izby biją rekordy popularności na YouTube, TikTok pełen jest filmików z Hołownią w roli głównej, a portale prześcigają się w tekstach poświęconych liderowi Polski 2050. „Szymon Hołownia zyskał nowy przydomek. Oznacza: Silny, odważny, ideał piękna”, „Mistrz cichej riposty. Najlepsze teksty Szymona Hołowni”, „Szymon Hołownia skradł serca młodzieży w Krakowie”, „Szymon Hołownia z córką w Sejmie. Zdjęcie bawi do łez” – to tylko niektóre z tytułów artykułów publikowanych przez największe serwisy.

– Mam nadzieję, że jest w stanie zrobić coś dla ludzi. Przede wszystkim żebyśmy się wszyscy zaczęli lubić, szanować, doceniać, taktownie do siebie odnosić, ze zrozumieniem, pięknie się różnić i dawać przykład młodemu pokoleniu, żeby młode pokolenie mogło na nas patrzeć z podziwem, a nie z odrazą. Dzięki talentowi Hołowni być może zmieni się ten trend – mówił aktor Michał Żebrowski.



Nie dziwi, że nowy marszałek Sejmu ma pełne wsparcie środowiska celebryckiego związanego z TVN. Sam się z niego wywodzi.

FAJNOKATOLIK

Szymon Hołownia urodził się w 1976 r. w Białymstoku. Ukończył Społeczne Liceum Ogólnokształcące Społecznego Towarzystwa Oświatowego, które to odwiedził pod koniec listopada, niedługo po wyborze na marszałka Sejmu. Absolwenta powitano z honorami. Dyplomem uczelni wyższej nie może się pochwalić. Zanim wszedł do polityki, Hołownia pisał dla „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka”, „Rzeczpospolitej” oraz „Wprost”. Rozpoznawalność zyskał jako „publicysta katolicki”. Jest autorem licznych, pisanych lekkim i przystępnym językiem książek o tematyce religijnej – m.in. „Kościół dla średnio zaawansowanych”, „Tabletki z krzyżykiem”, „Bóg. Życie i twórczość”.

Jego relacja z Kościołem katolickim jest długa i pełna zakrętów. Dwukrotnie był w dominikańskim nowicjacie. – Raz gdzieś przebywałeś, a raz nie, bo dochodzisz do wniosku, że to nie jest twoje miejsce, ale nadal zachowujesz o nim wdzięczną pamięć i fantastyczne relacje z ludźmi. Przy pierwszym razie nawaliło mi zdrowie. Za drugim doszedłem do wniosku, że to nie jest moje miejsce. Nie złożyłem żadnych ślubów, nie doszedłem w ogóle do takiego etapu. Był to czas interesujący i pełen wrażeń – opowiadał po latach w jednym z wywiadów.

W latach 2007–2012 Szymon Hołownia pełnił funkcję dyrektora programowego stacji Religia.tv. To właśnie w tamtym czasie zaprezentował się jako „fajnokatolik” i przedstawiciel „Kościoła otwartego”. Hołownia stanął w opozycji wobec katolicyzmu kojarzonego z o. Tadeuszem Rydzykiem i nieustępliwym konserwatyzmem. W ankiecie przepro-



Nie wszyscy są zachwyceni nowym, rotacyjnym marszałkiem. Dla wielu Szymon Hołownia (na zdjęciu) jest PR-owskim wytworem postpolityki, który brak programu i konkretnych pomysłów na Polskę maskuje showmańskimi zagrywkami FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

show

wadzonej przez Macieja Pieczyńskiego dla tygodnika „Do Rzeczy” z okazji 1050. rocznicy Chrztu Polski Szymon Hołownia stwierdził, że nie jesteśmy narodem bez skazy moralnej: „Przyjęcie chrztu oznaczało dla Polski wejście w obręb cywilizacji, w której nawet o sprawach tak przyziemnych jak ekonomia czy polityka decyduje (a przynajmniej: powinien decydować) altruizm, myślenie w kategoriach dobra drugiej osoby. Nie tylko nam nie zawsze udawało się tej moralnej zasady trzymać. Mówi się, że Polska była i jest państwem bez stosów. Ale przecież my dziś potrafimy stawiać stosy bez podkładania ognia. Niszczymy swoich wrogów. Nawet jeśli nie siłą fizyczną, to zapiekłą i nieprzejednaną nienawiścią”.

Jednym z najczęściej przypominanych nagrań z przeszłości Hołowni jest wywiad, którego w 2010 r. udzielił mu podróznik Wojciech Cejrowski. – Jak Jezus spotykał cudzołożnicę, to nie mówił do

niej „ty dziwko”, tylko zaczynał rozmowę w troszeczkę inny sposób. Pan przychodzi do homoseksualistów i mówi „jesteście pedziami”. Jak po czymś takim toczyć rozmowę, którą toczył Jezus? – pytał Hołownia swojego gościa. – To jest metoda dialogu, która go kończy – dodał. Podczas rozmowy obecny marszałek wyraził swoje jasne stanowisko na temat aborcji. – Aborcerzy, czyli ludzi, którzy dokonują aborcji, dokonują zabójstwa. Mordercy – stwierdził. – Jeżeli chodzi o aborcję, to zastanawiam się, czy toczenie tego typu debat ma sens. My będziemy krzyczeć na nich, że są mordercami; oni będą krzyczeć na nas, że jesteśmy wariatami. A zaniedbana zostanie kobieta, która nie odnajdzie się w niczym wrzasku. A my będziemy walczyć o to, żeby czuć się prawi, moralni – mówił Hołownia.

Gdy Wojciech Cejrowski stwierdził, że dziennikarz dopuszczając aborcję w jakiegokolwiek formie, „wykluczył się

z Kościoła”, ten odparł: „Moim zdaniem pan się wyklucza z Kościoła, twierdząc, że jest jego sercem, podczas gdy jest słupem granicznym”. – Aborcja zawsze i pod każdym względem jest złem. Marzę o tym, żeby była zakazana. Ale dopóki żyję w społeczeństwie, w którym ludzie mają różne poglądy w tej sprawie, dopóty muszę, niestety, próbować z nimi negocjować. Skończy się tak, że przyjdzie lewica i przegłosuje ustawę, która zezwoli na zabijanie wieluset tysięcy dzieci – ostrzegął w 2010 r. Szymon Hołownia.

Dziś reprezentuje Trzecią Drołę, która nie tylko chce cofnąć orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego wykluczające tzw. aborcję eugeniczną, lecz także kwestię liberalizacji prawa aborcyjnego poddać pod referendum. – Wiemy, jakie jest stanowisko społeczeństwa. A więc wiemy, że najprawdopodobniej skończy się ono liberalizacją – mówił bez żalu lider Polski 2050 w listopadzie. Hołownia



■ prezentuje zupełnie inne poglądy niż 13 lat temu. Dopuszcza dokonywanie aborcji, gdy ciąża zagraża rzekomo zdrowiu psychicznemu kobiety. – Zdrowie psychiczne to tak samo poważna sprawa jak zdrowie fizyczne – podkreśla.

Bardzo ważnym etapem na drodze zawodowej Szymona Hołowni było współprowadzenie z Marcinem Prokopem przez ponad dekadę show „Mam talent!” w stacji TVN. Choć w duecie tym odgrywał rolę „moralisty”, tego bardziej wyważonego i spokojnego, to wyraźnie zaczął oddalać się od poprzedniego wizerunku zbyt bogobojnego jak na wielkomiejskie standardy. Widzowie go lubili, bo odznaczał się refleksem i poczuciem humoru. Stacja zaczęła angażować Hołownię do kolejnych projektów. Zatrudniono go w roli jednego z gospodarzy programu opartego na formule ukrytej kamery – „Mamy cię”. Przez pewien czas Szymon Hołownia prowadził też przegląd prasy w śniadaniowym formacie „Dzień dobry TVN”. Z religijnego publicysty przeobraził się w pełnoprawnego TVN-owskiego showmana i celebrytę.

„ŚMIESZEK” IDZIE PO WŁADZĘ

Gdy w 2019 r. pojawiły się pogłoski, że Szymon Hołownia ma zamiar ubiegać się o prezydenturę, nie wszyscy potraktowali je poważnie. Postrzegany był jako telewizyjny śmieszek, ewentualnie „kato-celebryta”. Tymczasem 8 grudnia 2019 r. w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim Hołownia oficjalnie ogłosił start w wyborach prezydenckich zaplanowanych na 2020 r. – Czas na człowieka, który przychodząc z dołu, naprawi to, co zostało zepsute na górze, i połączy podzielonych ludzi. Człowieka, który całą energię poświęci na budowanie nowej Polski. Chodźcie ze mną – nawoływał wtedy. – Trzeba przeprowadzić przyjazny rozdział Kościoła od państwa – i mówię to jako katolik. Tego nie będzie w stanie przeprowadzić ktoś, kto wywodzi się z partii – postulował Hołownia.

Media donosiły, że kampanię miała finansować Dominika Kulczyk, jednak bizneswoman zaprzeczyła. Inne, powtarzane do dziś teorie głoszą, że „Hołownia polityk” to projekt nikogo innego, jak samego Donalda Tuska. Z jednej strony lider Platformy Obywatelskiej przyciąga w ten sposób do obozu „anty-PiS” wyborców niechętnych jemu samemu, a z drugiej

Szymon Hołownia stał się pierwszym przedstawicielem nowej koalicji, który dostał do ręki realne narzędzia władzy

osłabia wewnętrzną konkurencję w osobie Rafała Trzaskowskiego. Nie jest bowiem tajemnicą, że prezydent Warszawy chciałby zawalczyć o fotel prezydenta Polski.

Niedługo po prezentacji w Gdańsku Szymon Hołownia przedstawił program wyborczy skupiony na czterech obszarach: bezpieczeństwie narodowym, ochronie środowiska, solidarności społecznej oraz samorządności i działalności obywatelskiej. Szefem jego sztabu wyborczego został Jacek Cichocki, były minister w rządzie Tuska, a obecnie szef Kancelarii Sejmu. W trakcie kampanii Hołownia zapowiedział powołanie ruchu społecznego Polska 2050, który następnie przeobraził się w partię polityczną.

Szymon Hołownia od początku chciał jawić się jako kandydat „spoza” – systemu, układu, „starej” polityki. Budował strukturę opartą na wolontariuszach i ekspertach. Powołał think tank Strategie 2050 odpowiedzialny za przygotowywanie kierunków programu formacji. W wyborach prezydenckich zaskoczył, uzyskując trzeci wynik – 13,87 proc.

Z perspektywy czasu widać, że nie była to porażka, ale początek budowanej cierpliwie pozycji politycznej. W poprzedniej kadencji parlamentu Szymonowi Hołowni udało się „wyciągnąć” posłów z innych klubów i stworzyć liczące sześć osób koło parlamentarne Polska 2050. Przetrwał cztery lata bez własnego klubu, a w wyborach 2023 r. jego formacja wraz z PSL zanotowała nadspodziewanie dobry wynik.

13 listopada 2023 r. został wybrany na fotel marszałka Sejmu. Lewicowo-liberalna część opinii publicznej – dosłownie – oszalała na jego punkcie. Stał się pierwszym przedstawicielem nowej koalicji, który dostał do ręki realne narzędzia władzy. – Przyszedłem do polityki spoza polityki. Nie znam jej trików, ale znam jej sens. Polityka to nie przemoc. Polityka to troska – mówił w pierwszym wystąpieniu w nowej roli. Choć Szymon

Hołownia wciąż pozuje na nieopierzanego samouka, to widać, że sztukę PR opanował do perfekcji. Szybko zapowiedział, że uruchomi własny podcast (w pierwszym odcinku przedstawił „tajemnice” sali plenarnej). Wie, czym żyje Internet – chętnie korzysta z Instagrama i TikToka, publikując też momenty prywatne. – Drodzy państwo, zaopatrzenie się w popcorn solidnie na najbliższy wtorek i środę, bo przypuszczam, że będzie się działo i dużo emocji, ale też dużo dobra na koniec tego będzie – tak zachęcał do śledzenia obrad Sejmu, który zaczął być określany żartobliwie „Sejmflixem”.

– Szymon Hołownia doskonale potrafi utrzymać publikę, wywołać i podtrzymać emocje, puścić idealną ripostę do Morawieckiego czy Suskiego, która później pójdzie wiralem. Oglądający tego oczekują, a on robi to z premedytacją – komentował dla portalu wyborcza.biz Wojciech Kardyś, ekspert do spraw komunikacji internetowej i social media. – Ja się powinienem cieszyć, że tyle tego hype’u, tego fame’u, ale takiego dobrego, nie, że ludzie życzliwi są, że się uśmiechają, a mnie to przeraża miejscami bardziej, niż cieszy. Myślę sobie: „Jezus Maria, tylko żebyście broń Boże nie pomyśleli, że to jest o mnie”. To jest o tym, jak fantastyczna jest Polska, jak fantastyczny jest ten Sejm, jak fantastyczni wy jesteście, żeście poszli na te wybory [...], a ja się po prostu zaplątałem w tę historię. I dobrze się bawię, nie przeczę – mówił Hołownia w Białymstoku.

WYTWÓR POSTPOLITYKI?

Nie wszyscy są zachwyceni nowym, rotacyjnym marszałkiem. Dla wielu Szymon Hołownia jest PR-owskim wytworem postpolityki, który brak programu i konkretnych pomysłów na Polskę maskuje showmańskimi zagrywkami. Stanowi kwintesencję tego, co kryje się pod hasłem „fajnopolak”.

Czy moda na Sejm i jego marszałka jest chwilowa? – Nie da się utrzymać popularności tego spektaklu na dłuższą metę. Teraz mamy do czynienia z takimi wynikami oglądalności, bo jesteśmy w trakcie budowy rządu. Potem przyjdzie rzeczywistość. Bardziej będziemy patrzyli na polityków pod kątem rozliczenia ich z wyborczych obietnic – ocenia ekspert do spraw public relations dr hab. Dariusz Tworzydło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Boże Narodzenie, czas szczególnej refleksji, także o tych, dla których staropolski zwyczaj każe pozostać przy wigilijnym stole wolne nakrycie. Ten świąteczny nastrój udzielił mi się na tyle, że pozwalam sobie dziś na coś, czego zwykle unikam – choć, proszę tego wyzwania nie brać za „gwiazdorzenie”, jestem często zachęcany i pytany. Na tzw. ton osobisty. Ponieważ redakcyjne doświadczenie uczy, że lubią państwo w świątecznych numerach różnego rodzaju subiektywne alfabety i rankingi, pozwalam sobie przedstawić swój „alfabet idoli” – ludzi, których podziwiam bądź w różnych okresach życia podziwiałem, a przede wszystkim, którzy mnie ukształtowali, zwłaszcza te moje cechy, które państwo znają.

BRADBURY, RAY

Skłamałbym, twierdząc, że „451 stopni Fahrenheita” było pierwszą czy największą fascynacją lekturową mojej młodości. Takich fascynacji było wiele, nie sposób dziś policzyć, tym bardziej że gust stopniowo mi się zmieniał – ale podziwiając wielu różnych autorów, zwykle nie mówiłem sobie: tak właśnie chciałbym pisać. W wypadku Bradbury’ego zaś – owszem. Poza tym z czasem mój szacunek dla tej powieści stale rósł, gdy – już jako bardziej publicysta polityczny niż prozaik – obserwowałem narastanie „politycznej poprawności”, lewackiej cenzury, mnożenie się „prześladowanych” i roszczeniowych mniejszości, mediokrację oraz ogólne zidiocenie Zachodu, czyli wszystko to, co pokazał i zanalizował Mistrz już w wydanej w roku 1951 powieści o paleniu książek.

CONRAD, JOSEPH

Nikt lepiej nie zdefiniował powinności literatury: wymierzyć widzialnemu światu najwyższą sprawiedliwość, wydobywając na jaw prawdę. Nigdzie nie zostało lepiej opisane bolesne przejście od dzieciństwa do dojrzałości niż w „The Shadowline”, nigdzie nie wskazano bardziej celnie, co nas czyni ludźmi cywilizowanymi i trzymającymi w postawie wyprostowanej, niż w „Heart of Darkness”, gdzie na dodatek, podobnie jak w „Nostromo”, doskonale przewidział polski szlachcic, rzucony w przestwór oceanów, świat globalizacji, w którym

Osobisty ranking idoli



Rafał A. Ziembkiewicz

Pozwalam sobie przedstawić swój „alfabet idoli” – ludzi, którzy mnie ukształtowali

dziś żyjemy, i duchowe skutki tej sytuacji. Już za samo to można wybaczyć pisarzowi przyciężki z dzisiejszego punktu widzenia styl i plątanie wątków. A ja na dodatek znalazłem w Conradzie, poza wzorcem pełnienia pisarskiej służby i mądrością „paru prostych prawd”, bohatera literackiego, który nieodparcie skojarzył mi się z moim Tatą.

JĘCZMYK, LECH

Współczesny Sokrates, z którym zetknięcie się w odpowiednim momencie życia uważam za wielkie szczęście i dar Opatrzności. Jęczmyk napisał i wydrukował niewiele, znacznie więcej przetłumaczył – najwięcej powiedział. Jego książki, fascynujące erudycją i bogactwem skojarzeń, proszę mi wierzyć, dają zaledwie cień tego zachwyty, jakim było obcowanie z nim osobiście. W pewnym sensie był też ostańcem dawnych, zniszczonych przez społecznościówki czasów biesiad i konwersacji, nocnych rodaków rozmów, żywego słowa i osobistej interakcji. Nie powiem, górował wiedzą i elokwencją nad rozmówcami, ale nie znaczy to, żeby tym ostatnim wyznaczał

rolę tylko biernych słuchaczy. Byliśmy w tych rozmowach stroną aktywną choćby po to, by z iskrzenia, wątplenia i dopytywania mogły rodzić się nowe jęczmykowe teorie, hipotezy i skojarzenia, łączące zdarzenia historyczne, idee i osoby niepostrzegane jako mające ze sobą cokolwiek wspólnego. Nie wszystkie te teorie uważam za trafne, ale wszystkie były odkrywcze i zmuszające do intelektualnych wysiłków. Niekiedy ponad siły. Zwłaszcza że z wiekiem Leszek oddalił się w dziedziny metafizyki, co wielu odebrało jako popadnięcie w dewocję i odpadło.

KARPISZ, TADEUSZ

Tak jak Jęczmyk z Sokratesem, tak „Tadeo” kojarzy się mi się z Diogenesem. Wyrzucony z pracy nauczyciel z wielkim powołaniem i talentem pedagogicznym, poeta z zasady odmawiający publikowania swych wierszy, z wyboru bezdomny, wiecznie bez kasy i z wybujałym freudowskim pociąganiem do samozniszczenia, wprowadził mnie w świat literatury i szeroko rozumiane go dorobku kulturowego ludzkości.



■ A wiedział na te tematy wszystko i znał na pamięć chyba wszystkie dzieła literackie, jakie kiedykolwiek powstały. To on właśnie zaraził mnie zwyczajem nieustannego wplatania w wypowiedzi rozmaitych cytatów. Nasza wzajemna relacja, Mistrza – lumpenartysty i ucznia – literackiego filistra, marzącego o pisaniu bestsellerów, oparta była na dziwnej mieszanke podziwu dla samego Karpisza i żywiołowej niechęci do jego stylu życia. Wiedziałem, że nigdy nie chciałbym nim być, choć chciałbym być tak mądry i wrażliwy na literaturę jak on. Jako zaprzyjaźniony ze wszystkimi brat łąta, zawsze bez trudu znajdujący „wprowadzającego” do warszawskich „gribojedów”, zaszczepił mi też przewrotnie tak ważną dla mojego życiorysu, żywiołową niechęć do środowisk, z których parę lat później Michnik zaczął lepić swoje „światło elity demokratycznej Polski”. Dzięki Karpiszowi wchodziłem do SPATiF-u, Klubu Dziennikarza i innych takich miejsc, ale zamiast ludzi, którzy umieliby czymkolwiek zaimponować, spotkałem tam, z nielicznymi wyjątkami (wspaniały nawet u swego schyłku Janasz Kofta), tylko bełkoczących, zdeprawowanych pijacków. A symbolem owych elit pozostała dla mnie na zawsze słowa kelnera, zapytanego przez Tadka, dlaczego w zamkniętym dla pospółstwa „z ulicy” Klubie Dziennikarza na Foksal wyłączono fontannę: „Sanepid kazał, bo klienci ciągle do niej szczał”.

LIMBAUGH, RUSH

Był największym odkryciem mojego pierwszego pobytu w USA, na stypendium National Forum Foundation w połowie lat 90. O fenomenie amerykańskiego „talk radio” w ogóle nikt wtedy w Europie nie słyszał. O tym, że po przejęciu przez wielkie korporacje, a co za tym idzie, przez rój lewicowych liberałów, wszystkich „wiodących” mediów „radio gadane” na falach średnich stało się ostoją konserwatywnej kontrrewolucji, która szybko doprowadziła do stworzenia „kontraktu z Ameryką” Newta Gingricha i jego zwycięstwa, nie chciano wiedzieć tym bardziej. A cały ten sukces był, bez przesady, skutkiem energii, wygadania i mądrości jednego człowieka, który po prostu usiadł pewnego dnia przed mikrofonem i zaczął mó-

wić ludziom, jak jest, w imię zdrowego rozsądku i tradycyjnych amerykańskich wartości roznosząc w strzępy narracje postępowców i ich samych. I mówił tak przekonująco, błyskotliwie i mądrze, że jego dwugodzinny program zaczęły retransmitować kolejne stacje, aż zrobiło się ich prawie 500, a grono stałych, codziennych słuchaczy („dittoheads”, jak ich nazywał – do dziś to „ditto” zostało mi jako ulubiona internetowa odzywka) urosło do ponad 20 mln. Szybko uzależniłem się od radiowego programu Rusha codziennie przed południem i jego wieczornego show telewizyjnego przed zaśnięciem. Do dziś pozostaje on dla mnie krzepiącym duszę dowodem, że cierpliwie powtarzane i daj Boże błyskotliwe, zdroworozsądkowe Słowo jest w stanie na długą metę wygrać z propagandowym wrzaskiem i emocjonalnymi manipulacjami korporacyjnych mediów.

MICHALKIEWICZ, STANISŁAW

W życiu nie zamierzałem pisać felietonów i komentarzy politycznych. Ale kiedy wyszedłem z wojska i zastałem Polskę zmienioną, zdałem sobie sprawę, że pisanie fantastyki ze źródła zarobków zmieniło się w hobby. Postanowiłem dorobić sobie pisaniem do gazet i tak trafiłem do „Najwyższego Czasu!” Korwin-Mikkego. Przypadkiem akurat pozbyto się tam felietonisty z ostatniej strony, więc z głupia frant, niemal na „dzień dobry”, dostałem coś, na co zwykle czeka się latami – właśnie ów felieton, który nazwałem sobie (śląd po dopiero co odbytej służbie wojskowej) „Zero zdiwier”. O pisaniu felietonów miałem pewną wiedzę teoretyczną, wyniesioną ze studiów, ale, wstyd powiedzieć, nigdy wcześniej nie interesowałem się twórczością klasyków; felietonowy dorobek Kisiela, Prusa, Stonimskiego i Nowaczyńskiego poznałem dopiero później, w ramach „doksztātu zawodowego”, kiedy uświadomiłem sobie, że pisanie do gazet nie tylko będzie chwilową chałturą, lecz także staje się moim przeznaczeniem. Na razie moim wzorem stały się teksty faktycznego redaktora naczelnego tygodnika. Imponowała mi jego lekka fraza, jakby nieco „przedwojenna” w swej grzeczności, rzadka umiejętność zbluzgania wziętego na cel kretyna bądź łachudry bez użycia jednego mocnego



słowa, erudycja, bogactwo skojarzeń, przykładów, nawiązań. O ówczesnej zbieżności poglądów, które rozchodzić się zaczęły dopiero parę lat później, nie będę nawet wspominać, bo to oczywiste.

SZPOTAŃSKI, JANUSZ

„Szpota” miałem zaszczyt poznać już u schyłku jego życia, w Polsce niby już wolnej, ale wciąż dusznej od magdalenkowego smrodku, kulturowo wciąż będącej „socem” i z tej racji niemającej Mistrzowi do zaoferowania żadnego godnego miejsca. Pijaliśmy wódkę w jego małym, biednym mieszkanku przy al. Jana Pawła II (nie chcę nawet pamiętać, jak się ona wtedy jeszcze nazywała), Szpot perorował, a ja chłonałem każde jego słowo. Rewelacyjne było dla mnie, że po tak ciężkim życiu, tylu doznanych krzywdach i zdradach ze strony przyjaciół można zachować taki luz, poczucie humoru i do tego stopnia ustrzec się jakiegokolwiek zgorzknienia. Ulubionym obiektem kpin „Szpota” był, jak to on



nazywał „geg”, czyli salony ówczesnej Unii Demokratycznej i michnikowszczyzny, a znał ich bywalców dobrze i o każdym był w stanie błyskotliwie dowiedzieć, że to „idyjota” – pamiętać będę zawsze jego skrzeczący głos i niepowtarzalną intonację, z jaką wymawiał to ulubione słowo, zawsze z ową staropolską „jotą”. Kiedyś przeczytałem w jakiejś poświęconej sobie pracy magisterskiej, że wedle wykonanej przez jej autora analizy statystycznej „idiota” jest najczęściej używaną w mojej publicystyce obelgą – ale ja tego nie umiem powiedzieć tak dobitnie i pięknie jak on.

TATO

Oczywiście mój Tato (tak zawsze do niego i o nim mówiłem), Tadeusz Mirosław Ziemkiewicz, najmłodszy syn Stanisława, przedwojennego wójta Czerwińska i aktywnego działacza powiatowych struktur Stronnictwa Narodowego, inżynier budownictwa wodnego i prawnik, z wyboru trzymający się stosunkowo

nisko stojącej w hierarchii służbowej posadki kierownika nadzoru wodnego Góra Kalwaria, był, jest i już pozostanie w moim życiu najważniejszy. Często się zastanawiam, dlaczego właściwie i w jaki sposób zdołał osiągnąć to, że stał się dla mnie bohaterem. Dzieliła nas wielka rozbieżność charakterów: odnajduję Tatę w postaci conradowskiego kapitana McWhirra z „Tajfunu”. Był człowiekiem solidnym, sumiennym, z silnym poczuciem obowiązku i odpowiedzialności za rodzinę, pracowitym i prawym, w ogóle – wychowanym przez czerwińskich salezjanów. Ale w najmniejszym stopniu nie był błyskotliwy, nie brylował w towarzystwie (choć za młodu, wedle opowieści siostry mojej mamy, błyszczał dowcipem i wyrwał ją, najlepszą laskę w Górze Kalwarii, właśnie dzięki temu, że „zawsze było z nim wesoło”), nie umiał porywająco mówić – chyba że o lataniu, był bowiem swego czasu pilotem bombowym, usuniętym z Dębina jako „niepewny politycznie”. Tyrał jak wół, nie robił kariery,

nie doszedł do pieniędzy, nie znał się na literaturze, a już na fantastyce w szczególności. Co nas tak połączyło? Może to, że czułem zawsze Jego akceptację, choć nie poszedłem wymarzoną przez Niego ścieżką ku inżynierstwu, w ostateczności naukom ścisłym, i w ogóle nie spełniałem oczekiwań, które stawiano w tamtym czasie „udanemu” synowi – z moim wiecznym rozkojarzeniem, robieniem wszystkiego naraz i niczego do końca, organiczną niezdolnością do systematycznej nauki (dziś jak nic zdiagnozowano by mi ADHD, ale wtedy nie było takiego pojęcia, były inne: niedyscyplinowany, leń, głupek, „niedorobiony” etc.). Tato jednak nigdy nie okazał mi rozczarowania, cieszył się moimi sukcesami, dla innych będących „jakimiś głupotami”, i dawał mi odczuć, że jest ze mnie dumny. Ponieważ Biblia mówi jasno, że Pan umiłował sobie ten typ ludzi („cisi i pokorne serca”), jestem przekonany, że zasiada dziś w Niebie w prestiżowej łoży, z której śledzi moje poczynania z aprobatą. Aha, skoro przy tym, zawdzięczam mu też wiarę – „ludowy katolicyzm”, wolny od wątpliwości i od mędrkowania, ale i podejrzliwy wobec dewocyjnych egzaltacji.

ZAJDEL, JANUSZ

Jedną z najwspanialszych rzeczy w doświadczeniu fandomu SF i fantastyki była możliwość żywego kontaktu z pisarzami tworzącymi te gatunki. Z nich wszystkich Zajdel był w pierwszej połowie lat 80. najbardziej zajmującą osobowością. Wydawał właśnie swoje najlepsze powieści, z „Limes Inferior” na czele, chętnie przyjmował zaproszenia, nie gwiazdorząc i nie zadzierając nosa, zawsze otwarty i chętny do dzielenia się swoją wiedzą i pomysłami, wskazywał rzeczowo młodemu adeptowi, co mu wyszło, a nad czym musi jeszcze popracować. Świętej pamięci Maciej Parowski napisał kiedyś, że dla ówczesnego środowiska SF Stanisław Lem był jak niedostępna góra, a Zajdel jak gura. Coś w tym było. No i, last but not least, co myśli o komunie i o sowieckich okupantach, nie ukrywał nigdy, w żadnym towarzystwie i ani przez chwilę. Wiadomość o jego śmiertelnej chorobie, i, niemal natychmiast po niej, o śmierci była dla mnie szokiem.



Badanie PISA (Program for International Student Assessment) to bardzo ważny wskaźnik osiągnięć systemów edukacji. Bo prowadzone jest w trzyletnich okresach od wielu lat, sama Polska uczestniczy w tym pomiarze od 2000 r. Ostatnia edycja pomiarów, w których sprawdza się umiejętności 15-latków, musiała zostać przesunięta o rok. Zamiast w 2021 r. przeprowadzono ją w roku ubiegłym. Powód? Oczywiście pandemia COVID-19.

PISA jest ciekawie skonstruowanym badaniem, bo nie bada wiedzy, ale umiejętności nastolatków. Pytania są więc najczęściej otwarte, wymagające myślenia, łączenia wiedzy, stosowania wiedzy w praktyce. Dlatego pomiar ten daje dość dobrą odpowiedź na to, jak 15-latkowie przygotowani są do wyzwań, które staną przed nimi w przyszłości. Jak do tego przygotowuje ich krajowy system edukacji, a nawet – jak wspomaga to kształcenie rozwijanie umiejętności poza placówkami szkolnymi.

W ubiegłym roku pod lupę wzięto blisko 700 tys. młodych ludzi z 81 krajów. W Polsce zbadano ponad 6 tys. uczniów z 240 szkół. Byli to uczniowie liceów ogólnokształcących (stanowiący 47 proc. populacji 15-latków), techników (40 proc.), szkół branżowych I stopnia (12 proc.) oraz niewielki odsetek uczniów ze szkół podstawowych (1 proc.).

Tak jak za każdym razem ocenianiu podlegały umiejętności matematyczne, rozumienie czytanego tekstu i rozumowanie w naukach przyrodniczych. Podczas każdej edycji badania jedną z tych trzech dziedzin bada się szczególnie wnikliwie i w ubiegłym roku akurat sprawdzono lepiej rozumowanie matematyczne.

OLBRZYMI SKOK WSTECZ

Pozornie wynik PISA 2022 powinien Polaków cieszyć. Bo choć najwyższe wyniki na świecie w zakresie umiejętności matematycznych, rozumienia czytanego tekstu i rozumowania w naukach przyrodniczych od lat uzyskują 15-latkowie z krajów i regionów Azji, to nasi uczniowie są dalej wśród najlepszych w Europie.

Średni wynik polskich uczniów w zakresie umiejętności matematycznych wyniósł 489 pkt i wśród krajów Unii

Ofiary zdalnego nauczania



Łukasz Zboralski

Badanie PISA pokazało, że lockdowny w pandemii COVID-19 obniżyły umiejętności wszystkich dzieci na świecie. Niestety, umiejętności polskich nastolatków tapnęły najbardziej. W rozumieniu matematyki cofnęliśmy się o 20 lat!

FOT. ANDREA OZZEROW/ADOBESTOCK

Europejskiej jedynie uczniowie estońscy okazali się lepsi. Wynik naszych 15-latków był zbliżony do wyników z 11 innych krajów – Irlandii, Irlandii, Belgii, Danii, Wielkiej Brytanii, Austrii, Australii, Czech, Słowenii, Finlandii i Łotwy.

Średni wynik polskich uczniów w dziedzinie rozumienia czytanego tekstu wyniósł 489 pkt i był zbliżony do osiągnięć uczniów w Wielkiej Brytanii, Finlandii, Danii, Czechach, Słowacji,

Szwajcarii i we Włoszech. Był to też jeden z najwyższych wyników wśród krajów Unii Europejskiej.

W zakresie rozumowania w naukach przyrodniczych polscy uczniowie uzyskali średni wynik 499 punktów. Podobne osiągnięcia odnotowali nastolatki z Nowej Zelandii, Irlandii, ze Szwajcarii, Słowenii, z Wielkiej Brytanii, ze Stanów Zjednoczonych, z Czech, Łotwy, Danii, ze Szwecji i z Niemiec. Wśród krajów Unii





Europejskiej lepsi okazali się od Polaków jedynie uczniowie z Estonii i Finlandii.

Podsumowując – wynik polskich uczniów jest powyżej średniej wyliczonej dla 37 krajów OECD w zakresie wszystkich trzech dziedzin badania.

Jest tylko jeden szkopał: we wszystkich krajach odnotowano mocne tąpnięcie umiejętności młodych ludzi w porównaniu z poprzednią edycją badania PISA, która odbyła się w 2018 r. A obniżenie się poziomu u polskich uczniów jest wręcz alarmujące.

Wynik z zakresu umiejętności matematycznych polskich uczniów w 2022 r. w porównaniu z poprzednią edycją badania spadł aż o 27 pkt. To dwukrotnie większy spadek umiejętności niż odnotowany średnio w krajach OECD. Według ekspertów obniżenie się umiejętności o 15 pkt można porównać do utraty procesu nauczania odpowiadającemu trzem czwartym roku. Patrząc na sprawę w ten sposób, trzeba powiedzieć, że polscy uczniowie mają takie umiejętności, jakby wcale nie uczyli się aż przez półtora roku! Cofnęliśmy się do poziomów notowanych w czasach, gdy Polska zaczynała uczestniczyć w badaniach PISA, czyli aż o 20 lat.

Nie lepiej jest z czytaniem i rozumieniem tekstów. Średni wynik polskich uczniów był znacząco niższy – o 23 pkt – niż cztery lata wcześniej. Tymczasem spadek w krajach OECD znów był dwukrotnie mniej drastyczny niż nad Wisłą (o 10 pkt).

W zakresie rozumowania w naukach przyrodniczych polscy uczniowie okazali się średnio gorsi o 12 pkt. Tymczasem w innych krajach wyniki z tej dziedziny utrzymały się na podobnych poziomach.

To czerwony alarm dla polskiego systemu edukacji. Jednak bez odpowiedzi o przyczynę nie sposób będzie zaaplikować lekarstwa. A brak korekty w systemie oznacza gorszych absolwentów podstawówek, gorszych absolwentów szkół średnich, gorszych studentów i... gorszych pracowników. A przecież nikt nie chciałby w szybko rozwijającym się świecie mieć do czynienia z coraz gorzej rozumującymi mechanikami samochodowymi czy lekarzami.

WYMÓWKI NIE POMOGĄ

Z diagnozą oraz rozwiązaniem tej sytuacji poradzić będzie musiał sobie już

nowy rząd, a przede wszystkim nowa minister edukacji – Barbara Nowacka z Koalicji Obywatelskiej.

Cześć wniosków jest oczywista. Wyniki uczniów drastycznie pogorszyły się m.in. przez lockdowny podczas pandemii COVID-19. Odciecie uczniów od szkół, zdalna edukacja, nieprzygotowani do tego nauczyciele (choć i tak wdrażali się błyskawicznie) i dzieci, które w tym wieku w szkołach podstawowych nie są jeszcze tak zdyscyplinowane i obowiązkowe – to wszystko stworzyło wybuchową mieszaninę.

Stało się też dokładnie tak, jak pisałem już wcześniej na łamach „Do Rzeczy”. Zamknięte szkoły najmocniej we znaki dały się najsłabszym uczniom, bo zwykle ich zaplecze w domu – także możliwości intelektualne rodziców – jest najsłabsze. Zostali zostawieni sami sobie, gdy to szkoła najbardziej kompensowała ich braki.

Najslabiej uczą szkoły branżowe I stopnia.

To znak, że nie udało się odmienić fatalnej opinii o „zawodówkach”

Instytut Badań Edukacyjnych, który był odpowiedzialny za organizację polskiej części badania, zwrócił uwagę na znaczący przyrost odsetka uczniów, którzy w PISA 2022 osiągnęli najgorsze wyniki. Stąd też odnotowany przez Instytut Badań Edukacyjnych (odpowiadał za polską część PISA) niebezpieczny wzrost odsetka uczniów o najniższych poziomach umiejętności. Cztery lata temu takich 15-latków mieliśmy mniej niż 15 proc. i byliśmy jednym z nielicznych krajów UE, którym to się udało. Teraz najniższe umiejętnościami w zakresie matematyki miało aż 23 proc., czytania tekstu ze zrozumieniem – 22 proc., rozumowania w naukach przyrodniczych – 19 proc.

Wiemy też z wyników, że najslabiej uczą – tak promowane przez ostatnią dekadę – szkoły branżowe I stopnia. To poważny problem. Nie udało się odczarować mitu „fatalnych” zawodówek.

W zmianach nie pomogą łatwe polityczne zakłęcia, które od razu po publikacji wyników PISA zasypały media. Związek Nauczycielstwa Polskiego pisał na portalu X, że winna jest m.in. likwidacja gimnazjów. To nieprawda. Bez gimnazjów polscy 15-latkowie nadal trzymali dobry poziom. Oskarżył też nową podstawę programową wdrożoną przez byłą już minister Annę Zalewską z PiS. I znów nieprawda. Mimo pozorów podstawy programowe w Polsce nadal są przeładowane – bo kształcić powinniśmy umiejętności, a nie ogromny zasób wiedzy do odtwarzania.

Pojawiło się też zgrabne hasło, że to wina złego ministra Przemysława Czarneka, który zajmował się głównie światopoglądową stroną szkół. I w tych zarzutach nie można doszukać się racji, choć oczywiście Czarnek nie zajmował się najbardziej palącymi kwestiami edukacyjnymi. Ale mało kto przed nim też starał się naprawdę zmienić system. Natomiast odchodzący wiceminister edukacji i nauki Dariusz Piontkowski mówiący, że te wyniki badania PISA „są dobre”, to już kuriozum i brak odpowiedzialności.

Nie da się uczynić polskiej szkoły lepszą tylko dlatego, że w gmachu przy al. Szucha nie będzie Przemysława Czarneka. Nie da się jej taką uczynić, gwarantując 30-procentowe podwyżki dla nauczycieli (to właśnie zapowiada nowy rząd). Bo nietknięty pozostaje „awans zawodowy”, czyli rozkładanie podwyżek na lata przez zasiedzenie, a nie faktyczną pasję i umiejętność pracy. Do zawodu nie napłyną młodzi zdolni, a emeryci się wykruszają.

Tymczasem z zapowiedzi nowego rządu przebiło się jedynie „ograniczenie prac domowych” (dobrze, ale za mało) oraz zmiany w nauczaniu religii. Nowa minister chce płacić z budżetu tylko za jedną godzinę, za resztę mogą płacić – jeśli chcą – samorządy.

Poprzednie rządy PO-PSL przyniosły szkołom formalną wolność. Od dawna nauczyciele mogą pracować z dziećmi w sposób dowolnie przyjemny, byle osiągać cele podstawy programowej. Dlaczego tego nie robią? Bo nie potrafią, bo nie zmuszają ich do tego dyrektorzy szkół. Jak to zrobić – to kluczowe dziś pytanie. I – jak wskazują wyniki PISA – coraz bardziej palące.

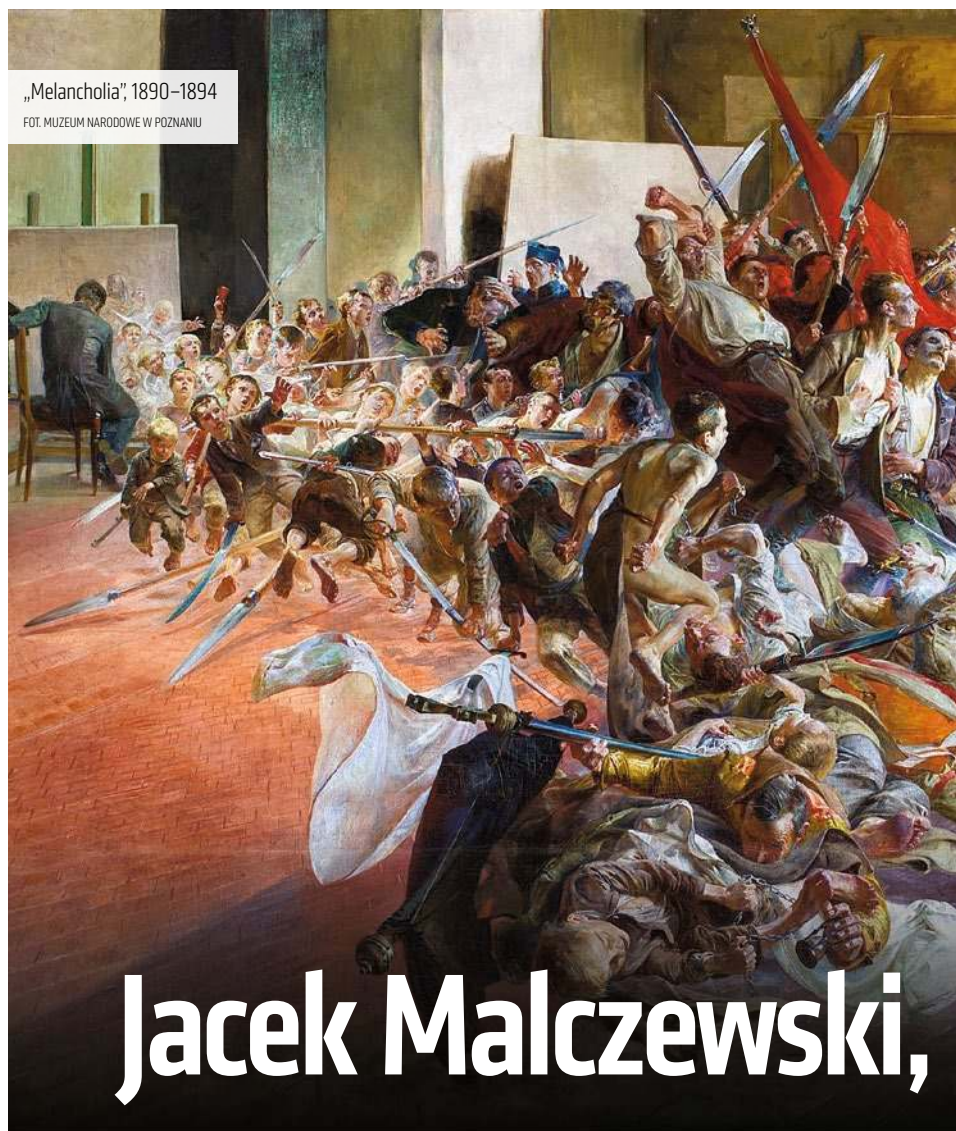


Krzysztof Masłoń

Jacek Malczewski nie negował wartości obrazów ukazujących dawną polską chwałę, sam jednak przedstawiać chciał dramat, jaki rozgrywał się na jego oczach lub tylko nieco wcześniej. A swoim malarstwem nawiązywał do tego, co najlepsze w naszej literaturze, a co powstało w epoce romantycznej. Do dzisiaj w kulturze polskiej nie objawiło się nic większego, nic bardziej wartościowego niż poezja tamtej epoki i o pół wieku późniejsze malarstwo. W tym samym zamku Świętego Graala sztuki polskiej pomieszkują duchy Adama Mickiewicza i Jacka Malczewskiego

Powiadał, że gdyby nie był Polakiem, nie byłby artystą. Bardzo być może, w końcu jego malarska twórczość przesiąknięta była polskością do imentu. Szukał inspiracji w rodzimym folklorze, urzekał go ojczysty krajobraz, głęboko przeżywał romantyczne dramaty, zanurzony był w historii Polski, ale nie zamierzał poświęcić się historycznemu malarstwu, choć Jan Matejko widział w nim swojego kontynuatora i następcę. „W cudzych chomątach nie mogę jakoś maszerować” – pisał Jacek Malczewski w liście do ojca.

Odnalazł swoją własną drogę, a jego obrazy, choć namalował ich bardzo wiele, są wysoko cenione przez znawców i kolekcjonerów sztuki. Jego „Rzeczywistość” (1908) sprzedana w grudniu 2022 r. za 20,4 mln zł, pozostaje najdroższym obrazem wylicytowanym na polskim rynku aukcyjnym. To dzieło łączące w jedno wiele wątków patriotycznych i religijnych, przesycone jakże typową dla artysty symboliką. Józef Czapski powiedział kiedyś, w rozmowie z Pawłem Kłoczowskim: „Ja Malczew-



„Melancholia”, 1890–1894

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Jacek Malczewski,

skiego bardzo późno zauważyłem. A to jest wielki malarz, chyba największy polski malarz”. Co w wypadku Malczewskiego decydować miało zawsze o takich odkryciach? Nic innego jak polskość jego sztuki.

Na powstanie „Etapów”, jego zesłańczego cyklu obrazów, wywarła wpływ poezja Teofila Lenartowicza („Cienie syberyjskie”), jak również twórczość Artura Grottgera (słynne prace rysunkowe z patriotycznych cyklów „Polonia” i „Warszawa”). Dwadzieścia lat po klęsce powstania styczniowego artysta ukazał polską martyrologię znaczoną uciążliwościami, które spotykały skazańców w drodze na Sybir, ich katorżniczą pracę na nieludzkiej ziemi, wycieńczenie fizyczne, wreszcie śmierć.

Trzeba pamiętać, że w roku 1863 Malczewski był dziewięcioletnim chłopcem, który nie tylko podsłuchiwał rozmowy dorosłych na temat wybuchu powstania, czemu akurat Malczewscy byli przeciwni, lecz także zapamiętał zwłoki płk. Dionizego Czachowskiego wystawione w Radomiu przez Rosjan na widok publiczny. Jacek wychowywał się w atmosferze patriotycznej, czego dowodzi fakt, że otrzymał nauczanie prywatne, byle uniknąć zrusyfikowanego radomskiego gimnazjum. A w Wielgiem, gdzie zamieszkał w dworze wuja – Felisa Karczewskiego – nauczycielem jego i jego kuzynów był Adolf Dygasiński, późniejszy autor „Godów życia”, świetnych książek o zwierzętach („As”, „Zając”),



malarz przepotężny

znakomity przyrodnik, a także dwukrotnie więziony uczestnik powstania styczniowego. Uczył swoich podopiecznych nie tylko umiłowania przyrody, lecz także historii Polski, miłości do ojczyzny i pamięci o tych, którzy za nią zginęli. Chodził z chłopcami po polach, ucząc rozpoznawania roślin, a także prowadził pod powstańczy krzyż w Jeziorze Soleckim. Później Dygasiński będzie jeszcze opiekował się Jackiem w krakowskim internacie, gdy w 1871 r. rozpocznie on naukę w gimnazjum Świętego Jacka. Po śmierci ukochanego nauczyciela (1902) namaluje Malczewski kilka jego wizerunków, na tle przyrody, zwłaszcza ptaków.

Jeszcze jeden czynnik wpłynął na podjęcie przez malarza tematyki syberyjskiej,

a mianowicie Słowacki i jego „Anhelli”. Ten ulubiony poeta ojca Jacka oświadczył również jego wyobraźnię. Śmierć Ellenai ukazywać będzie wielokrotnie, po raz pierwszy pojawi się ten motyw w „Śmierci wygnanki” z 1882 r. Obraz był krytykowany, zarzucano mu zbytnią dosłowność, nieobecność metafory, czyli mniej więcej to samo, co miał chyba na myśli Julian Malczewski, kiedy w listach wysyłanych do Paryża sugerował synowi upoetycznienie jego wizji plastycznej. Jacek jednak zrobił przeciwnie, idąc w kierunku maksymalnego realizmu. Okazało się, że miał rację, a kolejna, o rok późniejsza wersja tego samego motywu – „Śmierć Ellenai” – kupiona już została, ze składek publicznych, do krakowskiego muzeum.

„Śmierć wygnanki” natomiast wywieziona została, przez nabywcę, za wielką wodę. Ten bodaj jedyny obraz Malczewskiego znajdujący się w Ameryce pokazywany był w 1893 r. na Wystawie Światowej w Chicago, a w Polsce zobaczyliśmy go dopiero... pięć lat temu w Muzeum Narodowym w Krakowie na ekspozycji poświęconej Józefowi Piłsudskiemu, którego zresztą Malczewski zdążył sportretować w 1916 r., tym samym, w którym namalował „Nike Legionów”. A Legiony – jak pisała Michalina Janoszanka w „Wielkim tercjarzu” – artysta „uwielbiał”.

Wracając zaś do tematów anhelicznych, podejmować je będzie Malczewski w okolicach 1905 r., gdy wraz z wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej i rewolucją w samym imperium carskim odżyły polskie nadzieje na odzyskanie niepodległości. „Scena śmierci Ellenai” – pisze w wydanym właśnie przez Arkady albumie »Malczewski. Zbliżenia« Paulina Szymalak-Bugajska – zawarta w XIII rozdziale poematu Słowackiego: »Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej ani złożyć rąk, które były wyciągnięte. Lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał«, stała się dla Jacka Malczewskiego na tyle uniwersalnym i pełnym smutku przekazem, że był w stanie stworzyć z niego obraz – symbol dramatu, lecz i żalu po klęsce powstania styczniowego – oraz dać rodakom możliwość przeżywania niemal jawnej żałoby po licznych ofiarach narodowego zrywu”.

EGZAMIN WSTĘPNY KATORGI

Nieziemnie poruszają sybirskie obrazy tego artysty, który powiedział, że „pierwiastek narodowy” był dla niego „najistotniejszym budulcem do pracy”, a od swoich studentów domagał się jednego: „Malujcie tak, aby Polska zmartwychwstała”. Takie jego płótna jak: „Odpoczynek w kopalni”, „Wigilia na Syberii”, „Śmierć na etapie”, „Powrót z Syberii” budzą smutek, żal, wreszcie rozpacz i gniew. Wśród wymienionych obrazów nie ma żadnego, prawdopodobnie nie tylko dla piszącego te słowa najważniejszego może z tego cyklu: „Zesłania studentów”. Tego obrazu nie ma, został zniszczony jak wiele innych [z 2000 (!) obrazów namalowanych przez Malczewskiego, stwierdzić można istnienie 1,2 tys.], drugie życie dał mu jednak nie



■ tak dawno, bo w 1980 r., Jacek Kaczmarski, po swojemu opowiadając to, co zobaczył na czarno-białej, pocztówkowej reprodukcji. Któż mógł obojętnie słuchać tej strofy przez niego śpiewanej:

*Pod wielką mapą Imperium
Odpocząć – jak kto potrafi
Kończymy bliską Syberię
Skrócony kurs geografii*

*Śpi – kto spać może po drodze
Trudnej jak lekcja historii
Na wielkiej pustej podłodze
Egzamin wstępny katorgi
[...]*

*Szynele o wyrok za duże
Kij co z wilgoci poczerwiał
Książki tobołki podróżne
Pod wielką mapą imperium.*

To śpiewane „Zesłanie studentów” pochodzi z programu „Muzeum”, w którym trio Kaczmarski-Gintrowski-Łapiński przedstawiło zestaw utworów w całości inspirowanych malarstwem polskim, m.in. aż czterema obrazami Jacka Malczewskiego, oprócz „Zesłania studentów”, także „Wigilię na Syberii”, „Powrót z Syberii” i „Zatruta studnia V”.

Tych literackich interpretacji malarstwa, języka sztuki nauczyli Jacka Kaczmarskiego rodzice, malarze właśnie. A kim dla niego samego był Malczewski?

– Ja go po prostu uwielbiam jako malarza – mówił – i przypuszczam, że to mam po ojcu, on mi zaszczylił rozumienie go, a przede wszystkim docenienie jego warsztatu malarskiego, bo to jest potężny malarz. Ten symbolizm w znacznej mierze jest dzisiaj niezrozumiały albo wydaje się takim dodatkiem do przegadania obrazu, natomiast jego pejzaże, materia malarska, zmysłowość, brylowatość są niesłychanie współczesne i przede wszystkim to wielki warsztat i myślenie epickie.

Zgoda na to ostatnie. Co do reszty, to myślę, że zgola inny mógłby być wybór dzieł malarskich autora „Melancholii” od tego, którego dokonał Kaczmarski, układając swoje „Muzeum”. No właśnie, co z „Melancholią”, co z „Błędnym kołem”, najznakomitszymi obrazami Malczewskiego? Dwudziestotrzyletniemu Kaczmarskiemu bliższy był jednak, jak widać, stosunkowo wczesny (1884) obraz artysty, na nowo aktualny w gorącym politycznie 1980 r., do tego za bohaterów mający młodzież, nieledwie dzieci.



„Śmierć Ellenai”, 1883 r.

FOT. JACEK ŚWIDERSKI/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Sięgnijmy do skarbca literatury polskiej. W III części „Dziadów” Adama Mickiewicza jeden z filaretów – Sobolewski – opowiada współwięziom scenę, której był świadkiem podczas powrotu z przesłuchania. Oto kibitkami wywożono z Wilna studentów (tak nazywano wtedy uczniów gimnazjów): „Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci / Z golonymi głowami; – na nogach okuci. / Biedne chłopcy! – najmłodszy, dziesięć lat, nieboże, / Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może”.

Jacek Malczewski pokazał, co się z tymi chłopcami działo dalej, po drodze na Sybir trwającej – co wiemy z pamiętników – siedem miesięcy. W zupełnie kongenialnym utworze Kaczmarskiego u początków tej przerażającej peregrinacji, na jednym z pierwszych postojów, może w jakiejś szkole, mogło wyglądać to tak:

*Najmłodszy w mapę jak w okno
Patrzy czytując litery
Układa drogę powrotną
Przez białe wiorsty papieru*

*Dwaj inni usiedli razem
Dręczą się w mokrych ubraniach
Jak by tu ojcu pokazać
Naganne ze sprawowania*

*Ten ściągnął buty tarł palce
Ten nogą zdrętwiałą kołysze
Ten jeszcze myśli o walce
Ten Odyseję już pisze.*

Choć krnąbrnym i buntowniczym, to był jednak Jacek Malczewski uczniem Jana Matejki i wiedział, że jego powinnością jest utrwalanie historii i współczesności Polski, a to znaczyło – jej męczeństwa. Nie negował wartości obrazów

ukazujących dawną polską chwałę, sam jednak przedstawiać chciał dramat, który rozgrywał się na jego oczach lub tylko nieco wcześniej. A swoim malarstwem nawiązywał do tego, co najlepsze w naszej literaturze, a co powstało w epoce romantycznej. Do dzisiaj w kulturze polskiej nie objawiło się nic większego, nic bardziej wartościowego niż poezja tamtej epoki i o pół wieku późniejsze malarstwo. W tym samym zamku Świętego Graala sztuki polskiej pomieszkują duchy Adama Mickiewicza i Jacka Malczewskiego. To ten sam Molsalwat.

ZAWSZE POZNAĆ ZACNY STAN

Bez niego polski symbolizm byłby byle jaki. Kto wie, czy Stanisław Wyspiański nie napisałby „Wesela”, a na pewno nie w takim kształcie, w jakim znamy ten narodowy arcydramat? Cztery lata przed premierą „Wesela”, w 1897 r., Jacek Malczewski skończył malować „Błędne koło”, „kolejną monumentalną kompozycję, której fabuła – pisze Paulina Szymalak-Bugajska w książce »Klan Malczewskich« – skupia się tym razem na temacie zasygnalizowanym już w poprzednich pracach – na powinności artysty wobec społeczeństwa, na rozterkach młodego malarza, którego powołaniem wydaje się twórczość dotykająca spraw bliskich polskiemu narodowi – przynębiająca, gorzka, smutna, momentami dramatyczna, będąca w kontrze do tematów radosnych, bachicznych i kolorowych, opiewających uroki życia”. To zainspirowany właśnie „Błędny kołem” i wcześniejszą „Melancholią”, za którą Malczewski otrzymał w 1900 r. Srebrny Medal na Powszechnej Wystawie Sztuk Pięknych w Paryżu, stworzył Wyspiański literacką metaforę niezdolnego do czynu



i pogrążonego w chocholim tańcu narodu polskiego. A w liście do Lucjana Rydla napisał: „Malczewskiego obrazy bardzo ładne, mistyczno-realistyczne, ogromnie śliczne, wierz mi, to są po prostu cudowne rzeczy”.

O związki między nim a Wyspiańskim pytał Malczewskiego w wywiadzie przeprowadzonym dla „Wiadomości Literackich” Jan Brzękowski. W odpowiedzi usłyszał: „Raczej ja na niego oddziaływałem. Wyspiański zresztą sam to uznawał. Zdaje się, że nikt nie wie o tem, iż jest w »Weselu« ustęp mnie poświęcony. Jest to wizja poety, któremu śni się dramat i rycerz w pełnej zbroi – stojący u źródła i patrzący do mętów studni.

»A gdy wody czerpnie ręką,
To mu woda się zabrudni«
(akt I, scena 24)”.

Ciekawe, że artystę uwiecznił także w zgoła innego rodzaju, prześmiewczym wierszu napisanym na potrzeby Zielonego Balonika Tadeusz Boy-Żeleński. Zatyłowany był „Kuplet Jacka Symbolewskiego” i tak charakteryzował malarza:

Strój: żakiet modnego kroju,

pancerz zamiast kamizelki,
koźle nóżki i ogonek.

Nuta z szopki:

„Czy to w dzień, czy to w noc”

Ni to pies, ni to bies,

Raz po raz zmieniam stan,

To w pirogu, to znów bez,

To profesor, to znów pan.

Na Zwierzyńcu czy też w Tyńcu,

Husarz, dziwka, krowa, chłop,

Wszędzie gołę me symbole,

A ty zgaduj, alboż czop! (bis)

Czy to sierść, czy to frak,

Zawsze poznać zacy stan,

Czy strój jest, czy stroju brak,

Zawsze jestem grecki Pan.

To w sweterze przy panterze,

To z ogonem, to znów bez;

To ze skrzypką, to znów z rybką,

Zgadnij bracie, kto to jest? (bis).

Nie jest to z pewnością utwór wybitny, ale celnie wskazujący cechy wyróżniające choćby liczne autoportrety Malczewskiego, często przez publiczność nierozumianego. W cytowanym już wywiadzie dla „Wiadomości Literackich”, zapytany o wspomnienia z młodopolskiego Krakowa, malarz powiedział: „Zielonego Balonika nie lubiłem, z ludźmi tymi [podwawelską bohema – przyp. K.M.] się nie spotykałem, w Jamie Michalikowej nie byłem”.



„Autoportret z paletą” 1892 r.

FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/Muzeum Narodowe w Warszawie

I już, już chciałoby się orzec, że artysta nie miał do siebie dystansu, a o poczuciu humoru mowy być nie mogło, gdyby nie inne jego zdanie przywołane przez Jadwigę Puciatę-Pawłowską w „Jacku Malczewskim”, a mówiące o niesmaku, który wzbudzał w nim kabaretowy nastrój krakowskiej kawiarni, bo gdy „Młoda Polska bawiła się szopką, na ulicach Warszawy lała się krew”.

ZATRUTE ŹRÓDŁO BÓLU

Jego obrazy w różnych okresach twórczości zaludniały fauny i chimery, harpie i anioły, pełno na nich było pastuszków i owadów. Symboliczną wymowę dzieł Malczewskiego rozumieć można było w różny sposób, a nie brakowało i takich, którzy w żaden sposób nie potrafili ich zrozumieć. Matka Kazimierza Tetmajera, Julia Adolfowa Tetmajerowa, po obejrzeniu w 1902 r. jego obrazów na ekspozycji zbiorowej w Krakowie szczerze przyznała się: „Byłam wczoraj na wystawie. Malczewski dominuje, ale pod karą śmierci, nic nie rozumiem, tym się jednak pocieszam, że na całej sali nikt nic nie wiedział”.

„Zdaje się, że artystę nie bardzo zmarwiłyby takie słowa – komentuje Paulina Szymalak-Bugańska – a wręcz przeciwnie, być może byłby rozbawiony, bo podobno ogromną frajdę sprawiało mu głowienie się widzów nad jego malarskimi zagadkami”. A na lwowskiej wystawie „Studia Jacka Malczewskiego” zorganizowanej w 1903 r. przez prof. Jana Bołozę-Antoniewicza, który z tej okazji przygo-

tował stosowny katalog, artysta pytany o znaczenie poszczególnych symboli do niego właśnie odsyłał indagujących go, mówiąc: „Pytajcie się o to Bołozę, on jeden najlepiej wie, jak się moje obrazy nazywają i co oznaczają”.

Co jednak oznaczają np. „Studnie” Jacka Malczewskiego? Ten cykl pięciu obrazów, który nazwać można studziennym, powstał w latach 1905–1906, zakupiony został przez hrabiego Edwarda Raczyńskiego i dziś znajduje się w kolekcji Fundacji Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu. Z nieznanych powodów nie trafiła tam „Zatruta studnia z chimera”, malowany w Krakowie portret muzy i kochanki artysty, Marii Balowej. To jedno dzieło jednak interesuje nas inny obraz, ostatni z serii – „Zatruta studnia V” przedstawiająca siedzącą na tle zimowego krajobrazu kobietę w futrze i jakuckiej czapce, spoglądającą na znajdującą się obok studnię, choć dziś byśmy pewnie, wbrew tytułowi nadanemu przez twórcę, nazwali ją raczej beczką. To ten obraz opisany został przez Kaczmarekowskiego, na potrzeby jego „Muzeum”:

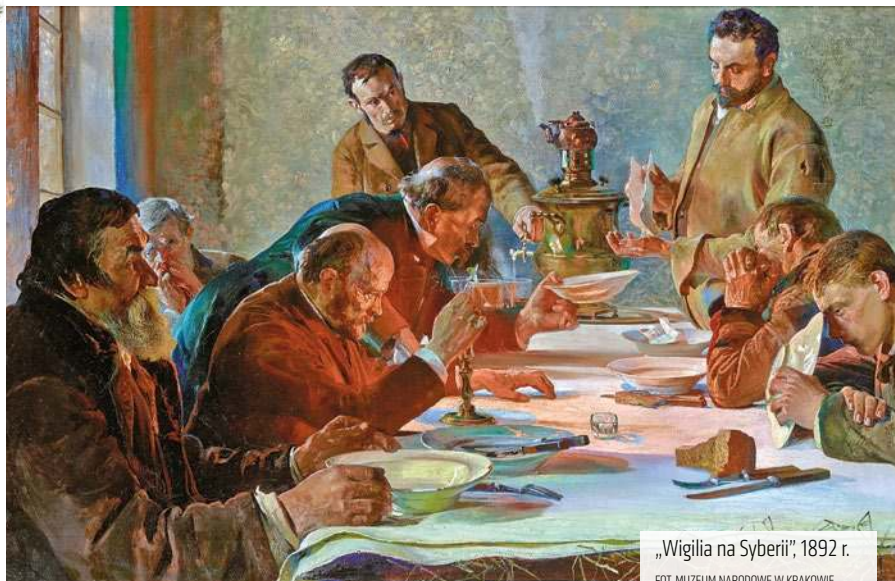
Mróz tak siarczysty że palce zagina

Lecz tam gdzie studnię pod lodowce wbito

Ciałami zmarłych przetrawiona glina

Cieczą zdrój jasny syć jadowitą.

Motyw studni ma oczywiście bardzo bogatą symbolikę. To w końcu źródło życia, gdzie poznajemy prawdę o nas samych. Diana Wasilewska w „Lekcji historii Jacka Kaczmarekowskiego” zauważyła, że motyw ten „może oznaczać wody życia wiecznego, jak w obrazie van Eycka, i oczyszczenie, jak w legendzie o jednorożcu. Studnia to zarówno źródło żywej wody, jak i zwierciadło losu, odbicie najbardziej ukrytych myśli, ale też symbol wtajemniczenia, dostąpienia prawdy o sobie i otaczającym świecie. W przypadku Malczewskiego wykładnię tej symboliki komplikuje tytułowa trucizna...”. Właśnie. Czy miał rację Lucjan Rydel, poeta współczesny Malczewskiemu, przekonując, że „jako synowie nieczystej Ojczyzny od dziecka z tej studni pijemy truciznę”, a czyste źródło, z którego czerpali wodę nasi przodkowie, zatruta „zła upiorzyca”, a niewola jest skutkiem zatrucia krynicy? Pewnie to za prosta wykładnia, ale też nie wydaje



„Wigilia na Syberii”, 1892 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

■ się, by można było „Zatrutą studnię” potraktować jako jakąś parabolę ludzkiego losu oderwaną od najwyższych treści narodowych.

Jacek Kaczmarski w swojej pieśni mówił o tym, który pijąc z tej studni, popadnie w szaleństwo i całe swoje życie „strawi, żeby zatrute źródło bólu zdławić”, czyli – czytaj – odda sprawie narodowej wszystko. Drudzy, przeciwnie, popadną w odrętwienie, „zapomną domu swego i imienia”, „w zdumieniu będą własne macać blizny” i, co prawda, „im czas oszczędzi pośpiesznej siwizny”, ale co zyskają poza tym, że Polska już nie będzie dla nich ani oni dla niej. Wreszcie ostatnią strofą zwracał się pieśniarz do swojego słuchacza, tego z 1980 r.:

Ty który słuchasz jak się słucha baśni

Albo wyblakły odczytuje napis

Nie wierzysz uśmiech twój twarzy rozjaśnił

Bo tyś się dawno już tej z tej studni napił.

To jedno z najcięższych oskarżeń rzuconych w twarz rodakom żyjącym w świecie pół- i ćwierćprawd, za dobrą monetę przyjmującym ewidentne kłamstwa o naszej historii i tradycji, w gruncie rzeczy za nic mających to, co najważniejsze, najpiękniejsze i najświętsze. Czy dziś te słowa cokolwiek straciły ze swej wagi? W tym miejscu można postawić jeszcze jedno pytanie: Czy Jacek Malczewski przynależy dziś li tylko do dziejów sztuki polskiej, do jej przeszłości?

MALARZ SPRAWY POLSKIEJ

Bywało już tak, że skazany, zdawałoby się, przez krytykę na zapomnienie, nagle ze zwielokrotnioną siłą okazywał

Malczewski cały swój geniusz, odkrywany przed zafascynowanymi jego sztuką odbiorcami. Tak stało się w latach 70. zeszłego wieku, gdy wystawy jego malarstwa gromadziły tłumy spragnione, no właśnie, czego? Może tego samego, co sprawiło, że wielkim wydarzeniem tamtych czasów stała się wystawa „Pola-ków portret własny”, bo zapragnęliśmy sprawdzić, skąd się wzięliśmy i dokąd zmierzamy.

Nie przeceniałbym też, ale i nie lekceważyłbym wpływu, który na nasze postrzeganie dzieł Jacka Malczewskiego wywarł Andrzej Wajda, przede wszystkim jako twórca ekranizacji „Wesela”, a także reżyser „Brzeziny” według Jarosława Iwaszkiewicza, spokrewnionego zresztą z Malczewskim.

Odkryliśmy twórcę nie tylko fascynujących autoportretów czy obfitujących w symbole zagadkowych płócien, lecz także pejzażystę i malarza chętnie sięgającego do motywów ludowych. Pracował po 12 (i więcej) godzin dziennie, bez wytchnienia. I w Krakowie, z którym związał się na całe życie, od czasu podjęcia nauki, najpierw w gimnazjum, a potem w Szkole Sztuk Pięknych i gdzie po latach zamieszkał w, niestety niebędącej jego własnością, willi Pod Matką Boską na podkrakowskim Zwierzyniecu; i w Paryżu, gdzie studiował malarstwo, i w Monachium, dokąd będzie przyjeżdżał jak inni malarze polscy tamtych lat, ale nigdy nie poczuje się nad Izarą na swoim miejscu, i w Wiedniu, dokąd pojechał w 1914 r. i w ciągu niespełna roku namalował wiele portretów mimo

wojennych warunków; i w Łusławicach, gdzie przyjeżdżał od 1918 r. do mieszkających tam – w tym samym dworze, który po latach nabędzie Krzysztof Penderecki – swoich sióstr. I tam właśnie założył szkołę dla utalentowanych plastycznie dzieci wiejskich. Nieprzypadkowo tak często malował pastuszków, Janków Muzykantów, dopiero odkrywających drogę wiodącą ich na Parnas lub, z pewnością częściej, donikąd.

Wraz z wybuchem wielkiej wojny powraca Malczewski do poniechanej na czas jakiś tematyki narodowej, wykonując kolejny, głęboki ukłon w stronę romantyzmu. Sięga do Biblii i w latach 1917–1920 tworzy cykl dziewięciu obrazów odwołujących się do wizji proroka Ezechiela, w których w oczywisty sposób nawiązywał do odrodzenia narodu polskiego i odzyskania niepodległości. Także w 1917 r. maluje trzy wersje „Pytii”, niejako uwspółcześniając wyrocznię apollińską w Delfach. „Temat wieszczącej Pytii, która nigdy nie udziela jednoznacznej odpowiedzi pytającemu – pisze Paulina Szymalak-Bugajska – jest odniesieniem do wielkiej niewiadomej powojennych losów Polski – jej suwerenności i granic, będących rozgrywką europejskich mocarstw”.

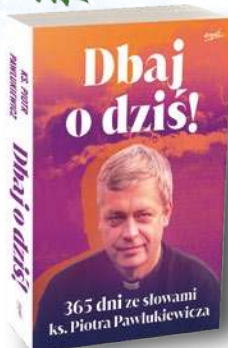
Samo odzyskanie niepodległości powita artysta, malując jeden z bardziej znanych swoich obrazów, „Polonię” znajdującą się w zbiorach Muzeum Narodowego w Kielcach. To wizerunek kobiety przez wszystkie lata zaborów symbolizującej Polskę w niewoli. Tym razem jednak zrzuca ona z siebie rosyjski szynel, a na głowie ma złotą koronę Kazimierza Wielkiego. O tym, co przeszła, przypominają nakładane na dłonie fioletowe rękawiczki, żałobny welon we włosach, a także widoczne za jej plecami, na schodach pokrwawione stopy skute łańcuchem.

Jacek Malczewski, malujący mimo postępującego niedowidzenia, do ostatnich swoich dni, zmarł 8 października 1929 r. w wieku 75 lat. Pochowany został w habicie tercjarskim w krypcie kościoła oo. Paulinów na krakowskiej Skałce. W ostatniej drodze towarzyszyły mu tysiące ludzi, dla których był ich malarzem. A rozumieli przez to, że był malarzem sprawy polskiej. Być może największym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

WYDAWNICTWO ESPRIT POLECA

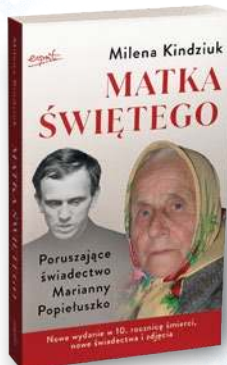
Wartościowe książki, idealne na prezent dla Twoich bliskich



Dbaj o dziś!

~~-49,90 zł~~ **34,90 zł**

Ksiądz Piotr Pawlukiewicz pozostawił po sobie setki stron rękopisów, prywatnych notatek oraz niepublikowanych kazań. Na ich podstawie powstała ta książka. *Dbaj o dziś* to zbiór bardzo osobistych i poruszających rozważań ks. Piotra przygotowanych na każdy dzień roku.



Matka świętego

~~-49,90 zł~~ **34,90 zł**

Nowe, wzbogacone wydanie biografii Marianny Popiełuszko. Milena Kindziuk w przejmującej biografii matki ks. Jerzego Popiełuszki pokazuje historię kobiety, która dzięki swej odwadze potrafiła stawić czoła największej tyranii i najsłabszemu cierpieniu.



Ulmowie

~~-54,90 zł~~ **38,90 zł**

Agnieszka Bugała z dziennikarską precyzją przestudiowała tysiące dokumentów i przeprowadziła wiele poruszających rozmów z osobami z otoczenia Ulmów, aby ukazać portret rodziny, która swoje proste życie poświęciła wypełnianiu Bożej woli.



Modlitwa, która otwiera niebo

~~-44,90 zł~~ **31,90 zł**

Modlitwa, która otwiera niebo jest duchowym dziennikiem, w którym oprócz medytacji zawarto cytaty z Pisma Świętego, słowa Jezusa skierowane do czytelnika oraz nauki o modlitwie zaczerpnięte z ojców pustyni, ojców Kościoła i starożytnych duchowych mistrzów.



Nawracajcie się natychmiast!

~~-44,90 zł~~ **31,90 zł**

Ksiądz Grzegorz Bliźniak odczytuje i interpretuje znaki czasów. W świetle licznych proroków świętych i mistyków, zwłaszcza św. Faustyny, dostrzega, że jesteśmy dziś świadkami ostatecznej bitwy o serca i dusze ludzi na całym świecie.



W dobrej wierze

~~-44,90 zł~~ **31,90 zł**

Kardynał Gerhard Müller po raz pierwszy dzieli się szczerą opinią na temat najważniejszych wydarzeń ostatnich dwóch pontyfikatów i obecnej sytuacji Kościoła katolickiego. W nieocenionym wywiadzie omawia między innymi politykę zagraniczną Watykanu czy problemy z podążaniem za doktryną.



Gratis do każdego zamówienia
– obrazek z bł. Rodziną Ulmów

Za zamówienia od 99 zł
Kalendarz z Aniołami na 2024 rok gratis!

Zamów na stronie
www.esprit.com.pl
lub po numerem telefonu:
12 262 35 51



Gotowanie ze Świętą Hildegardą z Bingen

~~-49,90 zł~~ **34,90 zł**

Marie-France Delpech, która od ponad trzydziestu lat inspirowa się zasadami mniszki z Bingen, wprowadza czytelników w podstawy diety, dzieli się praktycznymi poradami oraz przepisami dopasowanymi do pór roku i pomaga ułożyć codzienny jadłospis.

esprit



Mariusz Cieślík

Wielki hollywoodzki film o naszej historii wciąż nie powstał. Ale może kiedyś powstanie? A jego bohaterem będzie największa gwiazda polskiej piosenki, która podbiła Amerykę, ratowała przyjaciół z getta i walczyła w dwóch wojnach. Główną wadą Mieczysława Fogga jest to, że w sumie nie miał wad

Może film o Foggu powinien zaczynać się sceną w kościele św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie?

To przecież prawdziwa historia z cyklu american dream, od pucybuta do milionera (choć wielkich pieniędzy Mieczysław akurat nigdy się nie dorobił). To w kościelnym chórze przyszła gwiazda piosenki uczy się śpiewania. Pewnego dnia głos Fogga słyszy znany artysta wodewilowy Ludwik Sempoliński. Radzi mu, żeby się kształcił, i daje adres swojego nauczyciela. Tyle że młodzieńca nie stać na drogie lekcje. Jednak kilka lat później Sempoliński zauważa Fogga na scenie najlepszego ówczesnego kabaretu Qui Pro Quo. W roli barytona w kwartecie rewelersów. Pomiedzy tymi dwoma zdarzeniami Fogg zakłada rodzinę; występuje na ślubach i pogrzebach, żeby zarobić na naukę śpiewu; dostaje angaż w operze w Poznaniu i, z powodów finansowych, rezygnuje z kariery „poważnego” śpiewaka. A początki w rozrywce nie są zachęcające.

Rewelersi to formuła, która w tamtym czasie robi wielką karierę w muzyce na całym świecie. To rodzaj ówczesnych boysbandów – przystojni młodzi mężczyźni, elegancko ubrani, śpiewający piosenki zabawne i chwytające za serce – podbijających rynek. Fogg z kilkoma kolegami próbuje czegoś podobnego, ale początkowo ponosi klęskę. Jerzy Boczkowski z Qui Pro Quo, ówczesna wyrocznia polskiej rozrywki, kome-

American dream

Mieczysław Fogga



Mieczysław Fogg do samego końca reprezentował to, co najlepsze w czasach międzywojnia: klasę, elegancję, piękno ówczesnej muzyki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



tuje prezentację kwartetu słowami „na pogrzeby może się nadaje, do kabaretu niekoniecznie”. Mieczysław jest załamany, ale się nie poddaje. Mimo młodego wieku jest już życiowo doświadczony: walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, ciężko pracował przez lata na utrzymanie rodziny, łącząc obowiązki kasjera kolejowego ze śpiewaniem. Najważniejsze, że Fogg poznaje Władysława „Dana” Daniłowskiego. Człowieka, który był akuszerem jego kariery. Przez rok przygotowują repertuar i z nowym składem udają się raz jeszcze do Qui Pro Quo. Proponują, że jeśli publiczności występ się nie spodoba, to będą występować za darmo. Ale przyjęcie jest entuzjastyczne. Polscy rewelersi śpiewają po hiszpańsku, pod szyldem Coro Argentino V. Dano. Są tak przekonujący, że argentyński konsul uznaje ich za rodaków i przychodzi za kulisy pogratulować występu. Po udanej mistyfikacji wokalny kwartet (i jego lider pianista) zaczyna występować jako Chór Dana. I pod tą właśnie nazwą, czasem w wersji Dana Choir, robi światową karierę. Ale najpierw jest spektakularny sukces w Polsce.

DROGA NA SZCZYT

Po debiucie danowcy (jak nazywano członków zespołu) błyskawicznie stają się gwiazdami ówczesnego show-biznesu. Skąd to powodzenie? Poza niewątpliwym talentem kompozytorskim Daniłowskiego i świetnym warsztatem o sukcesie zdecydowało to, że w wielu kwestiach byli w Polsce pionierami. Owszem, mieliśmy wcześniej gwiazdy piosenki (i kina jednocześnie) takie jak Hanka Ordonówna, Zula Pogorzelska, Mira Zimińska, Adolf Dymsza czy Eugeniusz Bodo, ale to byli soliści. Nie istniała natomiast zespołu.

Danowcy byli przy narodzinach polskiej fonografii, co pokazuje autentyczna anegdota o ich pierwszym nagraniu, które zepsuł szcękający pies. Było duszno, realizatorzy otworzyli okno, bo nie przewidzieli, że odgłosy z zewnątrz mogą się nagrać. Chór Dana uczestniczył też w narodzinach kina dźwiękowego w Polsce i wylansował pierwszy wielki przebój filmowy. To była „Piosenka flisaków”, śpiewana zresztą przez Foggę. Film „Dziesięciu z Pawiaka”, w którym się znalazła, jest obrazem z przełomu. Dialo-

gi wciąż są jeszcze pisane na planszach, ale flisacy śpiewają naprawdę. Dodajmy jeszcze, że przed wojną zespół wystąpił w kilkunastu filmach, a większość z nich odniosła frekwencyjny sukces.

A skoro już mowa o przedsięwzięciach pionierskich, to, wybiegając nieco w przyszłość, Mieczysław Fogg był pierwszym Polakiem, który wystąpił w telewizji. Działo się to w roku 1938. Podczas próbnej transmisji nadawanej z budynku warszawskiego Prudentialu wykonał kilka swoich przebojów. Zresztą przed wojną zdążył też wystąpić w telewizji BBC.

Tak zatem Chórowi Dana i jego największej gwiazdzie sprzyjały okoliczności. W tym także to, że byli przy narodzinach tego, co ktoś słusznie określił jako „polski Broadway”. Dziś, gdy teatrów stricte rozrywkowych jest w Warszawie kilka, trudno pojąć, że w samej stolicy jednocześnie działało wtedy mniej więcej tyle kabaretów, co dziś w całej Polsce. I wszystkie miały siedziby w promieniu mniej więcej kilometra od ówczesnego centrum. Kabaret był nowością i budził ogromne zainteresowanie, więc garnęli się do niego najwybitniejsi twórcy. Poeci z Julianem Tuwimem i Marianem Hemarem na czele, a także kompozytorzy, wśród których absolutnym numerem jeden był Jerzy Petersburski. To dzięki niemu (pierwszy i ostatni raz) wyeksportowaliśmy piosenki na Zachód. „Tango milonga” jako „Oh, Donna Clara” trafiło na Broadway, a „To ostatnia niedziela” było przebojem w wielu krajach Europy (w rosyjskiej wersji dała nawet tytuł oscarowemu filmowi „Spaleni słońcem”). Nie trzeba chyba dodawać, że oba te przeboje wylansował Mieczysław Fogg.

Lata 20. przyniosły narodziny muzyki pop w kształcie, który (z grubsza) znamy do dziś. Wcześniej muzyki poważnej od tej rozrywkowej nie dzielił wcale mur. Artyści płynnie przechodzili z jednego gatunku do drugiego. Chór Dana, dla przykładu, koncertował w USA razem z gwiazdami pianistyki: Ignacym Paderewskim i Arturem Rubinsteinem. Dziś jest przecież zupełnie nie do wyobrażenia. Jeden z najważniejszych amerykańskich impresariów okresu międzywojennego Sol Hurok współpracował m.in. ze wspomnianym Rubinsteinem, ale promował też gwiazdy muzyki dziś uważanej za popową. Jak trafił na trop Chóru

Dana, nie jest pewne, ale to właśnie jemu zespół i sam Fogg zawdzięczają swoje największe sukcesy zagraniczne.

Może powiedział mu Rubinstein, a może Hurok, który pochodził z Rosji, usłyszał o tamtejszych sukcesach Chóru Dana? W Leningradzie zespół koncertował 27 dni z rzędu w największej sali! Świetnie przyjmowano ich w Niemczech, krajach bałtyckich, Czechosłowacji, we Włoszech i w Skandynawii. Ale to kontrakt z Hurokiem sprawił, że stali się gwiazdą w Stanach. Już sama podróż transatlantykiem miała niezwykły przebieg. Chór Dana na pokładzie spotyka najpopularniejszy zespół świata Mills Brothers i na balu kapitańskim wygrywa z nim pojedynek na piosenki. Do Nowego Jorku danowcy przybywają jako pogromcy braci Mills i idą tam od sukcesu do sukcesu. Tournée trwa osiem miesięcy zamiast trzech, występów jest 100 zamiast 30, a do tego wywiady, występy w Radiu CBS i amerykańskie wydania płyt. I to dla rodzimej publiczności, która nie chce wierzyć, że wokaliści nie znają angielskiego. Fogg wyjeżdża z Ameryki z przydomkiem polskiego Binga Crosby’ego. To największa ówczesna gwiazda piosenki, pamiętana do dziś dzięki utworowi „White Christmas”.

ARTYSTA NA BARYKADACH

Odeszliśmy na chwilę od historii samego Mieczysława, ale to dlatego, że nie da się jej opowiedzieć bez tła, którego najważniejszą częścią jest właśnie Chór Dana. Tyle że po powrocie z Ameryki w zasadzie kończy się historia zespołu. W latach 1937–1939 Fogg wspina się na szczyty popularności już jako solista. Jest gwiazdą największej ówczesnej wytwórni Syrena, wygrywa plebiscyt Polskiego Radia na najpopularniejszego piosenkarza, podbija Anglię i ponownie Amerykę. Koncertuje tam w sezonie 1938/1939. Wiosną w Stanach coraz częściej mówi się, że w Polsce wybuchnie wojna. Fogg dostaje ofertę nie do odrzucenia. Ma dobry kontrakt na rok 1940 i może sprowadzić rodzinę. Co wybiera? Postępuje odwrotnie niż większość ludzi. Wraca właśnie dlatego, że w Polsce może wybuchnąć wojna. Uważa, że w kraju będzie bardziej potrzebny. I rzeczywiście. Już we wrześniu 1939 r., razem z Ordonką, śpiewa żołnierzom



na dworcach. A po powrocie z tułaczki po Kresach Wschodnich (dochodzi do Zbaraża) jest pierwszym, który udaje się do konspiracyjnego Związku Artystów Scen Polskich z propozycją, by artyści zaczęli występować w kawiarniach dla Polaków. Wierzy, że muzyka będzie nieść ludziom pocieszenie. Ma rację. Utwór „Ukochana ja wrócę”, który napisano na jego zamówienie, trafia do stalagów i oflagów. Śpiewają go żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a publiczność słuchająca na żywo jego występów w Warszawie przyjmuje piosenkę ze łzami. Fogg zresztą niemal przypłacił to życiem. Podczas jednego z występów pijany gestapowiec, dowiedziawszy się, że to piosenka o żołnierzach, wyciągnął pistolet i chciał do niego strzelić. A następnego dnia wezwał Mieczysława na aleję Szucha. O dziwo, nic mu w końcu nie zrobił, uznając prawdopodobnie za kompletnego idiotę.

Dodajmy, że w czasie okupacji w mieszkaniu przy Koszykowej Fogg ukrywał przyjaciół z getta, za co zresztą został wyróżniony medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Z siedmiu osób, którym pomagał, aż pięć przeżyło. Najdłużej pomagał rodzinie Iwona Wesby'ego, swojego przedwojennego aranżera. Przy Koszykowej, kiedy nikt się tam nie ukrywał, odbywały się komplety tajnego gimnazjum Batorego i odbywały się konspiracyjne narady. Fogg regularnie załatwiał „dobre papiery” swoim znajomym. Dopiero przygotowując, wspólnie z prawnikiem bohatera Michałem, film dokumentalny „Fenomen Fogg” (emisja 26 grudnia o godz. 12.50 i 31 grudnia o godz. 17.30 w telewizyjnej Jedynce) dowiedzieliśmy się kilku innych rzeczy. Na przykład tego, że przez kilka lat nosił do getta Jerzemu Jurandotowi, zebrane przez kolegów artystów, pieniądze. Nielegalnie, rzecz jasna. Wśród plotek na temat Fogg'a pojawiła się także taka, że w czasie wojny miał podpisać volkslistę. Otóż wszystko wskazuje, że było dokładnie na odwrót. Mieczysław prawdopodobnie podpisu odmówił.

Może się wydawać, że budujemy tu jakiś pomnik. Zapewniam jednak, że to wszystko zweryfikowane fakty. Ale przecież dni największej chwały Mieczysława Fogg'a miały dopiero nadejść. Co prawda, zaczynał powstanie warszawskie z bro-



Członkowie Chóru Dana w Miami na Florydzie. Od lewej: Adam Wysocki, Władysław Daniłowski-Dan, Mieczysław Fogg, Tadeusz Bogdanowicz, Tadeusz Jasłowski, 1939 r.

FOT. NAC

nią w ręką na posterunku przy Politechnice (przez całą okupację był w Armii Krajowej), ale później poprosił, by pozwolono mu śpiewać. Dał co najmniej 104 koncerty na barykadach. W najtrudniejszych warunkach: w szpitalach wśród ciężko rannych i umierających, w piwnicach w huku spadających bomb, na ulicach. Przydomek Barda Powstania, który piosenkarzowi nadano, jest w pełni zasłużony. Fogg był trzy razy ranny, odznaczono go Krzyżem Walecznych i nie ma powstańca, który by nie wspominał jego występów. Był od większości z walczących o pokolenie starszy, być może oni woleli inną estetykę, ale Fogg imponował wszystkim odwagą.

Zresztą, śledząc jego biografię, można dojść do wniosku, że był człowiekiem, który niczego się nie bał. A do tego miał mnóstwo szczęścia. Latami ryzykował życie, i to nie tylko swoje, lecz także rodziny. Mimo to udało mu się bez szwanku przetrwać. Również powstanie. Dowódcy zabronili mu się ujawniać, ale już dzień po wyzwoleniu, 18 stycznia, wrócił do Warszawy. Po to, żeby śpiewać wśród morza ruin. Przy Marszałkowskiej 119, blisko dzisiejszego Pałacu Kultury, założył pierwszy lokal w zburzonym mieście. Café Fogg istniała tylko kilkanaście miesięcy, a mimo to przeszła do legendy. Odwiedzali ją dziennikarze z całego świata. To stamtąd nadano pierwszy po wojnie radiowy „Podwieczorek przy mikrofonie” i to tam wylano morze łez nad, napisaną przez Alberta Harrisa, „Piosenką o mojej

Warszawie” (kończącą się słowami „jam gotów ci życie poświęcić”).

ZAWSZE WIERNY SOBIE

Reszta to historia polskiej piosenki. No, może z wyjątkiem epizodu z wytwórni płytowej Fogg Records (założonej dzięki pomocy uratowanego przed Niemcami przyjaciela Iwona Wesby'ego). Mieczysławowi, który marzył o założeniu własnej firmy, udało się odnieść sukces. Po czym w 1950 r. komuniści wszystko mu zabrali, a on sam w Polskich Nagraniach nieraz nagrywał piosenki na własnym sprzęcie. Znowu ruszył więc w trasę dookoła świata, koncertując od Alaski do Nowej Zelandii. Przez londyńską emigrację przyjmowany był jak swój, chociaż przyjechał z komunistycznej Polski jako bodaj pierwszy. Można było podejrzewać, że idzie na jakieś koncesje. Tyle że tak nie było. Fogg nawet w najciemniejszych czasach stalinizmu występował w powstańczym kombinezonie i śpiewał „Czerwone maki na Monte Cassino”. Dlaczego sobie na to pozwalał? Chyba był po prostu ponad to. Chciał śpiewać i uważał się za polskiego patriotę. To były dwa główne motywy, które nim kierowały przez całe życie. Ustrojem się nie przejmował, dysydem być nie zamierzał, więc komuniści go tolerowali jako symbol ciągłości polskiej kultury.

Do samego końca reprezentował to, co najlepsze w czasach międzywojnia: klasę, elegancję, piękno ówczesnej muzyki. W 1958 r. znowu wygrał plebiscyt Polskiego Radia na najpopularniejszego piosenkarza, 20 lat po pierwszym zwycięstwie. To ewenement w skali światowej. Nikt nie wie, ile dał występów, mówi się o 16 tys. Podobnie z płytami – 25 mln sprzedanych egzemplarzy (dane szacunkowe) czyni go numerem jeden w historii polskiej fonografii. Na scenie spędził ponad 60 lat. Zszedł z niej w roku 1986.

Dziś jego piosenki wciąż są nagrywane w nowych wersjach, mimo że niektóre mają prawie 100 lat. A współcześni 30–40-latkowie doskonale wiedzą z filmu „Chłopaki nie płaczą”, że „Mietek Fogg to był równy gość”. Wszystko się zgadza: naprawdę był.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Fenomen Fogg”, reż. Mariusz Cieślík, scenariusz Mariusz Cieślík i Michał Fogg, do zobaczenia w TVP1 26 grudnia o godz. 12.50 i 31 grudnia o 17.30.



Ludzie dzielą się na tych, którzy uważają, że mają nadmiar czasu do zabicia, oraz tych, którzy życie mają za tak krótkie (jak mniemam słusznie), że szkoda ów czas marnować. Pierwszym zostawmy gumę do żucia dla oczu i umysłu, czyli przeważającą większość półek księgarskich, gdzie króluje literatura niekonieczne wysokich lotów. Drugich zapraszam na krótki przegląd książek, które pomagają zrozumieć świat. Przed nami kilka wolnych dni. Jeśli macie dość odpoczywania, to upewnijcie się, że to, co czytacie, ma jakieś znaczenie.

CO TO JEST GEOKULTURA?

„Kultura jest fundamentem zarówno dla niezależności, jak i dla zniewolenia – pisze prof. Tomasz Grzegorz Grosse, znakomity znawca stosunków międzynarodowych. – Kultura tworzy geopolitykę, ale jest też jej produktem, a dokładnie instrumentem realizacji geopolityki”.

W książce „Geokultura, czyli o związkach geopolityki z kulturą” (Ośrodek Myśli Politycznej 2023) Grosse pokazuje, jak wielkim błędem jest rozdzielanie obu opisywanych sfer. Jedno wynika z drugiego i gdy sobie o tym przypomnimy, rozmaite zjawiska oraz działania, które wydają się niezrozumiałe, okazują się nie tylko zrozumiałe, lecz także wręcz nieuniknione. Patrzymy bowiem nie na chaos, lecz na konsekwencje.

Hegemonia kulturowa Gramsciego w świecie Zachodu nie jest teorią, lecz faktem. To już się wydarzyło. W tej sytuacji dyskusja – powiedzmy – o konieczności wyłączenia polityki obronnej albo polityki zagranicznej z wewnętrznych sporów politycznych jest działaniem jałowym. Konserwatyści narzekają na współczesną lewicową politykę narzucającą rozmaite rozwiązania w sferze światopoglądowej. Za późno. Nowe tożsamości (w Unii Europejskiej) już się kształtują lub się ukształtowały i teraz wpływają na politykę. Także międzynarodową. Nie można czekać na „przebudzenie Unii”, bo taka, jaką dziś jest (lub chce być), po prostu nie może prowadzić innej polityki. Ostry bój o nową tożsamość obserwujemy w podzielonej jak nigdy Ameryce. Elity są kluczowym elementem tej walki, nie tylko w USA. One decydują o kulturze, kultura decyduje potem o polityce – to sprzężenie zwrot-

Takie CZasy



Piotr Gociek

Dziesięć nowych książek, które trzeba znać, by zrozumieć, co się dzieje ze światem – podpowiada Piotr Gociek

ne, któremu bardzo uważnie przygląda się prof. Grosse.

MNIEJSZE ZŁO

„Emocje nie powinny zniekształcać analizy, nawet jeśli stale do tego dochodzi w mediach społecznościowych” – podsumowuje swój wywód Robert D. Kaplan w książce „Tragizm polityki naszych czasów” (Poltext 2023). „Nigdy wcześniej myślenie tragiczne – i radzenie sobie ze strachem bez wywołanego przez niego poczucia sparaliżowania – nie było bardziej potrzebne”.

Ale czym jest „myślenie tragiczne”? Kaplan, który przez kilka dekad obserwował świat wielkiej polityki od dołu, tzn. jako korespondent w wielu punktach zapalnych świata, daje swojej książce istotny podtytuł: „Strach, fatum i brzemie władzy”. Przywraca myśleniu o współczesnej polityce pojęcie tragiczności, bo bez niego skuteczna polityka nie istnieje. Często nie jest ona prostym wyborem między dobrem i złem, lecz między rozmaitymi odcieniami dobra i mniejszego zła. Co więcej, często się okazuje, że właściwe wybory są wyborami tragicznymi.

Ale kluczową kwestią jest – i tu wywód Kaplana okazuje się głęboko

konserwatywny – zrozumienie, że pewnych rzeczy zmienić się nie da. „Nie da się naprawić wszystkiego, więc musimy zaakceptować, że większa część świata jest, jaka jest” – pisze autor, dla którego ostatnim myślącym trzeźwo amerykańskim prezydentem był George H.W. Bush. Wnioski dla polityki realnej są smutne. Ukraina zawsze będzie ważniejsza dla Rosji niż dla Ameryki. To zdeterminuje jej los – zauważa Kaplan. Fatum historii? A może mądrość? Kaplan wraca przecież w istocie do słów Marka Aureliusza, byśmy umieli znieść to, czego zmienić nie możemy, mieli odwagę dążyć do zmiany tego, co zmienić możemy, i mieli mądrość, aby odróżnić jedno od drugiego.

PŁATKI ŚNIEGU W DEPRESJI

Opisane powyżej rozważania i dylematy pozostaną w najbliższej przyszłości domeną bardzo wąskiej grupy, gdyż rozważania Kaplana pozostają w jawnej sprzeczności z procesami, przekonaniami i emocjami, które kształtują ogląd świata współczesnego człowieka. „Rozpieszczony umysł. Jak dobre intencje i złe idee skazują pokolenia na porażkę” to książka, w której Jonathan Haidt i Greg Lukianoff przyglądają się fatalnym



■ skutkom dominujących dziś nieprawd, które dla pokolenia płatków śniegu (przewrażliwionych, przebudzowanych młodych ludzi niepotrafiących stawić czoła wyzwaniom rzeczywistości) są oczywistą oczywistością. Niestety, „Zawsze ufaj swoim uczuciom” albo „życie to wojna między dobrymi i złymi ludźmi” to maksymy, których stosowanie w codziennym życiu i w opisie świata uniemożliwia zrozumienie realnych mechanizmów rządzących wszystkim: od życia społecznego do polityki.

„Cyniczne teorie” to opowieść o zgubnych skutkach triumfu postmodernizmu, „cancel culture” i wszelkich form płynnej nowoczesności

Wracam do książki Haidta i Lukianoffa w dniu, w którym piszę te słowa. Jest 13 grudnia, kilka godzin temu zaprzysiężono nowy rząd Donalda Tuska, a eksperci wciąż się zastanawiają, skąd emocjonalna mobilizacja z 15 października, ostatnich wyborów. Choć autorzy „Rozpieszczonego umysłu” piszą przede wszystkim o doświadczeniach amerykańskich, to ich analizy lepiej wyjaśniają wypadki z 15 października od niejednej polskiej analizy politycznej.

KSIEGI BANDYCKIE

Pisał Mickiewicz o urokach i niebezpieczeństwach płynących z lektury „książek zbójceckich”; dziś należałoby mówić o „księgach bandyckich”. „Cyniczne teorie” Helen Pluckrose i Jamesa Lindsaya (Wydawnictwo Warsaw Enterprise Institute 2022) to opowieść o zgubnych skutkach triumfu postmodernizmu, „cancel culture” i wszelkich form płynnej nowoczesności, a może postnowoczesności, w której każda bzdura uznana może zostać za prawdę obiektywną, o ile tylko ubrana jest w retorykę modnych teorii.

Autorzy książki znienawidzeni są przez współczesną lewicę, bo obnażyli jej miałość w ramach prowokacji zwanej „Grievance Studies Affair”. W latach 2017–2018 przygotowali ponad 20



konspektów artykułów, które przedstawiono prestiżowym pismom naukowym (socjologia, kulturoznawstwo etc.) jako propozycje artykułów. Cztery teksty opublikowano, trzy przyjęto do druku, kolejne przekazano do dalszych recenzji. Były to artykuły absurdalne, jeden promował politykę społeczną rodem z „Mein Kampf”, inny postulował bezpośredni związek między homofobią człowieka a obyczajami seksualnymi zwierząt domowych. I tak dalej.

„Cyniczne teorie” czytać należy wraz z inną pozycją wydaną przez WEI – „Woke S.A.”, której autorem jest Vivek Ramaswamy, który opisuje, w jaki sposób zjawiska i idee, których prawdziwą naturę poznamy w „Cynicznych teoriach”, służą wpływowym i bogatym jako wytrych do zarabiania na naiwnych. Jak wpływowym i bogatym? Najbardziej bogatym – korporacjom, które przejmują skrajnie lewicową agendę, by sprzedawać konsumentom fałszywe przeświadczenie o pozostawaniu w zgodzie z tym, co mądre, postępowe i nieuniknione. Ramaswamy wie, co pisze, bo wywodzi się z tej klasy. „Do niedawna był przedsiębiorcą, który odniósł sukces biznesowy, odstąpił mistyfikacje dzisiejszych – to biznesowo cynicznych, to kulturowo naiwnych – właścicieli korporacji i menedżerów wysokiego szczebla” – rekomenduje lekturę prof. Andrzej Zybertowicz. To nie korporacje powinny być nauczycielami moralności. Ale czy pokolenie płatków śniegu kiedyś to zrozumie?

WOJNA. I CO DALEJ?

O wojnie Rosji przeciw Ukrainie powstało już wiele książek – reportaży, analiz, świadectw, utworów literackich. Chciałbym zwrócić uwagę na kilka, które się nawzajem uzupełniają. Świeżo wydana przez Centrum Mieroszewskiego antologia „Wojna 2022” to kilkaset stron esejów, dzienników, wystąpień publicystycznych i wierszy, które powstały po rosyjskim ataku. Książka wstrząsająca. Nie można wobec opisywanej w niej tragedii pozostać obojętnym. Czytana dzisiaj okazuje się lekturą tragiczną w dwójnasób. Większość tekstów powstała w ciągu pierwszych miesięcy po inwazji. Szok miesza się z nadzieją. Przyszłość musi przynieść zwycięstwo. Musi? Wiemy już, że tak nie jest.



Czy wojna była nieunikniona? Łatwo być mądrym po fakcie, ale ukraiński historyk żyjący w USA Serhii Plokhyy, w książce „Kwestia rosyjska. Jak budowano naród i imperium” (Znak 2019) opublikowanej już po zaborze Krymu, ale przed pełnoskalową inwazją, daje solidnie udokumentowany wykład, który jest zapisem historycznego kursu na zderzenie.

Plokhyy bez złudzeń opisuje specyfikę rosyjskiego imperializmu, ale równie ponura jest jego ocena słabości Zachodu, zwłaszcza Europy.

I oto kilka tygodni temu pojawiła się w języku polskim niewielka książeczka legora Grana „Z jak zombi” (Wydawnictwo Nowe 2023), która w finałowych partiach współgra z wywodem ukraińskiego historyka. Dlaczego wskazują to podobieństwo? Bo to pamflet antyputiniowski i antyrosyjski autorstwa Rosjanina emigranta. Legor Gran, syn znanego dysydenta z czasów sowieckich Andrieja Siniawskiego, najpierw dokonuje brutalnej wiwisekcji współczesnej duszy rosyjskiej – duszy ludzi, na których reżim Putina dokonał zombifikacji”. A pod koniec wytyka Zachodowi, że przez minione 30 lat „niczym zakochany lizus nie przestawał robić do Rosji maślanych oczu”. Tymczasem – odpowiada Gran – na wszystkie miłosne podchody Rosja odpowiadała zbrodniami wojennymi, eksportem swego „trupiego gnicia”. Czas pozbyć się tego nikczemnika – wzywa Rosjanin.

TO, CZEGO NIE WIDAĆ

W bardzo ciekawej książce o wyjątkowo nieciekawym tytule „Wielka wojna o chipy” (Poltext 2023) Chris Miller przygląda się temu, czego nie widać – rywalizacji w tajemniczej sferze rozwoju sztucznej inteligencji. Rola Tajwanu – i szerzej: przemysłu półprzewodników – jest kluczowa, ale chodzi o coś więcej niż pytanie, czy aby nie zabraknie nam części do laptopów i smartfonów. W istocie idzie o wielki technologiczny wyścig między USA a Chinami (i ich junior partnerem – Rosją) o wykorzystanie postępu technologicznego do dominacji nad światem.

A skoro narzędziem ma być AI, to szczególnie ciekawe są fragmenty książki poświęcone temu, jak już dziś wykorzystuje się nowe technologie na polu walki.

A także te o triadzie Buchanana i o tym, czy zbiory danych są lepsze. Nawiasem mówiąc, skoro spoglądamy na współczesny teatr wojenny, pamiętajmy, jak Ukrainie udało się świetnie wykorzystać (scalić) rozproszone dane choćby z mediów społecznościowych, by atakować rosyjskie cele. Oraz o tym, jak nie tylko miny, lecz także masowe wykorzystanie dronów pomogło Rosjanom zatrzymać ukraińską ofensywę.

WNIOSKI DLA POLSKI

Czy Amerykanie porzucają Ukrainę? Czy losy Europy chce Waszyngton pozostawić w rękach Berlina lub tandemu Berlin-Paryż? Czy powstrzymywanie Rosji jest elementem tego samego procesu, którym jest powstrzymywanie Chin? Dylematy Waszyngtonu nie powinny nam przesłaniać dylematów Warszawy. W swojej najnowszej książce „Pauza strategiczna. Polska wobec ryzyka wojny z Rosją” (Zona Zero 2023) Marek Budzisz zadaje mnóstwo niewygodnych pytań. Jak wykorzystaliśmy wzrost znaczenia Polski po ataku Rosji na Ukrainę? Czy odpowiednio (jeśli w ogóle) przygotowujemy się do gwałtownego powrotu historii w jej najstraszniejszej formie nie tylko nad Dniepr, lecz także nad Wisłę?

Autor „Wielkiej wojny o chipy” przygląda się technologicznemu wyścigowi między USA i Chinami

Profesor Andrzej Zybertowicz ukuł sformułowanie „test Budzisa” – chodzi o wskazanie ważnej, jeśli nie palącej dla bezpieczeństwa Polski kwestii, opisanie zagrożeń, wrzucenie tematu w dyskurs publiczny i... oczekiwanie, czy ktokolwiek się tym przejmie. Wydaje się, że dotąd przejmowało się niewiele. Co gorsza, po zmianie rządu w Polsce wiele wskazuje na to, że teraz nie będzie przejmował się już nikt.

Dobre czasy mają to do siebie, że kończą się dużo szybciej niż złe czasy. To hasło łączy wszystkie tytuły z mojej tegorocznej listy lektur, które pomogą zrozumieć świat.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Księga strachów



★★★★★
REŻ. SAM ISMAIL
„ZOSTAW ŚWIAT ZA SOBĄ”
(„LEAVE THE WORLD BEHIND”)
USA 2023

wyst. Julia Roberts,
 Ethan Hawke,
 Mahershala Ali,
 Kevin Bacon

Rekordowa oglądalność, gwiazdorska obsada. Ekranizacja bestsellerowej powieści, Michelle i Barack Obama jako producenci. Reżyserem twórcą odpowiedzialny za serial „Mr. Robot”, świetnie oddający paranoje epoki cyfrowej. Spójrzmy na film „Zostaw świat za sobą” nie jak na ofertę rozrywki ze streamingu, lecz jak na książkę strachów.

Czego boi się Ameryka? Że jej wrogowie (Arabowie, Chiny, Korea, Rosja) zjednoczą siły w koszmarnym ataku. Że rząd szykuje coś bardzo złego. Że brodaty surwiwalista kupujący na zapas wodę i jedzenie może mieć rację. Że wojnę można przegrać i bez bomby. Że bomba jednak wybuchnie. Że trzeba będzie żyć bez Internetu,

komórek i serialu „Przyjaciele”. Że mniejszość powie białym: to jest nasz dom. Że biali powiedzą mniejszości: nie rozumiemy was, więc nie możemy wam pomóc. Oglądałem film Sama Esmaila jak zapis sesji u psychoterapeuty. Na kozetce amerykański liberał ze wschodniego wybrzeża, fabuła ułożona z jego najgłębszych lęków.

Ekranizacja powieści Rumaana Alama nie daje odpowiedzi na żadne z postawionych pytań (podobnie jak literacki oryginał) – łącznie z podstawowym: Co właściwie stało się ze światem? Czy katastrofa dotyczy tylko Ameryki czy może całego świata? Z nieba spadają samoloty, tankowce wbijają się dziobem w plażę, dziwny dźwięk doprowadza do szału, komunikaty

Nostrzegawcze pojawiają się i znikają na ekranach komórek oraz telewizorów. Kto za to odpowiada? Cicha apokalipsa – tak zwie się ten podgatunek, w którym wszystko zależy od napięcia i relacji między bohaterami, gdyż malownicze obrazy zagłady nie są przewidziane w scenopisie. Julia Roberts, Ethan Hawke, Mahershala Ali, Kevin Bacon dają radę, klimat filmu przypomina dokonania M. Night Shyamalana.

Co chwilę jednak apokalipsa ustępuje polityce. Jest niby przesłanie uniwersalne (ludzie są źli i zniszczyli planetę), ale „Zostaw świat za sobą” nieustannie powraca do amerykańskich lęków. Zwłaszcza związanych z uprzedzeniami rasowymi (po obu stronach), a także obawy o to, że podzielony kraj popełni samobójstwo. Jeśli potraktujemy tę opowieść jako raport o stanie pacjenta, to Ameryka jest dziś dużo poważniej chora, niż ktokolwiek może przypuszczać. ©©



NOWE SERIALE: „BARDZO ZŁE ŚWIĘTA”

Animacja studia Dreamworks. Świąteczny odcinek specjalny, w którym powracają bohaterowie filmu „Pan Wilk i spółka” (2022), czyli gang włamywaczy, którzy im bardziej chcą czynić zło, tym bardziej im nie wychodzi. Tak jest i tym razem: marzenie o wielkim świątecznym skoku na

bank nieoczekiwanie uczyni z pechowych przestępców osobników najsukuteczniej szerzących ducha świąt. ©©

Piotr Gociek

• reż. „Pan Wilk i spółka: bardzo złe święta” („The Bad Guys: A Very Bad Christmas”), USA 2023

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Percy Jackson i bogowie olimpijscy” („Percy Jackson and the Olympians”), USA 2023
- sezon 2 „Reacher”, USA 2023

- reż. Zack Snyder „Rebel Moon, część 1”, USA 2023



Zabić Mikołaja!

skySHOWTIME

Przepis na bożonarodzeniowy przebój jest prosty: wystarczy zmiksować „Kevina samego w domu” ze „Szklaną pułapką”, jako spoiwa zaś użyć dezynwoltury, wielce cenionej przez generację dzieci sieci. Problem w tym, że w korporacjach

drogie dziatki! To nie przebie-
raniec, lecz prawdziwy Santa
Claus, tyle że w psychicznym
dołku. Sporą część wigilijnego
wieczoru spędza przy barze,
sącząc piwo i narzekając na
świat. Nie wie, że czeka go
konfrontacja ze zorganizowaną



★★★★★

**REŻ. TOMMY
WIRKOLA**
„DZIKĄ NOC”
 („VIOLENT
NIGHT”)
USA 2022

wyst. David
Harbour, John
Leguizamo, Leah
Brady

grupą przestępczą.
„Mrozek”, „Cukrowa
Laska”, „Piernikowy
Ludzik”, a zwięsz-
cza ich herszt,
przedstawiający
się jako Scrooge, są
bezwzględni mor-
dercami. Po prawdzie
jedynym godnym
przeciwnikiem
Świętego byłby John
Wick. Przyznaję ze
wstydem – bawiłem
się setnie. Wirkola,
oszołomiony sukcesem,
zapowiada, że
w sequele wystąpi
pani Mikołajowa. No
cóż, Skandynawowie
mają czarne poczucie
humoru. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO RPG”

Doskonały dla siebie rok Nintendo za-
myka odświeżonym klasykiem sprzed
27 lat. I jest to zamknięcie w bardzo
dobrym stylu. „Super Mario RPG” to
tytuł kolorowy, wciągający, angażujący
i satysfakcjonujący. Doskonały na
prezent pod choinkę dla siedmiolatka,

sporo starszego brata czy siostry i dla
grającego rodzica. Połączenie swobod-
nego przemieszczania się po lokacjach
i pojedynków w systemie turowym
sprawdza się świetnie. Remake dobrze
przemyślany. Tam, gdzie warto –
wierny oryginałowi; tam, gdzie trzeba

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



★★★★★
– unowocześniony i uwspółcześniony,
a zatem także przystępny. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** RPG
• **Platforma:** Switch
• **Producent;** wydawca PL:
Nintendo; ConQuest Ent.

DIETA PINGWINOWA

KINO



★★★★★

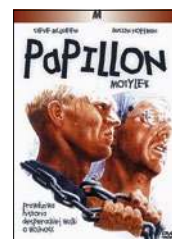
**REŻ. THOMAS
BIDEGAIN**
„NAGLE” („SO-
UDAIN, SEULS”)
FRANCJA/USA/
BELGIA/ISLANDIA
2023

wyst. Mélanie Thierry, Gilles Lellouche

Popłynąć na koniec świata
i przetrwać. Mało który
gatunek krzewi się ostatnio
tak bujnie, jak filmowy
survival. Zdaje się, że ludz-
kość drąży podświadomy
niepokój. Czy damy radę,
jeśli pechowym zrządze-
niem losu znajdziemy się
sami na środku pustyni,
oceanu lub w głębi odwiecznej puszczy? Mnożą się wszak doniesienia
o smutnych skutkach zejścia ze szlaku, odłączenia się od grupy tudzież
pogoni za idealnym selfikiem. A będzie jeszcze gorzej, gdyż celami
pożądanymi przez turystów z klasy średniej stały się dżungle i lodowce.
Laura i Ben postanowili scementować swój związek wypadem do Ziemi
Ognistej. Niestety, odległa wyspa rezerwat, zamieszkała przez pingwi-
ny, przy bliższym poznaniu okazuje się szatańską pułapką. Nadzieja
na ratunek słabnie, a miłość trudno czasem pogodzić z instynktem
samozachowawczym. Werystyczne, wiarygodne, dające do myślenia,
znakomicie zagrane. Czegoż chcieć więcej? ©©

WIELKA UCIECZKA

DVD
VIDEO



★★★★★

**REŻ. FRANKLIN J.
SCHAFFNER**
„MOTYLEK”
 („PAPILLON”)
USA 1973

wyst. Steve McQueen, Dustin Hoffman,
Anthony Zerbe

„Nie stwarzamy pozorów
resocjalizacji” – uprzedza
komendant Diabelskiej
Wyspy, kolonii karnej
w Gujanie nazywanej „suchą
gilotyną”. Alfred Dreyfus,
rzekomy szpieg niemiecki,
spędził w tym tropikalnym
piekle cztery lata. Dzięki takim
filmom jak „Motylek” lata
70. XX w. uchodzą za złotą
epokę kina amerykańskiego. Podobno autor powieści, paryski kryminalista,
konfabulował, lecz ekranizacja rzetelnie pokazuje horror uwięzienia i walkę
o zachowanie ludzkiej godności. Dla Steve’a McQueena rola Papillona była jak
wisenia na torcie. Błękitnooki twardziel nad twardzielami, którego można
zabić, ale złamać nie sposób – takim został zapamiętany. Dustin Hoffman
dzielnie mu sekunduje jako „najlepszy fałszerz we Francji”. Choć remake
z 2017 r. wcale nie jest zły, to oryginał 50 lat po premierze zachował moc
godną rumu z Gujany. ©©

Wiesław Chełminiak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Lwowski elementarz

Autorka tej książki miała 13 lat, gdy wypędzono ją z rodzinnego Lwowa. Jest jedną z jakże niewielu już osób, które z dzieciństwa pamiętają polski Lwów, a i wszystko to, co przeżyła tam „za Niemca” i „za pierwszego”, i „drugiego” Sowietów. W 1946 r. wsiadły z matką do pociągu jadącego na zachód (wścieka się, gdy słyszy, że wyjechała do Polski; Polska to był Lwów!), by wysiąść we Wrocławiu. Nad Odrą skończyła studia, przepracowała całe swoje życie zawodowe – w szkołach i Polskim Radiu, założyła rodzinę i, powiada, pewnie umrze, ale to wciąż nie jest jej miasto, bo cały czas czuje się wygnanką: „Lwów już nie mój, a Wrocław nigdy w pełni mój się nie stanie”.

I to dlatego z taką pasją polemizuje np. na kartach „LeoPolki” ze znaną publicystką Magdaleną Bajer, zresztą swoją koleżanką ze studiów, która „na łamach różnych mądrych czasopism” będzie „bez żalu” oddawać Lwów ich obecnym mieszkańcom. Pytała wtedy Maria Woś na antenie wrocławskiego radia i pyta dziś: „Jakim prawem mówi o tym braku żalu w moim na przykład imieniu? Kto ją do tego upoważnił?”. Przytacza także swoją rozmowę czy raczej kłótnię z inną koleżanką, Ewą Szumańską (zmarłą w 2011 r. pisarką i dziennikarką, któż nie pamięta skeczów z serii „Będąc młodą lekarką...”), o sławny artykuł Jana Błońskiego: „Biedni Polacy patrzą na getto”. Tylko dla tego dialogu „LeoPolkę” należy przeczytać koniecznie! – tu zacytuję jedynie jego fragment:

– *Dlaczego ja się mam uważać za współwinną Holocaustu, skoro ja cudem tylko nie stałam się jego ofiarą.*

– *Jak to ofiarą? Ty?*

– *No pewnie! Przecież ci opowiadałam*



FOT. PIW

o mojej Mamie. Że chciała wywieźć ze Lwowa żydowskie dziecko, na moich papierach, że tak powiem...

– *No i co?*

– *No co? Wylądowała w więzieniu na Łąckiego, prosto z dworca.*

– *Ale, o ile mi wiadomo, wyszła.*

– *Ja cię bardzo przepraszam, ty byś pewnie wolała, żeby nie wyszła, tak? To by ci lepiej pasowało...*

– *Durnaś!!! Ale Błoński pisze...*

– *A co mnie Błoński obchodzi?! Czy jemu matkę aresztowali tak jak mnie? On wtedy też był dzieckiem. Ledwie trzy lata starszy ode mnie.*

– *Ale on pisze, powołując się na Miłosza.*

– *Tym gorzej. Może on sam się woził na tej karuzeli koło getta, a przeczytał sobie Miłosza i teraz ma wyrzuty sumienia.*

– *Nie wiem, czy się woził, ale w tym wierszu: „Biedni chrześcijanin patrzy na getto” Miłosz...*

– *Przestań z tym Miłoszem! Ja też lubię poezję, dobrze wiesz, ale tu jest mowa o życiu. Także o moim życiu. Moim, rozumiesz? Jakby mi matkę zamordowali... i ja bym tam we Lwowie została wtedy sierotą, to gdzie bym dzisiaj była? Kim bym była?*

I zastanawia się: miała wtedy osiem lat. Gdyby przetrwała Niemców, co by zrobili z nią Sowietów? „Ja tu teraz wydziwiam – pisze – że nie jestem żadną wrocławianką i że jestem bezdomna i wygnana, ale gdybym musiała zostać we Lwowie wśród Sowietów i Ukraińców – to dopiero byłaby zgroza...”.

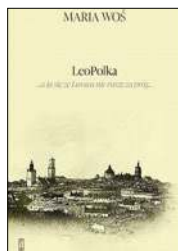
Uniosła ze sobą miasto, w którym chodziła do szkoły siostr sercanek koło starego kościółka Panny Marii Śnieżnej, w którym

czytać nauczyła się z fasady kościoła Dominikanów („Soli Deo Honor et Gloria” – „Jedynemu Bogu cześć i chwała”), gdzie śpiewała w chórze, który miał ją ukształtować, uformować na całą przyszłość – to była jej, jak pisze, „Akademia Życia Wewnętrznego”, gdzie na zajęciach muzycznych, na religii, a i na kryptoharcerskich biwakach wychowano ją do polskości. Byli dla niej dominikanie enklawą w świecie, w którym nawet język się zmieniał, powstały nowe związki frazeologiczne: „Niemcy palą Żydów, Ukraińcy rzną Polaków. To są zdania z naszego elementarza. Nie »Ala ma kota«. Gdzie Ala/Jaka Ala? Ta, którą za rączkę prowadziła moja Mama na dworcu we Lwowie i którą od niej brutalnie oderwano? Nigdy o tym dziecku nie mówimy...”.

Pewnie, można za Adamem Zagajewskim powtórzyć: „Lwów jest wszędzie”, ale tamten był jeden – niepowtarzalny. Teraz pozostaje już tylko poszukiwanie jego śladów, celowo niszczonego, zacieranego. Bo jak tu pójść na plac Dominikański, skoro on teraz Muzealny i jeśli coś upamiętnia, to mieszczące się tam za komuny w kościele, dziś cerkwi grekokatolickiej, Muzeum Ateizmu...

Maria Woś (z domu Czastka) w swojej pełnej emocji, wzruszającej i nader niepoprawnej politycznej książce przypomina też dawny esej Zagajewskiego, w którym wytykał jakże wielu swoim rodakom, że patrzą na Lwów tak jak na inne europejskie miasta, nawet tak wspaniałe jak Florencja czy Rzym. Piękno tego ostatniego, pisał, „zobaczy każdy idiota”. A we Lwowie, „w tym pokaleczonym mieście trzeba posłużyć się nie tylko wzrokiem i słuchem, lecz także intuicją i wyobraźnią”.

Otóż to. ©©



★★★★★

MARIA WOŚ
„LEOPOLKA...
A JA SIĘ ZE
LWOWA NIE
RUSZĘ ZA
PRÓG...”

PIW,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Testamenty Ernesta

Ernest Hemingway powrócił, wydawnictwo Marginesy wznawia jego dzieła; biorą się do roboty kolejni tłumacze, czasem dostajemy nowe wersje znanych powieści („Ruchome święto”). Tom „Pozostałe opowiadania” jest uzupełnieniem kanonicznego zbioru „49 opowiadań” – dostajemy kolekcję tekstów z różnych okresów, z szuflady pośmiertnej.

Zacznę od końca – najciekawsze wydają się opowiadania pochodzące oryginalnie z cyklu o Nicku Adamsie, literackim alter ego autora. Osobnik ów ma podobną biografię, podobne zainteresowania (polowanie, wędkowanie, popijanie, rozmowy o życiu). Świetna jest „Noc przed lądowaniem” („– Moja dziewczyna by ze mną spała. – Pewnie. Gdyby cię kochała, spałaby z tobą” – jakież to hemingwayowski dialog), dowcipna jest „Przeprawa przez Missisipi”. A opowiadania „O pisaniu” trudno nie czytać, zastanawiając się, jak wiele z siebie pisarz przełał w postać Nicka Adamsa, który podczas leśnej wycieczki medytuje nad pisarskim rzemiosłem.

Są tu i dwie bajki dla dzieci. Przebawny „Dobry lew” o potomku weneckich skrzydlatych lwów, który mieszkał w Afryce, ale zamiast jeść surowe mięso,

wolał makaron z warzywami. „Wierny byk” wzrusza, choć współcześni edukatorzy zaciągnęliby rodziców przed sąd za czytanie dzieciom bajki o walkach byków.

Są wreszcie liczne literackie wspomnienia z wojny hiszpańskiej, które zdają się najmniej ciekawą częścią zbioru, bo są najbardziej rozgadane, szybko znuży czytelnika parada rozmaitych postaci wygłaszających często dość oczywiste opinie. Ja w każdym razie błyskawicznie straciłem zainteresowanie tym, kto co do powiedzenia ma o której dziewczynie i co sądzi o wchodzących do knajpy gościach z innych oddziałów. Zaciekała mnie za to relacja między ojcem a synem w „Afrykańskiej opowieści” przypominająca, że „nie tylko potrzeba snu stanowi o różnicy między chłopcami a mężczyznami”.

Całe piśmarstwo Hemingwaya rozgrywa się gdzieś między chłopcem a mężczyzną,

nieważna geografia czy historyczne dekoracje. Między codziennym rzemiosłem a marzeniem o doskonałości. „Nick chciał pisać tak, jak malował Cézanne. Cézanne na dzień dobry znał wszystkie sztuczki. Ale potem zburzył wszystko i postawił od nowa, prawdziwe. Diabło ciężkie zadanie. Dlatego był największy”. ©©



★★★★★
ERNEST HEMINGWAY
„POZOSTAŁE OPOWIEDANIA”
MARGINESY 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasycy (Gilbert K. Chesterton, Henry James, Jerome K. Jerome) i autorzy zapomniani (John Harwood, W.W. Fenn) w obszernej antologii opowieści niesamowitych epoki wiktoriańskiej.



AUTORZY RÓŻNI
„DUCHY ZIMOWEJ NOCY”
ZYSK I S-KA

Dookoła globu w świątecznym nastroju, od Feliz Navidad do włoskiej Befany, nie zapominając o psotnych greckich goblinach. Ilustracje (urocze): Maria Neradova, tekst: Pavla Hanackova.



AUTORZY RÓŻNI
„JAK DZIECI ŚWIĘTUJĄ BOŻE NARODZENIE NA CAŁYM ŚWIECIE”
ZNAK

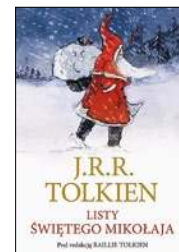
Jim Carrey wykluczył powrót do roli Grincha, ale to nie szkodzi, jak długo cancel culture nie odbierze nam literackiego oryginału. Klasyka literatury dla dzieci z oryginalnymi ilustracjami autora.



DR. SEUSS
„JAK GRINCH SKRADE ŚWIĘTA”
KROPKA

Przez ponad 20 lat Tolkien pisał dla swoich dzieci bogato ilustrowane świąteczne opowieści udające listy od Mikołaja. Przebawne, pełne fantazji, ciepła i cudowności, którą daje jedynie prawdziwa miłość. Rewelacja.

recenzuje Piotr Gociek

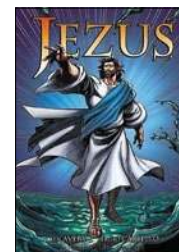


J.R.R. TOLKIEN
„LISTY ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„JEZUS”

Komiks – ale bez obaw, posiada imprimatur – o życiu i dokonaniach Jezusa z Nazaretu. Opowieść obszerna, ukazująca dzieje Zbawiciela, tak jak opowiadają ją cztery Ewangelie. Wspólne dzieło scenarzystów i grafików amerykańskich, znanych ze współpracy z gigantami



BEN AVERY, SERGIO CARIELLO
„JEZUS”
WYDAWNICTWO AA

rynku komiksowego – wydawnictwami Marvel i DC Comics.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Na wieki wieków

Konkurs Szopek Krakowskich – zorganizowany po raz pierwszy w 1937 r. przez Jerzego Dobrzyckiego, kierownika magistrackiego działu propagandy, a po drugiej wojnie światowej wznowiony i organizowany do dziś przez Muzeum Krakowa – to inicjatywa mająca początkowo podtrzymać zrodzony

w wieku XIX i powoli zanikający po pierwszej wojnie światowej krakowski zwyczaj „chodzenia” z szopką po domach, a dziś marka sama w sobie. Marka trzymająca się niezwykle mocno, o czym świadczy tegoroczna edycja wydarzenia.

81. Konkurs Szopek Krakowskich zapisze się w historii także za sprawą rekordowej liczby 232 zgłoszonych do niego szopek. Tak wiele nie było ich nigdy. Dotychczas najwięcej szopek, 230, zgłoszono w roku 1986. W ubiegłym roku było ich natomiast „tylko” 140.

Konkurs już rozstrzygnięto, wyłoniono najpiękniejsze szopki w kilku kategoriach. Wszystkie można oglądać na pokonkursowej wystawie. © ©

GDZIE? Kraków, Pałac Krzysztofora
KIEDY? do 25 lutego 2024 r.



FOT. MARCIN GOLIS



FOT. MUZEUM WSI MAZOWIECKIEJ W SIERPCU

ŚWIĘTA KIEDYŚ

Odwiedzając Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu w okołoswiątecznym czasie – czy to bożonarodzeniowym, czy to wielkanocnym – można się przekonać, jak na Mazowszu świętowano kiedyś. Kiedyś, czyli na przełomie wieków XIX i XX. Jak Boże Narodzenie wyglądało pod wiejską strzechą, jak u najbiedniejszych, jak u bogatszych gospodarzy, a jak u dworzan? Co musiało się znaleźć na świątecznym stole? Jakie ozdoby przyszyły uroku izbie w tym wyjątkowym czasie? Obrzędowość i tradycje od Wigilii aż do świąt Trzech Króli. © ©

GDZIE? Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu (skansen)
KIEDY: do końca lutego 2024 r.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

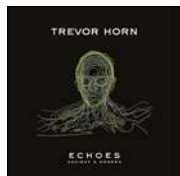
Powrót wizjonera

Nawiązywania współczesnych laptopowych gwiazdek do syntetycznych brzmień lat 80. sprawiły, że gremialnie powracają gwiazdy tamtej dekady. Należy jednak pamiętać, że współtwórcami Drugiej Brytyjskiej Inwazji Muzycznej byli producenci. Największym z nich był Trevor Horn.

To Horn stał za sukcesami zespołów ABC, Frankie Goes to Hollywood, Pet Shop Boys czy Seal a i jednocześnie wskrzesił kariery zespołu Yes oraz Toma Jonesa, Roda Stewarta i Tiny Turner. Na swoim najnowszym albumie Trevor reinterpretuje wielkie przeboje z dni swojej producenckiej chwały. Są wśród nich „jego” hity, które rozstawili Yes, FGTH czy Grace

Jones, a także przeboje Depeche Mode, The Cars, Nirvany, a nawet Kendricka Lamara. Horn w większości przypadków postawił na spowolnienie aranżacji i nadanie utworom orkiestrowego charakteru. Do zaśpiewania piosenek zaprosił gwiazdy lat 80. w osobach Tori Amos, Ricka Astleya, Marca Almonda, Iggy’ego Popa czy Toyah. Na koniec sam wykonał „Avalon”, przebój zespołu Roxy Music.

Przeciwnicy płyty porównują ją do sentymentalnego karaoke, a przychylnie nastawieni recenzenci uważają, że Horn po raz kolejny udowadnia swój kunszt producencki. Nie jest to wybitna ani odkrywczą płyta, ale w czasach nagminnych zapożyczeń z przeszłości warto posłuchać. © ©



★★★★★
TREVOR HORN
„ECHOES
– ANCIENT &
MODERN”
DEUTSCHE
GRAMMOPHON



★★★★★
TSA DREAM TEAM
„LIVE 2021”
MYSTIC

Zapis ostatniego koncertu TSA, w którym wziął udział zmarły cztery miesiące później gitarzysta Andrzej Nowak. W Gliwicach grupa brzmiała zacie, gitary łośły oldskulowo, Piekarczyk zdzierał gardło dostojnie, a w repertuarze koncertu były wszystkie hity. © ©



★★★★★
WALDEMAR
PARZYŃSKI
„PEJZAŻ POLSKI”
GAD

Śpiewał w Novi Singers, pisał piosenki i był m.in. szefem muzycznym „Idola”, komponował znakomitą muzykę filmową. Na płycie dostajemy jego trzy orkiestrowe utwory z lat 1973–1975, które łączą liryczne tematy z eksperymentem i rockową ekspresją. Prawdziwe odkrycie. © ©



Krzysztof Masłowski



Kadr z serialu „Korona królów. Jagiellonowie” fot. TVP

Kompletnie nie wyczuwało się atmosfery nadchodzących świąt w barze Pod Antenką, za to zrobiło się jakby przestronniej. Oto Złodziej Korony Polskiej orzekł, że nie będzie inwestował w żadne dekodery, i pozbył się stojącego na kontuarze grata, pokrętnie uzasadniając decyzję chęcią naprawy zerwanych więzi interpersonalnych, czemu winne było jakoby szczucie uprawiane przez niesławne pamięci faszystowską telewizję.

– Zawsze można było jednak obejrzyć jakąś transmisję sportową – niezbyt pewnie zauważył Wsiowy Sceptyk.

– Jaką? Kanały sportowe niedługo zaczną z nudów relacjonować mecze piłkarskiej IV Ligi – machnął ręką Element Antydemokratyczny.

– A to nawet byłby niezły pomysł. W takim np. meczu między Izolatorem Boguchwałą a Cosmosem Nowotaniec to się pewnie dopiero dzieje! – rozmarzył się sterczący beczynnie za barem Złodziej Korony Polskiej.

– Na pewno więcej niż na Pucharze Świata w skokach narciarskich – zgodził się. – Tyle że futbolu nie będzie komentował Krzysio Biegun. I kto teraz powie w jednej transmisji w ciągu trzech minut 30 razy „aczkolwiek”?

– Z pewnością znajdzie się jakiś złotousty mędrzec – Pan Gienio nie tracił optymizmu i jako zaprzysięgły słuchacz oracji redaktora Janeckiego Stanisława zacytował Szwejka, który zwykł powtarzać: – Jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś było. Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było.

Element Antydemokratyczny wydał pogardliwie usta: – Aha, srali muchy, będzie wiosna.

– A będzie jakaś wiosna? – Mańka Dzyndzel wtrąciła się do rozmowy, przy której dotąd wyraźnie się nudziła. – Obejrzałam wczoraj film z Julią Roberts, który może nie całkiem zrozumiałam, ale wynika z niego, że jak nie będzie Sieci, to wszystko może pierdyknąć.

– A to ja wiem, co ty oglądała – Złodziej Korony Polskiej popisał się internetową erudycją. – Podobno Barack Obama z żoną przyłożył się do produkcji „Zostaw świat za sobą”. A to ty, Mańka, masz Netflix? – zapytał.

– Nie interesuj się, bo dostaniesz kociej mordy. I lej wreszcie, bo od tego jesteś. Sprzątnąłbyś zresztą w lokalu, bo poza nami nikt tu nie przychodzi. Strach wejść, tak brudno – zaktywizował się Pan Gienio. – W kraju nowe porządki, a tu syf i mogiła.

Mańka jednak, nie zważając na nic, kontynuowała swoją opowieść: – I wiecie, kto tylko w tym świecie, który nie wiadomo, czy potrwa jeszcze chwilę, zachował zimną krew i osiągnął to, do czego dążył. Dziewczynka, która chciała obejrzyć ostatni odcinek serialu „Przyjacie!” I ogląda go, a co! Że też my nie potra-

fimy wyprodukować takiego serialu... – zafrasowała się.

– Jak to nie potrafimy?

A Kloss, a Pancerni – prowokował Element Antydemokratyczny. – Może jeszcze „Korona królów”? – obśmiał się jak norka.

Nikomu nie chciało się nawet zbluzgać głupka. Wszyscy odczuwali zmęczenie. Przez ostatnie dni wyzywaliśmy się, niczym w Sejmie, od ruskich onuc i niemieckich agentów, ale i to w końcu każdego znudziło, podobnie jak kłótnie, co jest lepsze: dżuma czy cholera. Rządowe personalia też nie wzbudziły większych emocji, no może poza Sławomirem Nitrasem.

W tej sytuacji niezbyt przekonująco zabrzmiała deklaracja karczmara, który stwierdził, że – kto wie – może w nowej rzeczywistości jeśli nie będzie lepiej, to przynajmniej weselej.

– Jeszcze bardziej? – zdumiał się Element Antydemokratyczny.

Złodziej Korony Polskiej zaczął wywodzić, że skoro Polska ma być od teraz szczęśliwa, to i naszej wiosce ułamek tego szczęścia przypadnie w udziale. Prorokował również, że skończą się wreszcie kłótnie przy świątecznym stole i pojednamy się przy opłatku.

– Ze swoim szwagrem to ja się mogę pojednać tylko

przy „Kevinie” – z głęboką znajomością rzeczy oznajmił Pan Gienio i zaordynował po calaku. Zwierzył się przy okazji, że – jak to pisior – boi się zmian, zwłaszcza w telewizji publicznej. Przyzwyczał się bowiem do swoich teleturniejów, do biesiad, westernów sprzed 60 lat, a już zwłaszcza powtórek z Sienkiewicza. Wszystkie dialogi z „Trylogii” zna na pamięć i przy emisjach poszczególnych filmów i seriali z Panem Zagłobą w roli głównej sprawdza, jak dalece wieloletnie nadużywanie alkoholu plus postępujący alzheimer poczyniły spustoszenia w jego mózgu. I, jak dotąd, pocieszał się, że nie jest jeszcze zupełnie źle, co zawdzięcza wyłącznie ekranizacjom powieści pierwszego naszego noblisty.

– A teraz zlikwidują mi moją telewizję – rozpacział.

– Nie martw się, ludzie nowego szefa resortu kultury wszystko wywrócą na Woronicza do góry nogami, ale Sienkiewicza nie ruszą. Ze względów rodzinnych minister roztoczy nad dziełami pradziadka tarczę ochronną – pocieszył coraz bardziej wlanego Pana Gienio.

– Chyba nie tarczę, a parasol – uściślił karczmarz.

– Jeden Tusk – westchnęła Manka Dzyndzel. ©



Wiek Wiesława Chrzanowskiego



Marek Jurek

Wiesławowi Chrzanowskiemu bardzo obca była redukcja demokracji do konkurencyjnego przywództwa. Za sens demokracji uważał uczestnictwo. Nie cierpiał partii wodzowskich, nie lubił propagandy. A przecież w tym kierunku ewoluuje demokracja nowoczesna, bardziej medialna niż parlamentarna

Spotkanie prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego z Wiesławem Chrzanowskim, marszałkiem seniosem, w ramach konsultacji w sprawie nowelizacji ustawy o IPN, Warszawa, 3 listopada 2006 r.

FOT. KACPER PEMPEL/REPORTER

Należał do znakomitego, choć tragicznie wykrwawionego pokolenia. Potrafimy dziś wymieniać nazwiska Trzebińskiego, Baczyńskiego, Borowskiego przede wszystkim dlatego, że mogli przez chwilę zabłysnąć w podziemnym życiu kulturalnym okupowanej Warszawy. Ilu innych nie miało tej szansy w Krakowie, Poznaniu czy Wilnie? Karol Wojtyła, owszem, ale on poszedł drogą wyjątkowego powołania. A gdy skończyła się niemiecka okupacja, przez Polskę przejechał walec komunizmu, zabijając, łamiąc kręgosłupy, niszcząc nadzieję, możliwości twórczego działania, rolę, którą powinni byli objąć w życiu publicznym. Ci, którzy przeżyli i zachowali „postawę wyprostowaną”, mieli niezwykle szansę świadomie przeżyć cały wiek XX, łącząc w pamięci i doświadczeniu Piłsudskiego i Wałęsę, Roosevelta i Reagana, Piusa XII

i Franciszka, utratę niepodległości i jej odzyskanie. Ich rodzice sporą część życia przeżyli w czasach XIX-wiecznych monarchii, a oni sami mogli stać się nauczycielami pokolenia aktywnego w XXI w. Przede wszystkim jednak dźwigali doświadczenie półwiecza niewoli. To spowodowało, że najbardziej charakterystycznym rysem tej generacji był głęboki odruch antytotalitarny, namiętne pragnienie wolności politycznej i prawa do indywidualnej opinii. Na różne sposoby, ale z jednakową siłą, widać to było w działalności i twórczości Jana Pawła II i Alberta Krąpca OP, Zbigniewa Herberta i samego Wiesława Chrzanowskiego.

DEMOKRACJA W GENACH

Demokratyczny wątek w tradycji ruchu narodowego Wiesław Chrzanowski miał wpisany wręcz w genealogię. Wśród jego przodków było wielu powstańców,

historia jego rodziny dobrze streszcza polski wiek XIX, historię „starej demokracji”, powstańczej i emigracyjnej, i nową – Narodowej. Pułkownik Wojciech Dobek brał udział w insurekcji kościuszkowskiej, Walenty Nasierowski szturmował Belweder w Noc Listopadową. Dziadek Wiesława, Władysław Chrzanowski, po tym, jak w 1863 r. poprowadził partię powstańczą z Poznańskiego w Kaliskie, stracił wolność i majątek, więc dla jego dzieci szansą pozostało przede wszystkim wykształcenie.

„Ojciec utrzymywał kontakty – wspominał Wiesław Chrzanowski – tylko z niektórymi ze swych krewnych, a to z tej racji, że gdy dziadkom wiodło się kiepsko, zamożna część rodziny odsunęła się od nich. Los chciał, że z czasem to właśnie ojciec [prof. Wiesław Chrzanowski senior] stał się najbardziej promiennym członkiem rodziny”.



Istotnie, ojciec przyszłego marszałka został, po studiach odbytych w Niemczech, najmłodszym profesorem wyższej uczelni w Europie, na Politechnice we Lwowie. Mimo późniejszej aktywności politycznej (m.in. w Rządzie Obrony Narodowej w 1920 r.), naukowej i kulturalnej ciągnęło go całe życie na wieś. Na emeryturze kupił 135-hektarowy folwark pod Łowiczem, ale ze środowiskiem mieszkających w sąsiedztwie ziemian nie nawiązał szerszych stosunków. Żona profesora zajęła się oświatą ludową, a sam Wiesław Chrzanowski po latach napisze, że od początku bardzo duże wrażenie robiła na nim myśl Jana Ludwika Popławskiego, z jego ideą unarodowienia ludu.

Ten demokratyzm społeczny u Wiesława Chrzanowskiego łączył się z politycznym, z przekonaniem o wartości wielopartyjnego parlamentaryzmu. System partyjny to najbardziej (przynajmniej u nas) nie lubiany element demokracji. Wiesław Chrzanowski miał opinię przeciwną. Uważał, że demokratyczne partie lepiej lub gorzej spełniają klasyczną funkcję „ciał pośredniczących”, bez których nie ma obywatelskiego społeczeństwa. Propagowanie niepartyjności traktował jako wstęp do (by użyć celnego wojtyliańskiego określenia) „otwartego lub zakamuflowanego” autorytaryzmu. Autentyczny system wielopartyjny przeciwstawiał karykaturze życia społecznego, tworzonej przez reżimy totalitarne. Tam, jak często powtarzał, związki zawodowe i wszelkie organizacje miały być jedynie „pasem transmisyjnym” władzy do mas. A gdy wstęp do zbioru artykułów Wiesława poprzedziłem cytatem z Clintona Rossitera (że „nie ma demokracji bez polityki, a polityki bez partii politycznych”), był bardzo szczęśliwy, że znalazłem formułę, która – jak uznał – tak celnie streszcza jego ustroje przekonania.

SIŁA WIerności

Na inauguracyjnym posiedzeniu Sejmu w 1991 r. Wiesław Chrzanowski mówił, że droga, która prowadziła do zebrania się tej Izby, była „nie mniej cierń” niż ta, która poprzedzała zwołanie Sejmu Ustawodawczego w roku 1918. „To ponad pół wieku walki, zmagania, to pasmo cierpień i ofiary życia wielkiej

rzeszy naszych rodaków. Przez pięćdziesiąt lat byłem wśród nich, niektórych zagnałem, gdy odchodzili na zawsze. Czuję potrzebę, by w tym momencie złożyć im hołd za trud niedaremny”.

Te słowa mogły się wydawać przesadnie uroczyste jedynie tym, którzy marszałka Chrzanowskiego nie znali. W istocie, z charakterystyczną dyskrecją, mówił Izbie o własnych doświadczeniach. O przyjaciółach, u których boku walczył w podziemiu i w powstaniu; o rozmowach w celach więziennych i pożegnaniach z tymi, którzy spod celi „odchodzili na zawsze”; i o torturach, które przeżył w stalinowskiej katowni (o czym przyjaciółom mówił jedynie zdawkowo, najczęściej tak, jakby mówił o kimś innym). Taka była cena jego służby w Narodowej Organizacji Wojskowej – Armii Krajowej i w powojennym Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym, także działalności w podziemnych strukturach Młodzieży Wszechpolskiej i jawnej opozycyjnej publicystyki w „Tygodniku Warszawskim”.

Te doświadczenia ukształtowały jego przekonania i postawę. Konspiracyjne numery „Młodej Polski”, „Walki”, „Wszechpolaka” przechowywał jak relikwie. Co roku chodził 1 sierpnia odwiedzić groby poległych kolegów w kwaterach powstańców na Powązkach. Często tam zabierał młodszych przyjaciół, gdy już patronował działalności Ruchu Młodej Polski. Ale we wspomnieniach wracał nie tylko do walki zbrojnej, lecz także do dyskusji, które z kolegami toczyli w podziemiu. Opowiadał, jak mistrzami ich intelektualnych poszukiwań byli Maritain i Bierdiajew, jak u nich szukali wizji ładu chrześcijańskiego, na którym oprócz chcieli po wojnie odzyskaną niepodległość.

Co sam Wiesław Chrzanowski przejął od tych dwóch, tak różnych, myślicieli? Maritainowska wizja „humanizmu integralnego” spełnienie znalazła w pontyfikacie i nauczaniu Jana Pawła II. Ów integralny humanizm miał być dialektyczną syntezą teocentrycznego humanizmu wieków wiary i nowoczesnego laickiego humanizmu. Chrzanowski, jak Jan Paweł II, bardzo mocno wierzył w realność takiego połączenia. Projektowi tej syntezy nie można zaprzeczyć płodności, choć była to w istocie płodna utopia. Bardzo pomocna zresztą.

Jan Paweł II w „Ecclesia in Europa” głosił, że znakami nadziei dla Zachodu chrześcijańskiego stały się upadek komunizmu, współczesne świadectwa męczenników i wyzwolenie narodów Europy Środkowej. Wcześniej, w „Centesimus annus” pisał, że sam Bóg „wspierał ludzkie serca” w walce o wolność z komunizmem. A dla tych ruchów zachodnia demokracja była mitem wyzwolicielskim, materializacją dobra wspólnego, co determinowało później charakter odbudowywanych państw.

Wiara, że wartości chrześcijańskie mogą wpływać na instytucje liberalne, że Prawa Człowieka mogą oznaczać po prostu naturalne prawa ludzi, była z kolei motywem nie tylko walki o kształt odzyskanej niepodległości środkowoeuropejskich narodów, lecz także zarysem działań na rzecz cywilizacji życia w skali całego świata chrześcijańskiego. Jan Paweł II mobilizował opinię chrześcijańską, bo wierzył w wielką syntezę chrześcijańską i demokratyczną, Wiesław Chrzanowski z tą wiarą zbudował Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. W wydarzeniach tych wyjątkowo mocno potwierdziła się teza Sorela o sprawczym charakterze mitów społecznych.

Ale był również wątek drugi, bierdiajewowski. Autor „Nowego średniowiecza” zwiastował nadejście ery nowych, mocnych tożsamości; starcia wiary i niewiary; końca oświeceniowego consensusu. Dla Chrzanowskiego Bierdiajew stanowił dopełnienie Maritaina. Bo jeśli nawet powstać miał nowy chrześcijański ład demokratycznych instytucji, to poprzez budowę silnej i zaangażowanej chrześcijańskiej opinii publicznej. Jej wyrazem miał być i stał się ZChN.

NADZIEJA WBREW KRYZYSOWI

W swym przemówieniu po wyborze na marszałka Sejmu Chrzanowski zacytował słowa kard. Josepha Ratzingera, że państwo nie może „popaść w czysty pragmatyzm, ale musi robić wszystko, by chronić i rozwijać dziedzictwo wartości moralnych. Bez nich życie w zbiorowości staje się także piekłem”. Rzecz jest podwójnie ciekawa. Marszałek Chrzanowski przywoływał w polskim Sejmie kard. Ratzingera 14 lat przed jego wyborem na papieża. Kardynał, owszem, był znany opinii katolickiej jako autor



■ „Raportu o stanie wiary”, ale nie był jednak postacią z pierwszych stron gazet.

Nawiązanie do późniejszego papieża było tym ciekawsze, że Wiesław Chrzanowski w zasadzie nie podzielał dramatycznej ratzingerowskiej diagnozy, że poprzednie ćwierćwiecze „było dla Kościoła katolickiego niefortunne”, gdyż „oczekiwano skoku w przód, a tymczasem nastąpiła dekadencja spod znaku rzekomego »ducha Soboru« [...] który był niczym innym jak antyduchem (Konzil-Ungeist)”. Wiesław Chrzanowski na zmiany posoborowe patrzył tak, jak jego przyjaciel Wojciech Wasiutyński w książce „Ziemia jest ciałem niebieskim”. Widział w nich szansę na ożywienie opinii katolickiej, impuls do zaangażowania w demokratyczne życie publiczne i perspektywę opisanego już „nawrócenia” instytucji demokracji liberalnej. Jeśli należał do małego grona polityków rozpoznających (w ubiegłym stuleciu!) wyjątkową wagę głosu Josepha Ratzingera, to dlatego, że uważał go za gwarancję ortodoksji wizji chrystianizacji demokratycznego świata. Powodzenia tego projektu nie był oczywiście pewien (bo wierząc w wolność, nie był deterministą), ale widział w nim nadzieję. Najkrócej mówiąc – na kard. Ratzingera patrzył po prostu oczyma Jana Pawła II. I polityka Chrzanowskiego stała się najważniejszym filarem wojtyliańskiego consensusu, który nadał kształt odzyskanej niepodległości, pozwolił uruchomić jej duchowy potencjał wbrew postkomunistycznym barierom i ideologii „adaptacji do Europy”.

SOLIDARNOŚĆ ZOBOWIĄDUJE

Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zasiadało w Sejmie po prawej stronie. Jednocześnie to nie Porozumienie Centrum, ale ZChN stał się, dzięki Chrzanowskiemu, witalnym centrum polskiej polityki. Nie dzięki koncesjom ideowym, redukowaniu spraw i praw podstawowych do rządu „kwestii światopoglądowych”, ale dzięki zmysłowi solidarności, dzięki świadomości, że każda partia, będąc tylko częścią narodu, jest powołana do budowania większości we współpracy z innymi.

W naszych czasach demokrację uruchamiają jedynie wybory. Za czasów marszałkostwa Wiesława Chrzanowskiego jedyny raz w ciągu ostatnich 30 lat doszło do powołania rządu i rekonstrukcji

większości w klasycznej procedurze parlamentarnej. ZChN uczestniczył w powołaniu gabinetów Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej i obu bronił do końca. Gdy upadł rząd Olszewskiego, miała miejsce pierwsza próba wprowadzenia postkomunistów do większości rządowej. To przede wszystkim dzięki Chrzanowskiemu udało się przełamać ten kryzys. Dopóki Unia Demokratyczna rozmawiała z postkomunistyczną lewicą – dopóty ZChN pozostawał w twardej opozycji. Jednocześnie zapowiedział, że jest gotów zawrzeć koalicję z Unią, jeśli ta wysunie kandydata akceptowalnego dla opinii katolickiej. W ten sposób (z istotnym udziałem Aleksandra Halla i Jana Rokity po stronie Unii) doszło do powołania rządu Hanny Suchockiej. To w warunkach tej szerokiej solidarnościowej koalicji możliwe stało się przyjęcie pierwszej ustawy o ochronie życia, a potem również zawarcie konkordatu ze Stolicą Apostolską.

Chrzanowski dążył do tej koalicji, spiraliśmy się w tej sprawie. On uważał, że szerokie porozumienie wzmocni włączyłby autorytet odbudowywanego państwa. Napisał do prezydenta Wałęsy, że jeśli rozwiąże Sejm – to może otworzyć drogę do władzy postkomunistom. Sejm został jednak rozwiązany, Wałęsa zyskał tę możliwość po obaleniu gabinetu Suchockiej wspólnym głosowaniem radykalnej lewicy i radykalnej centroprawicy. Wybory wygrali postkomuniści, dwa lata później prezydentem został Aleksander Kwaśniewski. Zalegalizowano ponownie dzieciobójstwo prenatalne, zniszczono demokratyczne zmiany w telewizji publicznej, prawica straciła wpływ na prace nad nową konstytucją. Nikt tak jasno jak Chrzanowski nie widział tego zagrożenia i szczególnie on przyczynił się do tego, że zostało przynajmniej odroczone.

ZMIANA I CIĄGŁOŚĆ

Gdy mija wiek (więc również stulecie urodzin), warto myśleć zarówno o dziedzictwie, jak i o zmianie, która przeszłości nadaje nowy sens. Gdy zmienia się epoka, kończy się prosta kontynuacja jej dążeń, ale wierność wobec nich nadal stanowi gwarancję tożsamości i właściwych odpowiedzi na nowe wyzwania.

Oczywiście Chrzanowskiemu bardzo obca była redukcja demokracji do konku-

rencyjnego przywództwa. Za sens demokracji uważał uczestnictwo. Nie cierpiał partii wodzowskich, nie lubił propagandy. A przecież w tym kierunku ewoluuje demokracja nowoczesna, bardziej medialna niż parlamentarna. Do przeszłości odchodzi idea rządu parlamentarnego, jej śladem są jedynie parlamenty coraz bardziej rządowe, przyklaskujące władzy, dokładnie wyselekcjonowane przez partijne, żywiące się budżetem oligarchii.

Reakcją na ideowe wyjałowienie demokracji liberalnej stają się nowe prawicowe ruchy ludowe, „narodowo-populistyczne”. Z pewnością marszałek Chrzanowski nie czułby się dobrze, widząc, że właśnie ten trend staje się alternatywą dla władzy liberalnej oligarchii, odrzucającej dziedzictwo chrześcijańskiej cywilizacji narodów.

**Z życia Wiesława
Chrzanowskiego płynie
niezmienna nauka: polityka
nie może być echem
propagandy**

Trzydzieści lat temu o stosunek do partii narodowo-prawicowych w innych krajach (we Francji czy we Włoszech) też się mocno spiraliśmy. Dziś też raziłby go w tych ruchach bardziej emocjonalny niż intelektualny związek z kulturą chrześcijańską. Czy doceniłby ich autentycznie ludowy charakter i to, że otwierają nowe pole dla polityki, przeszerzając społeczną, w której trzeba szukać dobrego rządu dla Polski i ładu międzynarodowego, bezpiecznego dla naszej niepodległości? Mógłby zachować rezerwę, ale na pewno o tym by rozmawiał i myślał.

Czasy są już nowe, z życia Wiesława Chrzanowskiego płynie jednak niezmienna nauka: polityka nie może być echem propagandy, nie może być dziedzina doraźnego pragmatyzmu, nie może rezygnować z myślowej i moralnej samodzielności, z indywidualnej odpowiedzialności po prostu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Msza św. za duszę śp. marszałka
Chrzanowskiego – w stulecie jego urodzin –
zostanie odprawiona 20 grudnia br.
o godz. 19 w katedrze warszawskiej.**



Jak nie negocjować z Rosją?



„Atak rosyjskich huzarów gwardii w czasie szturmów Warszawy w 1831 roku”, obraz Michaiła Lermontowa z 1837 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Lech Mażewski

Pod koniec lata 1831 r. było jasne, że im później zostały rozpoczęte negocjacje, tym położenie Królestwa w wojnie z Rosją stało się gorsze

W przededniu bitwy o Warszawę na początku września 1831 r. feldmarszałek Iwan Paskiewicz, dowódca wojsk rosyjskich, zaproponował rozmowy. Było to o tyle zaskakujące, że dotychczas Rosjanie stali na stanowisku zawartym w carskim manifestie z 17 grudnia 1830 r., gdzie

oczekiwano zdania się Polaków na łaskę Mikołaja. Dlaczego Rosja zmieniła zdanie? Po pierwsze, istniała groźba, że Austria wystąpi z propozycją mediacji między stronami konfliktu, czego cesarz bardzo nie chciałby, gdyż oznaczałoby to wzmocnienie pozycji Królestwa Polskiego przez uznanie go za stronę wojującą. Po drugie, feldmarszałek obawiał się, że bitwa o Warszawę może zostać przegrana przez armię rosyjską, co w efekcie mogłoby doprowadzić do powtórzenia korzystnej dla Polaków sytuacji z wiosny 1831 r.

Do spotkania między przedstawicielami walczących stron doszło 4 września. Stronę polską reprezentowali gen. Ignacy Prądzyński, którego delegował gen. Jan Krukowiecki, prezes Rządu Narodowego, rosyjską zaś gen. Piotr Dannenberg.

Z konferencji tej Prądzyński złożył dwa raporty, z których jeden dotyczył

spotkania oficjalnego, drugi zaś – bardzo obszernej rozmowy prywatnej. W pierwszym raporcie czytamy, że feldmarszałek wysłał Dannenberga „dla proponowania układów, któreby wstrzymały boje i otworzyły drogę do zupełnej zgody”. W drugim raporcie przedstawione zostały nieoficjalne propozycje, które złożył rosyjski generał: „Zapewniam, że zyskalibyście wszystkie warunki, jakiebyście tylko sami zażądali. Narodowość, konstytucja, zostałyby wam zachowane; moglibyście je nawet do woli modyfikować; samibyście sobie prawa robili i urzędników obierali. Zgoła wasz król przystałby na wszystko, tylko naturalnym fundamentem warunkiem byłoby pozostanie pod jednym berłem z Rosją. Nie sądziłbym także, aby w obecnym położeniu można wspominać o polskich guberniach”.

W trakcie rozmowy polski generał nieopatrznie przekazał wysłannikowi Paskiewicza informację, że korpus gen. Girolamo Ramorino dopiero zdąża do stolicy, a więc siły broniące Warszawy nie są tak wielkie, jak Rosjanie mogliby przypuszczać.

POCZĄTEK NIESZCZĘŚĆ

5 września na przedpołudniowym posiedzeniu Rady Ministrów zastanawiano się nad odpowiedzią na propozycję Paskiewicza. List z odpowiedzią zredagował minister Bonawentura Niemojowski, przywódca liberalnych kaliszczan. Kończył się on stwierdzeniem, że „Polacy chwycili za broń w celu uzyskania niepodległości w granicach, które ich dawniej oddzielały od Rosji”; chodziło o przyłączenie do Królestwa guberni litewsko-ruskich. Prądzyński, upierając się za kontynuowaniem rozmów z Rosjanami, uważał słusznie, że taka „rzymska odpowiedź” byłaby dobra, gdyby zwycięska armia polska stała już w Orszy, a nie w okopach warszawskich. Jego zdaniem układy dawały możliwość wycofania się z honorem z wojny, a gdyby nawet nie rokowały żadnego wyniku, należałoby je prowadzić choćby dla zyskania na czasie i ściągnięcia do Warszawy posiłków.

Niemojowski postanowił storpedować dalsze rozmowy, obawiając się, że rzeczywiście jest możliwy kompromis z Rosją. Twierdził też, że mimo klęski w wojnie z cesarstwem i zdobycia



■ przez Rosjan Warszawy mocarstwa zachodnie wymuszają na Petersburgu utrzymanie Królestwa i konstytucji w kształcie z 1815 r. Głosy uczestników posiedzenia układały się mniej więcej po równo, przy czym zdecydowanymi przeciwnikami kontynuowania rozmów z Rosjanami byli liberalni kaliszanie. Sprawę przeważał marszałek izby poselskiej Władysław Ostrowski, antyrosyjski patriota niezwiązany z kaliszzanami, oświadczając, że rząd ma prawo układania się jedynie na podstawie manifestu Sejmu z 20 grudnia 1830 r., który wyrażał ideę niepodległości Królestwa. Ostatecznie większość uczestników opowiedziała się za odpowiedzią proponowaną przez Niemojowskiego.

Prezes Rady Ministrów, chociaż nie miał obowiązku stosować się do zdania większości, list do Paskiewicza podpisał, oświadczając przy tym, że czyni to wbrew własnemu stanowisku. I tu tkwił początek nieszczęść, które za chwilę spotkają Królestwo Polskie. Krukowiecki – przekonany o konieczności negocjacji z Rosją na warunkach, o których mówił jego wysłannik – powinien rozpocząć rozmowy z feldmarszałkiem albo złożyć dymisję; w żadnym natomiast razie nie żyrować polityki, której był przeciwny.

Po otrzymaniu polskiej odpowiedzi dowódca wojsk rosyjskich nie miał wyboru i podjął decyzję o natychmiastowym szturmie na Warszawę. 6 września nastąpiło niespodziewanie łatwe przełamanie zewnętrznej linii obrony stolicy, ale miasto nie było jeszcze zdobyte. Okazało się, że plan obrony był źle przygotowany, a piechota polska walczyła miękko, nieustannie cofając się pod naporem nacierających Rosjan. Było widać, że tym razem za przygotowanie wojska do walki nie odpowiadał już wielki książę Konstanty, Wódz Naczelny wojska polskiego do 1830 r., a polscy oficerowie.

7 września rano doszło do spotkania Prądyńskiego z Paskiewiczem. W czasie rozmowy Polak zapewnił, że zamiarem Krukowieckiego jest powrót Królestwa pod berło Mikołaja, a następnie złożył na piśmie stosowną deklarację, do czego nie był upoważniony. W odpowiedzi feldmarszałek wyraził chęć kontynuowania negocjacji i zaprosił prezesa rządu na godz. 9, rozumiejąc, że rozmowy będą prowadzone na warunkach właśnie usta-

lonych. Wkrótce okazało się, że Prądyński kłamał w sprawie zakresu swobody prowadzenia negocjacji przez prezesa Rządu Narodowego. Krukowiecki wyruszył na te rokowania bez upoważnienia ze strony Sejmu co do zawarcia traktatu zakładającego powrót do terytorialnego i ustrojowego status quo sprzed nocy listopadowej 1830 r.

Po przybyciu na miejsce Krukowiecki dowiedział się, że strona rosyjska domaga się w szczególności odwołania aktu detronizacyjnego z 25 stycznia 1831 r. W odpowiedzi Polak oświadczył: „Dopóki mamy broń w rękach, dopóty występujemy jako państwo przeciwko państwu”. Nie chodziło mu jednak o zerwanie negocjacji, ale o próbę uzyskania wzmocnienia własnej pozycji w koniecznych rozmowach. Musiał jednak przyznać, że nie ma upoważnienia do zawarcia umowy na takich warunkach,

Okazało się, że plan obrony Warszawy był źle przygotowany, a piechota polska walczyła miękko

które przedstawił Paskiewicz, i jest ono zależne od decyzji Sejmu. Po burzliwej rozmowie ustalono, że do godz. 13 będzie trwało zawieszenie broni, w czasie którego uzyskane zostanie takie upoważnienie od izb.

Zebrana wkrótce Rada Ministrów podjęła decyzję o wysłaniu Prądyńskiego do Sejmu w celu uzyskania zgody na powrót do ustrojowego i terytorialnego status quo sprzed nocy listopadowej. Sejm pod wpływem Niemojowskiego i Ostrowskiego nie podjął oczekiwanej przez prezesa Rady Ministrów decyzji. Jednak przedstawiciel rządu, wcześniej opuszczając posiedzenie izb, nie znał ostatecznego stanowiska izb, mylnie interpretując przebieg obrad.

Kiedy o godz. 13 rozpoczął się rosyjski szturm, wysłannik Rady Ministrów, udając się na pole walki, był przekonany, że izby upoważniły prezesa rządu do dalszych negocjacji i podjęły decyzję o limicie swoich obrad, co było niezgodne z prawdą. W rezultacie zawiadomił

Krukowieckiego, że Sejm udzieli mu żądanego upoważnienia, a odpowiedni dokument przesłany będzie później. Gdy do tego nie doszło, o godz. 14 Krukowiecki przesłał Sejmowi swoją dymisję ze stanowiska prezesa Rady Ministrów, tłumacząc w stosownym piśmie, że była ona spowodowana obstrukcją, z którą spotkały się jego działania na rzecz zakończenia wojny z Rosją.

Po południu Sejm zebrał się na kolejne posiedzenie. W jego trakcie odrzucono zarówno ponowny wniosek o limitę, jak i prośbę o dymisję prezesa Rady Ministrów. Sejm na koniec upoważnił Krukowieckiego do rokowań z Rosją, ale pod warunkiem ostatecznej ratyfikacji przez izby. Prezes Rządu Narodowego nie zwrócił uwagi na warunkowy zakres uzyskanego pełnomocnictwa.

Krukowiecki, stawiając się na umówione spotkanie z feldmarszałkiem, był przekonany, że jest w pełni upewnomocniony przez Sejm do rozmów, choć w rzeczywistości tak nie było. Na wstępie Polak odrzucił 10 warunków, które mu przedstawiono, gdyż w gruncie rzeczy zgoda na nie oznaczałaby bezwarunkową kapitulację. Po bardzo burzliwej rozmowie ustalono, że negocjacje będą prowadzone dalej w Warszawie, przy czym stronę rosyjską miał reprezentować gen. Teodor Berg.

DZIESIĘĆ WARUNKÓW

Po przybyciu do Pałacu Namiestnikowskiego Krukowiecki sporządził swoich 10 warunków do dalszych rozmów, istotnie różniących się od tych, które otrzymał od Paskiewicza. Najważniejsze z nich to: armia i naród poddają się swemu królowi, który przywróci Królestwo Polskie z konstytucją nadaną przez cesarza Aleksandra; w wyniku tego armia i naród uczynią akt submisji i wykonają przysięgę na wierność swemu królowi; most na Pradze zostanie zniszczony i Wisła będzie przegradzać obie armie; armia polska wyśle deputację do cesarza, dla złożenia submisji i uzyskania potwierdzenia niniejszego układu; JCM Król Polski ogłosi powszechną amnestię; do czasu powrotu polskiej delegacji z Petersburga trwać będzie rozejm.

Jednocześnie prezes Rządu Narodowego podpisał list submisyjny w imieniu armii polskiej i narodu, który miał być



dostarczony cesarzowi wraz z powyższymi warunkami, samo podporządkowanie cesarzowi Rosji zaś miało nastąpić tylko z przyjęciem powyższych warunków. Kluczem do zrozumienia sensu tych propozycji było zniszczenie mostu na Pradze. Dopóki Wisła dzieliła obie armie, dopóty strona polska, zachowując swobodę operacyjną, przedstawiała się, z którą w dalszym ciągu musieli liczyć się Rosjanie.

Paskiewicz nie takiej oczekiwał odpowiedzi. Po dwóch dniach zwycięskich walk sytuacja wyraźnie zmieniła się na niekorzyść polską, ponieważ wojska carskie stanęły już na rogatkach Warszawy. W dalszej kolejności była już tylko bitwa miejska toczona na ulicach stolicy. Teraz rosyjski dowódca zaczął w niejasny sposób mówić o przyszłości Królestwa i możliwości zniszczenia mostu na Pradze. Los Królestwa powinien być rozstrzygnięty w bezpośrednich negocjacjach między deputacją wojska a cesarzem Mikołajem, gdyż on sam takich decyzji nie mógł podjąć. Niejasne jest, czy dostarczony feldmarszałkowi dokument został przez niego ostatecznie zaaprobowany i podpisany. Rosyjscy historycy wyrażają co do tego wątpliwości, w szczególności odnosiłoby się to do punktu pierwszego i punktu czwartego.

Kiedy w Warszawie rozeszła się wiadomość o zawarciu przez prezesa Rady Ministrów porozumienia z Rosjanami, marszałek Ostrowski podjął kroki w celu przyjęcia przez Sejm wcześniej już odrzuconej prośby Krukowieckiego o dymisję. Ale działo się to po uprzednim zawieszeniu sesji na czas nieograniczony, więc bez kompletu posłów, z jednym senatorem, bez przewodniczącego w Senacie, bez komisji. Udzielenie dymisji prezesowi Rządu Narodowego, co prowadziło do obalenia propozycji przezeń wynegocjowanych, odbyło się zatem w warunkach urągających wymaganiom ówczesnego prawa konstytucyjnego.

Nowym prezesem rządu został Niemojowski, który okazał się bezradny; antyrosyjski frazes patriotyczny i ślepa ufność, że liberalny Zachód ochroni dalszy byt Królestwa w kształcie z 1815 r., to zbyt mało, żeby w tak krytycznej chwili móc skutecznie rządzić. Trudno znaleźć coś na usprawiedliwienie Ostrowskiego, chyba że komuś wystarczy jego gorący

Większa determinacja w negocjacjach z Rosjanami dawała szansę utrzymania atrybutów państwa

patriotyzm, poświadczony chwalebna służbą w armii Księstwa Warszawskiego, cechujący się jednak brakiem jakiegokolwiek poczucia politycznej odpowiedzialności na rzecz etyki przekonań.

Nawet zmaterializowanie się 9 września pośrednictwa austriackiego, ale, co ciekawe, nie ze strony któregoś z mocarstw liberalnego Zachodu, nie sprawiłoby, że rację mieli Ostrowski wspólnie z Niemojowskim, ponieważ austriacki attaché w kwatery Paskiewicza nie mógł osiągnąć więcej, niż uzyskał wcześniej Krukowiecki. Ale żeby to było w ogóle możliwe, Warszawa musiałaby być w stanie skutecznie bronić się przed szturmem wojsk rosyjskich, a już po drugim dniu walk, a więc 7 września po południu, było wiadomo, że to nierealne, chyba że zdecydowano by się na toczenie bitwy miejskiej rujnującej stolicę.

Wraz z zejściem ze sceny Krukowieckiego „znikają po naszej stronie wszelki ład, porządek, energia, wszelka istotna myśl przewodnia. Polacy stają się bezwonną gromadą, niewiedzącą, co czynić z posiadaną jeszcze bronią”, co trafnie podnosił Witold Dąbkowski. W tej sytuacji Rosjanie odmówili podpisania układu, bo zmieniona sytuacja spowodowała, że nie było już takiej potrzeby. Berg stwierdził w swoim raporcie: „Widząc, że osiągnę główny cel mego poselstwa, to jest oddanie Warszawy i Pragi, bez nawiązania układu, za samo zagrożenie skutkami szturm, odmówiłem układania się z kimkolwiek, jak tylko z gen. Krukowieckim”. Ta wymówka dobrze świadczyła o umiejętności korzystania z nadarzającej się okazji przez rosyjskiego negocjatora.

BEZ RATUNKU

Ostatecznie 8 września doszło do zawarcia układu ściśle wojskowego, w wyniku którego wojsko i władze cywilne opuściły Warszawę. W niczym to już jednak nie mogło uratować sytuacji

Królestwa Polskiego. Wkrótce poszczególne polskie oddziały przeszły do Galicji i tam złożyły broń, aż wreszcie 5 października siły główne stopniały o połowę do ok. 20 tys. żołnierzy przekroczyły granicę Prus. Można było zapobiec temu żalosnemu końcowi wojny polsko-rosyjskiej, gdyby po opuszczeniu stolicy nowy Wódz Naczelny gen. Maciej Rybiński podjął decyzję o wszczęciu walki z jednym z korpusów pozostających w rozproszeniu sił rosyjskich. Po możliwym zwycięstwie Polaków mogłoby dojść do złożenia broni w polu, co w sposób honorowy stanowiłoby zakończenie tej wojny.

Pod koniec lata 1831 r. było jasne, że im później zostały rozpoczęte negocjacje, tym położenie Królestwa w wojnie z Rosją stawało się gorsze. W dodatku okazało się, że Warszawa została źle przygotowana do obrony, stąd nie powtórzyła się sytuacja z okresu powstania kościuszkowskiego w 1794 r. Próba negocjacji z Paskiewiczem podjęta przez Krukowieckiego była jednak nieskuteczna, wręcz nieporadna, spętana stanowiskiem Sejmu i nadmiernym poczuciem legalizmu. W takiej sytuacji trzeba było uprawiać politykę w oparciu o decyzje polityczne, nie zaś prawo, a sukces legitymowałby podjęte wysiłki. Na stworzenie podstaw prawnokonstytucyjnych czas przyszedłby potem.

Wykazanie przez prezesa Rady Ministrów większej determinacji w negocjacjach z Rosjanami sprawiłoby, że utrzymanie przez Królestwo atrybutów państwa uzyskanych w 1815 r. mogłoby być wielce prawdopodobne. Konieczne byłoby też odwołanie do wpływu na polską politykę przywódców kaliszzan z ich doktrynerstwem – cechowały się tym zarówno prezentowany przez nich antyrosyjski patriotyzm, jak i wiara w interwencję liberalnych mocarstw Zachodu. Przedstawiciele strony polskiej (w jakimś stopniu Krukowiecki, choć głównie Ostrowski i Niemojowski) nie sprostali w trakcie bitwy o Warszawę w dniach 5–7 września 1831 r. wymaganiom wynikającym z etyki odpowiedzialności. W wytworzonym wtedy chaosie w ogóle trudno było negocjować – nie powinno więc dziwić, że w rozmowach z Rosją nie udało się niczego osiągnąć.



Między „Kajsiem” a „Odrzanią”



Adam Hlebowicz

W książce „Odrzania” Zbigniew Rokita próbuje zadawać pytania i szukać odpowiedzi o tożsamości Ziemi Odzyskanych. We wcześniejszej „Kajś” opowiada o Górnym Śląsku. Warto omówić te pozycje razem



Szkoda, że książka Zbigniewa Rokity „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” przeszła bez większego echa w konserwatywnych mediach. I to nie ze względu na Nagrodę Nike, którą otrzymała, wszelkie nagrody w Polsce, w tym literackie, są naznaczone dzisiaj bardzo dużym piętnem nagród środowiskowych. Nie do pomyślenia jest sytuacja z 2003 r., kiedy uhonorowany został rzeczoną nagrodą Jarosław Marek Rymkiewicz. O „Kajsiu” warto rozmawiać, bo temat tożsamości Śląska jest jednym z najciekawszych zagadnień współczesnej Polski. Ponieważ Zbigniew Rokita opublikował właśnie kolejną książkę – nadał jej tytuł „Odrzania”, gdzie próbuje zadawać pytania i szukać odpowiedzi o tożsamości Ziemi Odzyska-

nych – jest dobra okazja, żeby omówić je razem.

„Kajś”, czyli „gdzieś”, jest znakomitym tytułem. Każdy z nas ma przecież swoje „gdzieś”. W rodzinnej miejscowości, na podwórku, na dzielni, na ulubionym stadionie piłkarskim. Rokita odkrywa swą śląskość dopiero w dorosłym życiu, nakładając ją na lwowskie korzenie części rodziny czy na lata spędzone w Krakowie. Jak wytrawny detektyw odsłania kolejne warstwy historii rodzinnych na tle burzliwych dziejów regionu, Polski, Niemiec i Czech, Europy. Poszukiwania korzeni swojej rodziny są efektem istniejącego pokoju, dobrobytu i budowania swojej tożsamości. Sięgamy po nie, kiedy mamy na nie czas, kiedy nie zżera nas troska o prozę życia. Rzec można – eksploracje rodzin-

nych losów to poezja życia. Tym bardziej jest fascynująca, gdy dotyczy pogranicza kultur i religii, narodów i grup etnicznych.

SKOMPLIKOWANY, WIĘC FASCYNUJĄCY

Śląsk jest bardzo skomplikowany. Po zmaganiach zbrojnych trzech powstań śląskich, w trakcie których ginie kilka tysięcy osób, dochodzi do plebiscytu. To ludzie mają sami zdecydować, do kogo chcą należeć – do nowej Polski czy do starych Niemiec. Paradoks wielu wyborów ilustruje wypowiedź niejakiego Franciszka Badury: „Modłę się po polsku, spowiadam po polsku i gadam po polsku, ale u Niemca mam się dobrze. Czegoż mi więcej trzeba?”. Polska – zarówno ta przedwojenna, jak i powo-



Ulica św. Anny na osiedlu robotniczym
Nikiszowiec w Katowicach FOT. ADOBE STOCK



jenna – popełniła bardzo wiele błędów wobec miejscowej ludności. Poprzez przysyłanie tu do rządu ludzi skądś, poprzez narzucanie wzorców kulturowych lub językowych, do tworzenia z lokalnego środowiska swoistej cepelii. Takie działania wypychają wielu Ślązaków w objęcia niemieckie. Dodajmy, tego nie dostrzega Rokita, że podobne działania II RP czyniła także wobec innych ziem pogranicznych, jak choćby Wileńszczyzny. Tam także często rządzili przybysze skądś, a koroniarze i galileusze z Galicji byli dla miejscowych ludźmi obcymi, nierozumiejącymi ich problemów.

Śląska nie da się łatwo opowiedzieć. Dlatego jest taki fascynujący. Czy istnieje jeden Śląsk czy obecne podziały na Górny, Dolny i Opolski, a może

czeski i niemiecki już się utrwały? Co z mniejszością niemiecką na Śląsku i narodem śląskim? Ostatnie wyniki spisu powszechnego wykazały znaczne zmniejszenie się liczby ludzi głoszących odrębność narodową Ślązaków, ale i liczba Niemców w Polsce uległa pewnemu zmniejszeniu. Czy to jest powtórzenie zjawiska sprzed wojny, tylko w drugą stronę? Skoro kraj się rozwija, czuję się tu stabilnie, widzę dla siebie i bliskich dobrą przyszłość, to narodowość odgrywa mniejsze znaczenie? Wiele pytań, niewiele definitywnych odpowiedzi. I dobrze, że nie padają, bo zapewne byłyby nieprawdziwe.

Ciekawa jest podróż z Rokitą po Śląsku, choć nie raz i nie dwa ponosi go fantazja, a czasami brak wiedzy. Jak wtedy, gdy twierdzi, że przed wojną w jego rodzinnej Wójtowej Wsi raz się odprawiało msze po polsku, raz po niemiecku. Ani tak, ani tak. Wtedy msze odprawiano się tylko po łacinie. Ewidentnie idzie dziś modnym szlakiem, nie on jeden, pisząc o polskim kolonializmie na Wschodzie. Podobno taki wewnętrzny kolonializm dzieje się też od przynajmniej 200 lat na Śląsku. To cytat z prof. Marii Smeji. Niekiedy nie wiadomo, co jest opinią autora, a co poglądem jednego z jego licznych interlokutorów.

Tę metodę stosuje Rokita także w swojej nowej książce „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”. Podtytuł książki wiele nam obiecuje. Tymczasem niewiele z tej podróży przedostaje się na łamy publikacji. To nie jest traveller book, to raczej esej, dodajmy – dość chaotycznie napisany. Autor wprowadznie pisze, że książka powstała w knajpie, ale myślę, że to raczej mrugnięcie do czytelnika niż fakt. Przedsięwzięcie obrał sobie autor ambitne, ale trudne, bo trzeba wiele lat studiów, mnóstwa podróży i rozmów, aby równie fascynująco i zarazem przekonująco opisać ziemie tak różne. Łączy je wprawdzie poniemieckość, można tu znaleźć wiele punktów stykowych, ale regiony o tak złożonej historii bardzo ciężko jest opisać w jednej 300-stronicowej książce. Na pewno Rokita nie zadowolił miłośników Warmii, Pomorza, ziemi lubuskiej i Śląska, odrębnie patriotów lokalnych ze Szczecina, Zgorzelca lub z Olsztyna i innych, bo to, co odnajdzie ten regionalista

w książce autora „Kajsia”, to niewielkie strzępki historii, zazwyczaj dawno już przez nich poznane i opisane. Problemy z książką zaczynają się od spraw podstawowych. Na pierwszej stronie „Odrzania” autor zauważa w przypisie: „Wiele spośród tych ziem nie należało jednak do Polski od wieluset lat, stąd trudno mówić o ich odzyskaniu”. Skoro coś do kogoś należało, nawet bardzo dawno temu, to jednak zgodnie z logiką można pisać i mówić o odzyskaniu. Nawet jeśli to hasło wymyślił PRL, a potem przez wiele lat propagandowo rozgrywał.

Rozumiem, że Rokita jak każdy twórca ma prawo do używania wyobraźni i kreowania świata takim, jaki mu się podoba. Jednak gdy piszemy o konkretnej przestrzeni geograficznej, nie jest to powieść Tolkiena ani antyutopia Huxleya, to groteskowo brzmi umieszczanie takich miast jak Koszalin, Olsztyn i Gdańsk nad Odrą. Zwłaszcza kuriozalne jest to w wypadku Gdańska, który swoje prosperity zbudował przede wszystkim na fakcie istnienia nad Wisłą, skąd dostarczane były zboża i inne towary, aby dalej przetransportować je morzem i korzystnie sprzedać. Zgodnie zatem z nomenklaturą Rokity Gdańsk jest jednym z najbardziej wiślańskich miast w Polsce, jednak nie w jego książce.

ZAGUBIONE WĄTKI

W książce pośpiesznej można łatwo zgubić istotne wątki. Gdy chodzi o drugą wojnę światową, to przyszła ona do Odrzania dopiero w 1945 r. – uważa autor. Nie było zatem synów wywodzących się z tych ziem w Wehrmachcie, SS i innych niemieckich formacjach militarnych, nie było przymusowych robotników w Odrzaniu, nie było zdobycznych kontyngentów w Szczecinie, Gdańsku, we Wrocławiu? Rokita nie wymienia nazwy „Selbstschutz”, nie pisze o zbrodni pomorskiej i dobrych niemieckich sąsiadach, o mordowaniu przez Niemców powstańców śląskich.

Wiele ciekawych tropów w tej książce wydaje się nierozwiniętych i niedokończonych. Na przykład dlaczego Zbigniew Czarnuch, znany lubuski regionalista, uwierzył w komunizm? Bo przed wojną była bieda i konieczna była rewolucja społeczna. Czarnuch chce zmiany, a gdy się dokonuje, wiernie jej służy. Nie ma



UB, nie ma prześladowania Kościoła, jest reforma rolna, zabieranie bogactw i przekazywanie biednym. A poza tym „Stalin i Armia Czerwona mnie wyzwolili” – mówi rozmówca Rokity. Europa przedwojenna nie mogła istnieć w ówczesnym kształcie, to oczywiste. Jednak zarówno komunizm, jak i nacjonalizm okazały się okrutnymi utopiami. A paradoksalnie atakowany z różnych perspektyw tych dwóch totalitarnych ideologii kapitalizm przetrwał i mniej więcej ma się dobrze. Może dlatego, że potrafił ewoluować, że produkując coraz więcej, potrafił znaleźć społeczny wymiar obowiązku państwa, biznesu, ludzi zamożnych i utalentowanych wobec tych gorzej sobie radzących.

Rokita zadaje sobie pytanie, czy w latach 50. zostałyby komunistą? Tak – odpowiada. Czy w latach 30. zostałyby nazistą? „Nie, jednak odstręczałaby mnie ekskluzywność, obietnica szczęścia, jaką dawał garstce kosztem całej reszty”. Łatwy wybór. A zresztą jaka ekskluzywność? Niemcy w całej swej masie zostali przez kilka lat nie tylko uwiedzeni, lecz także zaspokojeni przez Hitlera. Jak uważa niemiecki profesor z Uniwersytetu w Aberdeenu Thomas Weber, poziom poparcia Niemców był różny, inny dla NSDAP, inny dla Hitlera, inny dla wojny. W gradacji rosnącej. Ale trudno te wszystkie czynniki rozdzielać od siebie. O determinacji Niemców w kontynuacji wojny niech świadczy to, że najwięcej ofiar przyniosła druga wojna światowa w ostatnim jej roku, więcej niż we wszystkich poprzednich pięciu latach, gdy mowa o działaniach wojennych toczonych w Europie. „W przeciwieństwie do nazizmu komunizm obiecywał szczęście wszystkim” – twierdzi Rokita. Komunizm obiecywał szczęście ziemianom, przemysłowcom, ludziom wykształconym, ludziom wierzącym w Boga??? Dużo w „Odrzaniu” uproszczeń.

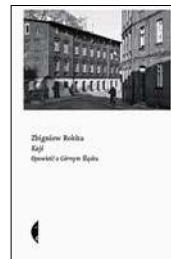
Słabo wygląda mierzenie się autora z dziedzictwem Solidarności. Nie zauważa czwartego, równie ważnego jak trzy wcześniejsze porozumienia strajkującej Polski 1980 r. z władzą PRL. W Hucie Katowice, w Dąbrowie Górniczej, przełomowego, bo gwarantującego rejestrację „S” w zakładach całej Polski. Wątek „S” tu i ówdzie na kartach książki się pojawia. Autor cytuje wypowiedzi badaczy ze Szczecina, z Gdańska, jednak

nie pogłębia tego tematu. A to jedno z najbardziej frapujących zagadnień – dlaczego opór społeczny, a potem polityczny, były tak żywe właśnie tam, na Ziemiach Odzyskanych.

ŻYCIE MITAMI

„Polsce w swej historii udało się dokonać kilku rzeczy, za które jestem z niej naprawdę dumny – wśród nich było odpuśczenie sobie Kresów” – to kolejna kontrowersyjna opinia Rokity. Należałoby zapytać, których Kresów? Tych Południowych czy Zachodnich, bo takie też mieliśmy. Autor myśli o Wschodnich, ale tego nie precyzuje. Polska nie odpuściła sobie Kresów, tylko nam te Kresy Stalin z Churchilllem i Rooseveltem zabrali. To w sensie fizycznym. Na szczęście nie odebrali nam ich duchowo, bo tego zrobić nie mogli. One, Kresy, trwają, choć to nazwa mało szczęśliwa i różnie interpretowana. Trwają w naszych duszach, w mowie, w pamięci, w Polakach ciągle żyjących tam. I tam piszących, układających strofy, mówiących, tworzących.

Tematyka wschodnia, choć w „Odrzaniu” marginalna, to jednak wypada szczególnie słabo. Nie ma zgody na stwierdzenie, że Litwini przed wojną w Wilnie stanowili podobny procent co Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku. Polaków w proporcjach było pięć razy więcej nad Motławą, Polska miała liczne agendy publiczne w WMG, takie jak poczta, kolej, strażnica wojskowa. To nieporównywalne sytuacje. Autor pisze, wkładając to zdanie w usta Tadeusza Baryły, że w Królewcu Thomas Mann miał swoją dachę. Gdzieś dzwoniło, ale nie w tym kościele. Mann miał dachę w Nidzie na Mierzei Kurońskiej, jest tam obecnie jego muzeum. Kazimierz Brakoniecki, jadąc w 1992 r. po raz pierwszy do Królewca, a właściwie wówczas Kaliningradu, mówi w książce Rokity: „Jadąc do Kaliningradu, za swoją stolicę uważałem nie Warszawę, nie Olsztyn, ale Królewiec”. Podróż donikąd, do nieistniejącej krainy? Królewca w 1992 r. nie było. Był Kalinin-



ZBIGNIEW ROKITA
„KAJŚ. OPOWIEŚĆ
O GÓRNYM
ŚLĄSKU”
CZARNE 2020



ZBIGNIEW ROKITA
„ODRZANIA.
PODRÓŻ
PO ZIEMIACH
ODZYSKANYCH”
ZNAK LITERANOVA
2023

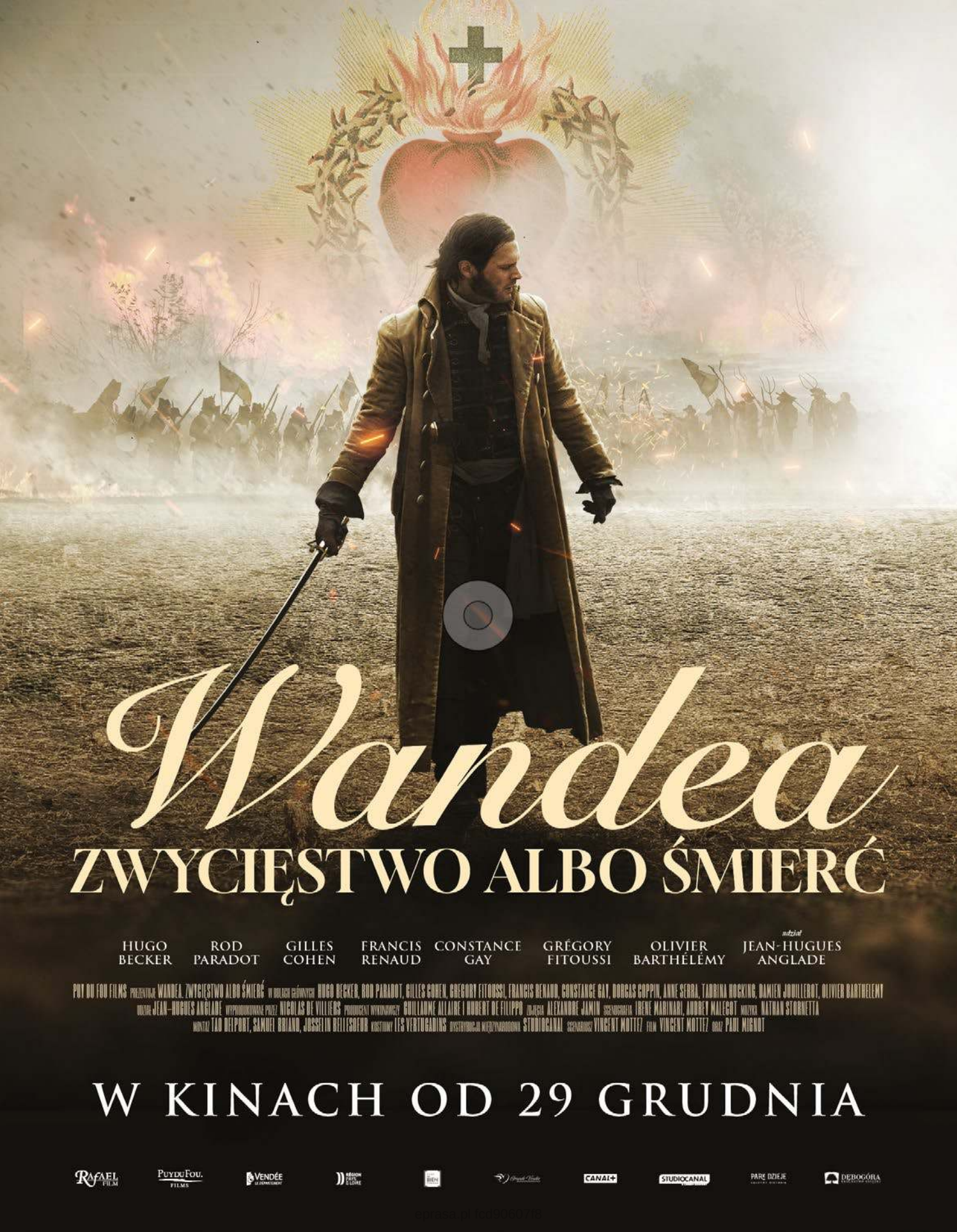
grad – obrzydliwie sowiecki, bez charakteru, ze starannie niszczoną tkanką dawnego miasta. Tak bardzo żyjemy mitami! To trochę jak z serią albumów Donalda Tuska i jego współredaktorów „Był sobie Gdańsk”. Na początku lat 90. wielu z nas marzyło, aby siermiężne PRL-owskie miasta były takie eleganckie jak na niemieckich przedwojennych pocztówkach. Stąd się wzięły ten zachwyt i sukces albumów Tuska. Rzeczywistość jednak była inna. Wielu rdzennych gdańszczan nie lubiło pruskich rządów w mieście, także ich pomysłów na architekturę. Szkoda, że obok fragmentu o Kaliningradzie nie pojawił się ten z dalszej części książki Rokity: „Wmawiają, że dawniej był tu świat najlepszy z możliwych, niechętnie wspominając o tym, że za rogiem tej gdańskiej kawiarni produkowano mydło z ludzkiego tłuszczu, a przy uroczych alejkach Koszalina i Zabrze palono synagogi”.

Pisze Rokita też rzeczy fundamentalne, choć może nie odkrywcze. „Stalin wymyślił, że jeśli da Polakom ogromne ziemie należące dotychczas do Niemców, to Polskę i Niemcy będzie mógł trzymać w szachu”. I tak, ma rację gdy pisze, że druga wojna światowa ciągle jest ważna. Nawet zaryzykowałbym twierdzenie – ważniejsza niż w latach 70., 80. czy 90. Ciągłe ożywia naszą wyobraźnię, może dlatego, że nigdy nie została rzetelnie i wieloaspektowo opisana.

Obrazowa i niezmiernie ciekawa jest historia napisu „Kino Piast” w Słubicach, świetnie opisana przez autora. Gdy zniknęły kolejne literki, najpierw zostało „No Piast”, a teraz jest „No Past”. Takich fragmentów w „Odrzaniu” mogłoby być zdecydowanie więcej. Więcej żywego reportażu, obrazków z Odzyskanych, żywych ludzi. „Kajś” jest ważną książką współczesnej Polski. „Odrzania” ważną jedynie w zamiarze i podjętej tematyce. Ale może sprowokuje innych autorów do zmierzania się z ciągle fascynującym tematem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.



Wanda

ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ

HUGO
BECKER

ROD
PARADOT

GILLES
COHEN

FRANCIS
RENAUD

CONSTANCE
GAY

GRÉGORI
FITOUSSI

OLIVIER
BARTHÉLÉMY

^{scenariusz}
JEAN-HUGUES
ANGLADE

PUT OU FOU FILMS PRESENTA WANDA, ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ W WOLACH SCENARIUSZ HUGO BECKER, ROD PARADOT, GILLES COHEN, GRÉGORI FITOUSSI, FRANCIS RENAUD, CONSTANCE GAY, DOUGLAS COPPIN, ANNE SERRA, TABRINA HOCKING, DAMIEN JOUILLEBOT, OLIVIER BARTHÉLÉMY
WOLAN JEAN-HUGUES ANGLADE WYPRODUKOWAŁ PIERZÉ NICOLAS DE VILLIERS PRODUCENT WYKONAWCZY GUILLAUME ALLAIRE I ROBERT DE FILIPPO WOLAN ALEXANDRE JAMIN SCENOGRAFIA IRENE MARINARI, ANDRÉY MALEBOT MONTAŻ NATHAN STORMETTA
MONTAŻ TAO DELPORT, SAMUEL BRIAND, JOSSÉLIN BELLECHÈRE KOSTYUMY LES VENTUGADINS WYSTĘPYWCA WIEDEYMAHODUNA STUDIOCANAL SCENARIUSZ VINCENT MOTTEZ FILM VINCENT MOTTEZ ORAZ PAUL MIGNOT

W KINACH OD 29 GRUDNIA

RAFAEL
FILM

PuyduFou
FILMS

VENDÉE
LE DÉPARTEMENT

REGION
de la Loire

Bleu

Studio Canal

CANAL+

STUDIOCANAL

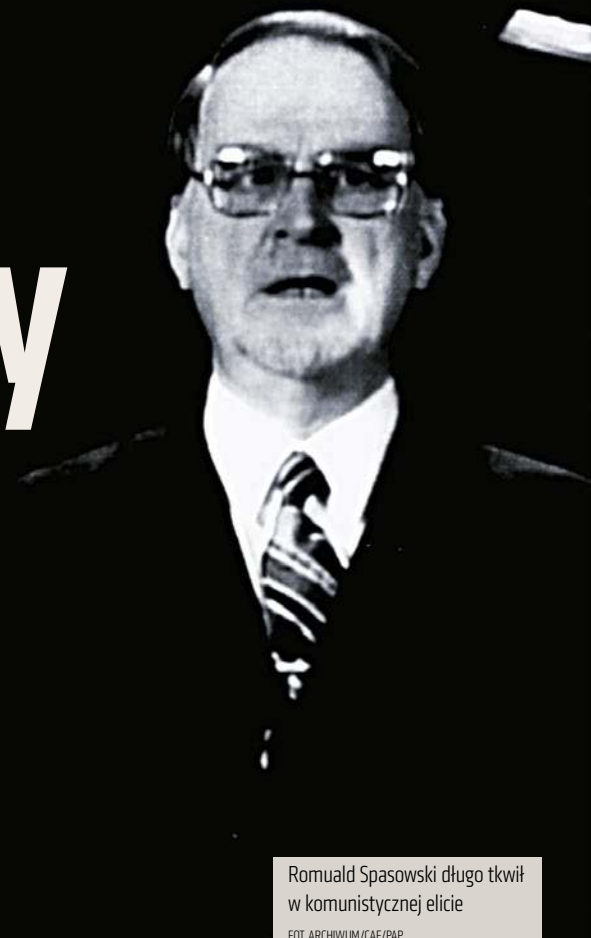
PARÉ DIZIE
LABORATOIRE

DEBODGÓRA
LABORATOIRE



Z Patrykiem Pleskotem, historykiem i politologiem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Uciekinierzy dyplomatyczni



Romuald Spasowski długo tkwił
w komunistycznej elicie

FOT. ARCHIWUM/CAF/PAP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: W życiorysach bohaterów pańskiej książki więcej było różnic czy też podobieństw?

PATRYK PLESKOT: Na ogólnym poziomie – czy patrząc od zewnątrz – można dostrzec sporo podobieństw między Romualdem Spasowskim i Zdzisławem Rurarzem, takich jak przede wszystkim błyskotliwa kariera w służbie zagranicznej „ludowej” Polski, a potem niemal równoczesna ucieczka po wprowadzeniu stanu wojennego i aktywność po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Jednocześnie obaj różnili się temperamentem, charakterem, pochodzeniem społecznym; od pewnego momentu również światopoglądem. Znali się od wielu lat, ich drogi zawodowe w pewnych momentach się krzyżowały, natomiast nie zostali bliskimi znajomymi czy przyjaciółmi. Przy czym nie zdecydowały o tym jakieś osobiste animozje, tylko po prostu odmienne osobowości.

Decyzja ambasadora PRL w USA podjęta po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce ośmieliła jego odpowiednika w Japonii do podobnego zachowania?

Wpływ ten wydaje się oczywisty, choć sam Rurarz później podkreślał fakt, że decyzję o ucieczce podjął samodzielnie (czy ściślej: wraz z najbliższymi – żoną i córką). Śledząc jego motywacje, można uwierzyć w tę wersję, choć na pewno krok Spasowskiego stanowił impuls i obniżył koszty procesu decyzyjnego (by odwołać się do języka charakterystycznego dla badań nad migracjami). Rurarz mógł sobie uświadomić, że prośba o azyl jest możliwa, skuteczna, a cała operacja „wydobycia” ambasadora – sprawnie przeprowadzona.

Spasowskiego ukierunkował ideologicznie ojciec?

Władysław Spasowski, wierzący komunista, miał przełożny – naprawdę

wyjątkowy – wpływ na syna. W tej relacji zauważamy element wręcz szantażu emocjonalnego. Od dziecka Władysław pragnął go kształtować na swój obraz i podobieństwo. W ostatnich listach kierowanych do Romualda, tuż przed swoją samobójczą śmiercią w lipcu 1941 r., błagał, aby ten wytrwał w komunistycznej postawie i kontynuował misję niesienia światu dobrej nowiny o marksizmie. To na pewno odegrało niezwykle ważną rolę w określeniu późniejszej postawy Romualda i w dużym stopniu wyjaśnia jego długie trwanie w kręgach „ludowego” establishmentu powojennej Polski. Sam to zresztą dobitnie podkreślał w swych wspomnieniach, co w pierwszej chwili sprawia wrażenie wygodnego pretekstu do wytłumaczenia wieloletniego trwania w systemie. Jestem jednak przekonany, że Spasowski nie mógłby wznieść się na tak wysoki poziom cynizmu, by wykorzystać postać ojca do



wygodnego rozgrzeszenia. Podporządkowanie woli taty można uznać za swego rodzaju wymówkę, ale jednak mocno zaczeponą w rzeczywistości.

Mógł się znaleźć w Moskwie już w początkowej fazie drugiej wojny światowej?

Po wybuchu wojny Władysław i Romuald Spasowscy uznali, że z niemieckim nazizmem można walczyć wyłącznie ramię w ramię z Sowietami. Szybko, w końcu 1939 r., podjęli próbę przejścia przez zieloną granicę na wschód, ale o mało co nie przypłacili tego życiem i ostatecznie, po wielu perypetiach, wrócili do Warszawy. Potem usiłowali wejść na drogę legalną m.in. za pośrednictwem ambasady ZSRS w Berlinie, lecz przegrali z biurokracją.

Te wysiłki sprawiły jednak, że w końcu czerwca 1941 r., po ataku Trzeciej Rzeszy na ZSRS, stali się śmiertelnymi wrogami dla Niemców. Pchnęło to Władysława do samobójczej śmierci (jak pisał, w ten sposób chciał ocalić syna), a Romualda – do ukrywania się. Przebywał m.in. w Milanówku w willi należącej do jego matki, Anny Dryńskiej, która notabene czynnie angażowała się – z pomocą drugiego męża i samego Romualda – w ukrywanie Żydów.

Jak to się stało, że taki młokos uczestniczył w procesie norymberskim?

W 1946 r. 26-letni Spasowski, de facto jako oficer wywiadu wojskowego, trafił do brytyjskiej strefy okupacyjnej Niemiec. Oficjalnie przybył w charakterze pracownika Polskiej Misji Wojskowej do spraw Zbrodni Wojennych. Po drodze zawitał do Norymbergi, gdzie podobno brał udział w jednej z rozpraw, choć pisze o tym tylko on sam we wspomnieniach, sprawa nie jest zatem oczywista.

Współpraca ze służbami specjalnymi Polski Ludowej stanowiła trampolinę kariery Spasowskiego?

Tak, chociaż nie od razu. Najpierw okazała się przeszkodą, gdyż w wyniku niezawinionej przez siebie dekonspiracji musiał w 1949 r. (jako konsul w Düsseldorfie) szybko ewakuować się z Niemiec. Związki ze służbami ułatwiły mu za to wyjazd do Londynu w charakterze I sekretarza ambasady na początku lat 50. Współpracował tam aktywnie zarówno



Zdzisław Rurarz pochodził z ubogiej rodziny, w nową rzeczywistość wszedł, mając 15 lat. Nie krył więc fascynacji marksizmem. FOT. ARCHIWUM/CAF/PAP

z wywiadem cywilnym, jak i wojskowym, uczestnicząc m.in. w śmiałej akcji ściągnięcia dwóch fizyków brytyjskich za żelazną kurtynę. Wkrótce po powrocie z Anglii wyjechał do Argentyny – obejmując stanowisko ambasadora PRL w Buenos Aires – a jego związki ze służbami osłabły, aby ostatecznie wygasnąć w latach 60.

Niewyjaśniona śmierć syna rzutowała na jego życie?

To niesamowite, że Spasowski żył w cieniu dwóch samobójstw: najpierw ojca Władysława, a potem – w 1970 r. – syna... Władysława (zwanego Kajtusiem). Dziewiętnastoletni chłopak odebrał sobie życie w rezydencji w New Delhi, gdzie jego tata przebywał w roli ambasadora. Władysław junior – dokładnie przeciwnie niż dziadek – wprost nienawidził komunizmu i nie chciał wracać do PRL. Nic w tym dziwnego: większość życia spędził poza Polską. Podobno i on sugerował otoczeniu, że swym dramatycznym czynem pragnąłby ochronić ojca, któremu niepokorna postawa potomka mogła zaszkodzić. Proszę tylko spróbować zrozumieć stan psychiczny Romualda mierzącego się z tak przemożnym, podwójnym poczuciem winy. Trudno to sobie wyobrazić.

Niemniej jeszcze przez 11 lat od śmierci syna Spasowski tkwił w komunistycznej elicie, kontynuował karierę, awansował po raz drugi (co było ewe-

nementem) na stanowisko ambasadora PRL w Waszyngtonie. Na tej płaszczyźnie nic się w jego życiu nie zmieniło, choć – jak sam podkreślał – czuł narastający rozdźwięk między swym oficjalnym wcieleniem a prywatnymi, coraz bardziej krytycznymi poglądami.

Front zmienił się pod wpływem religijności żony? Audjencji u Jana Pawła II? Masakry w kopalni „Wujek”?

Z pewną przekorą powiedziałbym, że Wanda Spasowska była tym dla męża, kim św. Monika dla św. Augustyna. Cóż, kropla drążyła skałę. Nigdy nie ukrywała swojego przywiązania do wiary katolickiej. Co ciekawe, choć przełożeni Romualda zdawali sobie sprawę z problemu, nie przeszkodziło to jego karierze (a przynajmniej brak takich bezpośrednich śladów). Ta pobłażliwość mogła wynikać z poważnych kłopotów małżeńskich, które dotknęły Spasowskich w latach 60.

Wpływem Wandy nie można jednak tłumaczyć wszystkiego. W ewolucji ideologicznej Romualda dużą rolę odegrały indywidualne przemyślenia (sprowokowane np. chorobami), ale też konkretne wydarzenia: wybór Karola Wojtyły na papieża, śmierć prymasa Wyszyńskiego, nieformalne spotkanie z Janem Pawłem II w końcu 1980 r. Niemniej ochrzcił się dopiero kilka lat po ucieczce – był to więc długotrwały proces.



Do III RP powrócić nie mógł czy też nie chciał?

Po 1989 r. czuł się odrzucony, zapomniany i niedoceniony. Nie mógł chyba zrozumieć, że ludzie zdawali sobie sprawę z jego trwania w „ludowym” systemie przez 35 lat i czuli opór, by uznać go za sumienie narodu. Duży ból sprawił mu powolny i trudny proces unieważniania zaocznego wyroku śmierci wydanego w 1982 r. Był już zresztą mocno schorowany i może po prostu zabrakło sił. Zmarł w roku 1995.

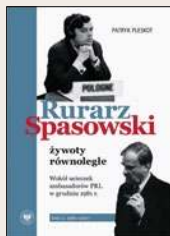
A Zdzisław Rurarz? Wybrał komunizm, bo gwarantował chłopcu z prowincji awans społeczny?

W swych rozproszonych wspomnieniach potrafił bardziej bezpośrednio niż Spasowski przyznać się do wiary w marksizm i fascynację systemem. Pochodził z ubogiej rodziny, w nową rzeczywistość wszedł, mając 15 lat. „Ludowa” władza dała mu wykształcenie, studia, mieszkanie i karierę. Podzielał też krytyczny stosunek do religii. Należał do prawdziwych beneficjentów systemu, potrafił wykorzystać szanse, które napotkał. Jednocześnie był błyskotliwy, „wyszczekany”, nie zawsze politycznie poprawny. Ale też bardzo ambitny i na tyle ostrożny (niekonieczne w cyniczny sposób), by temperament nie blokował mu szans na awanse. Najpierw w handlu zagranicznym, a potem w dyplomacji.

Ekonomista w służbie władzy ludowej – to adekwatne określenie jego sylwetki?

Jest prawdziwe o tyle, że przez dekady pracował dla komunizmu na polu gospodarki (czy bardziej: handlu zagranicznego). Przez kilkanaście miesięcy był też doradcą ekonomicznym I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Nie można go jednak uznać za ortodoksyjnego marksistę i zwolennika klasycznej gospodarki nakazowo-rozdziałowej. Potrafił mieć stosunkowo śmiałe i oryginalne pomysły, dobrze wypadł też na forum międzynarodowym (wiele lat pracował w Genewie przy różnych organach ekonomicznych ONZ), nie bał się dyskusji, znał języki obce.

Zarazem o wiele dłużej – formalnie aż do momentu ucieczki – pozostawał tajnym współpracownikiem wywiadu



PATRYK PLESKOT
„RURARZ, SPASOWSKI – ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE”
IPN 2023

wojskowego. Oceniano go jednak dość krytycznie – zaangażowanie to traktował bowiem instrumentalnie. Niczym koszt, który należy ponosić celem kontynuowania kariery.

Placówka dyplomatyczna stanowiła dlań synekurę?

Objęcie funkcji ambasadorskiej w Tokio u progu 1981 r. było dla Rurarza na pewno prestiżowym awansem, choć

akurat pod względem materialnym stanowiło gorszą opcję niż dobrze płatna praca w strukturach ONZ, wciąż pozostająca w kręgu jego możliwości. Co ciekawe, został od razu rzucony na głęboką wodę: 23 lutego, w odstępie kilku godzin, rozmawiał twarzą w twarz z cesarzem Hirohito (złożył mu listy uwierzytelniające), Janem Pawłem II (akurat przybył z pielgrzymką do Japonii) i... sowieckim ambasadorem (na przyjęciu z okazji święta Armii Czerwonej). Trzeba przyznać, że to absolutnie niecodzienna sytuacja.

Zasłynął listem adresowanym do Wojciecha Jaruzelskiego...

W marcu 1982 r. rezydent wywiadu wojskowego w Tokio, Zygfryd Drozd, znalazł kopertę z odręcznym listem podpisanym przez Rurarza, a datowanym na 31 grudnia 1981 r. W emocjonalnym tekście autor tłumaczył motywy swego działania. Pisał m.in.: „Za głównego naszego nieprzyjaciela uważam ZSRR. Dochodziłem do tego bardzo długo [...]. Jeśli będzie III wojna światowa, to spróbowuję ją ZSRR. Nie wierzę też w żaden socjalizm w wydaniu radzieckim. Ta powyższa ewolucja moich poglądów doprowadziła do podjętego kroku. Bezpośrednią okazją stało się wprowadzenie stanu wojennego”.

Co ciekawe, w przejętej przez Drozda kopercie znalazła się oprócz listu

również krótka notka podpisana przez Roberta Malszą, III sekretarza ambasady USA w Japonii, podejrzanego przez polski wywiad (zresztą słusznie) o pracę dla CIA. Malsz tłumaczył, że Rurarz poprosił go o przekazanie listu, przy okazji Amerykanin sugerował Drozdowi możliwość ucieczki. Ten nie skorzystał z oferty i doniósł o wszystkim centrali w Warszawie. List i notkę MSW uznało za dowód współpracy Rurarza z amerykańskimi służbami.

Miał powody bać się o swoje życie?

Zarówno Spasowski, jak i Rurarz wyrażali takie obawy i nie były one pozbawione podstaw. PRL-owskie służby czyniły wiele wysiłków, by zdobyć konkretne adresy zamieszkania obu zbiegłych dyplomatów (z miernym skutkiem). Nasuwa się pytanie: Po co to robili? Do czego chciano użyć takiej wiedzy? Przynajmniej raz, w 1985 r., na jednym z amerykańskich kampusów uniwersyteckich, zastraszano córkę Spasowskiego, Marię. Pamiętajmy, że obaj otrzymali zaoczne wyroki śmierci. Czy nie pojawiły się zamiary ich wykonania? Brakuje tu niestety konkretnych dowodów. Warto jednak w tym kontekście przypomnieć sobie tajemnicze śmierci dwóch synów innego uciekiniera: Ryszarda Kuklińskiego, do których doszło już w latach 90.

Co stało się z mieniem obu dyplomatów pozostałym w Polsce?

W znacznej mierze przepadło, choć rodzinie Spasowskich udało się część odzyskać. Rurarzowie mieli mniej szczęścia, ale też wykazali mniejszą determinację w tej walce. Obaj pozostawali za to równie krytyczni wobec III RP. Transformację ustrojową przyjęli z dużą nieufnością. W podobny sposób uznali, że państwo w istocie nie wyzwoliło się z oków poprzedniego systemu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Patryk Pleskot – historyk i politolog, pracownik Instytutu Pamięi Narodowej. Autor kilkunastu książek m.in.: „Kłopotliwa panna »S«”. Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)”, „Miasto śmierci. Pytania o morderstwa polityczne popełnione w Warszawie”, „Zabić. Mordy polityczne w PRL”, „Przekręt. Najwięksi kanciarze PRL-u i III RP”, „Góry i teczki: opowieść człowieka umiarkowanego. Biografia mówiona Andrzeja Paczkowskiego”, „Książka z Katynia”, „Sądy bezprawia. Wokół pokazowych procesów politycznych organizowanych w Warszawie (1944–1989)” i najnowszej „Rurarz, Spasowski – żywoty równoległe. Wokół ucieczek ambasadorów PRL w grudniu 1981 r.”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zuch
nad zuchy

Aż trudno zrozumieć, dlaczego historia tego „bohatera” nie doczekała się sfilmowania przez Hollywood lub przynajmniej w kraju. Wszak reżyserów i odpowiednich reżyserów jest ci u nas dostatek.

Życiorys Izraela Ajzenmana to gotowy scenariusz i nie ważne, że jest on nieprawdziwy. Komunista przedwojenny, wojenny i powojenny ma na swym koncie tyle osiągnięć, że mógłby nimi obdzielić innych towarzyszy. Przed wojną był czterokrotnie karany więzieniem za czyny kryminalne. Podczas wyroku zapracował sobie na kary dyscyplinarne, m.in. „za znęcanie się nad współwięźniami”. Okres okupacji spędził lekko, łatwo i przyjemnie, a po wojnie przepracowywał swój „bohaterski” życiorys do granic możliwości.

„Lew” wstąpił się jako dowódca bandy komunistycznej GL przede wszystkim pogromem ludności cywilnej, dokonanym 22 stycznia 1943 r. w miasteczku Drzewica (Radomskie). Zamordowano wówczas siedem osób. Innym udało się ująć z życiem. Partyjni zwierzchnicy docenili jego rewolucyjną postawę: „Wyrażam moje uznanie dla oddziału GL za przeprowadzone czyszczenie terenu”. „Zdobycz” była imponująca: gotówka, futra, obrączki, zegarki... Ale powojenna historia Polski Ludowej zrobiła z tego akcję bojową: „Partyzanci zabili siedmiu hitlerowców, w tym kome-

danta posterunku”. To nic, że w tej małej miejscowości nie było posterunku. Kto miał to wyjaśniać, protestować? Zresztą cała jego działalność nie miała nic wspólnego z walką z Niemcami. Jego ponura sława rosła w terenie, ale sprawiedliwości się nie doczekał, mimo że jego partyjni przełożeni ostrzegali go: „Podaję Wam do wiadomości, że macie w terenie opinię krwiożercy”.

Po wojnie rozbudował swój życiorys na miarę co najmniej MacGyvera: „Przez cały czas grupa moja stoczyła 44 boje z Niemcami, wykołem 19 pociągów niemieckich, zniszczyliśmy dużo biur, poczt i telegrafów, uwolniliśmy 80-ciu ludzi, których gestapowcy prowadzili na rozstrzelanie, a tych 40-tu gestapowców, którzy prowadzili, straciliśmy na miejsce Polaków [...]. A cztery godziny przed przyjsiem wojsk radzieckich w Końskie opanowałem z moją grupą miasto Końskie”.

Co mógł robić towarzysz z tak chwalebną przeszłością po tzw. wyzwoleniu? Trafił oczywiście do UB, ale za gwałty i rabunki poszedł nawet do więzienia, gdzie... został konfidentem. Po kilku miesiącach został zwolniony, ponieważ sąd uzzględnił jego cierpienia za komunizm!

Zmienił dane osobowe i już jako Julian Kaniewski podejmował się różnych, bardzo intratnych zajęć, jako np. szef ochrony rynku mięsnego w Warszawie. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Afera
na Okęciu

Największa afera alkoholowa w polskim środowisku piłkarskim miała miejsce na przełomie listopada i grudnia 1980 r. Posadę stracił wówczas selekcjoner reprezentacji, a czterech jego podopiecznych zostało zdyskwalifikowanych.

Dotychczasowe pijackie wyczyny kadrowiczów tuszowano, a działacze doskonale wiedzieli, że gdyby chcieli stworzyć drużynę z samych abstynentów, to zapewne byłyby problemy z obsadzeniem wielu pozycji. „Zgrupowanie kadry – tłumaczył nieżyjący już Andrzej Iwan – zawsze zaczynało się od wieczorku zapoznawczo-refleksyjnego. Co tam w domu, co tam w klubie, omawianie kolejki, plotki. Obojętnie, kto był trenerem – piło się. Jacek Gmoch pozwalał, Rysiu Kulesza albo jechał do domu, albo wypełniał kartki pocztowe [...]. Piechniczek też nie zabraniał”.

Tym razem jednak sprawy wymknęły się spod kontroli i dziennikarze telewizyjni, którzy pojawili się na lotnisku, aby zrelacjonować odlot reprezentacji do Włoch, ujrzeni mocno „zmęczonego” bramkarza Józefa Młynarczyka. Zawodnik miał problemy z poruszaniem się, chyba nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Uchwyciły to kamery telewizyjne i selekcjoner kadry, Ryszard Kulesza, nie miał wyboru. Zdecydował, że Młynarczyk pozostaje w kraju.

Wtedy w jego obronie wystąpili: Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda i Stanisław

Terlecki. Sprawy nie dało się już wyciszyć, wiadomo było, że sensacyjny materiał pojawi się w wieczornym wydaniu „Dziennika Telewizyjnego”. Dlatego Kulesza uległ presji zawodników i Młynarczyk odleciał razem z innymi.

Z Włoch kadra udała się na Maltę, by rozegrać mecz eliminacji do hiszpańskiego mundialu, ale już bez „bandy czworga”. Młynarczyk, Żmuda, Boniek i Terlecki zostali zdyskwalifikowani, a przed komisją PZPN tylko bramkarz okazał skruchę. Co ciekawsze, mecz z Maltańczykami został przerwany z powodu skandalicznego zachowania kibiców, którzy obrzucili naszych zawodników kamieniami (ostatecznie przyznano Polsce walkower).

22 grudnia 1980 r. ze stanowiskiem selekcjonera pożegnał się trener Kulesza, a jego następcą został Antoni Piechniczek. Żmuda i Boniek po pewnym czasie przyznali się do winy – w efekcie unieważniono ich dyskwalifikację. Razem z Młynarczykiem stanowili najsilniejszy punkt kadry, która kilkanaście miesięcy później na mundialu w Hiszpanii zajęła trzecie miejsce. I tylko dla Stanisława Terleckiego afra na Okęciu okazała się końcem reprezentacyjnej kariery – wyjechał do USA i już nigdy więcej nie zagrał w kadrze. Dołączył w ten sposób do listy znakomitych polskich skrzydłowych, którzy z pozasportowych przyczyn nie zrobili kariery, do której byli predysponowani. ©©



Abbildung der Brächtigen Krönung und darbey vorgangene:
Fürnehmster Acten Ihrer Königl: Majt: MICHAELIS, welche beschehen
den 29^{ten} Septembris des 1669^{ten} Jahres in beysein vieler Hoher Herrn Kayserlicher
und Königlicher Abgesandten



Koronacja Michała Korybuta
Wiśniowieckiego na króla Polski
w Krakowie, 29 września 1669 r.

FOT. MUZEUM SZTUKI W ŁÓDZI

Wojna regalistów z malkontentami



Jacek Komuda

W połowie XVII w. Rzeczpospolita została rozdarta na dwa obozy polityczne, zwalczające się z większą zaciekleścią niż dzisiejsze Zjednoczona Prawica i Koalicja Obywatelska

Pierwszy „salon” powstał już w XVII w. Pisząc tak, mam na myśli dawny odpowiednik dzisiejszych lewicowych elit politycznych III RP, zapatrzonych w UE i cechujących się pogardą do własnego narodu i kultury. Bezkrytycznie wprowadzających nowinki, które obecnie rodzą się w Brukseli, a dawniej w Wersalu czy Niderlandach.

Salon taki stworzyli król Jan Kazimierz i jego żona Maria Ludwika, budując stronnictwo, które popierać miało elekcję „vivente rege” – za życia króla wprowadzić na tron francuskiego następcę. Królowa zmarła, król abdykował, ale obóz profrancuski nie porzucił dawnych planów. Kiedy przeszedł do opozycji, jego członków zaczęto zwać malkontentami, od francuskiego słowa oznaczającego osobę niezadowoloną.

Stronnictwo Jana Kazimierza opierało się na początku na cudzoziemcach. Królowa, manipulująca królem, miała jednak w zanadru takie sposoby na pozyskiwanie przedstawicieli polsko-litewskiej elity, których dziś brakuje politycznym inżynierom lewicy. Były to małżeństwa – wydawała swe francuskie dwórki za mąż za magnatów i wojskowych. Klara de Mailly Lascaris poszła za kanclerza litewskiego Krzysztofa Paca. Amata de Langeron za Jana Krasieńskiego – wojewodę płockiego, podskarbiego koronnego. Katarzynę Gordon pojął Jan Andrzej Morsztyn, podskarbi wielki koronny. Maria Kazimiera d'Arquien wyszła najpierw za Jana Sobiepana Zamoyskiego, potem wydano ją za Jana Sobieskiego, przyszłego hetmana wielkiego.

Drugą metodą pozyskiwania stronników była korupcja – Maria Ludwika odegrała złowrogą rolę w przekupywaniu polsko-litewskich elit politycznych za

pieniądze wydzielane hojnie przez francuskiego ambasadora. W tym samym czasie król kupował ich nadaniami urzędów, tytułów, dóbr państwowych, a opornych lub niepewnych niszczył – jak Hieronima Radziejowskiego lub Jerzego Lubomirskiego. Wkrótce z dworem związane były takie postacie jak: Łukasz Opaliński Starszy, Jan Sobieski, Jan Klemens Branicki. Stefan Koryciński, Andrzej Leszczyński i wojewoda ruski Stefan Czarniecki. A przede wszystkim Mikołaj Prażmowski – prymas, spowiednik i zausznic królowej, wyrastający na jednego z liderów.

Partia dworska rozpowszechniała nad Wisłą zwyczaje francuskie – teatr, bale, kuchnię dworską i stroje. Wszystko to – jak pisze Zbigniew Wójcik – budziło niechęć: „W dziedzinie obyczajowej dwór nie zyskał aprobaty konserwatywnego i przeciwnikowego ksenofobią społeczeństwa szlacheckiego i nie cieszył się poparciem ani szacunkiem poddanych”. Stronnictwo zaciekle popierało kandydata francuskiego, wbrew zdaniu szlachty. Wszak moralna racja i wyższość były – tak jak dziś u lewicy – tylko po ich stronie.

Przeciwnikiem był obóz, który śmiało można nazwać – tak jak dzisiaj – konserwatywnym lub patriotycznym. Masy szlachty zrujnowanej i ubożającej po potopie szwedzkim. Na jej czele stawiali przywódcy popierani przez sejmiki – rodzaj trybunów ludowych, odpowiednik dzisiejszych populistów. Największym był Jerzy Sebastian Lubomirski, potem zaś Jan Leszczyński, podkanclerzy koronny, Aleksander Polanowski, Stefan Piaseczyński. Dawni historycy polscy, jak Zbigniew Wójcik czy Władysław Konopczyński, widzą w tej rzeszy wolnych wyborców „anarchiczne, destruktywne i ciemne siły szlachty, dla których pojęcie

ojczyzny, państwa i jego dobra sprowadzało się do zachowania złotych wolności swego stanu i ich żrenicy – liberum veto”. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to inaczej. Przeciwnikami malkontentów była ówczesna Rzeczpospolita B, którą tworzyły zarówno rzesze szlachty zaściankowej, jak i wybitne postacie, jak Jan Chryzostom Pasek, którego pamiętniki zna dziś każdy ze szkoły. Jan Antoni Chrapowicki, współczesny inteligent, urodzony w dawnych czasach, i wielu innych, ustępujących Sobieskim i Prażmowskiemu majątkiem, ale nie umysłowością. Wolność osobista była dla nich największym dobrem, gwarancją posiadania ziemi i rozwoju własnych majątków.

ELEKCYJNY GNIEW SZLACHTY

Oba obozy starły się na elekcji w czerwcu 1669 r. Malkontenci popierali dwóch francuskich kandydatów: Filipa księcia neuburskiego i Ludwika de Bourbon-Condé zwanego Kondeuszem. Stronnictwem malkontentów kierowała wówczas Maria Kazimiera Sobieska, czyli Marysieńka, a Prażmowski i Jan Andrzej Morsztyn nie ustawiali w wysiłkach, zalewając kraj potopem druków ulotnych, zastraszając przeciwników użyciem wojska. Zarówno hetman, jak i wspierający go Radziwiłłowie i Pacowie – Krzysztof, kanclerz wielki litewski, i hetman Michał – zgromadzili wokół pola elekcyjnego kilka tysięcy prywatnych żołnierzy. W tym czasie Ludwik XIV zaofiarował Sobieskiemu bajeczną nagrodę za poparcie Kondeusza – 600 tys. liwrów, godność marszałka Francji, tytuł księcia-para, Order Duchy Świętego, pałac nad Sekwaną w Paryżu. Sobiescy mieli wyjechać ze strasznej Rzeczypospolitej i na stałe zamieszkać we Francji. Przyszły król popierał Kondeusza, ale nie przyjął łapówki, dając wyraz klasy politycznej.

Po drugiej stronie stało wspomniane stronnictwo patriotyczne – tłum szlachty rozwścieczonej na „kondeuszów”, gotowej przelać krew w obronie wolności. Miało już przywódców – przede wszystkim podkanclerzego, biskupa chełmińskiego Andrzeja Olszowskiego, który niespodziewanie zaczął forsować kandydaturę „Piasta”, wydając broszurę „Censura candidatorum sceptri polonici”. Po jego stronie stanął także biskup kujawski – Florian

Królowa, manipulująca królem, miała w zanadru takie sposoby na pozyskiwanie przedstawicieli polsko-litewskiej elity, których dziś brakuje politycznym inżynierom lewicy. Były to małżeństwa



■ Czaratoryski. I wtedy sytuacja zaczęła wymykać się malkontentom z rąk.

Już w czasie sejmiku konwokacyjnego poprzedzającego elekcję Jan Pieniążek zażądał, aby w akcie konfederacji umieścić sformułowanie, że ten szlachcic, który został przekupiony przez jakiegoś kandydata, nie mógł go zaproponować na tron. Inni posłowie chcieli wykluczenia Kondeusza; doszło do tak ostrego starcia, że Prażmowski musiał opuścić salę. Ostatecznie wymuszono wspomnianą przysięgę na posłach i senatorach.

Kiedy rozpoczął się sejm elekcyjny, doszło do kolejnych zaburzeń. Najpierw się okazało, że przybyło o wiele więcej szlachty, niż spodziewali się przyszli malkontenci. 6 czerwca tłumy otoczyły szope z senatorami i zmusiły ich do wykluczenia z elekcji Kondeusza. Salon najpierw zawrzał gniewem: Jak to? Jakież tam szaraczki z łajnem na lipowych butach śmiały obrazić Wielkiego Kondeusza?! Wkrótce jednak sam został sparaliżowany strachem. Sobieskiego namawiano, żeby zerwał sejm elekcyjny. Nie uczynił tego, bo wtedy mielibyśmy zapewne w Warszawie własną noc św. Bartłomieja.

17 czerwca tłumy szlachty otworzyły ogień do senatorów. Jak pisał Pasek: „Senatorowie z miejsc w nogi, między karety, pod krzesła; rozruch, tumult. Zaraz insze chorągwie skoczyły w drugą stronę piechotę potrącać, deptać; piechota w rozsypkę [...]. Kiedy to poczęto egzorty prawić: »Zdrajcy! Wytniemy was, nie wypuścimy was stąd; darmo mieszacie Rzpltą; inszych senatorów constituemus; ex gremio sobie króla oberzemy«. Tak ci skończyła się sessya [...]; panowie biskupowie, senatorowie, powyłazili z pod krzesel, z pod karet, wpół ledwie żywi, i pojechali do gospód, drudzy też, co w polu stali, do namiotów”.

Wkrótce ktoś, być może znowu Olszowski, rzucił hasło, by wybrać Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Zostało podchwyczone przez szlachtę. Na polu rozległy się krzyki: „Vivat Piast! Vivat rex Michael”. Polska miała nowego króla!

Jednak dla stronnictwa francuskiego wybór Michała Wiśniowieckiego był podobnym szokiem, jak zwycięstwo w 2015 r. Andrzeja Dudy dla lewicowego salonu. Jak to? Jak to? – zapytywali siebie Prażmowski i Sobieski. – To oni śmieli wybrać innego kandydata? Malkontenci

wpadli we wściekłość; w 1669 r. Rzeczpospolita – podobnie jak dziś – pękła na pół, bo bezwzględnie szukali sposobu na obalenie króla poprzez zmuszenie go do abdykacji albo nawet wywołanie wojny domowej.

TOTALNA OPOZYCJA MALKONTENTÓW

Zaczęła się taka sama wojna, którą mamy dzisiaj, z użyciem podobnej manipulacji i argumentów. Współcześnie Donald Tusk i Jarosław Kaczyński są antybohaterami tysięcy memów, negatywnych komentarzy, artykułów i filmików z sieci. W XVII w. tak samo nienawiść uderzała w przywódców. Dziś Tusk denerwuje wrogów wilczym, przenikliwym, niemieckim wzrokiem; w XVII w. przywódca malkontentów, prymas Prażmowski, który w młodości stracił oko, zwany był „ślepy moczkiem”, „księdzem z Prażmowa”, „ślepy konsyliarzem” i „kreaturą królowej”. „Ślepe oczko – pisał o nim Jan Chryzostom Pasek – nie przestaje swoich falkji, chcąc drugiego króla z tronu, na którym go sam P. Bóg posadził, strącić”. Z drukarni wychodziły paszkwile jak „Pasja męki Mikołaja Prażmowskiego prymasa gnieźnieńskiego...” ośmieszająca duchownego jak fałszywego Chrystusa i będąca odpowiedzią na „Wywód niewinności w zadaniu

lów urodzili, JKM nie dzięki zasługom, ale dzięki łasce ludu wszedł na państwo”. Inni pamphleciści pisali o Michale: „malowane ryło” oraz „Michał Skrobibut, Poloniae Andreae Olszowski gratia rex” (król Polski z łaski A. Olszowskiego). Prymas Prażmowski określał fizjonomię władcy jako przypominającą „zastrachaną sowę” – król miał wiecznie sprawiać wrażenie zdziwionego. Zwano go też „półtronem” („Na półtrona dość pół trona”), „kpem”, „smrodem” (smarkaczem), oskarżano o homoseksualizm: „Wróc żonę, oddaj berło, a sam pod Wiśniowcem u którego z dłużników mieszkaj sobie z chłopcem”.

Jednocześnie narastała histeria malkontenckich salonów. Marysieńka pisała do Ludwika XIV (jak wiadomo, wielkiego protektora demokracji), że ona i jej mąż znaleźli się w katastrofalnej sytuacji w związku z elekcją Michała. Muszą się udać na emigrację i proszą o pomoc Króla Słońce, gdyż grożą im tysiące szlacheckich szabel.

Malkontenci stali się pierwszą opozycją totalną – niszcząc i szkodząc jakiegokolwiek działalności króla i dworu. Atakowano Wiśniowieckiego za wszystko – np. za małżeństwo z austriacką księżniczką Eleonorą, siostrą cesarza. Za wpływy habsburskie i posła cesarskiego, który „u samego króla w gabinecie ledwie nie sypia i jada”. Zrywano sejmy, jak koronacyjny,

Dziś Tusk denerwuje wrogów wilczym, przenikliwym, niemieckim wzrokiem; w XVII w. przywódca malkontentów, prymas Prażmowski, który w młodości stracił oko, zwany był „ślepy moczkiem”, „księdzem z Prażmowa”, „ślepy konsyliarzem” i „kreaturą królowej”

niesłusznym i na tamże ufundowanym wyroku...”, w którym Prażmowski próbował oczyścić się z zarzutów.

Ponadto nienawiść malkontentów uderzała – jak dziś niechęć fanatyków KO w Jarosława Kaczyńskiego, rzekomo siedzącego z kotami w willi na Żoliborzu – wówczas w jego odpowiednika, króla Michała Wiśniowieckiego. Sobieski w korespondencji z Marysieńką nazywał władcę „małą”, Prażmowski tokował: „Król jegomość równym w urodzeniu z tymi się kłaść nie może, którzy się z kró-

wywoływano bijatyki na sejmikach, zastraszać rósł poziom agresji. W samym 1670 r. na sejmiku średnim omal nie rozsiekanio Krzysztofa Grzymułtowskiego, aż musiał uciekać; towarzyszącemu koronnemu dano w głowę, „aż peruka spadła”. Regaliści i malkontenci rozpoznawali się po strojach i fryzurach – ci pierwsi chadzali w żupanach i kontuszach, z podgolonymi łbami, ci drudzy często mieli długie włosy i używali mody francuskiej.

Dwór kilkakrotnie próbował medować – Sobieski dostał starostwo barskie,



Z kolei nienawiść malkontentów uderzała – jak dziś niechęć fanatyków KO w Kaczyńskiego, rzekomo siedzącego z kotami w willi – w jego odpowiednika, króla Michała Wiśniowieckiego

wraz z Prażmowskim zaproszono go na ślub królewski. Ale prymas pokłócił się z Piotrem Kochanowskim, starostą radomskim. Malkontenci twierdzili, że władca przeprowadzi zamach na wolność szlachecką, że zamierza ściąć przywódców opozycji, ograniczyć liberum veto. Z kolei regaliści wmawiali szlachcie, że Sobieski chce zrzucić króla z tronu. Sejmiki, jak sieradzki, żądały, aby złożył buławę, domagały się sądu nad Andrzejem Morsztynem i Krzysztofem Grzymułtowskim. Jednocześnie wojsko stało twardo po stronie hetmana.

RZECZPOSPOLITA NA KOLANACH

Tymczasem na Ukrainie zaszły groźne wypadki. Kozacki hetman Piotr Doroszenko przyjął protektorat Turcji. Na sejm zimowy 1672 r. sułtański czausz przywiózł wypowiedzenie wojny. Czy przeraziło to naszych przodków? Wcale! Walka regalistów z malkontentami trwała w najlepsze. Prażmowski oskarżał króla o impotencję, próbował go zdetronizować, pozostawiając na tronie żonę – Eleonorę Habsburżankę – i znaleźć jej... lepszego męża. Całe jego stronnictwo czekało na francuskiego kandydata, w desperacji gotowe było sprowadzić i uznać powtórnie nawet Jana Kazimierza. Z kolei regaliści wykrzykiwali, że zagrożenie tureckie to wymysł malkontentów, którzy chcą pozbawić króla armii, aby ją wysłać na Podole, podczas gdy jednocześnie Kondeusz wylądował w Gdańsku!

W tym samym czasie nie Francuz, ale... armia turecka maszerowała już przez Multany na Podole. Sobieski obawiał się o Kamieniec, chciał go wzmocnić, ale dwór królewski bardziej bał się hetmana niż sułtana. Oba sejmy zostały zerwane, nie uchwalono podatków, a dwór wyznaczył do obrony twierdzy ludzi... miernych, biernych, ale wiernych, a przynajmniej niebędących malkontentami. Poza Mikołajem Potockim, Jerzym Wołodźjowskim i Samuelem Motowidłą kilku oficerów jazdy, niemających doświadczenia w obronie twierdzy. Odrzucił propo-

zycję, aby w fortecy zamknął się Marcin Kątski, generał artylerii i świetny inżynier wojskowy, ale politycznie niepewny, bo stronnik hetmana. Dlatego gdy zaczęło się oblężenie Kamieńca, Sobieski próbował przeprowadzić zamach stanu. Ostatecznie wybrał wierność Rzeczypospolitej – na czele nielicznych wojsk rozpoczął sławną wyprawę na czambuły, rozbijając Tatarów w kilkudniowym rajdzie od Zamościa do Niemirowa i Komarna.

W tym samym czasie, 16 października, pospolite ruszenie zebrane pod Gołębim, bardziej dla obrony króla niż do walki z Turkami, zawiązuje konfederację pod pisarzem polnym Stefanem Czarneckim i hetmanem litewskim Michałem Pacem. Ogłasza infamię dla Prażmowskiego, pozbawia go urzędów, godności i dóbr, innych malkontentów oddaje pod sąd. Szlachta chce pozbawienia godności Sobieskiego i likwidacji godności hetmańskich. Jednocześnie postuluje ważne reformy – wprowadzające kadencyjność urzędów, zakaz łączenia kilku godności przez jedną osobę. Te zmiany w przyszłości uratowałyby Rzeczpospolitą, likwidując samowolę hetmańską i pozbawiając magnaterię dożywotnich urzędów, dzięki którym mogła prowadzić politykę sprzeczną z polską racją stanu. Niestety, pozostała na papierze.

18 października królewscy komisarze podpisują w Buczaczu haniebny traktat pokojowy. Rzeczpospolita na kolanach staje się wasalem Turcji, oddaje jej Podole i część Ukrainy, ma płacić coroczny okup 22 tys. talarów. Wieści o tym nie robią wrażenia na konfederatach. Szlachta łupi dobra Sobieskiego na Rusi, morduje Jana Broniewskiego, stronnika hetmana. Na Wiśle zwolennicy króla napadają na zakonnice, wśród których znajduje się ciotka Sobieskiego, przejmując jego prywatną korespondencję. W listopadzie konfederaci jadą do Zamościa, do wojska koronnego – żądają przyłączenia się do konfederacji i złożenia przysięgi. Żołnierze wierni Sobieskiemu wpadają we

wściekłość, chcą rozsiekać posłów, przed czym ratuje ich hetman, i 23 listopada zawiązują konfederację w Szczepieszynie, stojąc wiernie przy hetmanie i... królu.

Sobieski wyrusza do Łowicza, do siedziby prymasa Prażmowskiego, i spotyka się z czołowymi malkontentami. Nadchodzi czarna godzina dla Rzeczypospolitej. 30 grudnia hetman pisze list do Ludwika XIV. Żąda przysłania do Polski jakiegoś księcia francuskiego, kandydata do korony, któremu malkontenci zapewnią ochronę, proszą jednak, aby król podesłał im także 12 tys. piechoty. A przy okazji prosi o wypłacenie mu 25 tys. talarów. To zdrada stanu! Po kraju krążą fantastyczne wieści – np. że Prażmowski sprzedał Francji Gdańsk i już pojawiły się tam okręty króla Ludwika.

Jednak powoli do świadomości malkontentów i regalistów dochodzą wieści o traktacie w Buczaczu. Konfederaci gołębscy rozpoczynają obrady 4 stycznia 1673 r. w Warszawie. Podkanclerzy Olszowski widzi konieczność zgody, obawia się nowego ataku tureckiego. Do Łowicza przyjeżdżają jako mediatorzy biskup krakowski Andrzej Trzebnicki i Jan Chrapowicki, ale Sobieski gra na zwłokę, czeka na odpowiedź z Francji. Do mediacji przyłącza się także nuncjusz papieski, a z Turcji dochodzą wieści, że sułtan przygotowuje nową wyprawę na Rzeczpospolitą. Kiedy wiadomo już, że Ludwik XIV nie będzie interweniował, 12 marca w niedzielę zwaśnione strony podpisują ugodę. Sobieski wraca do Warszawy pogodzić się z królem. 15 kwietnia umiera prymas Prażmowski, niedoszły polski Mazzarini i Richelieu. Przyszły sejm uchwalił podatki na wielką armię do walki z bisurmanami, a Sobieski pobije ich pod Chocimiem.

Tak zakończyła się wojna między malkontentami i regalistami, ale jej bilans był tragiczny: utrata Kamieńca i konflikt z Turcją, spadek powagi sejmu, brutalizacja walki politycznej – a przede wszystkim uzależnienie stronnictw od obcych dworów. Wkrótce do orientacji francuskiej i habsburskiej doszła w Rzeczypospolitej pruska, a po wojnie północnej – najgorsza – moskiewska. Za konflikt polsko-polski zapłaciliśmy w XVII w. upokorzeniem w Buczaczu i utratą Kamieńca. Pytanie: Co my stracimy dzisiaj przez wściekłą wojnę partyjną w kraju?



PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego pod koniec XIX w. pojawiły się w Kongu kosze pełne uwędzonych ludzkich rąk?

ADAM HOCHSCHILD: W tej prywatnej kolonii belgijskiego króla Leopolda II często dochodziło do buntów miejscowej ludności, która doprowadzona do desperacji chwyciła za jakąkolwiek broń. Prywatna armia Leopolda, tzw. Force Publique, składająca się w lwiej części z czarnych szeregowych wciąganych do wojska siłą, była wykorzystywana m.in. do tłumienia takich właśnie rebelii, które zagrażały ciągłości dostaw cennych surowców wywożonych z Konga do Belgii. Biali oficerowie starali się zapobiec buntom w podległych sobie oddziałach w specyficzny sposób – czarni szeregowi musieli się bardzo skrupulatnie rozliczać się z wydanej im amunicji. Chodziło o to, by nie byli w stanie „oszczędzić” kul na później. Każdy brakujący pocisk musiał znaleźć pokrycie w obciętej ręce ofiary.

Przecież nie każda kula zabijała.

Oczywiście szeregowi nierzadko chybiaли, strzelając do ludzi, na których nasłali ich podwładni Leopolda. W takim przypadku musieli odcinać ręce żyjącym ludziom. A co, jeżeli żołnierze byli przez wiele tygodni w dżungli? Konieczne było wędzenie odciętych kończyn, by zakonserwować je do momentu, gdy będą mogli zaprezentować je białym, którzy rozliczali ich z naboji.

Zbrodnie Belgów na terenie Konga, które opisuje pan w swojej książce, kosztowały życie co najmniej 8 mln ludzi, ale wiedza na ten temat jest dziś zaskakująco mało powszechna. Dlaczego?

Ja sam wpadłem na ten temat lata temu zupełnym przypadkiem. Czytając pewną książkę, zobaczyłem w jednym z przypisów krótkie zdanie: na przełomie wieków XIX i XX w Kongu pod rządami króla Leopolda II zginęło od 8 do 10 mln ludzi. Oznaczało to, że w latach 1880–1920 ludność tego obszaru zmniejszyła się o połowę... Nie mogłem w to uwierzyć i poczułem, że muszę się zająć tym tematem.

Zawsze tak było?

Nie. Jeszcze 120 lat temu był to największy, najgłośniejszy skandal na świecie. Pierwsze strony gazet w USA i na zachodzie Europy były poświęcane tekstom nagłaśniającym te zbrodnie. Wszystkie



Z Adamem Hochschildem, autorem książki „Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce” rozmawia Piotr Włoczyk



mocarstwa kolonialne popełniały w Afryce zbrodnie, ale skala terroru, który rozpętany został w Kongu, była nieporównywalna. Edmund Morel, czołowa postać ruchu na rzecz walki z okrucieństwami Belgów w Afryce, miał w swojej kolekcji ponad 4 tys. artykułów prasowych, które ukazały się na ten temat w zachodnich gazetach.

Kongo było prywatnym projektem Leopolda?

Tak, to było jego „oczko w głowie”. Leopold był owładnięty żądzą posiadania kolonii. Trzeba mu oddać, że był bardzo inteligentny, doskonale poruszał się na salonach dyplomatycznych i miał rękę do wybierania właściwych ludzi do prowadzenia swoich interesów.

Od momentu, gdy w 1865 r. zasiadł na belgijskim tronie, marzył o koloniach. Otwarcie narzekał, że przyszło mu rządzić tak niewielkim państwem. Mawiał o Belgii, że to „mały kraj małych ludzi”. W tamtych czasach na zachodzie Europy król musiał dzielić się władzą z parlamentem i Leopoldowi bardzo to nie odpowiadało. Chciał mieć władzę absolutną i m.in. dlatego zainteresował się Afryką.

Największe mocarstwa rywalizowały wtedy o kolejne kawałki Afryki. Jakim cudem król tak mało

liczącego się państwa wyrwał dla siebie tak ogromny, 76 razy większy niż Belgia, kawał Czarnej Łądy?

Najkrócej rzecz ujmując: Leopold zaczął się starać o własną kolonię we właściwym czasie, ustawił się na początku „kolejki”. Leopold organizował konferencje naukowe na temat Afryki, starał się przedstawić jako człowieka, który sam nie ma żadnego własnego interesu w eksplorowaniu tamtych terenów. W tamtym czasie Henry Morton Stanley, najsłynniejszy odkrywca XIX w., właśnie przemierzył Afrykę w szereg, odkrywając tajemnice jego „serca” dla ludzi Zachodu. Gdy tylko zakończył podróż, Leopold zatrudnił go, wysłał z powrotem do Afryki i kazał mu eksplorować ziemie leżące wzdłuż rzeki Kongo. Stanley pracował tak dla Leopolda przez pięć lat. Nawiasem mówiąc, ten odkrywca sam niósł ze sobą śmierć i pożogę. Zabijał bez powodu tubylców i palił ich wioski. Afrykanie nazywali go „Bula Matari”. Stanley twierdził, że oznacza to „łamacza skał”, ponieważ używał dynamitu. Tymczasem właściwe tłumaczenie tych słów to „jajogniot”. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego.

W Afryce było już wówczas bardzo niewiele terenów nienależących do żadnego z europejskich mocarstw. Ołbrzymie



Prywatna armia Leopolda,
tzw. Force Publique

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ciemności

dorzecze Konga było jednym z ostatnich takich miejsc. Leopold powołał Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga, za którego pomocą zaczął się przedstawiać jako wielki filantrop.

Leopold był chyba mistrzem PR?

Zdecydowanie. Leopold swoje prawdziwe cele związane z Afryką ukrywał przed światem pod maską człowieka, który troszczy się o ludność tubylczą, chce jej nieść postęp, cywilizację, Boga, a także chce walczyć z... handlem niewolnikami. Król Belgii wydawał nawet na ten temat specjalny magazyn po niemiecku, francusku i angielsku, a także przekupywał redaktorów czołowych europejskich gazet, by pisali o nim pozytywne teksty.

Dlaczego USA, Wielka Brytania, Francja i Niemcy pozwoliły Leopoldowi przejąć Konga jako jego prywatną kolonię?

Król Belgii pokazał tu swój dyplomatyczny kunszt. Amerykanów przekonał, że serce Afryki będzie otwarte dla wolnego handlu, ale swoje zrobiły też obietnice niesienia cywilizacji i postępu. Brytyjczykom wprost oznajmił, że jeżeli całego dorzecza nie dostanie dla siebie, to przejęte już tereny – Stanley podpisywał

w jego imieniu odpowiednie „traktaty” z wodzami plemion – sprzedawał Francuzom. Tym ostatnim z kolei gwarantował specjalne przywileje handlowe, choć przecież Amerykanom obiecywał w Kongu wolność handlu... Każdy z rządów europejskich mocarstw stwierdził, że najlepiej będzie oddać Konga małej, słabej Belgii niż któremuś z głównych konkurentów. Trzeba przyznać, że Leopold rozegrał tę partię po mistrzowsku. I tak na konferencji w Berlinie w 1885 r. powołano do życia Wolne Państwo Konga. Leopold dostał to, na czym tak mu zależało – 2 mln km kw, gdzie miał władzę absolutną.

I mógł je dowolnie eksploatować gospodarczo, budując swoją fortunę. Jak zorganizowany był ten system?

Leopold zaczął od pozyskiwania kości słoniowej. Był to niezwykle cenny surowiec w Europie oraz w USA. Z kości słoniowej można było wyrabiać przeróżne przedmioty: biżuterię, klawisze fortepianowe, a także np. protezy zębów.

Gdy pański słynny rodak Joseph Conrad popłynął do Konga jako kapitan parowca, czego efektem była potem książka „Jądro ciemności”, to właśnie pogoń za kością słoniową przyciągała tam Europejczyków.



Konga było „oczekiem w głowie”
belgijskiego króla Leopolda II

FOT. HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

Potem jednak, gdy w latach 90. XIX w. pojawił się olbrzymi popyt na opony do rowerów i samochodów, kaczuk zastąpił kość słoniową jako najcenniejszy surowiec wywożony z Konga.

Oba te surowce były pozyskiwane dzięki niewolniczej pracy ludności tubylczej. Belgowie brali kobiety i dzieci na zakładników, zmuszając mężczyzn do zbierania kaczuku. Zakładnicy byli maltretowani, głodzeni, kobiety były gwałcone. Aby dodatkowo zmotywować mężczyzn do cięższej pracy, obcinano zakładnikom różne części ciała – nosy, uszy, a także ręce. Zbieraczom kaczuku bardzo trudno było wyrobić coraz wyższe normy nakładane na nich przez ludzi Leopolda. Wycieńczeni niewolnicy masowo umierali. Bunty były na porządku dziennym, ale przewaga w uzbrojeniu Force Publique sprawiała, że na dłuższą metę Kongijczycy nie mieli szans. Kosze pełne uwędzonych rąk to symbol rządów Leopolda w jego prywatnej kolonii.

W pewnym sensie jednak sami biali byli też ofiarami nieludzkiego systemu stworzonego przez Leopolda. Król Belgii zdawał sobie bowiem sprawę z tragicznych statystyk – średnio jeden biały na trzech nie wracał żywy z Konga z powodu chorób tropikalnych. Leopold utrzymywał te dane w ścisłej tajemnicy, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że upublicznienie ich bardzo utrudniłoby proces rekrutacji.



■ Czyli wiemy już, dlaczego król Belgii nigdy nie wybrał się do swojej kolonii.

Leopold panicznie bał się zarazków. Zresztą po co miałby tam płynąć, skoro zbudował sprawnie funkcjonujący system, dzięki któremu na odległość wyciskał z Konga fortunę? Król Belgii zdecydowanie wolał klimat południowej Francji.

Czy postać Kurtza, sadystycznego handlarza kością słoniową z „Jądra ciemności”, miała jakieś oparcie w rzeczywistości?

Sądzę, że tak. Conrad był w Kongu sześć miesięcy, z czego tylko dwa spędził na rzece, ponieważ zapadł na ciężką chorobę i dużo czasu leżał w szpitalu nad brzegiem Konga. Patrząc w jego zapiski z podróży, możemy się domyślać, kogo mógł spotkać po drodze.

Książkowy Kurtz nadziewał głowy zabitych Afrykanów na sztachety płotu wokół swojej chaty. Tymczasem mamy relacje o czterech białych z Konga, którzy ucinali Afrykanom głowy i używali ich jako swego rodzaju ozdób. Jednym z nich był Belg Léon Rom. Dowodził on placówką, którą musiał minąć po drodze Conrad. W całym Kongu była wówczas garstka białych i byłoby czymś niezwykle dziwnym, gdyby Rom nie wyszedł na spotkanie Conrada. Wiemy, że Rom obciętymi głowami Afrykanów „dekorował” swoje kwietniki. Conrad mógł też usłyszeć o jego okrucieństwie, leżąc w szpitalu, który położony był po sąsiedzku z placówką Roma.

Kto pierwszy nagłośnił zbrodnie Leopolda?

George Washington Williams. Był to Afroamerykanin, historyk, dziennikarz, który uwierzył w propagandę Leopolda i postanowił popłynąć do Konga, by na własne oczy zobaczyć, jak Belgowie pomagają Afrykanom. Po drodze zatrzymał się w Brukseli, gdzie udało mu się nawet spotkać z królem Belgii. Po rozmowie z nim doszedł do przekonania, że w Kongu rysują się wspaniałe szanse na zatrudnienie czarnych Amerykanów, którzy w USA – w związku z dyskryminacją – nie mogli znaleźć pracy. Williams popłynął w górę Konga parowcem i szybko zrozumiał prawdę. Zszokowany okrucieństwami napisał list otwarty do Leopolda, który ukazał się w 1890 r. w wielu europejskich i amerykańskich gazetach. Williams zebrał sporo materiału i planował napisać

o Kongu książkę. Niestety, zmarł w drodze powrotnej do USA.

Sporo dobrego zrobili też protestanci misjonarze z USA, Wielkiej Brytanii i Szwecji, którzy zaczęli alarmować, że Belgowie zbudowali w Kongu system pracy niewolniczej, a w pobliżu ich misji przetrzymywani są zakładnicy zakuci w łańcuchy. To był początek problemów Leopolda.

Co było momentem przełomowym w nagłaśnianiu zbrodni w Kongu?

Wspomniany już przeze mnie Edmund Morel zostawił po sobie opis niesamowitej sceny. Któregoś dnia stał w porcie w Antwerpii i patrzył na statki, które przyplęły z Konga. Morel pracował w firmie armatora, który obsługiwał tę trasę, i zrozumiał wówczas, że tysiące kilometrów dalej dzieje się coś strasznego. Statki przywoziły bowiem niezwykle cenne surowce – kość słoniową i kauczuk – natomiast w drugą stronę nie wywoziły żadnych kosztownych towarów. Zamiast tego zabierały ze sobą do Afryki głównie żołnierzy i broń. Morel zrozumiał, że kolonia Leopolda musi funkcjonować na zasadach niewolnictwa.

Na przełomie lat 1899 i 1900 Morel zaczął publikować swoje pierwsze teksty o Kongu. Miał mnóstwo energii i w całości poświęcił się nagłaśnianiu terroru rozpętanemu w sercu Afryki. W zbieraniu materiału dowodowego pomagali mu głównie misjonarze. To było jak kula śnieżna.

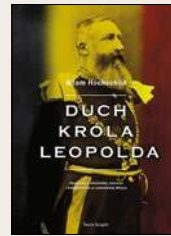
Jaki był skutek tej kampanii?

Światowa opinia publiczna wywierała coraz większy nacisk na Leopolda, by rzekł się Konga jako swojej prywatnej kolonii.

Co ciekawe, ludzie pokroju Morela nie byli przeciwni samej idei kolonializmu. Uważali natomiast, że jeżeli Leopold przekaze Konga Belgii, to system niewolniczy i terror w jakiś cudowny sposób przestaną być problemem. Leopold przekazał w końcu w 1908 r., niedługo przed śmiercią, swoją kolonię państwu.

Ale nie mógł na tym stracić...

Tak, Belgia zapłaciła mu za Kongo, więc nie była to z jego strony filantropia. Gdy Kongo stało się belgijskie, władze w Brukseli uznały jednak, że system



ADAM HOCHSCHILD
„DUCH KRÓLA LEOPOLDA”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2022

pozyskiwania kuczuku jest tak opłacalny, iż należy go utrzymać. Terror tylko w niewielkim stopniu zelżał. Dopiero w latach 20. XX w. belgijscy urzędnicy stwierdzili, że trzeba wprowadzić zmiany.

Wreszcie dotarło do nich, że stworzyli tam piekło na ziemi?

Nie, populacja Konga tak bardzo się zmniejszyła, że pojawiło się realne zagrożenie brakiem rąk do pracy. Urzędnicy bardzo

jasno stawiali tę sprawę w oficjalnych dokumentach. Terror został w znacznej mierze wyeliminowany i Belgowie wprowadzili nawet w swojej kolonii szcztątkową opiekę zdrowotną i szkoły podstawowe dla Afrykanów. Edukacja była jednak realizowana tylko w takim zakresie, który ułatwiał potem robotnikowi wykonywanie prac zleconych przez białych.

Ile Leopold zarobił na niewolniczej pracy ludności tubylczej Konga?

Szacuje się, że była to równowartość ok. 1 mld dzisiejszych dolarów.

Dlaczego świat szybko zapomniał o tamtych zbrodniach?

Belgia stała się pierwszą ofiarą Niemiec w 1914 r. Belgowie byli traktowani bardzo brutalnie przez okupantów, byli przymuszani do pracy, głodzeni, belgijskie bydło zostało wywiezione do Niemiec. Brytyjska i amerykańska propaganda wojenna bazowała w niemałej mierze na hasle przyjsia z pomocą malutkiej, neutralnej Belgii, która została wzięta pod but kajzera. Rozpamiętywanie wszystkich oskarżeń pod adresem Belgów, które jeszcze niedawno pojawiały się w gazetach, nie było na rękę sojusznikom. To była centralnie sterowana amnezja.

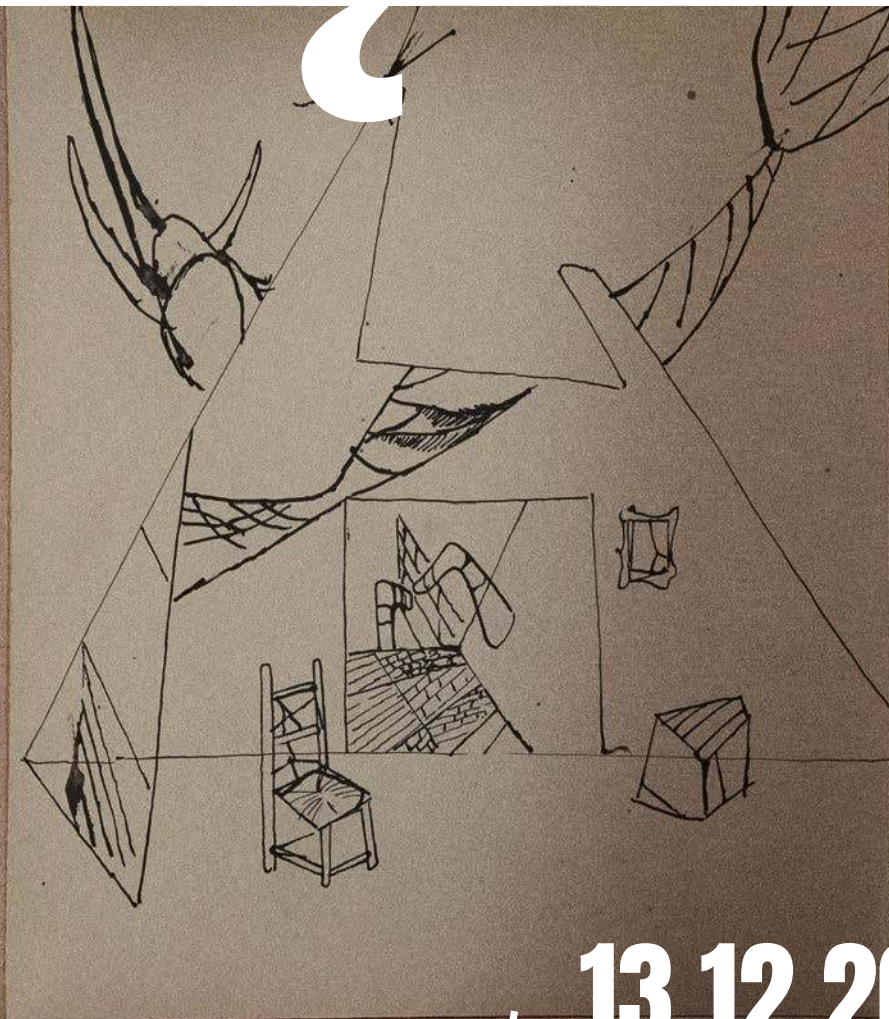
© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Adam Hochschild jest amerykańskim historykiem, dziennikarzem, wykładowcą Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, autorem książki „Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce”.

WNIETRZE

„Tadeusz Kantor © Dorota Krakowska & Lech Stangret / Fundacja Im. Tadeusza Kantora”



Muzeum
Śląskie

**TADEUSZ KANTOR W ZBIORACH
MUZEUM ŚLĄSKIEGO I CRICOTEKI**

**13.12.2023-
-7.04.2024**

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współorganizowaną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. 3 Dąbrowskiego 3
40-205 Katowice
tel. 22 779 83 00
www.muzeumslaskie.pl



www.facebook.com/muzeumslaskie
www.instagram.com/muzeumslaskie
www.twitter.com/muzeumslaskie



Muzeum Śląskie wyróżnione
w międzynarodowym konkursie
na najlepsze europejskie muzeum
European Museum of the Year Award 2017



Wyróżnienie za otwartość
i dbałość o publiczność



Z prof. Hieronimem Gralą,
historykiem specjalizującym się w dziejach
Rosji, byłym I radcą Ambasady RP w Federacji
Rosyjskiej, byłym dyrektorem Instytutów
Polskich w Sankt Petersburgu i Moskwie
rozmawia Maciej Pieczyński

Ludzie Kremla są do bólu pragmatyczni

MACIEJ PIECZYŃSKI: W książce „Wataha Putina”, napisanej wspólnie z Witoldem Juraszem, zauważył pan, że początkowo przyszły prezydent Rosji nie budził szacunku. Wyglądał jak „zabiedzony sowiecki urzędnik drugiego sortu”. Jak „nadliczbowe wronie piskłę, wyrzucone z gniazda”. Jak to się stało, że to wronie piskłę wyrosło na dwugłowego orła?

PROF. HIERONIM GRAŁA: Rozumiem, że porównanie, poza nawiązaniem do godła, wynika też z przekonania, że polityka Władimira Władimirowicza jest nieco schizofreniczna, bo ten orzeł to chciałby i na Wschód, i na Zachód. A już poważniej mówiąc, to kariera Putina znakomicie ilustruje tezę, że przypadek odgrywa niepoślednią rolę w historii. Wbrew legendzie nie był on żadnym zawodowym szpiegiem, bo pracując w NRD, szpiegował swoich. Średniej rangi oficer KGB, zwolniony do cywila, dorabiający jako taksówkarz, nagle zaczyna piąć się ku górze. Jak to się stało? Po pierwsze, powiązania z ludźmi dawnych służb. Nie był wysokiego rangi oficerem, ale znajomości miał. Po drugie, Putin skończył na Uniwersytecie

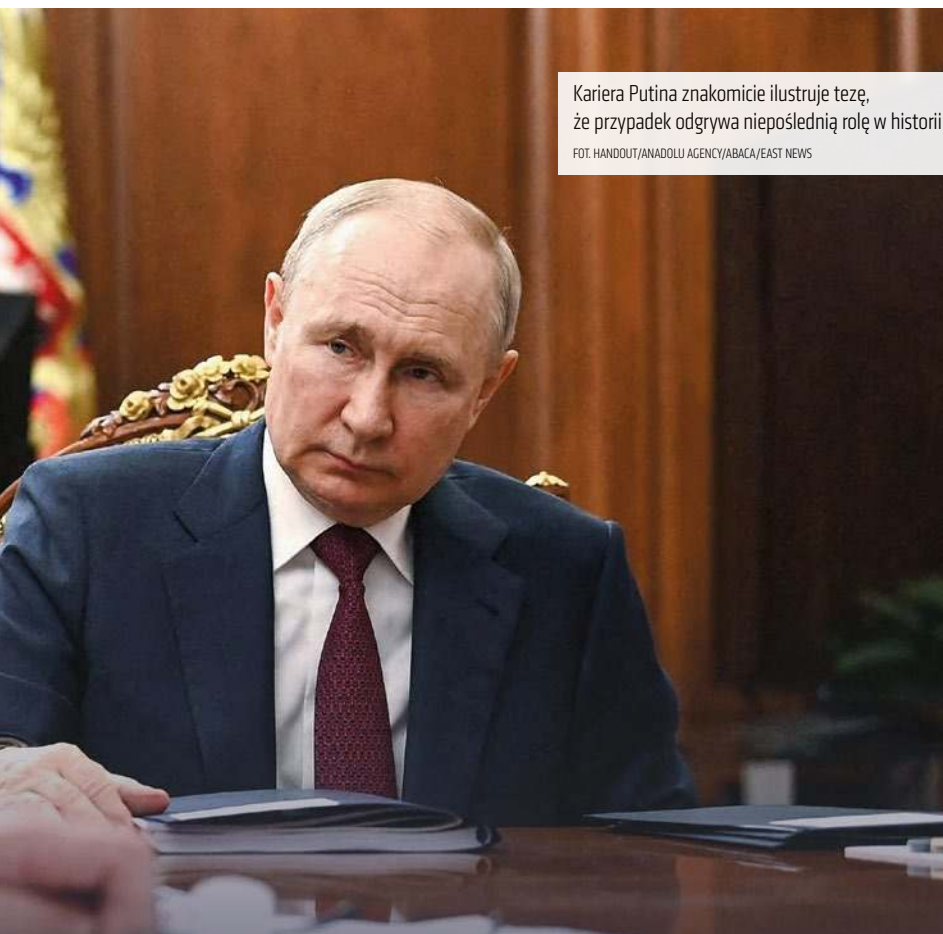
Leningradzkim elitarny wydział prawa, który był kuźnią postsowieckich elit. Wykładał na nim m.in. Anatolij Sobczak, jeden z liderów pierestrojki, późniejszy mer Petersburga. Jako jego zastępca Putin rozpoczynał poważną karierę polityczną. Czekał zaczynał więc drogę na szczyt u boku człowieka, który był symbolem pierestrojki, symbolem oporu przeciwko recydywie starego systemu. A później dawni współpracownicy Sobczaka spotykają się na Kremlu, tworząc leningradzką gwardię Władimira Władimirowicza. Putin będzie lojalnie ciągnął za sobą swoich kolegów. Wykazał się też zręcznością w rywalizacji pałacowej. Potrafił wkupić się w łaski Jelcyna. Przekonał go, że jest godzien zaufania, a także że jest człowiekiem bezwonnym, bezdymnym, a niezastąpionym.

Wszedł zatem na szczyt na plecach demokratów i liberałów. Przejął resorty siłowe, a następnie władzę. Szybko rozprawił się z oligarchami, którzy przecież byli w latach 90. wszechpotężni...

Oligarchowie w ostatnim okresie władzy Jelcyna weszli w konflikt sami ze sobą. Każdy z nich chciał mieć cały tort, a nie kawałek. Ponadto pacyfikację oligarchów ułatwiło Putinowi to, że już wcześniej byli oni w dużej mierze zależni od resortów siłowych. Wielu z nich to byli krupierzy w kasynie KGB. Operowali pieniędzmi służb. Problem zaczął się, gdy się na tych pieniądzach uwłaszczyli i zaczęli zdradzać niepomierne ambicje polityczne.

Czy Putin dzięki wojnie został dyktatorem?

Nawet po dwóch kadencjach pozostawał bardziej primus inter pares, a nie autokratą. Dyktatorem wyraźnie zaczął się stawać od momentu zwycięstwa w ostatnich wyborach prezydenckich. Po pierwsze, rozumiał, że szczyt popularności ma za sobą. Dlatego tym razem musiał wyjątkowo ordynarnie sfałszować wyniki wyborów. Po drugie, wokół niego pojawiło się kilku ambitnych polityków, którzy podobnie jak kiedyś otoczenie Jelcyna zastanawiają się, kiedy „car” odejdzie



Kariera Putina znakomicie ilustruje tezę, że przypadek odgrywa niepoślednią rolę w historii

FOT. HANDOUT/ANADOLU AGENCY/ABACA/EAST NEWS

i który z nich go zastąpi. Putin, jak typowy rosyjski władca, boi się opuścić tron. Wojna jest natomiast świetnym sposobem na nieoddawanie władzy. Żeby ją rozpętać, Putin musiał złamać opór otoczenia. Część kremlowskich elit (Patruszew, Szojgu) również uważała, że inwazja na Ukrainę to dobry pomysł. Putin uzyskał poparcie partii wojny i przy jej pomocy, pokonując sceptycznych wobec wojny quasi-liberałów, do reszty ich zwasalizował. Elity zdają sobie sprawę, że inwazja była błędem, że nie przyniosła oczekiwanego, szybkiego rezultatu. Z pewnością, nauczona doświadczeniem, nie postawi już więcej na człowieka służb. Dlatego z listy potencjalnych następców wykreśliłbym Patruszewa. Putin chce walczyć do końca, bo wie, że zwycięzców się nie sądzi. Bardziej zapowiada się jednak na kompromis niż na ostateczny triumf którejś ze stron. W tej sytuacji na Kremlu rośnie rola ugodowców. Jeśli trzeba będzie usiąść do rozmów, to najbardziej odpowiednimi negocjatorami będą ci, którzy do wojny odnosili się

sceptycznie. W tym przede wszystkim szef Służby Wywiadu Zagranicznego Siergiej Naryszkin, który jako jeden z niewielu przedstawicieli Kremla zachował drożne kanały kontaktów z Zachodem. Podczas słynnej przedwojennej narady w sprawie Donbasu otwarcie zanegował konfrontacyjny kurs. Spotkała go za to jedynie publiczna reprimenda, ale stanowisko zachował, co świadczy, że jest człowiekiem bardzo wpływowym. Poza Naryszkinem może też wzrosnąć rola ludzi obecnie już oficjalnie z Kremlm niezwiązanych, ale nieskompromitowanych w oczach Zachodu. Na przykład Aleksieja Kudrina, byłego liberalnego ministra finansów i wicepremiera.

Jaki wpływ na rozkład sił na Kremlu miał nieudany bunt, a potem udany (najprawdopodobniej) zamach na Prigożyna?

Pucz wpłynął na konsolidację elity kremlowskiej. Osłabił pozycję Szojgu, bo jego resort z rebelią sobie nie poradził. Wzmocnił autorytet tych, którzy w obliczu

kryzysu zachowali spokój, jak mer Moskwy Siergiej Sobianin czy wiceszef administracji prezydenta Siergiej Kirijenko. Najwięcej zyskał gubernator obwodu tulskiego Aleksiej Diumin, który wynegocjował z Prigożynem zatrzymanie marszu na stolicę. To zresztą może być potencjalny następca Putina, którego był niegdyś adiutantem. Mówiło się, że może zastąpić Szojgu na stanowisku ministra obrony. Jednak objęcie resortu, który bezpośrednio odpowiada za sytuację na froncie, tylko zepsułoby jego wizerunek. Diumin sprawdził się w momencie kryzysu. Po opanowaniu sytuacji z Prigożynem nie wypinał piersi po order, tylko wrócił do swojego skromnego pałacu gubernatorskiego. Zapobiegł wojnie domowej i wykazał się lojalnością wobec prezydenta. Ma autorytet w armii, z której się zresztą wywodzi. Był – jako dowódca Sił Operacji Specjalnych – jednym z architektów aneksji Krymu. To on przerzucił tam zielone ludziki. Gdy obejmował fotel gubernatorski, wydawało się, że to zesłanie. Mówi się, że stał za tym Kirijenko, który najwyraźniej wykazał się wielką przenikliwością i wyczuł w tym młodym generale poruczniku i Bohaterze Federacji Rosyjskiej potencjalnego rywala do schedy po Putinie.

Kiedyś w końcu Putin odejdzie. W jaki sposób? Z własnej woli, namaszczając następcę, czy zostanie obalony?

Przewrót pałacowy byłby możliwy w sytuacji, gdyby załamał się front na Ukrainie, a w Rosji z dnia na dzień nastąpiłby kolaps gospodarczy, który opróżniłby kieszenie kremlowskiej elity. Albo gdyby elita dostała od Zachodu zapewnienie, że usunięcie Putina poskutkuje zniesieniem sankcji indywidualnych i bezbolesnym zakończeniem wojny – bez konieczności płacenia reparacji, za to przy zachowaniu przez Rosję części zdobyczy terytorialnych. Nie ma takiego satrapy, którego nie da się obalić. A Putin przez wiele lat musiał dzielić się władzą i nie jest tak potężnym samodzierżcą jak Stalin czy Iwan Groźny. Najbardziej jednak prawdopodobne, że Putin wyznaczy w pewnym momencie swojego następcę. Podobnie jak jego wyznaczył Jelcyn. Putin już jednak ogłosił, że wystartuje w planowanych na 17 marca 2024 r. wyborach prezydenckich. Jeśli więc dojdzie do sukcesji, to w późniejszym terminie. Jelcyn też do pewnego momentu nie chciał się zżegnać z władzą i robił



■ wszystko, by wzmocnić swoją pozycję i moment odejścia maksymalnie opóźnić. W końcu jednak zrozumiał, że jest na to zbyt słaby.

Jelcyn też rządził silną ręką, ale chyba jednak był słabszy – charakterologicznie, fizycznie, psychicznie – niż Putin obecnie...

Nie zgodzę się. W momentach kryzysowych wykazywał się osobistą odwagą...

Jak wtedy, gdy w 1993 r. wysłał czołgi na parlament, który nie godził się na wzmocnienie władzy prezydenckiej?

Nie tylko. Potrafił przeciwstawić się Gorbaczowowi, gdy nie było to w modzie. Potrafił też stanąć na barykadzie podczas puczu Janajewa i przeciwstawić się zbrojnej próbie uratowania Związku Sowieckiego przed rozpadem. Był alkoholikiem, ale odwagi cywilnej nie sposób mu odmówić.

A czy otoczeniu Putina w ogóle opłaca się odsuwać go od władzy? Przecież jego następca będzie musiał posprzątać po nim polityczny bałagan...

Wojna jest jedynym kapitałem politycznym Putina, który odkleił się od rzeczywistości i uwierzył, że jest nowym carem Piotrem Wielkim. Jeśli ją zakończy, to straci wszystko. Ale jeśli wojna będzie trwać, to traci na tym będzie kremlowska elita, która ma już dość ponoszenia kosztów niezbyt udanej inwazji. Pokój będzie zaś możliwy tylko wówczas, gdy odejdzie Putin. Zmiana na tronie posłuży też jako pretekst tym spośród zachodnich liderów, którzy nie mogą się doczekać, aż znowu będą mogli robić interesy z Rosją. A to spora motywacja dla otoczenia Putina. W zamian za pokój kremlowskie elity mogą nawet zwrócić Ukrainie Krym. Jeszcze pół roku temu bym w to nie uwierzył. Oczywiście, znowu, Putin Krymu oddać by nie mógł, bo aneksja była jego osobistym, największym sukcesem. Ale w jego otoczeniu dojrzeva już inne spojrzenie. Jak się wydaje, obecnie Rosjanie zgodziliby się oddać półwysep, gdyby mogli w zamian zachować Donbas. Co im po turystycznym Krymie, na którym i tak nikt nie chce się wczasować? Donbas to co innego – zniszczony wojną, ale perspektywiczny region przemysłowy.

Zwykli Rosjanie, którzy pokochali Putina za „odzyskanie” Krymu, mieliby zaakceptować jego utratę?

Zwykli Rosjanie przywykli bez zastrzeżeń akceptować to, co robi władza. Jeśli

władza powie, że Krym już nie jest perłą w koronie imperium, tylko niepotrzebnym pustynnym półwyspem, to poddani przytakną. Natomiast łatwo będzie im wytłumaczyć, że wojnę należy zakończyć. „Kijów nie jest nasz, Czernihów nie jest nasz, tu i ówdzie dostajemy w skórę, straty i koszty rosną, więc się wycofujemy” – to zabrzmi przekonująco. Upust krwi jest ogromny. Zmianę nastawienia zwykłych Rosjan dobrze widać w mediach społecznościowych, gdzie można przeczytać coraz więcej głosów, jeszcze ostrożnie, ale jednak sugerujących, że przydałoby się tę awanturę wojenną zakończyć. Głosy te płyną również ze strony szczerych patriotów, którzy jeszcze wczoraj trzymali kciuki za powodzenie „specoperacji”. W Internecie popularna stała się teoria spiskowa, zgodnie z którą Lenin zastawił Krym za wielką pożyczkę Rockefellerowi. Właśnie dlatego jakoby konferencja wielkiej trójki odbyła się w Jaltce – Roosevelt i spółka chcieli bowiem zobaczyć, jak ten półwysep wygląda. Inna wersja tej teorii mówi, że wojna rosyjsko-ukraińska to spisek, który ma na celu wzajemne wykrwawienie się Słowian po to, aby na ich miejsce sprowadzić Żydów, zagrożonych obecnie zagładą ze strony Arabów. Na Krymie miałyby powstać nowe państwo Izrael. Oczywiście można wołać o pomoc psychiatry, kaftan i szprycę, ale te narracje mają coraz większy zasięg, nie tylko wśród antysemitów. Nagle okazuje się, że przyczyną wojny nie jest zagrożenie ze strony NATO czy banderowców, tylko żydowski spisek.

Kto ma największe szanse, by w bliższej lub dalszej przyszłości zostać następcą Putina?

Nowej elity szukałbym wśród starej. Wśród technokratów i pragmatyków. Gdyby Putin nagle odszedł na woreczek robaczkowy, zatrucie pokarmowe, porażenie prądem etc., to w naturalny sposób jego miejsce zająłby obecny premier Michaił Miszustin. Czyli technokrata, który nie był zwolennikiem wojny. A wraz z nim do władzy mogliby dojść tacy ludzie jak wspomniani już Kirijenko i Sobianin, może ludzie spoza obecnej ekipy, tacy jak Kudrin. Być może byłoby kolektywne kierownictwo, wspierane przez wielki biznes, również przez państwowych



**WITOLD JURASZ,
HIERONIM GRALA
„WATAHA
PUTINA”
WYD. CZERWONE
I CZARNE 2023**

oligarchów, którzy mają świadomość, że wojna przeszkadza im w zarabianiu pieniędzy.

Rosja rządzona przez technokratów będzie sprawniejsza, bogatsza i akceptowana przez Zachód, który znów będzie z nią robić interesy, również ponad naszymi głowami. To może już lepszy Putin, z którym nikt nie chce rozmawiać?

Mądry, dogadujący się z Zachodem władca zawsze jest dla nas niebezpieczniejszy niż skompromitowany imperialista. Problem wszakże polega na tym, że na razie mamy do czynienia z może i chwiejącym się olbrzymem na glinianych nogach, ale takim, który w desperacji może podpalić spory kawałek świata. Co jest dla nas bardziej korzystne: nieprzewidywalny szaleniec czy przewidywalny technokrata? Opowiadamy się za tym drugim scenariuszem. Prędzej czy później również technokrata wejdzie w imperialne buty, ale zanim to zrobi, będzie musiał się cofnąć i odbudować zniszczoną przez wojnę gospodarkę, a to da nam czas na wzmocnienie własnej pozycji.

Z książki „Wataha Putina” wylania się obraz ludzi Kremla – nie tyle fanatyków, ile cyników, pragmatyków, którzy ideologii używają do realizacji konkretnych celów. Czy oni w ogóle w coś wierzą?

Ludzie Kremla są do bólu cyniczni i pragmatyczni. Ale w Rosję wierzą. Z wieloma z nich miałem okazję rozmawiać. Żaden z nich nie powiedział, że czuje się obywatelem świata. Spora część oligarchów ma majątek ulokowany za granicą. Ale żaden z tych prawdziwie wpływowych nie potępił otwarcie „specoperacji”. I to nie tylko dlatego, że się boją krytykować Putina. Silna Rosja mocarstwowa jest dla nich może nie tyle celem, ile pewną oczywistością. Oni przywykli myśleć o swoim państwie w takich kategoriach. Wyjątkiem jest Michaił Chodorkowski, który po latach spędzonych w łagrze wyemigrował na Zachód. Ale nawet on, głosząc potrzebę wymiany elit, deputinizacji państwa, reedukacji zatrutego propagandą społeczeństwa, jednocześnie podkreśla, że celem tej naprawy kraju jest odbudowa wielkiej Rosji. Nie nazywajmy cynicznym pragmatyzmem tego, co w przypadku Polaka nazwalibyśmy patriotyzmem...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



AGRESORZY NA IGRZYSKACH

Międzynarodowy Komitet Olimpijski zdecydował, że dopuści sportowców z Rosji i Białorusi na igrzyska w Paryżu w przyszłym roku. Występować będą – oczywiście ci, którzy się zakwalifikują swoimi wynikami – jako sportowcy „neutralni”, czyli bez flagi własnego kraju. Postawiono warunki: nie mogą „aktywnie” wspierać działań wojennych oraz nie mogą posiadać kontraktu z armią rosyjską lub białoruską. O dopuszczeniu sportowców z kraju, który rozpętał kolejną wojnę w Europie, zabiegała m.in. Rada Praw Człowieka ONZ, która wnosiła o „niedyskryminację żadnego sportowca ze względu na jego narodowość”.

FOT. MICHELE DOTTI/ANDRÉ STOCK

ATAK NA KANAŁY W WENECJI

Aktywiści klimatyczni z ruchu Extinction Rebellion po raz kolejny wyrazili swój protest, zabarwiając rzeki i kanały. Tym razem wlały do wód włoskich miast fluoresceinę, która zabarwiła wodę na zielono. Wlały ją m.in. do Canale Grande w Wenecji i Naviglio Grande w Mediolanie. Burmistrz Wenecji, Luigi Brugnaro, napisał w mediach społecznościowych: „Mamy nadzieję, że to skończy się w więzieniu”.

ARESztOWANY PRZEZ GOŁĘBIA

W Tokio 50-lletni taksówkarz ruszył, gdy na sygnalizatorze zapaliło się światło zielone. Wjechał w stado gołębi, które przysiadły wówczas na ulicy. Jeden gołąb tego nie przeżył. Policjanci uznali, że taksówkarz celowo wjechał w ptaki. Zlecili sekcję zwłok gołębia. Weterynarze stwierdzili, że ptak stracił życie w wyniku „szoku pourazowego”. Kierowca został aresztowany za naruszenie przepisów dotyczących ochrony przyrody.

NAJGORSZY KIEROWCA?

Dopiero za 60. podejściem kursant w Wielkiej Brytanii zdał egzamin teoretyczny na prawo jazdy. Kosztowało go to w sumie 60 godzin spędzonych na egzaminach i – w przeliczeniu – ponad 7 tys. zł opłat. Żeby zdać na prawo jazdy na Wyspach, trzeba odpowiedzieć na 43 pytania wielokrotnego wyboru z 50 oraz zdać test postrzegania zagrożeń, oglądając 14 klipów filmowych. Według brytyjskiego resortu transportu wskaźnik zdawalności egzaminu teoretycznego spadł z 65 proc. do 44 proc. w ostatnim roku.

NIECHCIANE MEDALE Z DREWNA

Podczas rowerowej imprezy dla amatorów RideLondon wręczano uczestnikom ekologiczne medale z drewna. Zawodnicy poculi się taką nagrodą rozczarowani. Organizatorzy zapowiedzieli więc, że przywrócą medale z metalu. Będą wykonywane ze stopu cynku uzyskiwanego z recyklingu. ©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

O czym marzą Polacy?

Inflacja na poziomie 6,5 proc. sprawia, że ceny w sklepach przestały się wreszcie zmieniać w tak szalonym tempie jak jeszcze rok temu. Nie oznacza to jednak, że tegoroczne święta Bożego Narodzenia będą już tanie. Z badania zrealizowanego przez firmę badawczą Minds & Roses, na zlecenie Związku Banków Polskich, wynika, że statystyczny Polak planuje w czasie nadchodzących świąt wydać przeciętnie nominalnie 1490 zł (rok temu było to 1427 zł), z czego 565 zł tylko na prezenty dla najbliższych (to aż o 13 proc. więcej niż rok temu).

Z kolei badanie zlecone przez aplikację finansową Revolut pokazało, że 23 proc. Polaków planuje kupić prezenty za 230–460 zł, 24 proc. zamierza wydać łącznie ok. 460–920 zł, a 23 proc. co najmniej 920 zł. 18 proc. podchodzi do tematu z ułańską fantazją, a więc nie określa budżetu na prezenty, uznając, że „co będzie, to będzie”. 9 proc. deklaruje, że na świąteczny drobiazg wyda mniej niż 230 zł. A jedynie 2 proc. nie zamierza kupować żadnych prezentów.

Revolut Money Report pokazuje również, że chociaż prezenty na Gwiazdkę są dla wielu

ważne, to prawdziwym luksusem stało się współcześnie posiadanie większej ilości czasu dla siebie i bliskich (wskazało tak 36 proc.).

Ze wspomnianego raportu wynika także, jakie są finansowe marzenia Polaków. 23 proc. pytanym marzy o całkowitej spłacie kredytów, 19 proc. o podwyżce wynagrodzenia, 18 proc. o tym, by dowiedzieć się, jak pomnażać pieniądze dzięki oszczędzaniu i inwestycjom, a 17 proc. marzy o niskiej inflacji. 8 proc. pytanym chciałoby zaś niższych podatków. I realizacji wszystkich tych marzeń Państwu (i sobie) życzyć.



Opublikowany pod koniec października sondaż instytutu IFOP przeprowadzony dla centroprawicowego dziennika „Le Figaro” potwierdził trend zarysowujący się na francuskiej scenie politycznej od ubiegłorocznych wyborów prezydenckich, w których Marine Le Pen przegrała po raz drugi z Emmanuelem Macronem. Gdyby wybory prezydenckie odbyły się dziś, przywódczyni Zjednoczenia Narodowego (Rassemblement National, RN) otrzymałaby 31–33 proc. głosów już w pierwszej turze, czyli mniej więcej tyle, ile w drugiej turze w 2017 r., kiedy przegrała po raz pierwszy z Macronem. W 2022 r. na Marine Le Pen zagłosowało 23 proc. wyborców w pierwszej turze i 41,5 proc. w drugiej.

Wśród jej potencjalnych kontrkandydatów w następnych wyborach, które odbędą się dopiero w 2027 r., najlepiej wypadali premier Emmanuela Macrona, Édouard Philippe, na którego zagłosowałoby w pierwszej turze wyborów prezydenckich 25 proc. Francuzów. Natomiast wśród potencjalnych kandydatów centroprawicy, która do 2017 r. rządziła Francją przez kilkadziesiąt lat na zmianę z socjalistami, najlepszy wynik otrzymałby skojarzony z prawym skrzydłem tej partii Laurent Wauquiez z wynikiem... 5–6 proc. głosów. To niewiele więcej niż wynik kandydatki tego obozu w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich.

Według tego samego sondażu byli publicyści i eseista Éric Zemmour, sytuujący się po prawej stronie od Marine Le Pen i mówiący otwarcie o niekompatybilności islamu z wartościami republikańskimi i o tym, że „szumowina arabomuzułmańska” codziennie zabija białych Francuzów, otrzymałby do 7,5 proc. głosów, czyli mniej więcej tyle samo, ile w ostatnich wyborach prezydenckich. Po lewej stronie od obozu prezydenckiego skrajny lewicowiec czy raczej islamolewicowiec Jean-Luc Mélenchon mógłby liczyć na 15 proc. głosów, czyli o 7 punktów procentowych mniej niż w pierwszej turze wyborów w 2022 r. A i tak byłby to wynik dużo lepszy niż w przypadku każdego innego kandydata lewicy.

NOWE STARCIE BEZ MACRONA

Już w kwietniu 2023 r., dokładnie rok po ostatnich wyborach prezydenckich,

Imigranci wyniosą Le Pen do władzy



Olivier Bault

Francuzi mają tak dość zagrożeń ze strony migrantów, że Marine Le Pen jako prezydent staje się dla nich jedyną szansą ocalenia kraju

sondaż instytutu Elabe dla telewizji BFM TV wskazywał po raz pierwszy na Marine Le Pen jako na potencjalnego zwycięzcę drugiej tury wyborów prezydenckich – z wynikiem na poziomie 55 proc. głosów. Tyle tylko, że analizowany scenariusz był symulacją powtórki z wyborów, kiedy Le Pen stanęła naprzeciwko prezydenta Macrona, a taka sytuacja nie będzie miała miejsca. Podobnie jak w Polsce prezydent Republiki Francuskiej nie może bowiem ubiegać się o trzecią reelekcję.

Kwietniowy sondaż pojawił się w czasie protestów przeciw reformie emerytalnej we Francji. Brak popularności prezydenta i jego reform to jednak niejeden powód wzrostu popularności Marine Le Pen i jej partii RN. Jest nim także tąpnięcie centroprawicy, czyli partii Republikanie, którego zwieńczeniem były ubiegłoroczne wybory do Zgromadzenia

Narodowego. Po raz pierwszy partia centroprawicy nie jest już ani partią rządzącą, ani główną partią opozycyjną. Mając 62 posłów z 577 w nowym Zgromadzeniu Narodowym, Republikanie plasują się nie tylko za RN (89 posłów), lecz także za islamolewicową partią Mélenchona, La France Insoumise (LFI, 75 posłów).

Dziś dla większości Francuzów jasne jest, że partia Marine Le Pen tworzy główną siłę opozycyjną wobec obozu prezydenckiego. Tak to jest też przedstawiane w mediach, co wynika również z tego, że w wielu kwestiach rząd Borne negocjuje projekty ustaw z centroprawicowymi Republikanami, tak aby uzyskać poparcie większości. Dlatego też od kilku miesięcy możliwość wygranej Marine Le Pen w wyborach prezydenckich z 2027 r. jest przedstawiana już nie tylko jako możliwa, lecz także nawet dosyć



Marine Le Pen FOT. PATRICIA DE MELO MOREIRA/AFP/EAST NEWS

prawdopodobna. Tym bardziej że dobiega końca proces „dediabolizacji” partii, do którego impuls dała w 2011 r. córka historycznego lidera Frontu Narodowego, kiedy przejęła stery. W marcu 2023 r. sam prezydent Macron rugał premier Borne, gdy ta stwierdziła, że partia Le Penów, występująca dziś pod nazwą Zjednoczenie Narodowe, jest spadkobierczynią marszałka Pétaina z czasów kolaboracji. „Nie walczy się ze skrajną prawicą słowami z lat 90.” – miał powiedzieć prezydent Macron do premier Borne podczas rady ministrów.

No cóż – gdy obserwuje się kolejne symptomy rozpadu francuskiego społeczeństwa na skutek kilku dekad masowej imigracji, gdy dochodzi do kolejnych barbarzyńskich ataków na rdzenną ludność ze strony przybyszy i do kolejnych islamskich zamachów terrorystycznych, nawet

w rozgłosni publicznej France Info, która jest do bólu wręcz mainstreamowo-lewicowym medium, można od niedawna słyszeć stwierdzenia, że gdyby posłuchano wiele lat temu ostrzeżeń Jeana-Marie Le Pena, zamiast go demonizować, sytuacja w kraju byłaby inna.

Obecnie, gdy z jednej strony okazuje się, że Front Narodowy, a późniejsze Zjednoczenie Narodowe miało w wielu kwestiach rację, a z drugiej strony Marine Le Pen i jej ludzie od lat pilnują się, aby nie można było im zarzucać rasizmu i antysemityzmu, nawet najzgorzalsi przeciwnicy „skrajnej prawicy” muszą przyznać, że „dediabolizacja” stała się faktem. Marine Le Pen uporczywie odmawia stawiania znaku równości między islamem a islamizmem, jak to robi jej prawicowy konkurent Éric Zemmour, i tym samym tworzy wizerunek lidera umiarkowanego i od-

powiedzialnego. Jednocześnie – w przeciwieństwie do polityków centroprawicy oraz obozu prezydenckiego (na czele z ministrem spraw wewnętrznych Géraudem Darmaninem) – Le Pen i jej obóz są wiarygodni, kiedy mówią o potrzebie zatrzymania imigracji i zaprowadzenia rządów twardej ręki wobec przestępców i potencjalnych terrorystów.

Widać to w badaniach opinii publicznej. We wrześniowym sondażu ViaVoice dla lewicowego dziennika „Libération” dla 50 proc. Francuzów szefowa RN jest osobą wiarygodną w sferze imigracji, dla 46 proc. jest wiarygodna w sferze bezpieczeństwa, a dla 43 proc. w sferze wymiaru sprawiedliwości.

37 proc. respondentów tegorocznej edycji badania ViaVoice miało pozytywną opinię na temat Marine Le Pen, co oznacza wzrost opinii pozytywnych o 10 punktów procentowych na przestrzeni dwóch lat. Partia przedstawiana do niedawna jako nienależąca do obozu republikańskiego jawi się na dodatek jako bardziej wiarygodna, bardziej kompetentna i mniej skłonna do przemocy niż LFI Mélenchona, choć do niedawna ugrupowanie Mélenchona było zaliczane do tegoż obozu republikańskiego (czyli do partii, których wartości są uznawane za zgodne z wartościami republikańskimi, cokolwiek to znaczy) i najgłośniejszym uczestniczyło w procesie demonizowania RN.

LEWICA W TARAPATACH

Kordon sanitarny, który jeszcze rok temu otaczał partię RN Marine Le Pen, na skutek eskcesów słownych i strategii zjednywania sobie elektoratu muzułmańskiego prowadzonej przez Jean-Luca Mélenchona, zmienia bowiem we Francji położenie. Przestaje otaczać „skrajną prawicę” i tworzy się wokół islamolewicy Mélenchona. Coraz jaśniejsze staje się bowiem to, że partia ta jest rzeczywiście antyrepublikańska. Zwieńczeniem tego procesu, po zamieszkach z początku lipca w całej Francji, kiedy LFI stanął po stronie młodzieży imigranckiej z przedmieść i przeciwko policji, jest stanowisko LFI wobec wojny między Izraelem a Hamasem. Liderzy partii afiszują się na protestach o wyraźnym wydźwięku antysemickim w muzułmańskim wydaniu. Ostatnim „wybrykiem” Mélenchona było nazwanie na swoim profilu serwisu X



■ (dawny Twitter) znanej dziennikarki pochodzenia żydowskiego Ruth Elkrief „fanatyczką”, która „gardzi muzułmanami”. W reakcji na te słowa minister Darmanin ogłosił, że udziela dziennikarce ochrony policyjnej. Niektórzy dziennikarze mainstreamowych mediów stwierdzili nawet, że tweet skrajnego lewicowca zabrzmiał jak fatwa.

Ci sami dziennikarze, którzy przez lata przywykli do mantry, że to partia Marine Le Pen jest antysemitką, przeżywają dziś dysonans poznawczy nie tylko wobec jednoznacznego poparcia Le Pen i jej środowiska politycznego dla Izraela oraz dla francuskich Żydów po ataku Hamasu z 7 października, lecz także po wywiadzie opublikowanym 9 listopada w „Le Figaro” ze znanym i szanowanym we Francji żydowskim działaczem ocalałym z Holocaustu, Serge’em Karlsfeldem. Odnosił się on do reakcji tych wszystkich, którzy – również wewnątrz rządu – oburzali się zapowiedzianą obecnością Le Pen i jej partii RN na marszu przeciw antysemityzmowi zorganizowanym na początku listopada w Paryżu po licznych atakach antysemitkich w całym kraju, w kontekście wojny izraelsko-palestyńskiej. Ten oto, zwłaszcza w oczach lewicy, autorytet podejmując temat walki z antysemityzmem i ze skrajną prawicą, stwierdził w wywiadzie jasno i wyraźnie, że Marine Le Pen nie jest antysemitką i że należy się z tego cieszyć. – RN jest partią, która pod względem antysemityzmu, jeśli porównać ją z La France insoumise [Mélenchona], może zasłużyć tylko na dobre oceny [...]. Skrajna lewica zawsze miała antysemitckie tradycje. Z ulgą widzę, jak RN porzuca antysemityzm i podejmuje się obrony Żydów, ale ze smutkiem obserwuję, jak skrajna lewica porzuca swoją linię działania przeciwko antysemityzmowi – powiedział Serge Karlsfeld.

W sytuacji, gdy państwo francuskie coraz gorzej dba o bezpieczeństwo własnych obywateli, i to nie tylko żydowskich, tradycyjna narracja polityczno-medialnego mainstreamu, zgodnie z którą każdy Le Pen jest zagrożeniem dla demokracji i mógłby wywołać wojnę domową, gdyby doszedł do władzy, staje się coraz mniej wiarygodna dla ogółu Francuzów. W 2018 r. odchodzący z funkcji ministra spraw wewnętrznych rządu Emmanu-

ela Macrona socjalista Gérard Collomb ostrzegł rodaków, że jeśli nie dojdzie do radykalnych zmian, to niedługo Francuzi nie będą żyli obok siebie, tylko będą przeciwko sobie. Dopytywany przez dziennikarzy stwierdził, że raporty policyjne, które otrzymywał codziennie na swoje biurko, rysują obraz szybko postępującej brutalizacji i rozpadu społeczeństwa pod wpływem masowej imigracji, i że jego zdaniem Francji zostało pięć-sześć lat, aby odwrócić ten trend, gdyż potem będzie na to za późno.

Pięć lat minęło. W wiosce Crépol koło Romans-sur-Isère, nieopodal Valence, w Dolinie Rodanu, bal zorganizowany w sali wiejskiej w niedzielę 19 listopada skończył się tragedią. Grupa ośmiu młodych Arabów z „wrażliwej” dzielnicy Romans uzbrojonych w długie noże przyjechała na imprezę po to, aby „zabić

Dziennikarz promacronowskiej stacji BFM TV zauważył, że to „koniec szklanego sufitu”, który więził sondaże Le Pen

białych”. Potwierdzają to relacje co najmniej dziewięciu świadków, którzy te słowa z ich ust usłyszeli. Kilka osób zostało rannych, a 16-letni gracz rugby, Thomas Perotto, który stanął w obronie swoich przyjaciół, został zabity. Prokurator natomiast nie dostrzega w tej zbrodni motywu rasistowskiego, a przez kolejne dni główne media uporczywie odmawiały podawania imion napastników, gdyż mają one brzmienie arabsko-muzułmańskie. Kilka dni po ataku na wioskę Crépol policja brutalnie rozbiła manifestację grupy setki młodych francuskich nacjonalistów w dzielnicy imigranckiej, skąd pochodzili napastnicy.

W sondażu przeprowadzonym po tych wydarzeniach na pytanie, czy we Francji żyje się już „przeciwko sobie”, 83 proc. respondentów uważa, że tak. 58 proc. pytanym zgadza się ze stwierdzeniem Marine Le Pen, że od kilku lat wiejskie bale i inne tego typu imprezy padają ofiarą zorganizowanych ataków w stylu arabskim, a 54 proc. zgadza się z konstatacją Erica

Zemmoura, że „Francja jest domem dla dwóch narodów, z których jeden musi nieustannie uciekać przed agresją coraz bardziej brutalnej frakcji drugiego, nie tylko przed atakami dokonywanymi z okrzykami »Allah Akbar«, lecz także przed tym prawdziwym codziennym dżihadem, któremu poddawani są Francuzi”.

78 proc. Francuzów (+10 punktów procentowych w porównaniu z grudniem 2022 r.) uważa, że sytuacja w zakresie bezpieczeństwa osób i mienia we Francji pogorszyła się w ostatnich latach, a odsetek takich odpowiedzi stale rośnie od czasu prowadzenia tego badania, czyli od sierpnia 2020 r. (kiedy twierdząco na to pytanie odpowiedziało 58 proc. respondentów).

Według badania sondażowni Ipsos opublikowanego w październiku agresywne zachowania i przestępczość są głównym źródłem zmartwień Francuzów dotyczących przyszłości kraju, a 70 proc. respondentów pesymistycznie widzi tę przyszłość.

W tej sytuacji wątpliwości co do programu gospodarczego partii Marine Le Pen albo co do jej planów wobec waluty euro i obecności Francji w Unii Europejskiej schodzą na drugi plan. Dlatego też, według sondażu Elabe dla BFM TV sprzed trzech miesięcy, dla prawie dwóch trzecich Francuzów liderka „skrajnej prawicy” może wygrać następne wybory prezydenckie we Francji. Prawie połowa respondentów uważa, że byłaby dobrym prezydentem i że może zjednoczyć kraj. Największym wzrostem zaufania cieszy się wśród emerytów, gdzie RN do tej pory miało najsłabsze wyniki. Wyraźny, systematyczny wzrost zaufania następuje natomiast we wszystkich kategoriach francuskiego elektoratu.

Dziennikarz promacronowskiej stacji telewizyjnej BFM TV zauważył, że to „koniec szklanego sufitu”, który więził sondaże Le Pen. Przystawienie wajchy nastąpiło w sposób wyraźny po zamieszkach, które zszokowały świat na początku lata, a zmianę tę co rusz wzmacniają kolejne wydarzenia, jak rasistowski, antyfrancuski napad Arabów na francuską wioskę Crépol czy śmiertelny atak islamskiego nożownika „znanego policji” na turystę w Paryżu, w okolicach wieży Eiffla, na początku grudnia.

© 2023 Wszelkie prawa zastrzeżone



W świecie diamentów starych i nowych



Teresa Stylińska

Diamenty, poza tym, że ich piękno i blask budzą podziw, a we właścicielach także dumę z posiadania, niosą ze sobą również problemy. Także polityczne



Koh-i-noor to diament będący symbolem rozwoju i upadków imperiów. FOT. AIVA/WIKIMEDIA COMMONS CC BY 2.0

Są wieczne – to wie nawet ten, kto niespecjalnie gustuje w bondowskich opowieściach. Są krwawe – bo za pieniądze z ich sprzedaży można prowadzić wojny. Są kosztowne – różowy diament Pink Star, bardzo duży, bo prawie 60-karatowy, parę lat temu osiągnął na aukcji niewyobrażalną cenę 71,2 mln dol. Są przedmiotem pożądania – nie tylko w gronie miliarderów, których stać na cacko za miliony, lecz także zwykłych ludzi, którzy na pierścionelek ze skromnym brylanciakiem niskiej klasy z ochotą wydają kilkakrotnie złotych, bo co diament, to diament, zwłaszcza na zaręczyny.

Jest jednak parę takich, które nie mają ceny. Najśłynniejszy ze słynnych: Koh-i-noor, czyli „góra światła”. Po persku, choć to kamień indyjski, co już zdradza, jak burzliwe były jego losy. Koh-i-noor na co dzień spoczywa w brytyjskim skarbcu koronnym w Tower of London. Władze Indii, a z nimi miliony Hindusów, pragną, by kiedyś wrócił do Delhi. Brytyjczycy to wykluczają, niemniej jednak, by nie zaszkodzić trwającym rozmowom w sprawie brytyjsko-indyjskiej umowy o wolnym handlu, starają się nie kłuć Hindusów w oczy widokiem diamentu. Dlatego podczas koronacji Karola III na głowę królowej Kamili włożono koronę bez Koh-i-noora.

Nie tylko w ten sposób diamenty splatają się z polityką. Wojna ukraińska gruntownie zmieniła rynek wydobywania i obrotu diamentami. Największym ich producentem jest Rosja, dlatego na porządku dziennym stanęła kwestia objęcia sankcjami diamentów, które są jej trzecim, po ropie naftowej i gazie ziemnym, źródłem dochodów. Nie jest to jednak sprawa prosta, zwłaszcza w Unii Europejskiej, bo sankcjom sprzeciwia się Belgia, światowe centrum handlu diamentami i ich obróbki. Sprawa powinna się rozstrzygnąć na grudniowym unijnym szczycie. Czy tak się jednak stanie, trudno przewidzieć.

W GŁOWIE PAWIA

„Koh-i-noor to nie jest zwykły diament. Stanowi symbol rozkwitu, apogeum i upadku potężnych imperiów. Nigdy nie został ani sprzedany, ani kupiony. To klejnot zwycięzców. Zwycięzców z Indii, Persji, Afganistanu i, od



połowy XIX w., Wielkiej Brytanii” – tak na portalu The Conversation pisał Arun Kumar, profesor historii imperium i kolonii z uniwersytetu w Nottingham.

Wielka Brytania jest też w posiadaniu paru innych wyjątkowych diamentów. Cullinan I, nazywany również Wielką Gwiazdą Afryki, budzi jednak o wiele mniejsze zainteresowanie, mimo swej wielkości, czystości – a w diamentach czystość liczy się nawet bardziej niż wielkość – i wyjątkowego miejsca: na szczycie królewskiego berła. Może dlatego, że jest stosunkowo młody, bo pojawił się na scenie dopiero w 1905 r., że nie wiąże się z nim żadne legendy, żadne sekrety, że wszystko o nim wiadomo? Cullinan I, o wadze 530 karatów, czyli ponad 100 gramów, do niedawna był największym diamentem świata. Jego mniejszy brat, 94-karatowy Cullinan II, czyli Mała (bądź Druga) Gwiazda Afryki, jest osadzony w królewskiej koronie.

Koh-i-noor natomiast to diament tajemnic. Nie wiadomo nawet, skąd pochodzi. Przypuszczalnie wydobyto go w kopalni Golkonda w środkowych Indiach, niedaleko Hajdarabadu, zapewne w XIII w., bo w 1304 r. już został opisany w kronikach. Od początku XVI w. był w rękach dynastii Wielkich Mogolów. W 1628 r. został osadzony w ich przebogatym Pawim Tronie, w najbardziej zaszczytnym miejscu: w głowie pawia. Przetrwał tam sto lat, bo w 1739 r., gdy Delhi zostało zdobyte przez Persów, jako łup wojenny trafił do skarbcza Nadira Szacha; ślad tego pozostał w jego perskiej nazwie.

Później Koh-i-noor wielokrotnie przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie, poprzez Afganistan, wrócił do Indii, tym razem do królestwa Sikhów w Pendżabie, gdzie został wprawiony w bransoletę maharadży Ranjita Singha. Przedstawiciele angielskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej nie mogli go nie dostrzec, po śmierci maharadży nakłonili więc jego syna Dupleepa, zaledwie 10-latkę, by w traktacie kończącym wojnę Sikhów z Anglikami znalazł się passus o ofiarowaniu diamentu królowej Wiktorii. I w 1849 r. Koh-i-noor dotarł do Londynu.

Powszechnie się uważa, że to diament brytyjskich królów. Tak nie jest. Nawet jeśli przed wiekami Koh-i-noor był kamieniem szachów i maharadzów, w Europie stał się klejnotem królowych. Nie przypadkiem. Ciąży na nim złowrogie widmo



Indyjski diament zdobi dziś koronę królewską w Wielkiej Brytanii
FOT. DOMENA PUBLICZNA

klątwy, która dotyka tylko mężczyzn. Tego, który go nosi, ma spotkać nieszczęście. Czy brytyjscy monarchowie w to uwierzyli, nie wiadomo, faktem jest jednak, że Koh-i-noor przejęły kobiety. Królowa Wiktororia nosiła go jako broszkę. Później diament wprawiono w koronę, którą koronowano trzy kolejne królowe: Aleksandrę, żonę Edwarda VII, Marię, żonę Jerzego V, i Elżbietę, żonę Jerzego VI i matkę Elżbiety II.

JAK ZOSTAĆ BRYLANTEM

W roku 1477 austriacki arcyksiążę Maksymilian, szykując się do ślubu z Marią Burgundzką, u jubilerów z Antwerpii zamówił dla narzeczonej diamentowy pierścionek. Ten gest dał początek tradycji pierścionków zaręczynowych z diamentem. Tak przynajmniej twierdzą autorzy rozmaitych portali i blogów redagowanych w Antwerpii, która – co do tego nie ma wątpliwości – jest światową stolicą diamentów. I jest nią od bardzo dawna. Do antwepskiego portu już w XV w. zwożono z zamorskich krain surowe diamenty, które miejscowi rzemieślnicy poddawali obróbce – cięciu i szlifowaniu. Dziś w Antwerpii działa aż 1,5 tys. warsztatów jubilerskich i cztery giełdy, przez które przechodzi 80 proc. światowego obrotu diamentami. Nieodległy Amsterdam również ma na tym polu bogate tradycje,

z tą jednak różnicą, że w Amsterdamie diamenty się szlifuje i tworzy z nich biżuterię, handel surowcem natomiast pozostaje domeną Antwerpii.

Właśnie w Amsterdamie działa Coster Diamonds, najstarsza z istniejących dzisiaj szlifierni i zarazem najśłynniejsza. Coster ma bowiem na koncie trzy dokonania nie do przebiccia. Pierwsze to oszlifowanie Koh-i-noora na nowo. Stary indyjski szlif nie był efektowny i diament, gdy go pokazano londyńskiej publiczności, wcale nie wzbudził zainteresowania. W tej sytuacji książe Albert, małżonek Wiktorii, uznał, że kamień należy przeszlifować, i to zadanie zlecił Costerowi, którego dwaj pracownicy zostali specjalnie w tym celu zaproszeni do Londynu. Efekt ich ośmiomiesięcznej pracy: diament znacznie się zmniejszył, bo ze 186 do 105 karatów, ale nabrał urody i blasku. Pierwotnie zresztą, jeżeli wierzyć starym relacjom, mógł mieć aż 800 karatów. Karat, przypomnijmy, to miara jubilerska – 0,2 grama.

Drugie dokonanie Costera wymaga pewnego objaśnienia. Wielu ludzi nazywa diamenty brylantami. To błąd, bo brylant to nie kamień, lecz szlif, skomplikowany i wymagający, którym można szlifować również inne kamienie szlachetne. Najchętniej jednak jest



stosowany w obróbce diamentów, bo daje wspaniały efekt w postaci owych błysków załamującego się światła, dla których diamenty są tak cenione.

Szlif brylantowy podlega jednak ścisłym rygorom. Kamień musi mieć 58 tzw. faset, czyli oszlifowanych płaszczyzn (57 jeżeli spód jest płaski), i nie ma znaczenia, jakiej jest wielkości. Nawet mikroskopijne okrucy diamentów muszą być szlifowane w ten sposób, jeżeli mają stać się brylantami. I oto w pracowni Costera w latach 90. powstał najmniejszy brylant świata. W każdym wymiarze jest mniejszy niż milimetr – średnica 0,16 mm, wysokość 0,11 mm – i nic dziwnego, że praca, trudna wprost do wyobrażenia, trwała aż trzy lata. Minibrylant został umieszczony w muzeum przy szlifierni Costera jako widomy dowód kunsztu jego pracowników.

105 DIAMENTÓW Z JEDNEGO

Trzecie wreszcie dokonanie to stworzona w 2007 r. przez dwóch pracowników Costera nowa, „królewska”, jak ją nazwano, odmiana szlifu brylantowego. To aż 201 faset. Straty są duże, bo odpada więcej niż połowa kamienia, efekt jednak jest oszałamiający. Coster ma patent na produkcję brylantów Royal 201, skrajnie trudną, bo – jak podkreśla firma na swej stronie internetowej – „najmniejszy błąd przekreśla całą pracę, a drugiej szansy nie ma”. Uważa jednak, że warto, bo powstają „prawdziwe brylanty 2.0”.

Straty przy szlifowaniu są równie oczywiste jak to, że cięcie surowych diamentów to wstęp do powstania prawdziwych cudów. Najdoskonalszym tego przykładem jest wspomniany Cullinan. Powstał z największego surowego diamentu, jaki kiedykolwiek wydobyto. Cullinan – nazwa od nazwiska Thomasa Cullinana, właściciela kopalni Premier Mine w południowej Afryce, gdzie został znaleziony – miał wagę 3106 karatów, czyli 620 gramów i, jak mawiano, kształt ludzkiego serca. Z tej wielkiej bryły wykrojono aż 105 diamentów: dziewięć dużych (w tym trzy bardzo duże), ponumerowanych według wielkości, i 96 małych. Razem ważyły nieco ponad 1055 karatów, zaledwie jedną trzecią wagi pierwotnej, co doskonale ilustruje wielkość utraty masy.

Cullinan I, tak jak Koh-i-noor, był prezentem dla brytyjskiego monarchy. Władze

Transwalu, brytyjskiej kolonii w południowej Afryce, uczciły w ten sposób 66. urodziny króla Edwarda VII, syna Wiktorii. Rolę największego diamentu świata Cullinan pełnił przez prawie 90 lat. Został zdezonizowany przez 545-karatowy Golden Jubilee Diamond, mylnie kojarzony ze złotym jubileuszem Elżbiety II. Jubilattem był Bhumibol, król Tajlandii od 1946 r. Diament, kupiony przez władze Tajlandii od firmy De Beers, potentata w wydobyciu i handlu diamentami, został umieszczony w Złotej Świątyni w Bangkoku.

KRĘTA DROGA NA RYNEK

Diamenty, poza tym, że ich piękno i blask budzą podziw, a we właścicielach także dumę z posiadania, niosą ze sobą również problemy. Nie tylko konwencjonalne, typu: jak ukraść partię diamentów i je bezpiecznie upłynnić. Również polityczne. Chodzi o plany nałożenia sankcji na diamenty sprzedawane przez Rosję, a także o zgrzyty dyplomatyczne, które wiążą się z roszczeniami tych krajów, gdzie niegdyś sławne diamenty wydobyto, wobec państw, do których dziś one należą.

Specjaliści są zgodni, że wojna ukraińska już pogorszyła sytuację na rynku diamentów, a może być tylko gorzej. Sankcje jak dotąd są ograniczone, bo wprowadziły je jedynie Stany Zjednoczone, Kanada i Wielka Brytania, nakładając restrykcje na firmy kupujące surowe diamenty od Alrosy, rosyjskiego monopolisty zarządzającego kopalniami na Syberii. Co jednak będzie, gdy do tej trójki dołączą inne państwa grupy G7 – mają to zrobić od stycznia 2024 r. – a może także Unia Europejska? Do tego grona trafia aż 70 proc. światowej produkcji diamentów – i chodzi tu zarówno o wyroby jubilerskie, jak i diamenty używane do celów przemysłowych, stanowiące ok. 40 proc. wydobycia.

Perspektywa ograniczenia dostaw z Rosji już teraz powoduje wzrost cen i pospieszne szukanie nowych źródeł surowca, nie tylko o to jednak chodzi. Na wprowadzeniu sankcji ucierpiałyby szczególnie dwa państwa – poza Rosją, która ma ucierpieć, co skądinąd nie jest wcale pewne. Po pierwsze, Belgia, z giełdami i ze wspomnianym sektorem obróbki diamentów. Po drugie, Indie – bo aż 90 proc. wydobywanych diamentów trafia do małych warsztatów w tym kraju. Miasto Surat w stanie Gudżarat żyje z cięcia surowych

diamentów i szlifowania niewielkich sztuk, zbyt małych, by opłacało się wysłać je do szlifierni Antwerpii i Amsterdamu, gdzie koszty pracy są wysokie. W branży diamentowej w Indiach pracuje pół miliona ludzi, a Surat nie bez racji rości sobie prawo do miana drugiej, po Antwerpii, diamentowej stolicy świata.

Właśnie dlatego, że gros diamentów przechodzi przez Indie, egzekwowanie sankcji byłoby trudne. Jak ustalić, skąd kamienie naprawdę są? Gdy diamenty opuszczają Indie, nie są już kamieniami z Rosji, Konga czy Botswany (która, choć druga pod względem wielkości, jest pierwsza w kategorii wartości wydobycia, bo diamenty z Botswany uchodzą za najpiękniejsze). Stają się diamentami z Indii.

„Handel diamentami nigdy nie był transparentny – tłumaczył w rozmowie z BBC Filip Reyniers, dyrektor IPIS, instytutu badawczego z Antwerpii. – Diamenty wyruszają w drogę bez certyfikatu pochodzenia, a w dodatku w jednym pakiecie wymieszane są kamienie z różnych miejsc. Między kopalnią i rynkiem diamenty przechodzą przez ręce 20–30 pośredników. Jeżeli sankcje mają być skuteczne, to trzeba wiedzieć na pewno, skąd diamenty pochodzą”.

Szwajcarska firma Spacecode opracowała urządzenie, które – jak twierdzi – pozwoli to ustalić. Aparatura analizuje „DNA diamentu” – jego skład chemiczny i właściwości optyczne, bo kamienie wydobywane w określonym miejscu te cechy mają wspólne. Urządzenie znajdzie się jednak na rynku być może dopiero pod koniec przyszłego roku.

Na takim tle mało istotne wydają się problemy z postulowaną restytucją diamentów, tym bardziej że nie ma na to większych szans. Dawne państwa nie istnieją i nie bardzo wiadomo, kto mógłby wystąpić w roli ich spadkobierców. Indie, Pakistan, Iran? Może Afganistan? W muzeum w Bombaju znajduje się kopia Koh-i-noora, a władze Indii nie kryją, że chętnie widziałyby tam oryginał, o zwrot diamentu jednak równie dobrze mógłby wystąpić Pakistan, bo Pendżab podzielono. Sześć tysięcy podpisów, zebranych w RPA pod petycją o oddanie Cullinana, to tyle co nic. A że diamenty ofiarowano angielskim królom w prezencie, o grabieży nie ma mowy i Brytyjczycy mogą spać spokojnie.



Jacek Przybylski

Spór o przyszłość kryptowalut trwa od lat. Jedni zbijają na nich fortuny. Wielu traci jednak oszczędności życia. Ogromna zmienność sprawia, że z pewnością nie jest to inwestycja dla ludzi o słabych nerwach

Na początku grudnia ogólnopolskie media ekscytowały się tym, że poseł Sławomir Mentzen w oświadczeniu majątkowym wpisał nie tylko dwa domy czy 15 tys. euro, lecz także 33,7 bitcoina o szacunkowej wartości 4,9 mln zł (słownie: czterech milionów dziewięciuset tysięcy złotych). Polityk Konfederacji przekonuje publicznie, że w ciągu 10 lat zarobił krocie na kryptowalutach tylko dlatego, że nie słuchał ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego. Trzeba jednak pamiętać, że oprócz osób, które na rynkach krypto zbiły ogromne majątki, są również tacy, którzy mimo wielkiej wiary w zysk odnotowali gigantyczne straty.

Sławomir Mentzen nie jest jednak pierwszym polskim politykiem, który w oświadczeniu majątkowym ujawnił oszczędności w kryptowalutach. Wcześniej wpisali je do oświadczeń choćby Krzysztof Bosak oraz Konrad Berkowicz.

Bitcoin, nazywany cyfrowym złotem, jest najstarszą i najpopularniejszą kryptowalutą na świecie. W globalnym obrocie są setki rodzajów „walut wirtualnych”. W oświadczeniach majątkowych polskich posłów pojawiają się zaś te o największej kapitalizacji, a więc poza bitcoinem np. ethereum.

FED PODBIJA CENĘ

Dawniej, aby wejść w posiadanie bitcoina, trzeba go było „wykopać”, co wymaga nie tylko czasu, lecz także dużych inwestycji w odpowiedni sprzęt oraz opłacenia ogromnych rachunków za prąd. Koszty energii są ogromne, co może wyjaśniać, co kierowało przestępcami wykorzystującymi do kopania prąd w instytucjach publicznych takich jak Ko-

menda Główna Policji czy Naczelny Sąd Administracyjny (w obu przypadkach sprawą zajęły się organy ścigania).

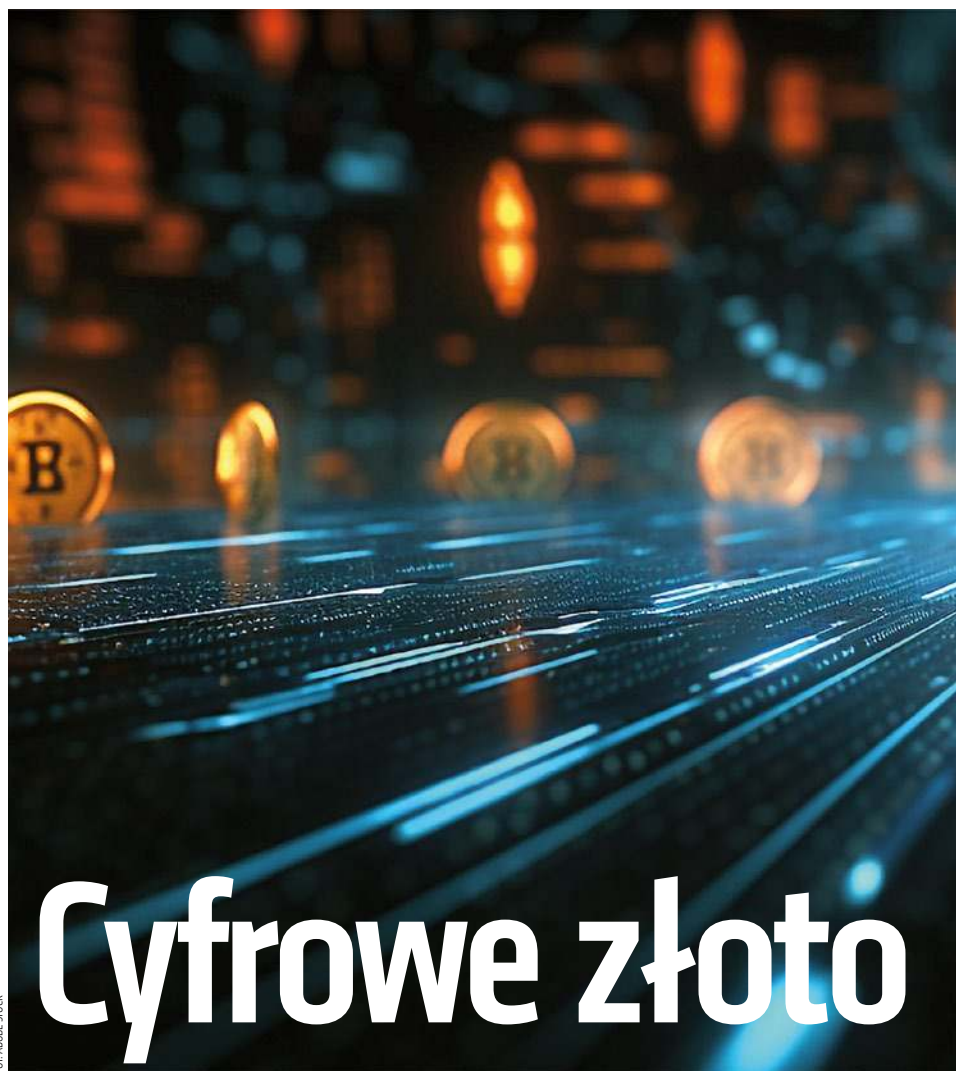
Znacznie popularniejszą, szybszą i wygodniejszą metodą jest po prostu zakup bitcoina. Można to zrobić na cyfrowych giełdach, specjalistycznych kantorach kryptowalutowych etc. Obrót jest więc możliwy całą dobę i siedem dni w tygodniu. W Polsce obrót walutami cyfrowymi nie jest zabroniony, ale każdy, kto wejdzie w posiadanie bitcoinów etc., ma obowiązek wykazać ich nabycie i sprzedaż w zeznaniu rocznym PIT-38. Trzeba być też ostrożnym podczas handlu. W 2014 r., gdy zbankrutowała giełda Mt.Gox, jej klienci stracili niemal pół miliarda dolarów. Aby strzec swoich cyfrowych walut przed kradzieżą, warto również zainwestować w specjalny portfel do trzymania ich na

dysku on-line, off-line lub w najbezpieczniejszą formę przechowywania, czyli w portfel sprzętowy.

Wizja gigantycznych zysków sprawia, że chętnych na zakupy kryptowalut nie brakuje. Na rynku aktywni są wszelkiego rodzaju spekulanci i daytraderzy, skuszeni ogromną dynamiką zmian kursów.

W ostatnich miesiącach bitcoin zachowuje się podobnie jak złoto. Drożeje więc na wieść o możliwości łagodzenia polityki pieniężnej. Widać to było np. 13 grudnia 2023 r., gdy zgodnie z przewidywaniami amerykańska Rezerwa Federalna (Fed) nie zmieniła stóp procentowych, ale zasugerowała jednocześnie, że w 2024 r. może dojść do mocniejszego cięcia stóp procentowych, niż przewidywał to rynek. To błyskawicznie osłabiło dolara i dało paliwo do

FOU ADRIAN STOK



Cyfrowe złoto



na rollercoasterze

nowych wzrostów złota, a także bitcoina i innych kryptowalut.

Bitcoin od początku 2023 r. zyskał już ponad 150 proc. Na początku grudnia przekroczył ponownie psychologiczną barierę 40 tys. dol., a więc znalazł się najwyższej od kwietnia 2022 r. Wciąż jest jednak istotnie tańszy niż pod koniec roku 2021, gdy jego wycena sięgała niemal 69 tys. dol. Z kolei w pierwszej połowie 2021 r. w ciągu zaledwie miesiąca wartość bitcoina stopniała o ponad połowę.

Potężne wzrosty z ostatnich tygodni mogą sugerować, że na rynku kryptowalut byki zaczynają przeganiać niedźwiedzie i bessą trwająca w roku 2022 i na początku roku 2023 definitywnie została zakończona. To nie pierwszy szalony rajd kryptowalut. Pod koniec 2020 r. wartość

bitcoina w ciągu zaledwie kilku miesięcy się potroiła.

Przed wymianą oszczędności życia na kryptowaluty trzeba jednak pamiętać, że kurs bitcoina i innych kryptowalut przypomina często jazdę na rollercoasterze i że niedawno kurs zanurkował przecież z prawie 70 tys. dol. do 16 tys. dol. Zresztą nie trzeba sięgać pamięcią aż tak daleko. 11 grudnia 2023 r. bitcoin w ciągu zaledwie 20 minut wykasował zyski z całego tygodnia, gdy jego wartość zmalała nagle z 43,4 tys. dol. do 40,66 tys. dol. Gdy zamysłiliśmy świąteczne wydanie 14 grudnia, jego wartość wynosiła 42,8 tys. dol., a wielu analityków przepowiadało kryptowalutom świetlaną przyszłość i wejście w prawdziwą „erę bitcoina”, czyli „złota XXI w.”.

Jednocześnie wielu doświadczonych inwestorów – w tym słynny Warren Buffett

– przestrzega więc przed inwestycjami w wirtualne waluty. Wyrocznia z Omaha uważa, że bitcoin to jedynie „hazardowy żeton, który sam w sobie nie przedstawia żadnej wartości” i porównuje kryptowaluty do „trutki na szczury do kwadratu”. Miliarder wychodzi bowiem z założenia, że bitcoin nie ma żadnej wewnętrznej wartości – w razie pęknięcia spekulacyjnej bańki może być więc wart mniej niż niegdyś cebulki tulipanów. W Polsce już wielokrotnie przed inwestycjami w kryptowaluty przestrzegał m.in. Cezary Graf, stwierdzając, że nie można wykluczyć nawet radykalnej „korekty” na rynku wirtualnych walut, której rozmiar jego zdaniem mógłby wynieść nawet 90 proc. W serwisie X (dawnym Twitterze) zwrócił też uwagę na proceder tworzenia kolejnych miliardów tetherów przez Don Paolo i jego zespół. „Pojawiła



■ się potrzeba, więc Don Paolo z kolegami stworzyli kolejny 1 000 000 000 tethera. Jak zabraknie, to stworzą kolejne miliardy. Na końcu będziecie bogaci” – napisał Cezary Graf.

Przed kryptowalutami ostrzegają również unijne instytucje nadzoru finansowego, podkreślając, że klienci decydujący się na tego typu inwestycje – często pod wpływem wprowadzających ich w błąd reklam – ryzykują utratę wszystkich pieniędzy zainwestowanych w kryptoaktywa. „Konsumenci powinni być wyjątkowo uważni przy obietnicach szybkich lub wysokich zwrotów, szczególnie wyglądających na zbyt dobre, by były prawdziwe” – ostrzegają unijni urzędnicy, zwracając uwagę na to, że jeśli dojdzie do oszustwa lub np. bankructwa kryptowalutowej giełdy, to szanse na odzyskanie jakichkolwiek pieniędzy są wyjątkowo niewielkie.

także mają do spłacenia kredyt zaciągnięty przez oszustów w ich imieniu.

Ostatnie wzrosty wartości kryptowalut mogą jednak sugerować, że chciwość znów góruje nad strachem i inwestorzy żądni wielkich zysków coraz chętniej decydują się na powrót na rynek wirtualnych walut. Wielu ma też nadzieję, że jeśli załapią się teraz, to zdążą kupić bitcoiny, zanim na rynku pojawią się bitcoinowe ETF-y oferowane przez najważniejsze instytucje finansowe, jak choćby BlackRock.

BITCOIN CITY

Poszczególne kraje różnie podchodzą do wirtualnych walut i inwestorów handlujących na rynku krypto. Jedynym krajem, który oficjalnie już w 2021 r. uznał bitcoina za legalny i oficjalny środek płatniczy, czyniąc z niego narodową walutę (obok dolara amerykańskiego), jest Salwador. Politycy

Salwador uruchomił już także specyficzną odmianę programu złotych wiz. Program „Freedom VISA” skierowany jest do osób gotowych zainwestować fortunę w kryptowaluty. Tysiąc osób rocznie będzie mogło otrzymać zgodę na stałe zamieszkanie na terenie Salwadoru, jeśli zainwestują równowartość co najmniej miliona dolarów w bitcoina. Dzięki kryptowalutom władze chcą nie tylko zmniejszyć zależność od polityki fiskalnej Stanów Zjednoczonych, lecz także skutecznie walczyć z inflacją. Bitcoinów w stolicy tego kraju można więc dość powszechnie używać do płacenia nie tylko podczas inwestowania w mieszkania czy domy, lecz także za drobne zakupy w sklepach czy barach. W kraju działa też wiele bitcoinowych bankomatów.

W ślady Salwadoru idą kolejne kraje. W kwietniu ubiegłego roku za legalny środek płatniczy bitcoina uznała ustawowo Republika Środkowej Afryki. Władze jednego z najbiedniejszych państw świata przekonują, że dzięki temu ich ojczyzna stała się „jednym z najważniejszych i najbardziej wizjonerskich krajów na świecie” i wreszcie, zamiast gonić inne kraje, jest „jeden krok przed wszystkimi”.

MILIONY NA WYSYPISKU

Jeśli z zalem myślą państwo: „Trzeba było kupić tego bitcoina dekadę temu”, to można się pocieszyć myślą, że wiele osób kupowało lub kopało bitcoina, gdy jego wartość nie była jeszcze zbyt wielka, a następnie zapominała w ogóle, że ma go na dysku, lub omyłkowo wyrzucała stary komputer przed zabezpieczeniem wirtualnej waluty. Jednym z najbardziej znanych nieszczęśliwów tego typu jest James Howells, walijski przedsiębiorca, który wyrzucił dysk, na którym znajdowało się aż... 8 tys. bitcoinów. Mężczyzna chce zainwestować w dokładne przeszkanie tysięcy ton odpadów na okolicznym wysypisku z wykorzystaniem specjalistycznego sprzętu i sztucznej inteligencji. Urzędnicy zabraniają mu jednak realizacji pomysłu, twierdząc, że byłoby to nieekologiczne. Zrozpaczony przedsiębiorca przygotował więc pozew przeciw władzom broniącym dostępu do wysypiska, w którym domaga się 446 mln funtów odszkodowania, czyli na kwotę, którą obecnie wartę są zagubione przez niego bitcoiny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISKIEGO

Przed kryptowalutami ostrzegają instytucje nadzoru finansowego, podkreślając, że klienci ryzykują utratę wszystkich pieniędzy zainwestowanych w kryptoaktywa

Na ryzyko inwestycji w kryptowaluty wpływają nie tylko potężne wahania ich wartości. W ubiegłym roku klienci giełdy FTX stracili łącznie miliardy dolarów, gdy się okazało, że trzecia co do wielkości giełda kryptowalut na świecie praktycznie z dnia na dzień ogłosiła upadłość. Stojący na jej czele miliarder Sam Bankman-Fried – nazywany niegdyś „królem kryptowalut” – został w tym roku uznany za winnego wszystkich siedmiu postawionych mu zarzutów związanych z działalnością i upadkiem trzeciej co do wielkości giełdy kryptowalut. Ogłoszenie wyroku wyznaczono na 28 marca 2024 r. Za postawione zarzuty Bankmanowi-Friedowi grozi do 110 lat więzienia.

Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego 94 proc. Polaków słyszało o kryptowalutach, a aż co piąty Polak padł ofiarą oszustwa. Przed oszustwem metodą „na kryptowaluty” ostrzega również polska policja. W niektórych przypadkach nieświadomi zagrożeń inwestorzy nie tylko tracą dziesiątki, a czasem nawet setki tysięcy złotych oszczędności, lecz

tego niewielkiego kraju położonego w Ameryce Południowej przekonują, że dzięki temu stał się on popularny wśród posiadaczy różnych kryptowalut, co przyczyniło się do zwiększenia przychodów z „bitcoinowej turystyki”. W pierwszej połowie ubiegłego roku ruch turystyczny wzrósł o ponad 80 proc., a kraj odwiedziło 1,1 mln turystów. Władze tego niewielkiego kraju chcą obecnie zainwestować w Bitcoin City. Wybudowane od zera miasto – zaplanowane tak, aby z lotu ptaka układało się w symbol bitcoina – ma mieć własne lotnisko, centra handlowe i finansowe, a także wielkie centrum dla górników kryptowalut. Inwestorów przyciągać ma m.in. brak jakichkolwiek podatków poza VAT, a także zasilanie koparek kryptowalut za pomocą prądu powstałego przy wykorzystaniu energii z wulkanu Conchagua. Aby sfinansować śmiałe marzenia, Salwador uruchomił emisję obligacji Volcano Bitcoin, za pomocą których planuje zebrać miliard dolarów na budowę Bitcoin City.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd niezwykle niezwykły

Ostatnimi czasy nie było chyba bardziej niezwykłego rządu od „rządu tymczasowego” Morawieckiego, czyli od jego ostatniego rządu – tego, o którym wszyscy, włącznie z jego ministrem pierwszym i pozostałymi, od początku wiedzieli, że jest rządem bardzo mocno tymczasowym, bo ledwie dwutygodniowym.

Ów „rząd tymczasowy” co i rusz dawał dowody swej niezwyklej niezwykłości i niepowtarzalnej niepowtarzalności. Już od chwili powstania, a właściwie jeszcze wcześniej – w fazie rodzenia się – wobec wszystkich, nawet tych, którzy nie mieli najmniejszej ochoty, aby mieć z nim cokolwiek wspólnego, deklarował tak daleko idącą gotowość do współpracy, że musiało to wywoływać u zarzucanych ofertami współpracy polityków poczucie niemałego dyskomfortu. Jeśli bowiem ktoś tak bardzo narzuca się z chęcią współrządzenia – czy to w roli szefa rządu, czy zwykłego ministra, co też przecież „tymczasowy premier” deklarował – to tak po ludzku strasznie głupio raz za razem odsyłać go z kwitkiem.

Owa niezwykłość „rządu tymczasowego” tym bardziej rzucała się w oczy, gdy sobie przypomnieć, jak funkcjonowały dwa poprzednie rządy Morawieckiego, jeśli idzie o skłonność do koncyliacji ich oraz ich szefa, czyli gotowość do współdziałania z innymi partiami – nawet tymi z obozu Zjednoczonej Prawicy.

Wszelako „rząd tymczasowy” i jego szef okazali się jeszcze bardziej zaskakująco niezwykli, gdy miało się okazję przyglądać ich nieznanej uprzednio, wprost nieskończonej gotowości do rewidowania własnego programu. W ciągu niezapomnianych dni z „rządem tymczasowym” byliśmy świadkami tak wielu dowodów, że dla uzyskania wotum zaufania Sejmu gotowy jest on uczynić naprawdę niemało (choć nie wiadomo, czy wszystko), że robiło to piorunujące wrażenie. W każdym razie „rząd tymczasowy” aż się rwał, by ruszyć na wojnę z poprzednim rządem Morawieckiego, do końca i do upadłego gnębiącym polskich przedsiębiorców – i przychylić im nieba, na wstępie oferując wakacje od ZUS, i to od jednego miesiąca do aż trzech, choć nie wiadomo, czy co roku.

A wakacji kredytowych, a „bezpiecznych kredytów 2 proc.”, a podwyżek z „800+” do być może aż „10 000+”, a emerytur stażowych i wdowich, a urlopów rodzinnych, a zerowego VAT i innych cymśów ten „rząd św. Mikołajów za nie swoje pieniądze” jak zawsze miał pełen worek. Natomiast rachunków za nie – też jak zawsze – nikomu nie pokazał, tylko wyrzucił, żeby nie drażnić płatników podatników.

Wszelako gdy na koniec „tymczasowy premier” gorąco – z całego serca – zaapelował o zaprzestanie wojny polsko-polskiej, to już ludziom z wrażenia po prostu odjęło mowę. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Agent niemiecki kontra agent ukraiński

Jest pan niemieckim agentem!” – wykrzyczał Jarosław Kaczyński do Donalda Tuska po wybraniu go przez Sejm na kandydata na premiera. Warto odnotować tu pewną zmianę: nowy premier został agentem niemieckim, a mógł niemieckim i rosyjskim jednocześnie, bo przecież prezes PiS mógłby się tutaj odwołać do raportu komisji do spraw rosyjskich wpływów (o którym piszę szerzej

raz podkreślić, jak bardzo ważne było, żeby odsunąć ich od władzy, to Jarosław Kaczyński zrobił to dzisiaj”. W tym starciu wygrał nowy premier.

W tym wszystkim był jednak jeszcze jeden smaczek, przez nikogo niedostrzeżony. Otóż o panu premierze można z pewnością powiedzieć, że w swojej polityce uwzględniał bardzo często niemiecki interes i jest wysoce prawdopodobne, że będzie to robił nadal. Zdaniem prezesa PiS oznacza to, że można Donalda Tuska nazywać „niemieckim agentem”.

Tymczasem tego samego dnia, gdy w Sejmie miały miejsce te wydarzenia, w Dorohusku na polsko-ukraińskiej granicy wójt rozwiązał protest polskich przewoźników. Wójt Sawa jest człowiekiem kojarzonym z PO, więc możliwe, że jego decyzja była spowodowana naciskami z kręgów już nowej władzy, która zresztą mogła jedynie przekazywać nacisk Brukseli i Berlina. Nie zmienia to faktu, że protest na granicy jest konsekwencją skrajnie proukraińskiej polityki ustępującej władzy, która interes Kijowa stawiała wielokrotnie wyżej niż nasz własny. Czy w związku z tym, zgodnie z logiką Jarosława Kaczyńskiego, jego samego i byłego premiera Mateusza Morawieckiego można by nazwać „agentami ukraińskimi”? ©

Protest na granicy jest konsekwencją skrajnie proukraińskiej polityki ustępującej władzy

w tym numerze naszego tygodnika).

Niektórzy natychmiast stwierdzili, że to świadoma gra Jarosława Kaczyńskiego na polaryzację. Jeszcze kilka lat temu także w ten sposób zinterpretowałbym takie zachowanie. Ale już nie teraz. Teraz odczytuję to raczej jako wyraz beznadziejnej złości, który oczywiście ma jakiś tam walor polaryzacyjny, ale tylko przy okazji.

Donald Tusk skomentował potem występ Jarosława Kaczyńskiego, mówiąc: „Jeśli ktoś naprawdę chciał jeszcze



Joanna Bojańczyk

Najbogatszych mieszkańców Manhattanu nie dotyczą codzienne uciążliwości życia. Wyręczają ich nianie, gosposie, kucharze i wyprowadzacze psów...

Każdy, kto spędził chociaż parę dni w Nowym Jorku, doświadczył intensywności miasta, które nigdy nie śpi. Życie tu jest głośnie, szybkie i na dłuższą metę męczące. Ludzie nie idą, tylko pędzą ulicami głębokimi jak betonowe kaniony, sygnały karetek przeszywają powietrze w dzień i w nocy... Mało zieleni, ogromny ruch, obskurne lochy metra, wieczne rozbiórki, naprawy, budowy... W lecie piekielny upał i wilgotność powietrza.

To miasto dla młodych, bezdzietnych i zdrowych. Także dla bogatych. Jest niewielka grupa nowojorczyków wyłączona z codziennych uciążliwości. Mieszkają w swoich luksusowych penthousach, gdzie zgiełk nie dociera, nie muszą się zmagać z korkami, tłokiem, marną dostępnością do usług medycznych.

Nie czekają w kolejce do fryzjera i dentysty. Gdy cieknie kran, nie muszą szukać hydraulika, weterynarza, gdy trzeba zaszczepić psa, klubu nocnego, kiedy chcą się rozerwać. Nie dźwigają toreb z zakupami. Karta kredytowa rozwiązuje wszystko.

Dziennikarka „New York Timesa” Eliza Shapiro przeprowadziła dochodzenie w grupie najbogatszych mieszkańców Manhattanu. Sprawdziła, z jakich usług i za ile mogą skorzystać ci, dla których nie istnieją ograniczenia finansowe. To prawda, że bogaci zawsze mogli opłacić wszystko, co ułatwiało życie. „Ale teraz pojawiło się coś nowego – pisze dziennikarka – nie trzeba już być miliarderem, żeby uzyskać dostęp do łatwiejszej, choć limitowanej wersji Nowego Jorku”.

LOKAJ PILNIE POTRZEBNY

Weźmy sprawę pomocy domowej. Któż nie chciałby mieć w domu pary czarodziejskich rąk, które sprzątną, zmyją, uprząsą? W Nowym Jorku popyt na takie

Dynastia

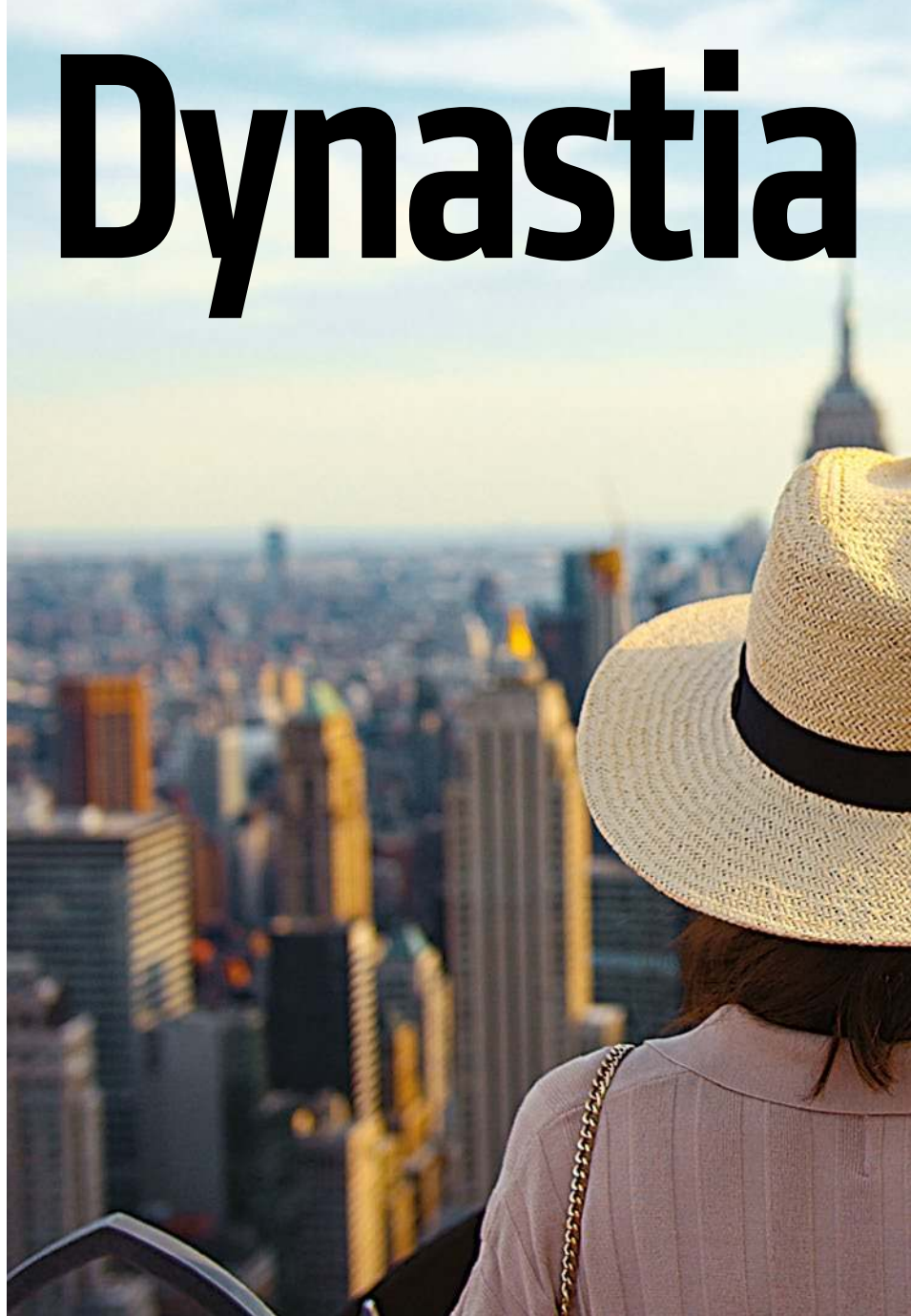
usługi jest coraz większy, a stawka za godzinę wynosi obecnie 45 dol.; o 15 dol. więcej w porównaniu z czasami przed pandemią. Zainteresowani gotowi są oferować gosposiom poza pensją także ubezpieczenie zdrowotne i inne świadczenia. W dużych rodzinach, gdy personelu jest więcej, pojawia się potrzeba menedżerki, osoby zarządzającej personelem; wynagrodzenie kogoś takiego może wynosić nawet 350 tys. dol. rocznie.

„Jesteśmy bardzo zajęci” – powiedziała „New York Timesowi” założycielka agencji British American Household Staffing,

Wybieganie Azorka na całodzienną wycieczkę może kosztować właścicieli nawet 250 dol.

która zajmuje się rekrutacją personelu domowego.

Bez niani trudno się obejść młodym pracującym matkom, a znając mobilność amerykańskiego życia zawodowego,





o babcię na miejscu może być trudno, bo rzadko wykształcone kobiety znajdują pracę w rodzinnym mieście.

Najtrudniej o opiekunkę w pełnym 40-godzinny wymiarze pracy, więc praktyczniejszy okazuje się system dwóch pań przekazujących sobie dziecko, jak w sztafecie. Pracodawca takich osób musi się przygotować na pensję 120 tys. dol. rocznie dla każdej z nich.

WYLICYTUJ STOLIK

Jedzenie na mieście jest w Nowym Jorku powszechne. Małe kuchnie, brak

czasu, pośpiech, a także dostępność i taniość takiego jedzenia. Bary i restauracje są wszędzie, dostawa do domu jest szybka i tania (sama znam nowojorskie domy, w których się nie gotuje, jedyną czynnością jest parzenie porannej kawy).

Jednak zamożni nowojorczycy czasem lubią zjeść kolację, a czasem i lunch we własnym domu. Czysto, zdrowo, przyjemnie, prosto od stołu można z kieliszkiem digestifu w rękę rozłożyć się na kanapie i pograć w telewizji. Najprostsze rozwiązanie: kucharz. Taki, który będzie miał pieczę tylko nad

lunchem i kolacją, będzie znał upodobania kulinarne państwa, może zażądać nawet 150 tys. dol. rocznie. Gdyby bogaci i wymagający państwo nie chcieli trudzić się również przygotowaniem śniadania, mogą zadzwonić do firmy Regalis Foods, która czerwonego kraba z Norwegii dostarczy za jedyne 720 dol.

Ci, którzy nie mają kucharza, a także ci, którzy go mają, lubią coś zjeść w jednym z eleganckich, modnych nowojorskich lokali. Ceny nie są problemem, problemem może być dostępność, gdyż zdobycie stolika nie jest wcale proste. Jest jednak na to sposób. Na stronach internetowych serwisów takich jak Appointment Trader i Cita Marketplace można licytować rezerwację. Stolik wygrywa ten, kto da więcej.

WYBIEGAĆ FAFIKA

Co z prasowaniem? Elegancki mężczyzna potrzebuje co dzień co najmniej jednej idealnie wyprasowanej koszuli. Za tę przysługę doświadczona prasowaczka może wziąć nawet 30 dol.; średnie wynagrodzenie wynosi od 50 do 60 dol. za godzinę (muszę się zastanowić, czy nie powinnam także ustalić cennika za tę usługę, którą z dobrego serca i wierności małżeńskiej wykonuję nieodpłatnie od lat).

Mieć w domu zwierzę to nie tylko przyjemność, lecz także obowiązek i wydatek. Wybieganie Azorka na całodzienną wycieczkę może kosztować właścicieli nawet 250 dol., zwykły spacer po ulicach będzie tańszy: tylko 145. Dla wyprowadzacza to przyjemny chleb, ruch na świeżym powietrzu; nic dziwnego, że widok młodych ludzi na górnym wschodnim Manhattanie ciągnących na smyczach pięć czy sześć Fafików nie należy do rzadkości.

Czy jest coś cenniejszego niż zdrowie? Mieszkając w ciasno zabudowanej metropolii, trzeba o nie szczególnie dbać. A gdy się ma problem, zamiast w popłochu szukać lekarza, lepiej mieć na podorzędu agencję, która zajmie się problemem.

Firma Sollis Health reklamuje się jako pierwsza i jedyna w kraju firma świadcząca pomoc w nagłych przypadkach. Ma dwie lokalizacje na Manhattanie i jedną w modnym kurorcie Hamptons. Członkostwo zaczyna się od 3,5 tys. dol. rocznie ■



FOT. ADOBE STOCK

■ i wzrasta do 6 tys. dol. dla osób powyżej 45. roku życia. Obejmuje wizyty tego samego dnia, badania laboratoryjne na miejscu i całodobową opiekę wirtualną.

NutriDrip oferuje kroplówki witaminowe mające na celu rewitalizację zmęczonych i zestresowanych. Tak zwana kroplówka NutriCleanse kosztuje 355 dol. dla osób niebędących członkami i ma zwalczać „szkodliwe toksyny powstałe w wyniku narażenia w mieście” poprzez połączenie witaminy C, magnezu, wapnia, tauryny i innych pierwiastków.

MNIEJSZY ROZMIAR, WIĘKSZY APARTAMENT

W eleganckim towarzystwie nie wypada być grubym, wyglądać źle i staro. Dla ludzi zamożnych dbanie o sylwetkę jest oczywiste. „Im mniejszy rozmiar, tym większy apartament” – mawia się w towarzystwie. Nowy Jork otwiera liczne możliwości zadbania o siebie. Członkostwo w klubie może kosztować nawet 2750 dol. miesięcznie i obejmuje nieograniczony dostęp do „hiperbarycznej komory tlenowej, limfatycznego kombinezonu uciskowego, zajęć oddechowych w łaźni lodowej, krioterapii” i łóżka z czerwonym światłem.

NutriDrip oferuje kroplówki witaminowe mające na celu rewitalizację zmęczonych i zestresowanych

Poprawić można także zdrowie psychiczne. W klubie Well członkostwo kosztuje od 395 do 495 dol. miesięcznie; obejmuje to ocenę przeprowadzoną przez wewnętrznego lekarza w celu oceny 13 „aspektów dobrego samopoczucia”. Zabiegi obejmują zajęcia uważności i ruchu, saunę na podczerwień i sesje zimnej kąpieli, salon z bezpłatnym bulionem kostnym oraz „naładowaną kryształami kopułę medytacyjną”.

Stare kluby towarzyskie w Nowym Jorku mają opinię dusznych i przestarzałych. Ale w ciągu ostatnich kilku lat otworzyła się nowa generacja klubów prywatnych. Tanio nie jest.

Zero Bond w NoHo pobiera 3850 dol. rocznie plus 1 tys. dol. wpisowego za członkostwo osób w wieku od 28 do 45 lat. Najdroższy hotel w Nowym Jorku – otwarty w 2022 r. Aman – posiada własny klub członkowski. Wpisowe wynosi

200 tys. dol., a składka roczna 15 tys. dol. Magazyn „Town and Country” porównał atmosferę tego klubu do skrzyżowania Bali i Tokio.

W Core Club opłaty członkowskie wahają się od 15 tys. do 100 tys. dol. za bibliotekę win, bar, salon fryzjerski, bar z sokami i siłownię.

Casa Cipriani to otwarty w 2021 r. na powierzchni 1,2 tys. mkw. klub towarzyski w nowoczesnym sensie: dwie restauracje, centrum zdrowia i odnowy biologicznej oraz sala na imprezy nawet dla 800 osób. Jak podaje ulotka, „mahoniowe wnętrza przypominają »elegancki liniowiec« z lat 30. XX w.”.

A co z komunikacją? Nawet okazałe konto w banku nie zapewnia skrzydeł, które pozwoliłyby przefrunąć ponad korkami.

Ale na wszystko są sposoby. Widzieliśmy je w serialu „Sukcesja”: helikoptery i prywatne limuzyny, z szoferem oczywiście.

Za skromną kwotę 2050 dol. Zip Aviation, prywatny serwis helikopterowy, przewozi promami grupy składające się z maksimum sześciu osób na lokalne lotniska dla prywatnych odrzutowców. Zip lata także do Hamptons, oferując najdroższą wycieczkę do najbardziej na wschód wysuniętego punktu East Endu – Montauk – za 5 tys. dol. w jedną stronę plus „opłaty lotniskowe”.

TAJNY ŚWIAT

Na zakończenie kilka uwag czytelników „New York Timesa” spośród 1,5 tys. komentarzy pod artykułem:

„Taka opowieść zawsze sprawia, że myślę o gilotynie”;

„Życie codzienne staje się coraz bardziej niedostępne dla większości nowojorczyków. Skoro nikt poza ultrabogatymi nie może tu mieszkać, to dlaczego jest tu tak tłoczno”;

„Czy pani Shapiro napisała ten artykuł, aby wprowadzić nas, biedaków, w tajny świat ultrabogactwa, czy aby wzbudzić nasz gniew? Być może po to, by zrzucić winę na ultrabogactwa i nakłonić ich do większego zaangażowania filantropijnego?”;

„Niektóre z tych nonsensów pokazują, jak głupi mogą być bogaci. Kroplówki witaminowe? Naprawdę?”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Program interwencyjny Telewizji Republika pt. „Na pomoc” to cykl reportaży i rozmów dotyczących codziennych problemów Polaków. Staniemy po stronie słabszych. Pomożemy rozwiązać piętrzące się problemy. Nagłośnimy ważne sprawy i pozytywne inicjatywy. Zaprasza autorka i prowadząca Ilona Januszevska.



NA POMOC!

niedziela
21:10
w Telewizji Republika

Czekamy na maile od osób, które chcą
podzielić się swoją historią:
napomoc@telewizjarepublika.pl



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

prasa.pl.fcd90607f8



Vittorio G. Rossi, włoski Joseph Conrad, w przedmowie do mojej książki o żaglowcach szkolnych napisał: „Statek żaglowy, tryumfalny wyraz ludzkiego geniuszu na morzu, wcielenie najdoskonalszego piękna, zapewnia większą przygodę niż samolot odrzutowy. I nie ma na świecie piękniejszych komend niż: »Przebrasować grotmbramsel!; zwinąć górny marsell; poluzować fokstensztaksel!«. Architektura składająca się z lin konopnych i płótna bawełnianego jest najpiękniejszą architekturą, jaką można podziwiać w naszej industrialnej epoce”.

Po drugiej wojnie światowej zanosiło się na całkowity zmierzch złotej epoki statków żaglowych, które nie wytrzymały wyścigu ze statkami o napędzie mechanicznym. Niektóre państwa, mimo wysokich kosztów utrzymania, postanowiły jednak zachować je na użytek szkoleniowy, ale kiedy w 1957 r. w czasie huraganu na Atlantyku poszedł na dno z 74 kursantami czteromasztowy niemiecki bark „Pamir”, rozpętała się burza na temat sensu przysposobiania w dobie zaawansowanej technologii do fachu marynarskiego na archaicznych jednostkach. Jednak katastrofa, która wstrząsnęła całym światem, nie przeszkodziła wygraniu batalii o przetrwanie. Na początku lat 80. zainteresowanie tematem zwiększyło się, wodowano nowe statki w Japonii, Brazylii, Peru, Indonezji oraz w Polsce. Obecnie w handlowych i wojennych flotach świata służy ponad 30 „tall shipów”, jak nazywają Brytyjczycy wielkie żaglowce szkolne. Na kilku z nich miałem przyjemność żeglować.

JAK ZOSTAĆ WILKIEM MORSKIM

Wykształcenie oficera nie polega wyłącznie na naucz-

Łopocząc na wodzie



Jacek Pałkiewicz

Żaglowce wciąż nie chcą odejść do przeszłości. Może dlatego, że to na nich najbardziej hartuje się marynarski duch?

„Amerigo Vespucci”, włoska fregata zbudowana w 1931 r., ma długość 100,5 m

FOT. ARCHIWUM AUTORA





niu go kierowania statkiem, lecz także, a może przede wszystkim na solidnym przygotowaniu do wykonywania męskiego zawodu w specyficznych warunkach. Tylko w ten sposób nowicjusz może przemienić się w prawdziwego wilka morskiego. Współczesny statek handlowy z nowoczesnym wyposażeniem nawigacyjnym, różnorodnym sprzętem elektronicznym i ze swoimi potężnymi maszynami jest w stanie wyeliminować wiele groźnych dla człowieka czynników. Morze wciąż jednak jest takie samo i siły natury nie poddają się człowiekowi. A trzeba wiedzieć, że na morzu niebezpieczeństw jest mnóstwo: płycizny, prądy, mgły, rafy koralowe albo uszkodzone pompy żęzowe.

Statki toną z powodu trudnych warunków atmosferycznych lub błędu ludzkiego. Płynący w dziewiczym rejsie na Atlantyku rzekomo niezatapialny „Titanic” po zderzeniu z górą lodową w ciągu kilku godzin zatonął, a z nim 1,5 tys. ludzi. W 1956 r. liniowce „Andrea Doria” i „Sztokholm”, pomimo najbardziej wyrafinowanego sprzętu nautycznego, uległy kolizjom we mgle. To była katastrofa, która nie miała prawa się zdarzyć. Niestety, wskutek niepoprawnego odczytu radaru i błędnych decyzji statki się zderzyły i jeden z nich zatonął. Dno oceanu jest wyjątkowym cmentarzyskiem.

Na żaglowcach czas zatrzymał się w miejscu. Tak jak przed wiekami wymagany jest tam ten sam wysiłek, ta sama walka z siłami przyrody i z własnymi słabościami. Dzień wypełniony jest konserwacją kadłuba, naprawą żagli i olinowania, skrobaniem rdzy z łańcucha kotwicznego, w międzyczasie okrętowy dzwon swoim metalicznym uderzeniem wywołuje na kolejną cztero-



Złot żaglowców w Amsterdamie

FOT. ARCHIWUM AUTORA

dzinną wachtę. Ponadto co rusz należy zajmować się manewrowaniem statkiem. Każdorazowa zasadnicza zmiana kursu to ogrom pracy przy żaglach, kilometrach szotów, fałów, hałsów i brasów. Obracanie ciężkich rej wymaga zbiorowego wysiłku. Po zarwanych nocach rano czeka ustalony porządek dnia, od którego nie można uciec. Kadeci uczą się nie tylko rzemiosła, lecz także dyscypliny, odwagi, koleżeńskości oraz pokory wobec żywiołu.

Żywo wspominam rejs na duńskiej fregacie „Danmark”. Po wyjściu z portu 16-osobowa stała załoga z trudem dawała sobie radę z 60 praktykantami w wieku od 16 do 20 lat. Po dwóch tygodniach surowej szkoły wyrósł zdyscyplinowany, zżyty i zgrany braterski kolektyw. Nie zapomnę chuderława, z dziecinną buzią Kaata, który początkowo pozostawał w tyle za roślejszymi i silniejszymi fizycznie kolegami. Wydawało się, że nie podoła

czteromiesięcznej próbie. Zadziwił wszystkich, okazał się jednym z najlepszych kursantów, stał się krępkim młodzieńcem i był najzwinniejszy na wantach.

Na wysokości Azorów trafiliśmy na sztorm. Dokoła rozpętało się piekło, ściany wody z hukiem zwały się na pokład, przez zawrodoenie wiatru i huk fal ledwie przedzierali się słowa komend. Żołądek uciekał do gardła. W bezlitosnym zmaganiu się z samym sobą i z nieposkromioną furią pewne czynności muszą być wykonane. I to dokładnie, ponieważ żaglowiec musi utrzymać się na ustalonym kursie. Konieczne było sprzątnięcie dużych dolnych żagli. Zawieszani na rei, między niebem i rozszalałym morzem, młodzi ludzie z grabieżącymi z zimna dłońmi, z wysiłkiem zbierali targane wiatrem odporne płótno. Układając krnąbrny żagiel w fałdy, przyciskali go brzuchem, po czym musieli

wiązać go do rei. Kilkakrotnie już go poskromili, ale w ostatniej chwili chłoszcząc wściekle po twarzy, wyrwał się z rąk. Zdążyli. W przeciwnym przypadku burza porwałaby go na strzępy.

Albo dwóch sterników, którzy z trudem utrzymują na kursie przetaczający się z burty na burtę statek. Dostali polecenie „Ster NNE!”. Podczas gdy róża wiatrów tańczy im przed oczami, powtarzają: „Tak jest – NNE!”. Bo inaczej być nie może. Ryczące morze, groźne góry wody, młdości, życie lub śmierć? To się nie liczy. Ważne jest „NNE!”. I to jest ich zwycięstwo. Nad oceanem, nad huraganem? Nie, nad samym sobą! Nie bez kozery mówi się, że dobrych marynarzy formują burzliwe morza.

MODELOWANIE DUSZY

„Młodzian wypływający pod żaglami na morze wraca krępkim mężczyzną” – wspominał swego czasu



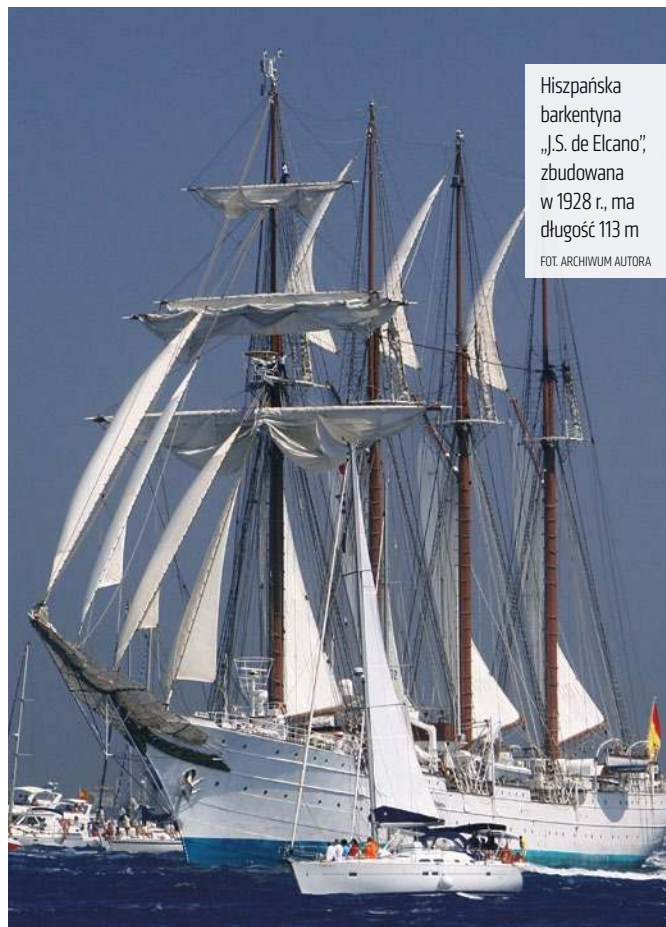
Amerykański admirał John Bergen. Na pokładzie fregaty „Dar Młodzieży”, chluby naszej marynarki, zapewniają zaś, że morze łączy ludzi w obliczu trudności. A Joseph Conrad, doświadczony kapitan żaglowca i najwybitniejszy piewca morza w literaturze światowej, podkreślał fakt modelowania duszy osobliwych ludzi, którymi są marynarze. Mówił też, że właśnie na żaglowcu młody człowiek najlepiej uczy się pokory wobec nieprzewidzianego i bezustannie niebezpiecznego morza. A prekursor wychowania morskiego gen. Mariusz Zaruski jeszcze przed drugą wojną światową utrzymywał, że w specyficznych warunkach twardego trudu żeglarskiego hartują się charaktery, kształtuje umiejętność pracy zespołowej i mentalność, której nie da się porównać z mentalnością przedstawicieli innych zawodów.

Z sentymentem zachowuję w pamięci podróż na 100-metrowej długości „Amerigo Vespucci”, włoskiej marynarki wojennej, przypominającym XIX-wieczny żaglowiec, z eleganckim złożonym galionem dumnie głoszącym sławę florenckiego żeglarza. Żaden inny „tall ship” nie budzi takiego zachwyty i nie może równać się z nim pod względem estetyki i wyniosłości. Pomimo swoich 70 lat wciąż zadziwia doskonałą formą. Tekowy pokład lśni czystością, błyszczą ornamenty kabestanów, a mosiężny dzwon świeci niczym złoto. Anglicy nazywają to „ship shape”, okrętowym fasonem, czyli wzorowym ładem i porządkiem.

O pedantyczną pielęgnację dba nie tyle 350 osobowa stała załoga, ile 140 kadetów Akademii Marynarki Wojennej w Livorno, którzy po zakończeniu dwóch semestrów odbywają na nim swoją



Norweska fregata „Cristian Radich”, zbudowana w 1937 r., ma długość 72 m
FOT. ARCHIWUM AUTORA



Hiszpańska barkentyna „J.S. de Elcano”, zbudowana w 1928 r., ma długość 113 m
FOT. ARCHIWUM AUTORA

pierwszą morską praktykę. Dzień zaczyna się od zwinienia hamaków i toalety statku, czyli rytualnego szorowania cegiełkami desek pokładowych, albo prac bosmańskich. Potem przychodzą wykłady, ćwiczenia i dbanie w zależności od stanu morza o właściwy zestaw żagli. Ktoś musi pełnić obserwację na „oku” i ustawić odpowiednio do kierunku wiatru 2,5 tys. mkw. żagli, równych powierzchni 15 boisk do siatkówki.

Dzień w dzień, ten sam precyzyjny rytm rygorystycznych tradycyjnych zasad, wytężonej pracy i dyscypliny. Nie bez racji bosmani, łącznicy między dowództwem i marynarzami, przypominają XIX-wieczny tzw. katechizm filadelfijski: „Sześć dni będziesz pracować w pocie czoła, a siódmego będziesz szorował pokład i skrobał łańcuchy”. Od jednego z nich słyszałem, że kiedyś statki były drewniane, a ludzie z żelaza i że dziś jest odwrotnie. Uważa, że teraz młodzi wymagają „wstrząśnięcia”. Rzadko zdarzają się przypadki rezygnacji z dalszej edukacji, ale nie kursant przyznaje, że z trudem dobiega do końca szkoleniowej podróży.

Przeciążenie pracą, nabranie odwagi, uparte dążenie do przodu to niezbędne kroki, aby osiągnąć świadomość własnej wartości i ograniczeń. Poddać się jest łatwo, to przynosi ulgę i odpoczynek, natomiast podnieść się i wytrwać wymaga wysiłku i determinacji. Włoscy kadeci od pierwszego dnia mają zakodowane w umyśle statkowe motto: „Nie ci, którzy zaczynają, ale ci, którzy wytrwają”, czyli za wszelką cenę nigdy nie cofaj się w obliczu przeciwności losu.

Dowódca, kmr por. Mario Tumiat, twierdzi, że dzisiejsza żegluga coraz częściej „odsuwa” marynarzy od żywiołu, bo



nowe technologie zwodzą nas. Sądźmy, że staliśmy się silniejsi, ale nowoczesne instrumenty mogą się zepsuć, sygnał satelitarny może zagać, wtedy właśnie liczyć się będzie doświadczenie zdobyte według starych, ale nigdy nie przemijających tradycji morskich. Żaglowiec uczy, co to znaczy być marynarzem, hartuje charakter, korygując jego „niedostatki, i uczy [...] absolutnej wartości bycia częścią jednej załogi”. Dziś, jak i kiedyś to bezcenne doświadczenie pogłębia poczucie odpowiedzialności, wzmacnia poczucie wiary we własne siły.

O zachodzie słońca na „Amerigo Vespucci” wszyscy wolni od służby zbierają się na rufie do ceremonii opuszczenia bandery, która spływa wolno w trakcie odmawiania modlitwy marynarza. Po jej zakończeniu czekają ćwiczenia z sekstantem. A po co, skoro istnieje nawigacja satelitarna? A po to, aby nie zgubić się na oceanie, kiedy zawiedzie elektronika. Dlatego trzeba opanować sztukę astronawigacji z jej skomplikowanymi rachunkami algebraicznymi, logarytmami i sinusami. Kiedy zmęczenie osiąga swój punkt szczytowy i kursant zmoczony do ostatniej nitki bryzgami fal zasypia na stojąco, budzi go z letargu nowy sygnał: „Do zwrotu przez sztag!”. Wiatr zmienił kierunek i należy wykonać wiele skomplikowanych dla oka szczeniaka lądowego czynności manewrowych przy 23 żaglach.

Na żaglowcu do dziś opowiada się o spotkaniu na środku Atlantyki. O zachodzie słońca zbliżył się do niego monumentalny lotniskowiec „USS Independence”, z którego pokładu amerykański sygnalista zapytał alfabetem Morse’a: „Jaki to statek?”. „Amerigo Vespucci, włoskiej marynarki wojennej” – nadeszła odpowiedź. Wtedy

poszły kolejne błyski lampy: „Jesteście najpiękniejszym okrętem, jaki kiedykolwiek spotkaliśmy na morzu”, podczas gdy na jego pokładzie, w salucie morskim, zniżono gwiazdzistą banderę do pół masztu. Gest wzruszający do dna duszy.

NAJPIĘKNIEJSZY SPEKTAKL

Zawinięciu fregaty przybranej gałą flagową do portu pod jakąkolwiek szerokością geograficzną zwykle towarzyszy uroczysty ryk syren okrętowych. Z zasady rezerwuje się jej najbardziej reprezentacyjny nabrzeże. Dla przygodnych widzów stanowi ona zawsze dużą atrakcję i wprawia w zachwyt tłumy ludzi przewijających się od rana do wieczora przez jej pokład. Lokalne media nigdy nie przepuszczają okazji, aby pokazać tak atrakcyjnego gościa. Zawsze można się spodziewać oficjalnych wizyt, to jest wyjątkowa okazja do promocji swojej ojczyzny i jej osiągnięć.

Kiedy taki statek wypływa na morze, nie ma piękniejszego spektaklu od stawianych jednocześnie na wszystkich masztach żagli, które wybrzuszając się, pobudzają go do życia. Bywa, że w zasięgu widoczności luksusowego wycieczkowca pojawia się niczym biały obłok uskrzydłony piramidą płótna żaglowiec, wtedy kapitan bezwarunkowo nakazuje zmianę kursu, zapewniając pasażerom niepowtarzalny spektakl rodem z minionej epoki. Bo – jak pisał Honoré de Balzac, twórca powieści realistycznej – „Istnieją trzy rodzaje piękna: kobieta w tańcu, rasowy rumak na wolności i żaglowiec pod pełnymi żaglami”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest dziennikarzem i podróżnikiem, samotnie przepłynęła Atlantyk szalupą ratunkową. Przez dwa lata pływała jako oficer na frachtowcach tanich bander i dowodziła legendarnym kaczem „Stormvogel”.

„Kanwą tej książki jest autobiografia Michaiła Chodorkowskiego, co pozwala czytelnikowi przyjrzeć się czasom Gorbaczowa, Jelcyna i Putina. A więc tych przywódców, którzy dali Rosji wolność, i przywódcy, który im ją zabrał. [...] Owa „rosyjska zagwozdka”, czyli rosyjski szkopał z wojną w tle, to dziś najpoważniejszy problem światowy.”

Ze wstępu Krystyny Kurczab-Redlich

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Krzyże z Brusna

Dziś zespół wsi Brusno Stare i Nowe oraz Polanka Horyniecka położonych na wschodzie Polski, pod Lubaczowem, znany jest przede wszystkim z przechodzącej nieopodal Linii Mołotowa wyznaczającej granicę ZSRS po czwartym rozbiórze Rzeczypospolitej. Jeszcze 100, 200 lat temu był to sławny ośrodek kamieniarski, pochodzące stąd „bruśnieńskie” krzyże, nagrobki i elementy kamieniarki do tej pory ozdabiają cmentarze, drogi, rozstaje i uroczyska wschodniej Polski, dodając im klimatu. Brusno, podzielone później na Stare i Nowe, położone u stóp góry, z której pozyskiwano piaskowiec i wapień, po raz pierwszy pojawia się w reestrze poborowym z 1531 r.

Z lat 1563–1554 pochodzi – jak podaje Stefan Lew – wzmianka o pierwszych mistrzach kamieniarskich, w tym na wpół legendarny przekaz o „dwóch Italianach, co przyszli w pleni i zaczęli kopać Górę”. Tradycja przekazuje, że byli to jeńcy wojenni. Z późniejszych lat brakuje źródeł historycznych, jednak mamy świadectwa wykonywania kamieniarki dla różnych okolicznych budowli. Prawdziwy rozkwit rzemiosła ma miejsce pod koniec XVIII w. i później – wtedy na obszarze dawnych województw bełskiego i ruskiego pojawiają się masowo kamienne krzyże z Brusna.

W masywie zwanym Górą, wznoszącym się za Starym Brusnem, zachowały się dawne kamieniołomy, pokazujące, jak przed wiekami wyglądało pozyskiwanie surowca. Wydobycie rozpoczynano od dołu góry, odkopując złoża przy samej jej podstawie, odrzucając warstwę próchną i zwiędniętą warstwę kamienia. Następnie, kiedy pojawiał się odsłonięty po-



FOT. HENRYK BIELAKOWICZ/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

kład, rozpoczynano jego łamanie. W tym celu kamieniarz wykonywał rowki i wybijał otwory, w które później zakładał kliny i żeliwne blaszki. Pobjmane młotem powodowały pęknięcia, które rozszerzano łomem, oddzielając blok skalny od reszty kamienia. W dawnych czasach zimą stosowano także system drewnianych klinów, bukowych, świerkowych lub sosnowych – polewanych wodą i zamarzających na mrozie, a następnie rozsadzających skałę.

W Bruśnie od dawien dawna pozyskiwano kilka rodzajów kamienia – wapieniaki, czyli najlepsze rodzaje surowca do wykonywania rzeźb i krzyży – przede wszystkim kamienie wapienne; żarniaki, czyli piaskowce do wyrobu kamieni młyńskich, i twardy kamień, czyli zwykły surowiec budowlany.

Wykuwaniem krzyży i figur zajmowały się w Bruśnie całe rodziny, w których tradycja kamieniarska dziedziczona była przez kolejne pokolenia. Niestety, jedyne źródła o niej pochodzą z wieków XIX i XX, a więc z czasów nam prawie współczesnych. Rodziny kamieniarskie same łamały kamień z Góry, przewoziły do gospodarstw i tutaj na podwórzku poddawały dalszej obróbce. Poszczególne elementy krzyża wykonywane były z różnych rodzajów kamienia. Podstament, cokół i środek, czyli podstawa krzyża i ciężka tablica, wykonywane były z twardego su-

rowca. Natomiast wieńczący ją sam krzyż – z miękkiego wapienia, gdyż wymagał dokładnej obróbki.

Do XX w. Brusno stanowiło prawdziwy tygiel narodowościowy. Po pierwszym rozbiórze Austriacy podzielili je na dwie części: Stare i Nowe, w dodatku założyli pomiędzy nimi osadę w ramach kolonizacji józefińskiej – DeutschBach, obecnie Polanka Horyniecka, gdzie sprowadzili rodziny niemieckie. W 1905 r. mieszkańcy sprzedali gospodarstwa i wyprowadzili się do Wielkopolski pozostającej pod zaborem pruskim. Na ich miejsce przyszli chłopcy spod Kolbuszowej. W okresie międzywojennym Nowe Brusno zamieszkiwali głównie Polacy, a Stare – Ukraińcy. Już wówczas rzemiosło kamieniarskie zaczęło podupadać, chociaż ze Starego Brusna wywodził się jeden z wybitnych ukraińskich rzeźbiarzy – Grzegorz Kuźniewicz, który dzięki pomocy lwowskiego architekta Juliana Zacharewicza uzyskał stypendium i odbył naukę w Państwowej Szkole Przemysłowej. Był autorem pomnika Bartosza Głowackiego we Lwowie, pomnika poległych w wojnie polsko-ukraińskiej 1918–1919 w Horyńcu, licznych nagrobków z cmentarza Łyczakowskiego. W 1946 r. wysiedlony został do ZSRS, gdzie zmarł. Do 1947 r. mordy UPA na Polakach i milicjantach z Nowego Brusna i stosowane w zamian odwetowe pacyfikacje zadały ostateczny cios Staremu Brusnu. W 1947 r. pozostała część ludności wysiedlono w ramach Akcji „Wisła”. Ostatnie tradycje kamieniarskie wygasły w okolicy w latach 60. ubiegłego wieku. Dziś przypominają o nich już tylko stare krzyże bruśnieńskie. Warto jednak odwiedzić to miejsce dla jego niezwykłego klimatu i pięknej przyrody. ©



RCS MART



CUPRA FORMENTOR VZ TRIBE EDITION

Crossover coupé o hiszpańskim temperamentem to samochód dla osób, które lubią się wyróżniać. Muskularna sylwetka wygląda na tyle efektownie, że Formentor przypomina nieślubne dziecko Lamborghini Urusa. Takie skojarzenie wprost zachęca zaś do przetestowania jego sportowych możliwości. A jest czym kuścić. Formentor jest bowiem szybki i prowadzi się, jakby był przyklejony do asfaltu.

Pod maską testowanego auta Hiszpanie ukryli dwulitrowy silnik benzynowy o mocy 310 KM. Pozostałe cyferki też robią wrażenie. Przyspieszenie od zera do 100 km/h: 4,9 s. Prędkość maksymalna: 250 km/h. Maksymalny moment obrotowy: 400 Nm. Dzięki temu ostatniemu

auto wciska w fotel w przyjemnie przewidywalny sposób. Do tego – w przeciwieństwie do wielu innych nadmuchanych i nieco podniesionych hatchbacków dostępnych na rynku – Cupra Formentor VZ może się też pochwalić napędem na wszystkie cztery łapy, co szczególnie przydaje się w zimowych warunkach. Bez zarzutu działa też siedmiostopniowa automatyczna skrzynia biegów.

A co ze spalaniem? Zmienia się dynamicznie w zależności od stylu jazdy. Przy rozsądnym podejściu do pedału gazu zużycie paliwa w cyklu mieszanym może zamknąć się w 8,5 l/100 km. Jeśli człowiek zacznie się jednak bawić w dynamiczną jazdę, to wynik nie zejdzie już raczej poniżej 10–11 l/100 km.

Sportowe fotele ze zintegrowanym zagłówkiem są wygodne. Sama kabina jest zaś wykończona w minimalistycznym stylu, a ekstrawaganci modelowi dodają intrygujące miedziane wstawki. Po zapadnięciu zmroku fajnie wygląda też listwa LED biegnąca niemal przez cały przód auta. Bagażnik ma 420 l pojemności.

Specjalnie dla dużych chłopców projektanci hiszpańskiej marki przygotowali również wyjątkowy dźwięk silnika – po przełączeniu w tryb Cupra auto efektownie strzela z „wydechu”, choć akurat w tym przypadku dźwięki nie mają nic wspólnego z tym, że mieszkanka paliwowo-powietrzna nie została w pełni spalona w silniku, ale płyną do uszu kierowcy i pasażera... prosto z głośników. Mnie akurat to zbyt głośne burczenie nie bawi, ale wyobrażam sobie, że są tacy, którym tego typu efekty będą się bardzo podobały.

Wady? Podgrzewanie fotele można włączać lub regulować wyłącznie za pomocą ekranu dotykowego, co nie jest ani intuicyjne, ani wygodne, ani praktyczne.

Cupra Formentor w najtańszej wersji z silnikiem 1.5 TSI o mocy 150 KM i manualną skrzynią biegów kosztuje 139 tys. zł. Formentor BZ z dwulitrowym silnikiem o mocy 310 KM i siedmiobiegową skrzynią automatyczną to już wydatek co najmniej 234,4 tys. zł. Po dodaniu niezłego systemu audio, fajnego lakieru i systemu ochrony pasażerów cena na fakturze rośnie jednak w okolice 250 tys. zł.

INTELIGENTNY WIDEODOMOFON EZVIZ HP7

Świetna jakość obrazu, nowoczesne wzornictwo, bezpłatna aplikacja do obsługi zdalnej, prosta konfiguracja i dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety inteligentnego wideodomofonu firmy Ezviz.

Testowane urządzenie nazywane jest „inteligentnym”, bo rzeczywiście jest to coś więcej niż zwykły wideodomofon. Model HP7 – zwycięzca tegorocznej Plus X Award – to produkt typu 2 w 1, który może stanowić domowe centrum kontroli wejścia/wjazdu na posesję. To też szczególnie przydatny sprzęt w okresie Bożego Narodzenia, czyli w czasie, gdy według kryminalnych statystyk złodzieje są najbardziej aktywni. Policjanci radzą więc, aby zainwestować monitoring. Testowany model jest wyposażony w kamerę zewnętrzną o kącie widzenia 162 stopni – dzięki temu widać postać stojącą przed furtką od stóp do głów. Wbudowana kamera umożliwia nagrywanie filmów w rozdzielczości 2K i zapewnia pięciometrowe widzenie nocne w podczerwieni. Nagrania można przechowywać w chmurze (abonament jest dodatkowo płatny) lub na własnej karcie microSD o pojemności do 512 GB.



Ezviz HP7 może także automatycznie wysyłać do użytkownika powiadomienia, gdy ktoś niepowołany zacznie się kręcić przy furtce lub bramie wjazdowej. Aby ograniczyć liczbę fałszywych alarmów, w bezpłatnej aplikacji można ustawić czułość wykrywania, a także ustawić strefy, w których ruch ma wywoływać alert. Bardzo fajną funkcją jest możliwość zdalnej obsługi urządzenia. Jeśli więc ktoś postanowi sprawdzić, czy gospodarz wyjechał na święta, i np. spróbuje zadzwonić wideodomofonem, to można zdalnie udać, że cały czas jest się w domu. Co więcej, urządzenie oferuje funkcję zmiany głosu, co pozwala jeszcze lepiej zadbać o własne bezpieczeństwo. Zdalnie można otworzyć zarówno furtkę, jak i bramę wjazdową. Testowany model umożliwia również wejście na posesję po przyłożeniu do urządzenia zbliżeniowego breloka (niestety, w zestawie są tylko trzy takie breloki, a przydałoby się więcej).

W zestawie znajduje się też duży, siedmiocalowy kolorowy ekran dotykowy, na którym widać gości i za pomocą którego można szybko otwierać furtkę lub bramę wjazdową oczekiwanym gościom.

Cena: 1079 zł.

ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

Wigilia, ten piękny czas przed dniem Narodzenia Pana, czas refleksji, ale przede wszystkim czas radości, rodzinnych spotkań i wspólnego biesiadowania. Pod kątem kulinarnym to bezsprzecznie nasz ulubiony okres w roku. Właściwie wszystko, co znajdzie się na wigilijnym stole, jest wyśmienite!

Zgodnie z tradycją potraw ma być tyle, ilu było apostołów, albo tyle, ile jest miesięcy w roku, za które człowiek dziękuje Bogu. Na stole powinny znaleźć się wszystkie płody ziemi. Powinniśmy spróbować każdej potrawy, co ma nam przynieść pomyślność na nadchodzący czas.

Zaczynając od ulubionej przez wszystkich zupy grzybowej, wyjątkowej, bo gotowanej nie na włoszczyźnie, a jedynie na wywarze z cebuli. Potem na cudownym barszczu przyrządzonym na zakwasie z uszkami z farszem z fasoli jaś, podsmażonej na złoto cebulki i suszonych grzybów. W naszym rodzinnym domu królem wigilijnego stołu jest karp.

Na deser zawsze obowiązkowo była kutia, tradycyjna przywieziona ze wschodu z rodzinnych stron naszej mamy. To ugotowana pszenica z dodatkiem miodu, masła, maku i bakalii. Najlepiej smakuje dobrze schłodzona, robimy jej zawsze tyle, aby wystarczyło jej jeszcze w drugi dzień świąt. Na Górnym Śląsku – tam, skąd pochodzimy – tradycyjnie przyrządzało się makówki, smak dość podobny, jedyna różnica to ta, że zamiast pszenicy używało się namoczonej w mleku chałki lud sucharów.

Przez trzy świąteczne dni pod ręką jest także kompot z suszonych owoców, który nie tylko dopełnia

SIOSTRY GOTUJĄ

Kutia
na deser

smak wigilijnych potraw, lecz także pozwala lepiej je strawić. Kolacja wigilijna z przerwami na prezenty trwa do pasterki. I tak celebруем noc oczekiwania na narodziny Najwyższego. Jest cudownie, rodzinnie i bardzo smacznie, czego i Państwu życzymy.

Kutia

- 25 dag pszenicy całych ziaren
- ½ łyżeczki soli • 25 dag maku, najlepiej mielonego i sparzonego w gorącym mleku
- ½ szklanki miodu • 2 duże łyżki cukru pudru
- ½ szklanki orzechów włoskich
- ½ szklanki rodzynek sułtańskich
- 2 duże łyżki skórki z pomarańczy
- ½ szklanki miodu • ½ szklanki orzechów laskowych
- ½ kostki masła • sok z połówki cytryny
- może być kieliszek spirytusu lub rumu

Pszenicę płuczemy i namaczamy w wodzie przez całą noc, następnie gotujemy do miękkości z dodatkiem soli. Studzimy, nadmiar wody odlewamy i przekładamy do dużej misy. Mak odciedzamy, przekładamy do misy, dodajemy bakalie, miód, cukier, jeśli jest taka potrzeba, i rozpuszczone masło oraz pozostałe składniki. Wszystko razem dokładnie mieszamy i odstawiamy w zimne miejsce, tak aby się schłodziło. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Świeża dostawa
wpadek

Jakieś 20 lat temu słowo „nienawiść” istniało głównie w XIX-wiecznych powieściach. Z pojawieniem się Internetu powstała jego internetowa międzynarodowa wersja, zwięzła i oczywiście anglojęzyczna: hate. Po polsku: hejt. Oficjalnie hejt zwalczamy, potępiamy, uprawiamy powszechną miłość, tolerancję i szacunek. Dlatego niezrozumiałe jest, dlaczego tak dużą popularnością cieszą się wszelkie miejsca w Internecie, gdzie można zamieścić krytyczny komentarz o czymkolwiek lub kimkolwiek. Można odnieść wrażenie, że nie ma nic przyjemniejszego, niż poznęcać się nad czymś wyglądem, poglądami, zachowaniem, szczególnie jeśli ofiara jest niema. To daje atakującemu miłe i niedrogie poczucie wyższości. Bohaterów pod obróbkę nie brakuje, bo celebryci i osoby publiczne są w dużej podaży.

Na hejt narażony jest każdy, kto pokazał się w telewizji – aktor, panienka, która rozebrała się na festiwalu, modelka, podrzędna piosenkarka, polityk, syn polityka, dziennikarz, jego żony i narzeczone, obecne oraz przeszłe. Także publicyści uczestniczący w programie informacyjnym. Wszyscy na równi. Wszyscy oni podlegają nieustannej obserwacji, są bez ustanku śledzeni, fotografowani, zgadzają się czy nie. Nie ma takiej możliwości, żeby ktoś, kto posiada status osoby publicznej, wyszedł do sklepu po bułkę i wrócił niesfotografowany.

Największym powodem cieszyć się tematem pt. „Wpadki gwiazd”. Nieudana sukienka aktorki, biust, który wyskoczył z za małego stanika innej, cellulitis kolejnej poddawane są niekończącym się dyskusjom, w której każdy internauta dorzuca własny kamyczek do ogólnego bluzgu. Tatuaze, fryzury, makijaże, kostiumy kąpielowe, obcasy, zmarszczki... Kto pokazał majtki? Czyje to buty i za ile? Po każdej imprezie, pokazie mody, festiwalu na portalach pojawiają się serie zdjęć gości, a obok nich komentarze. Krytykowanie cudzych biustów (obwisłych, nasilikonowanych, w za ciasnych stanikach, bez staników itp.) zasłużyło na własną podgrupę zainteresowanych. Temat „Zobacz gwiazdy bez makijażu” ma również grono fanów. W domyśle: zobacz, jak beznadziejnie wyglądają, naprawdę są takie jak ty, tylko wysiłki makijażystów sprawiają, że lepiej wypadają w kinie i w telewizji.

Tak jak każda wypowiedź polityka powoduje natychmiastowy odzew Internetu, tak samo na tabloidowych portalach możemy codziennie liczyć na świeżą dostawę wpadek. Nie zawiedzie nas portal Onet.pl, który z miesiāc na miesiāc stacza się na coraz niższy poziom. Ale co tam poziom, chodzi przecież o kliknięcie. A któż nie byłby zainteresowany zobaczyć gwiazdę bez stanika albo samą tylko jej pupę? Kliknięcie gwarantowane. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ratuj się kto może...

Na filmiku z X widać salę kinową i wzburzony radością tłum. Podskakuje, bije brawo, szczęśliwi ludzie padają sobie w ramiona. To transmisja na żywo z Kinoteki z uroczystości obalania rządu Morawieckiego. Tak, tego rodzaju pokazy są organizowane, tak jak rośnie popularność internetowych transmisji w Internecie. Rodzi to chwilowych i ulotnych bohaterów społecznościowego fejm, ale pokazuje pewien fenomen. Za czasów, gdy PiS przejmował władzę, tego nie było, nie było seansów radości, organizowanych wzmożeń w oczekiwaniu na zmianę dobrej zmiany. A dziś są. Czemu?

Powody są ze dwa. Po pierwsze – rzeczywiście jesteśmy świadkami wręcz historycznych zachowań. Pod schodami smoleńskimi pary tańczą pod melodię „To ostatnia niedziela”, pogodynki deklarują nieplatoniczną miłość do „marszołka”, w internecie już nie mlaskanie, ale jakieś orgiastyczne wyznania uwielbienia – kult jednostki na pełnej petardzie. Mamy do czynienia z erupcją reakcji na ośmioletnią frustrację, a ta musi mieć znaki przeciwne: barani zachwyt, zero refleksji, odreagowanie. Obalenie Morawickiego ogląda się jak dobry mecz, w kinie, gdzie „nasi” dowlają „tamnym”. Jakie będzie kolejne starcie, co robimy w turnieju, kto będzie naszym następnym przeciwnikiem i na którym boisku – nic to. Ważna jest odreagowa-

na satysfakcja, że wreszcie, po tylu latach. I ja to... rozumiem. PiS i tak by nic nie miał z kinowego elektoratu, ale swą butą i graniem na Tuskowe „für Deutschland” tak się doigrał. Ten błąd było widać w wystąpieniu dwutygodniowego premiera. To przed wyborami trzeba było mówić o dokonaniach tego rządu, nie zaś odgrzewać w kampanii po raz trzeci parówkę berlinkę.

Drugi powód, dla którego się lud cieszy, to bańka. Bańka, która się jeszcze bardziej zasklepiła na świat zewnętrzny nowym hasłem pt. „Teraz, k...a, my”. To pokazuje, że nie wyjdziemy z tego podziału świata na dwa plemiona. Dziś triumfuje to wyposzczone plemię „żądające satysfakcji”. Wchodzimy w mechanizm szal, a właściwie naczyń połączonych, w których poziom się nigdy nie wyrównuje. Nie ma stabilizacji między plemionami. Albo jedno, albo drugie. W całości. To raczej wajcha, z tym że przeginająca się z coraz większym wychyleniem.

Dziś poprzednie plemię zwycięzców idzie do kąta. Taki mamy klimat w III RP. I znowu złączą się te same schody: nowi władcy złączą się zużywać, opozycja totalnie będzie w to walić, aż przyjdzie do zmiany kierunku wychylenia tej samej wajchy. Znowu zero-jedynkowego. Jak powiedział chanukowy poseł Braun: „Szczęść Boże, ratuj się kto może. Zamieniliśmy dżumę na cholerę”. Polska, zaiste, ta terapia. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Czas na kontrrewolucję

Data 12 grudnia przejdzie pewnie do historii jako dzień służby przeciwpożarowej w Sejmie, ale tego dnia miały miejsce również inne ważne wydarzenia.

12 grudnia Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, że Polska, nie stwarzając ram prawnych dla funkcjonowania związków osób tej samej płci, narusza art. 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Postępowanie wszczęto na wniosek pięciu par homoseksualnych. Skargi obywateli przeciw własnym państwom do instancji międzynarodowych, w sprawach ideologicznych przywilejów, rozsadzających konstytucyjny porządek państw, to znana taktyka działaczy politycznego ruchu homoseksualnego.

Orzeczenie unijnego Trybunału zbiega się z inauguracją rządu Tuska, w którym ministrem ds. równości zostaje aborcyjna działaczka Katarzyna Kotula, a resort edukacji obejmie współtwórczyni antyklerykalnego Ruchu Palikota, radykalna feministka Barbara Nowacka. W zapowiedziach wyborczych Tuska, obok uchylecia prawnej ochrony życia, są inne, genderowe, ideologiczne postulaty, ale zwrócę uwagę tylko na te dotyczące edukacji: marginalizacja lekcji religii, likwidacja prac domowych. Jako komentarz do tych projektów polecam stare nagranie wykładu Jurija Bezmienowa „Jak napaść na państwo” (dostępne na YT). Były agent KGB opisuje ope-

racje destrukcji społeczeństw wrogich krajów, m.in. poprzez walkę z religią, demoralizację i seksualizację młodzieży oraz działania obniżające poziom edukacji. Już na początku lat 80. Bezmienow wskazuje, że jednym z elementów wrogiego planu jest propagowanie ideologii równości (!). Nawrócony sowiecki agent 40 lat temu ostrzegał kraje Zachodu, czym jest polityka równości.

12 grudnia, w rocznicę uchwalenia Powszechnej deklaracji praw człowieka, gdy prezydent Andrzej Duda gościł na szczycie ONZ, opublikowano informacje, że ułaskawił on Marikę. Skazano ją na trzy lata bezwzględnego więzienia za rzekomy rozbój, którym miała być próba wyszarpięcia torby w barwach LGBT uczestniczące Marszu Równości. Andrzej Duda w Genewie przywołał dramat więźniów politycznych na Białorusi, apelując o zdecydowany sprzeciw społeczności międzynarodowej. Nie można uciec od porównania drakońskiego wyroku poznańskiego sądu wobec 21-letniej aktywistki do wyroku np. Andrzeja Poczobuta.

W nowych realiach akt łański Andrzeja Dudy dla Mariki odbieram jako zapowiedź oporu wobec rewolucyjnych zapędów nowego rządu. Mój nadziej, że prezydentowi nie zabraknie odwagi i determinacji. Ale to nie wystarczy. Po ośmiu latach uspienia czas, by stowarzyszenia obrońców życia i rodziny oraz organizacje rodzicielskie także pokazały swoją siłę. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Się sposób
znajdzie

Latanie po Sejmie z gaśnicą proszkową i gaszenie świec to wariactwo nie do obrony, ale... Stop. Grzegorz Braun wysypujący proszek z gaśnicy na stojącą tam kobietę musi zostać potępiony, ale... Stop. Polski poseł (Braun) wyglądający jak unurzany w kokainie Al Pacino w „Człowieku z blizną” to nie jest obrazek promujący Polskę, ale... Stop. Ale jawią się pytania: Jak to się dzieje, że w Sejmie przeszkadza krzyż, a nie przeszkadza menora? Czy ci, którzy chcą rozdziału Kościoła od państwa, uważają, że celebrowanie w Sejmie religijnego święta żydowskiego to jednak zupełnie coś innego niż chrześcijańskiego? Dlaczego część posłów żądała pisemnego potępienia antysemityzmu, a kiedy inni posłowie zażądali, żeby w dokumencie znalazło się także potępienie antychrześcijaństwa, nagle wycofano się z pomysłu? Stop. Czemu ci, którym tak bardzo przeszkadza „Tak mi dopomóż Bóg” nie wypowiedzieli się na temat religijnego zapalania świec w polskim Sejmie? Stop. Już samo zadawanie takich pytań jest niebezpieczne, bo zamiast stadnie potępiać najwyższym oburzeniem, ktoś śmie myśleć: hańba. Stop. Takie mamy czasy, myślenie przeszkadza w sterowaniu ludźmi emocjami... Stop. Będzie gorzej.

Niejaki Hahn Johannes, który jako komisarz w Unii Europejskiej zajmuje się budżetem i administracją, pokrzepił Polaków wielce, mówiąc, że

Komisja Europejska znajdzie sposób, by udostępnić Polsce 111 mld euro z funduszy unijnych, w tym z programu Krajowego Planu Odbudowy i Funduszu Spójności. Stop. No proszę, rządził reżim PiS-owski – nie było sposobu, przestał – sposób się znajdzie. Stop. My się naprawdę musimy nauczyć praworządności od starych europejskich demokracji. Stop. Lekcja pierwsza i ostatnia: praworządność to zwykła ściema, rządzić mamy my albo nasi. Stop.

Znany z ostrego pióra Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej” przez osiem ostatnich lat biczował słowami: „Lizał, lizał i się dolizał” tych, którzy przy władzy awansowali na jakieś stanowiska albo dostawali jakieś posady. Stop. Wroński został właśnie rzecznikiem ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Stop.

Powstanie Strefy Czystego Transportu w Warszawie, czyli zakaz wjeżdżania starymi autami do centrum, okazuje się dla radykałów dalece niewystarczający. Stop. W mediach społecznościowych testuje się pomysł, żeby od 1 czerwca przyszłego roku po ścisłym centrum Warszawy można było chodzić wyłącznie w butach o wartości nie mniejszej niż 700 euro. Posiadacze tańszych śmierzideł mieliby być karani wysokimi mandataami. Stop. Hasłem kampanii na rzecz luksusobuwia ma być: „Precz ze smrodem bidusów!”. Stop. Czy to się przyjmie? ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Tęsknota
za maską

Ciekawe badanie opinii publicznej wykonała ostatnio pracownia SW Research na zlecenie portalu rp.pl. Ankietowanych pytano, czy popierają ponowne wprowadzenie obowiązku noszenia na twarzy масечек w miejscach publicznych. Aż 32 proc. badanych opowiedziało się za wprowadzeniem takiego nakazu. Przeciwno obowiązkowi chodzenia w masce było 54 proc. Polaków, natomiast 14 proc. nie miało w tej sprawie żadnego zdania.

Grupami najbardziej niechętnymi przymusowi zakrywania twarzy byli ludzie młodzi oraz mieszkańcy małych i średnich miejscowości liczących poniżej 100 tys. mieszkańców. Czy nie jest to argument za wyprowadzką z metropolii?

Analogiczne badanie wykonano przed rokiem. Tylko nieznacznie mniejsza była wtedy grupa osób niemających żadnego zdania (10 proc.), natomiast zwolenników масечkowego przymusu było aż 42 proc., ledwie o 5 proc. mniej niż jego przeciwników. Choć o epoce covidowych lockdownów nikt nie chce już rozmawiać, to tęsknota za regulacjami i zakazami pozostaje niezmieniona.

Pamiętajmy, że każdy z badanych, na własny użytek, może nosić na twarzy, co zechce. Nikt nie zakazuje paradowania w miejscach publicznych w масечkach, workach foliowych, a choćby nawet w wiaderkach ze zgrab-

nie wyciętymi otworkami na oczy. Miliony z nas chciałyby jednak, by władza, stosując przymus, zmusiła do noszenia масечек wszystkich wokół. Sami wprowadzić, z niewyjaśnionych powodów, масечек na razie nie zakładają. Czynią tak jednak do czasu. Kiedy policja zacznie wlepić mandaty i ścigać odkryte twarze, oni z uczuciem ulgi dołączą do zamaskowanego tłumu.

Wygląda na to, że epoka covidowych lockdownów objawiła nam o nas samych kilka niemiłych prawd. Między bajki należy włożyć opowieści o cechującym nas rzekomo „genie wolności”. Podobnie traktować należy rojenia o powszechnym indywidualizmie Polaków. Inaczej wypada też spojrzeć na nielicznych obywateli noszących dziś w miejscach publicznych rozmaite nakrycia twarzy. Myliłem się bardzo, uważając ich za ludzi lękliwych i poddających się zbiorowej, rozniecanej przez media psychozie. W świetle ostatnich badań wyróżniają się oni integralnością poglądów i autentyczną odwagą cywilną. Wierzą w skuteczność масечек, więc noszą je na ulicach, nie zwracając uwagi na spotykające ich z rzadka docinki i zdziwione spojrzenia przechodniów. Na tle milionów rodaków zasługują na szacunek i podziw. Aż jedna trzecia z nas масечек wprowadzić nie nosi, lecz z utęsknieniem czeka, aż zmuszą wszystkich do tego srogi minister lub nieubłagany policjant. ©©



GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Niemieckie tanki

Co łączy abp. Mieczysława Halkę Ledóchowskiego i abp. Stanisława Gądeckiego? Obydwaj byli arcybiskupami poznańskimi. Obydwaj musieli stawić czoła kulturkampfowi idącemu na nas z Niemiec. Paradoksalnie abp Ledóchowski miał łatwiej, chociaż za swój opór wobec bismarckowskiej (a gorliwie wspieranej przez pruskich liberałów) antykatolickiej „wojny o kulturę” zapłacił uwięzieniem w twierdzy.

Łatwiej, bo linie podziału były jasno wytyczone. Po jednej stronie Kościół, po drugiej nacierający w zwartym szyku na podobieństwo grenadierów Fryderyka II kulturkampferzy. Po stronie katolickiej wszyscy, nie wyłączając niemieckich biskupów, czuli się „filiją

Spróbujcie coś takiego powiedzieć, ba, wyobrazić sobie coś takiego w odniesieniu do obecnego papieża. Dzisiaj człowiek tęskni za czasami, gdy papież witał i żegnał wiernych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”, bez specjalnych życzeń: „Smacznego obiadu!”. Skała Piotrowa trwa, bo nieprzemijająca jest obietnica Zbawcy, ale zalewana jest prawdziwym tsunami neomodernizmu. Najsilniejszy jego prąd idzie z Niemiec. Współczesny niemiecki kulturkampf ma na imię „droga synodalna”, której postulaty można streścić staropolskim porzekadłem: „Hulaj dusza, piekła nie ma”.

Gdy 150 lat temu pruski parlament uchwalał serię antykatolickich ustaw („prawa majowe” z 1873 r.),

błogosławieństwo z grzechem nazywanym przez Kościół jako „wołający o pomstę do nieba”, troskę o miejsce kobiet w Kościele z podęptaniem woli Założyciela Kościoła, który do sakramentu ołtarza dopuścił tylko mężczyzn.

Dlatego tym większe słowa uznania należą się abp. Gądeckiemu za odważne świadectwo wierności Prawdzie. Jego listy do niemieckich biskupów i do papieża Franciszka to akt odwagi i jednocześnie wielkiego miłosierdzia. Wszak – do momentu, aż niemieccy biskupi nie zmienią i tego – Kościół naucza, że najważniejsze są uczynki miłosierne co do duszy, a wśród nich jest i wezwanie, by „błądzących napominać”.

Sposobu, w który na list poznańskiego arcybiskupa odpowiedział przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing, nie powstydzili by pruski sierżant (copyright prof. Andrzej Nowak). Przypomniały mi się w tym kontekście krótkie résumé dziejów stosunków polsko-niemieckich, które w swoim „Pro memoria” zawarł kard. Stefan Wyszyński: „My do nich z Ewangelią, oni do nas na tankach”. Dzisiaj nie rozjeżdżają już nas tygrysy czy pantery. W naszych czasach niemieckie „tanki” to w sferze duchowej „droga synodalna”, a w sferze politycznej „coraz większa odpowiedzialność Niemiec za Europę” (czytaj: coraz większa federalizacja UE).

Czymś jednak dwaj poznańscy arcybiskupi się różnią. Arcybiskup Ledóchowski za swój opór wobec kulturkampfu został kardynałem. Arcybiskup Gądecki za swój opór wobec współczesnego kulturkampfu kardynałem na pewno nie zostanie. No, ale patrząc na obecny skład Świętego Kolegium, to raczej przywilej. ©

Obecnie niemieckie „tanki” to w sferze duchowej „droga synodalna”, a w sferze politycznej „większa odpowiedzialność Niemiec za Europę”

Watykanu” i czerpali z tego siłę potrzebną do konfrontacji z potężnym państwem Hohenzollernów, skąpanym w świeżej chwale Sadowy i Sedanu. Chociaż od 1871 r., od aneksji Rzymu przez Piemont (co ściśle związane było z rozgromieniem Francji przez Prusy), papież ogłosił się „więźniem Watykanu” i poza to wzgórze się nie ruszał, to jednak duchowa moc płynąca z Rzymu była wielką pociechą dla katolików w Nadrenii czy w Wielkopolsce, którzy na własnej skórze doświadczali tego, czym jest wprowadzana żelazną ręką pruskiego żandarma zasada „wolny Kościół w wolnym państwie”. Była pociechą, bo Piotr tamtych czasów – papież bł. Pius IX – był, jak mawiał ks. Hieronim Kajsiowicz, „najczystszy wyobraźcielem prawdziwego konserwatyzmu praw historycznych”.

których celem miało być uczynienie z Kościoła katolickiego filii państwa Hohenzollernów, bolesne restrykcje dotyczyły zarówno diecezje w Westfalii i Nadrenii, jak i te w Wielkopolsce, na Pomorzu i Górnym Śląsku. Kulturkampf naszych czasów wyraża z erozji wiary Kościoła w Niemczech (tak parę lat temu stan wiary określił papież Franciszek, przemawiając do niemieckich biskupów ad limina) i nie chodzi już o wymuszenie nadzoru państwa nad formacją seminaryjną oraz nad majątkiem Kościoła. Teraz kulturkampferzy nieczujący się „filiją Watykanu” chcą zainfekować seminaria i wydziały teologiczne na całym świecie, tym samym, co niszczy od niemal sześciu dekad seminaria i fakultety teologiczne w Niemczech – nową odmianą modernizmu, która chce połączyć świętość z wyuzdaniem,



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Miałem raz taką choinkę, która z daleka wyglądała normalnie, ale gdy podszedłeś bliżej, okazywało się, że lampki to małe butelczki Tabasco, do tego obok bombek wiszą też prawdziwe butelki z sosem, gotowe do spożycia.

Przyszła Mama i zaczyna wybrzydzać:

– Synu! To jest Boże Narodzenie, a nie karnawał w knajpie. Choinka ma być symbolem na cześć i chwałę Dzieciątka, a nie sosu Tabasco. To jest choinka na BOŻE Narodzenie, a nie ozdoba sklepową! Zrób z tym coś, bo nie przyjdę do ciebie na Wigilię.

Poszedłem z tym do proboszcza, a on mi mówi, że bym ustawił pod choinką szopkę i wtedy będę na teologicznym legalu. Zdobyć szopkę tuż przed Wigilią – zadanie karłomne, więc ruszyliśmy na kościelny strych. Zbieranina rupieci, których wyrzucić się nie da, bo poświęcone lub mają na sobie symbole religijne – trzeba by spalić, a spalić się nikomu nie chciało, więc leży. Pogrzebaliśmy i proboszcz odkopał starą, przedwojenną szopkę, czyli kolekcję kilku figur z malowanego gipsu. Była mocno zniszczona i już jej nie wystawiał w kościele, ale dla mnie uroczą, bo mi przypominała chłopięce lata. Trzej królowie mieli połamanego wielbłąda, a św. Józef nie miał ręki.

– Tego Józefa bez ręki może nie stawiaj, bo się Mama znowu zezłości – powiedział proboszcz.

– Postawię, bo jak Józefa nie będzie, to się zezłości jeszcze bardziej. Józef wyszedł i zostawił Maryję samą? To nie przejdzie. Jest patronem od



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSAW.SUSNEN

dobrej roboty, to da sobie spokojnie radę z jedną ręką. Poza tym czymś go przystawię i nie będzie widać.

Mama była udobruchana. Nie żeby zaraz zadowolona, bo choinka ubrana we flaszki to nie Jej styl, ale stara kościelna szopka poprawiła sytuację. Tylko ten Murzynek...

– A to? Co to jest? – spytała Mama, pokazując na tradycyjną przedwojenną skarbonę w formie dziękującego Murzynka.

Wrzuca się monetę w otwór, a tam w środku skarbona, jest ukryty prosty mechanizm (talerzyk + przeciwwaga), który powoduje, że Murzynek zaczyna kiwać głową ponad napisem „Bóg zapłać”.

– Znalazłem razem z szopką. Proboszcz tego nie wystawia, bo się boi oskarżeń o ciagoty rasistowskie, to poprosiłem i mi podarował.

– Jakie rasistowskie?

– No klęczący Murzynek Bambo, trzyma skrzynkę, ty mu wrzucasz pieniądze, a on kiwa głową...

– I co? Ludzie uważają, że Murzynek Bambo nie ma się prawa nawrócić i zbierać na tacę w kościele? To po co dają składki na afrykańskie misje? Twoja babka miała takiego Murzynka na stoliku koło drzwi. Służył do odkładania kluczy i kiedy wrzucałeś mu klucze do koszyka, to też kiwał głową i dziękował. Ale po co tobie kościelna skarbonka w domu? Będziesz datki zbierał?

– A tak, dla żartu. Przyjdą kumple i pewnie będą chcieli

sobie zdjąć i zabrać Tabasco z choinki, to wtedy każę im wrzucić coś do skarbonki.

Rzecz działa się w czasach, gdy Tabasco nie było jeszcze obecne w każdym polskim supermarkecie, więc moja choinka rzeczywiście została obrona z flaszek przez kumpli i w ten sposób miałem im co podarować w prezencie. Bardzo stare czasy – my pijący Tabasco byliśmy wtedy elitą narodu.

Szopka z kościelnego odzysku przetrwała niejedne święta. Stawiałem ją raz pod choinką, innym razem na parapiecie lub koło kominka, tylko ta skarbona gdzieś przepadła i... nie wiem kiedy ani jak. Ktoś mi zwinął? Taka piękna skarbona...

Uwaga do osoby, która coś wie na ten temat: Aktualnie mnie nie ma w Polsce, proszę więc odstawić skarbonę do mojej firmy, a ja nie będę robił dochodzenia, kto, kiedy i dlaczego ją wyniósł, OK? I w duchu Bożego Narodzenia odpuszczam winy.

A dodatkowo, gdyby jakiś proboszcz miał na swoim strychu takie skarbonki z Murzynkiem i wstydził się je wystawiać w kościele, to ja bardzo chętnie przyjmę w ramach prezentu i będę wiedział, co z nimi zrobić – zaczyna nowe piękne życie i będzie ono na „teologicznym legalu”.

Kilka lat temu w USA postanowiłem zaszaleć. Zamówiłem

choinkę na gotowo z hucznym wniesieniem i wyniesieniem. Kupiłem największą, jaka mi wchodzi do chałupy. Najwyższa, najszersza i najgęstsza z dostępnych. Zrobiłem to przez telefon, w firmie, która obsługuje bogate domy. Choinka przyjechała z personelem, stosownie przeszkolonym i ubranym. Na eleganckiej lawecie lepszej, niż dają pod trumnę. Z bożonarodzeniową muzyką sączącą się dyskretnie. Przyjechała oprawiona w fabryczny stojak z kubelkiem na wodę, a obsługa nie prosiła o podanie wody, bo mieli własną. Obsługa prosiła tylko o wskazanie palcem miejsca, gdzie drzewko ma stanąć. Wskazałem i stanęło.

Po świętach zgłosili się w umówionym terminie, by zabrać drzewko. Ta luksusowa usługa (droga jak cholera) polega na tym, że tak jak wniesli, tak potem zabierają choinkę i zamiatają z dywanu igiełki. Nie zostawiają śladów.

Przyjechali. Wchodzą, a tu wszystkie ozdoby i lampki na miejscu, a Pan WC siedzi z nogami na kominku. Gdybym palił, to miałbym jeszcze fajkę w zębach i pykał kółkami dymu.

– Eee... – zbiło ich lekko z tropu – mamy ją Panu rozebrać? Do takich rzeczy przyjeżdża trochę inny personel. Robimy ubieranie i rozbieranie na gotowo, ale pan tego nie zamawiał...

– Proszę brać, jak stoi. Chciałem się cieszyć do ostatniej chwili i się cieszę. Chcę się cieszyć, jeszcze patrząc, jak ona odjeżdża na tej waszej lawecie. Macie tam prąd? To podłączcie lampki i niech świeci w drodze! Hej!

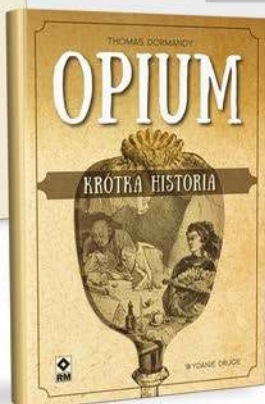
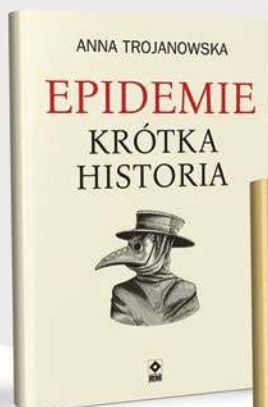
– A czy te ozdoby, które ocalały, mamy Panu odesłać?

– Nie! Ten zestaw ma ponad 10 lat, połowa lampek nie świeci i muszę je ukrywać w głębi drzewka. Za rok kupię sobie nowe i to też będzie frajda. ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE **KSIAŻKI**

ANNA TROJANOWSKA: „EPIDEMIE.
KRÓTKA HISTORIA”, THOMAS DORMANDY:
„OPIUM. KRÓTKA HISTORIA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

403,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 486 zł



~~889 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl fcd90607f8

MUZEUM ŚLĄSKIE ZAPRASZA

200 LAT KOPALNI „KATOWICE” Nasza kopalnia



Muzeum
Śląskie



Wystawa
16.09.2023—
—30.06.2024



Wystawę dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



www.facebook.com/muzeumslaskie
www.instagram.com/muzeumslaskie
www.twitter.com/muzeumslaskie



Muzeum Śląskie wyróżnione
w międzynarodowym konkursie
na najlepsze europejskie muzeum
European Museum of the Year Award 2017

